

Miasteczko Cove

Coulter Catherine

Książka I z FBI



calibre 0.9.43

Catherine Coulter

MIASTECZKO COVE

Tytuł oryginału: The Cove

ROZDZIAŁ 1

Ktoś ją obserwował. Poprawiła czarną perukę, obciągając ją nad uszami i szybko zaczęła nakładać na usta jeszcze jedną warstwę intensywnie czerwonej szminki, trzymając przy tym lusterko wysoko w górze, tak by móc widzieć, co się dzieje za jej plecami.

Młody marynarz dostrzegł jej twarz w lusterku i uśmiechnął się. Podskoczyła, jakby ją ktoś postrzelił. Przestań wreszcie. On jest nieszkodliwy, tylko próbuje flirtować. Nie mógł mieć więcej niż osiemnaście lat, krótko ostrzyżony, o policzkach tak gładkich jak jej twarz. Pochyliła lusterko, żeby zobaczyć więcej. Kobieta siedząca obok marynarza czytała powieść Dicka Francisa. Na siedzeniu za nimi para młodych ludzi spała, opierając się o siebie.

Miejsce przed nią było wolne. Kierowca Greyhonda gwizdał „Tears in Heaven”, melodię, która zawsze przyprawiała ją o skurcz żołądka. Jedynym człowiekiem, który zwrócił na nią uwagę, zdawał się być ten młody marynarz, który wsiadł na ostatnim przystanku w Portland. Pewnie jechał do domu na spotkanie ze swoją osiemnastoletnią dziewczyną. Na pewno to nie on ją śledził, lecz ktoś inny. Nie da się znowu oszukać. Tyle zdołali ją nauczyć. Nie, nigdy więcej nie pozwoli się oszukać.

Włożyła lusterko do torebki i zapięła klapę. Popatrzyła na swoje palce, na biały pasek, gdzie jeszcze trzy dni temu znajdowała się obrączka. Przez ostatnie pół roku usiłowała ją ściągnąć, ale bez skutku. Była zbyt mało przytomna, żeby zapiąć rzepy przy tenisówkach - kiedy pozwolili jej na chodzenie w tenisówkach - a co dopiero mówić o zdjęciu ciasnej obrączki.

Już niedługo, pomyślała, niedługo będę bezpieczna. Również matce nic nie będzie zagrażało. O Boże! Noelle, która łkała w środku nocy, sądząc, że nikt jej nie słyszy. Ale teraz nie mogli nic zrobić Noelle, skoro jej tam nie było. Aż dziw, jak rzadko myślała ostatnio o Noelle jak o swojej matce. Nie tak, jak jeszcze dziesięć lat temu, kiedy Noelle wysłuchiwała wszystkich zwierzeń nastolatki, zabierała ją na zakupy, wozila na mecze, tyle rzeczy robiły razem. Przedtem. Tak, przed tamtą nocą, gdy zobaczyła pięść ojca uderzającą w pierś matki i usłyszała trzask co najmniej dwóch pękających żeber.

Wpadła do środka, krzycząc, żeby zostawił jej matkę w spokoju i skoczyła mu na plecy. Był tak zaskoczony, tak zdumiony, że jej nie uderzył. Strząsnął ją z siebie, odwrócił się i wrzasnął: - Pilnuj swoich spraw, Susan! To ciebie nie dotyczy. - Wbiła w niego wzrok, a cały strach i nienawiść, które w owej chwili do niego czuła, wyraźnie rysowały się na jej twarzy.

- Nie dotyczy mnie? To moja matka, ty bydlaku!

Nie waż się jej znowu uderzyć!

Nie zwiódł jej jego opanowany wygląd; widziała oszalałe pulsowanie żył na jego szyi.

- To była jej wina, Susan. Pilnuj swoich cholernych spraw. Słyszysz? To jej wina. - Uniósł pięść i zrobił krok w kierunku matki.

Porwała z biurka kryształową karafkę i krzyknęła: - Jeśli ją dotkniesz, roztrzaskam ci głowę.

Ciężko dysząc, odwrócił się znowu w jej stronę, już bez udawanego spokoju. Wykrzywił się ze złości. - Suka! Przeklęta, wściekła mała suka! Zapłacisz mi za to, Susan. Nikt nie ma prawa mi się przeciwstawiać, zwłaszcza rozpieszczona mała dziewczynka, która nigdy nic nie zrobiła w życiu poza wydawaniem pieniędzy swojego ojca. - Nie uderzył już Noelle. Popatrzył na obie z

nieskrywaną wściekłością i wyszedł z domu, trzaskając drzwiami.

- Taaak. Dobrze - powiedziała i bardzo wolno, ostrożnie, odstawiła karafkę, zanim zdążyła wypaść jej z rąk.

Chciała wezwać pogotowie, ale matka się nie zgodziła. - Nie możesz - oświadczyła głosem rozbitym jak jej żebra. - Nie możesz, Sally. Jeśli ktoś nam uwierzy, twój ojciec będzie zrujnowany. Nie mogę na to pozwolić.

- Zasluguje na to - odparła Sally, ale posłuchała matki. Miała zaledwie szesnaście lat i właśnie przyjechała do domu na weekend z prywatnej szkoły dla dziewcząt w Laurelbergu, w Wirginii. Czemu mieliby jej uwierzyć?

- Nie, kochanie - wyszeptała matka, zwijając się z bólu. - Nie. Podaj mi tę niebieską fiołkę z pastylkami z apteczki. Pospiesz się, Sally. Niebieska fiołka.

Patrząc, jak pojękująca matka łyka trzy pastylki, zrozumiała, że proszki znalazły się w apteczce, bo ojciec nie pierwszy raz pobił matkę. Gdzieś w głębi serca Sally wiedziała o tym. Nienawidziła siebie, gdyż nigdy o nic nie pytała, nigdy nie powiedziała słowa.

Tego dnia jej matka została Noelle, a w następnym tygodniu Sally porzuciła szkołę dla dziewcząt i przeniosła się do domu rodziców w centrum Waszyngtonu, w nadziei, że uda jej się chronić matkę. Czytała o przemocy wszystko, co tylko mogła znaleźć, ale niewiele to pomogło.

Wszystko to działo się dziesięć lat temu, choć czasami miała wrażenie, jakby było to wczoraj. Noelle pozostała przy mężu, odmawiając szukania jakiegokolwiek porady, odmawiając nawet czytania książek przynoszonych jej przez Sally. Sally nie widziała w tym sensu, ale trzymała się tak blisko, jak tylko było to możliwe, dopóki na wystawie Whistlera w National Gallery nie spotkała Scotta Brainerda i nie poślubiła go dwa miesiące później.

Nie chciała teraz myśleć o Scotcie ani o ojcu. Wiedziała, że pomimo zachowywanej czujności ojciec bił matkę za każdym razem, kiedy Sally wychodziła z domu. Widziała siniaki, które matka usiłowała przed nią ukryć, widziała ją chodzącą ostrożnie jak stara kobieta. Pewnego razu złamał matce rękę, ale Noelle odmówiła pójścia do szpitala czy wizyty lekarza i poleciła Sally siedzieć cicho. A ojciec tylko spojrzał na nią ostrzegawczo i nie zrobiła nic. Zupełnie nic.

Bezwiednie potarła palcami jasny ślad po obrączce. Tak dobrze pamiętała przeszłość - swój pierwszy dzień w szkole, kiedy była na huśtawce, a jakiś mały chłopiec pokazywał ze śmiechem, że widzi jej majtki.

Tylko ostatni tydzień pozostawał pustą plamą w jej pamięci. Tydzień, kiedy został zabity jej ojciec. Cały tydzień był jak bardzo długi sen, który wraz z nadejściem dnia rozmył się, pozostając w pamięci zaledwie smugą.

Sally wiedziała, że owej nocy była w domu rodziców, ale nic więcej nie mogła sobie przypomnieć, a przynajmniej nic, o co mogłaby zahaczyć - tylko zanikające mgliste cienie, zamazane i wyblakłe. Ale oni tego nie wiedzieli. Szybko zrozumiała, że bardzo chcą ją dopaść. Skoro nie udało im się użyć jej, aby dowieść, że to Noelle zabiła męża, cóż, dorwą ją i udowodnią, że to ona zabiła ojca. Czemu nie? Dzieci nieraz mordowały swoich ojców. Chociaż było wiele momentów, kiedy miała na to ochotę, nie wierzyła, że go zabiła.

Z drugiej strony jednak nie знаła prawdy. Wszystko było pustką, zamkniętą szczelnie w czeluściach jej mózgu. Wiedziała, że była zdolna do zabicia tego bydlaka, ale czy to zrobiła? Wielu ludzi mogło pragnąć śmierci jej ojca. Może odkryli, że jednak tam była. Tak, pewnie o to chodziło. Dowiedzieli się, że była świadkiem morderstwa. Pewnie rzeczywiście nim była. Tylko że tego nie

pamiętała.

Musiała się skupić na bieżących sprawach. Przez okno Greyhounda popatrzyła na małe miasteczko, przez które właśnie przejeżdżali. Okropny bury obłok wydobywał się z rury wydechowej autobusu. Z pewnością mieszkańcy byli tym zachwyceni.

Jechali na południe autostradą numer 101. Jeszcze tylko pół godziny, pomyślała, tylko trzydzieści minut i nie będzie musiała się więcej martwić, przynajmniej przez jakiś czas. Potrzebowała nawet najkrótszej chwili spokoju. Już niedługo nie będzie musiała się obawiać, że ktoś ją śledzi. Nikt nie wiedział o istnieniu jej ciotki. Nikt.

Paraliżowała ją obawa, że młody marynarz wysiądzie za nią na skrzyżowaniu autostrad 101 i 101A. Ale nie wysiadł. Nikt nie wysiadł. Stała ze swoją małą walizką, gapiąc się na marynarza, który odwrócił się na siedzeniu i patrzył na nią. Strach ją opuścił. Nie chciał jej zrobić nic złego, chciał tylko poplirtować. Pomyślała, że ma dziwny gust, jeśli chodzi o kobiety. Rozejrzała się w poszukiwaniu jakiegoś samochodu, ale z żadnej strony nic nie nadjeżdżało.

Ruszyła na zachód skrajem autostrady 101A do Cove. Autostrada 101A nie prowadziła na wschód.

*

- Tak?

Patrzyła na kobietę, którą widziała raz w życiu, kiedy miała nie więcej niż siedem lat. Wyglądała jak hippiska, z kolorowym szalem zawiązanym na długich, ciemnych, kręcących się włosach, z ogromnymi, złotymi kołami zwieszającymi się z uszu, ubrana w spódnice do kostek, wymalowaną w niebieskie i brązowe wzory. Miała na sobie niebieskie tenisówki. Twarz miała wyrazistą, z wyraźnie zarysowanymi kośćmi policzkowymi, spiczastą brodą i ciemnymi, inteligentnymi oczami. Rzeczywiście była najpiękniejszą kobietą, jaką Sally kiedykolwiek widziała.

- Ciocia Amabel?

- Co powiedziałaś? - Amabel wbiła wzrok w młodą kobietę, stojącą przed drzwiami jej domu, kobietę, która pomimo grubej warstwy makijażu na twarzy nie wyglądała wulgarnie, była jedynie wyczerpana i chorobliwie blada. No i przerażona. Ale spodziewała się tego. Gdzieś w głębi duszy wiedziała, że się pojawi. Tak, wiedziała, a jednak wstrząsnęło ją to.

- Jestem Sally - odezwała się, ściągając czarną perukę i wyjmując tuzin spinek do włosów. Grube włosy opadły jej falami na ramiona. - A może mówiłaś na mnie Susan? Niewiele osób dziś mnie tak nazywa.

Kobieta potrząsała głową, a jej olśniewające kolczyki obijały się o szyję. - Mój Boże, to naprawdę ty, Sally? - Zakołysała się na piętach.

- Tak, ciociu.

- Ojej - rzuciła Amabel i szybko przyciągnęła ku sobie siostrzenicę, przytuliła ją mocno, po czym znów odsunęła, aby móc się jej przyjrzeć. - O mój Boże! Tak się martwiłam. W końcu dotarły do mnie wieści o twoim ojcu, ale nie wiedziałam, czy powinnam zadzwonić do Noelle. Wiesz, jaka ona jest. Zamierzałam do niej zatelefonować dziś wieczorem, kiedy będzie niższa taryfa, ale pojawiłaś się tutaj, Sally. Chyba miałam nadzieję, że przyjedziesz do mnie. Co się stało? Czy wszystko w porządku z twoją mamą?

- Myślę, że u Noelle wszystko dobrze - odparła Sally. - Nie wiedziałam, gdzie mam się podziać, więc przyjechałam tutaj. Ciociu Amabel, czy mogę tu zostać, chociaż na krótko? Dopóki nie zbiorę myśli i nie opracuję jakiegoś planu?

- Naturalnie, że możesz. Przyglądam się teraz tej czarnej peruce i makijażowi na twojej buzi. Dlaczego, dziecino?

Czułość ją załamała. Nie płakała, nie załkała ani razu aż do tej chwili, gdy ta kobieta nazwała ją dzieciną. Ręce ciotki gładziły ją po plecach, jej głos był cichy i kojący. - Wszystko będzie dobrze, kochanie. Obiecuję ci, że teraz już wszystko będzie dobrze. Chodź, Sally, zaopiekuję się tobą. Obiecałam to twojej matce, gdy ujrzałam cię pierwszy raz. Byłaś najpiękniejszym maleństwem, taką chudzińką o chwiejnych nóżkach jak u żrebaka i nigdy nie widziałam kogoś uśmiechającego się tak szeroko jak ty. Już wtedy chciałam się tobą opiekować. Tutaj będziesz bezpieczna. Chodź, dziecino.

Przekłete łzy nie chciały przestać kapać z oczu. Ściekały ciągle po twarzy, niszcząc koszmarny makijaż. Czują je nawet w ustach, a kiedy przeciągnęła dłonią po twarzy, rozmazała na niej czarne smugi.

- Wyglądam jak kłown w cyrku - powiedziała, z trudem przetykając ślinę, usiłując powstrzymać łzy, uśmiechnąć się, zmusić się do uśmiechu. Wyjęła z oczu zielone szkła kontaktowe. Przeszkadzały przy płaczu.

- Nie, raczej jak mała dziewczynka, wypróbująca-’ca kosmetyki swojej mamy. No właśnie, zdejmij te okropne soczewki. O, teraz masz wreszcie z powrotem swoje śliczne błękitne oczy. Chodź do kuchni, zrobię ci herbaty. Zawsze dodaję do swojej odrobinę brandy. Tobie też nie zaszkodzi. Ile lat’ masz teraz’, Sally?

- Chyba dwadzieścia sześć.

- Co to znaczy „chyba”’? - spytała ciotka i przechyliła głowę na bok, aż jedno ze złotych kółek niemal oparło się o ramię.

Sally nie mogła jej powiedzieć, że chociaż myślała, iż swoje urodziny spędziła w tamtym miejscu, nie mogła przywołać w pamięci obrazu owego dnia, nie była w stanie przypomnieć sobie, żeby ktoś coś do niej mówił, zresztą i tak nie potrafiłaby sobie tego wyobrazić. Nie pamiętała nawet, czy był tam wtedy jej ojciec. Modliła się, żeby go nie było. Nie mogła powiedzieć tego Amabel, po prostu nie mogła. Potrząsnęła głową, uśmiechnęła się i odpowiedziała niezbyt umiejętnym kłamstwem. - Tak tylko mi się powiedziało, ciociu Amabel. Z chęcią napiję się herbaty z kropelką brandy.

Amabel usadziła siostrzenicę w kuchni, przy starym sosnowym stole, pod którego nogę, dla zachowania równowagi, podłożone były trzy czasopisma. Na drewnianych krzeselkach leżały poduszki, więc przynajmniej były wygodne. Postawiła czajnik na palniku i zapaliła gaz. - No tak - rzuciła. - Za chwilę będzie.

Sally przyglądała się, jak ciotka wkłada do każdego kubka torebkę herbaty Liptona i wlewa brandy. - Zawsze najpierw nalewam brandy - powiedziała Amabel. - Wsiąka w torebkę z herbatą i wzmacnia aromat. Brandy jest droga i muszę dbać o to, by starczyło jej jak najdłużej. Tej brandy - podniosła butelkę Christian Brothers - używam już od trzech miesięcy. Niezła. Zobaczysz, będzie ci smakować.

- Nikt mnie nie śledził, ciociu Amabel. Byłam na prawdę bardzo ostrożna. Przypuszczam, że wiesz, iż wszyscy mnie ścigają. Ale udało mi się uciec. Chyba nikt nie wie o tobie. Noelle nikomu nie powiedziała.

Tylko ojciec wiedział o tobie, ale on nie żyje.

Amabel jedynie skinęła głową. Sally siedziała cicho, obserwując, jak Amabel krząta się po małej kuchni, poruszając się płynnie i pewnie. W tych hipisowskich ciuchach ciotka miała mnóstwo

wdzięku. Sally patrzyła na mocne ręce, długie palce z krótko przyciętymi paznokciami, polakierowane na przeraźliwie czerwony kolor. Przypomniała sobie, że Amabel jest artystką. Nie mogła dostrzec najmniejszego podobieństwa do Noelle, która była młodszą siostrą Amabel. Amabel przypominała smagłą Cyganke, natomiast Noelle była blondynką o jasnej skórze, niebieskich oczach, miękką jak poduszka.

Jak ja, pomyślała Sally. Jednak Sally już nie była miękka i delikatna. Była twarda jak skała.

Czekała, spodziewając się, że w każdej chwili Amabel wyciągnie talię kart i zacznie wróżyć jej przyszłość. Zastanawiała się, czemu nikt z rodziny Noelle nigdy nie wspominał o Amabel. Co takiego okropnego zrobiła?

Palcami potarła biały ślad po obrączce. Rozglądając się po starej kuchni z wiekową lodówką i porcelanowym zlewem zadała pytanie: - Nie przeszkadza ci, ciociu Amabel, że tu jestem?

- Nazywaj mnie po prostu Amabel, kochanie, tak będzie zupełnie dobrze. Zupełnie mi nie przeszkadza. Obie będziemy chronić twoją mamę. Co do ciebie zaś, cóż, nie sędzę, żebyś potrafiła skrzywdzić nawet tego małego żuczka, który biegnie po kuchennej podłodze.

Sally potrząsnęła głową, wstała z krzeselka i obcasem zmiażdżyła owada. Znow usiadła. - Chciałam tylko, żebyś widziała, jaka jestem naprawdę - powiedziała.

Amabel wzruszyła ramionami, a kiedy czajnik zagwizdał, odwróciła się w stronę kuchenki i wlała wodę do kubków. Nie odwracając się, rzekła: - Różne rzeczy przytrafiają się ludziom, zmieniają ich. Pomyśl jednak o swojej mamie. Wszyscy zawsze ją osłaniali, ze mną włącznie. Czemu jej córka też nie miałaby tego robić? Chronisz ją, prawda, Sally?

Podawała Sally kubek z herbatą. Dziewczyna wielokrotnie wyciągała i opuszczała herbacianą torebkę, a napar stawał się coraz ciemniejszy. W końcu podniosła torebkę i umieściła ją starannie na spodeczku. Machała tą torebką dokładnie tak samo, jak zawsze robiła jej matka, kiedy była młoda. Upiła łyk, przez chwilę trzymając w ustach herbatę wzmocnioną brandy, potem przełknęła. Herbata była cudowna, mocna, pełna aromatu, warta grzechu. Niemal natychmiast poczuła, jak opada z niej napięcie. Brandy to dobre lekarstwo. Na pewno będzie tu bezpieczna. Na pewno Amabel przygarnie ją na jakiś czas, dopóki nie wymyśli, co ma robić dalej.

Pomyślała, że ciotka, chociaż z pewnością chciała wszystko wiedzieć, o nic nie wypytywała. Sally była jej za to głęboko wdzięczna.

- Zawsze byłam ciekawa, na jaką kobietę wyrosłaś - odezwała się Amabel. - Mam wrażenie, że udałaś się. Całe to zamieszanie - bo to tylko zamieszanie, nic więcej - przeminie. Wszystko się ułoży, zobaczysz. - Zamilkła na chwilę, przypominając sobie ciepłe uczucia, którymi darzyła małą dziewczynkę, tę wewnętrzną potrzebę, aby mieć ją przy sobie, przytulać tak mocno, aż zacznie płakać. Zaskoczyło ją, że nadal czuje to samo. Nie podobało jej się to odkrycie, nie chciała tego.

- Ostrożnie z opieraniem się o ten koniec stołu, Sally. Purn Davies chciał to zreperować, ale mu nie pozwoliłam. - Wiedziała, że Sally jej nie słucha, ale nie miało to znaczenia. Amabel mówiła, dopóki porcja brandy nie dotarła do żołądka Sally.

- Ta herbata to coś nadzwyczajnego, Amabel. Dziwna, ale dobra. - Upiła jeszcze jeden łyk, potem następny. Czując ciepło rozlewające się w brzuchu. Pomyślała, że nie doświadczyła podobnego ciepła co najmniej od pięciu dni.

- Równie dobrze możesz mi teraz wszystko opowiedzieć, Sally. Przyjechałaś tu, żeby chronić twoją mamę, prawda, dziecinko?

Sally pociągnęła kolejny duży łyk herbaty. Co miała powiedzieć? Nie odzywała się.

- Czy to ona zabiła twojego tatę?

Sally odstawiła kubek i wbiła wzrok w jego środek. Gdyby знаła prawdę. Ale cóż, tamta noc była równie mroczna w jej pamięci, jak herbata na dnie kubka. - Nie wiem - powiedziała w końcu. - Po prostu nie wiem, ale oni uważają, że to ja zrobiłam. Sądzą, że albo osłaniam Noelle, albo uciekam, bo sama jestem winna. Usiłują mnie odnaleźć. Nie chciałam ryzykować, dlatego jestem tutaj.

Kłamała? Amabel nic nie powiedziała. Uśmiechnęła się tylko do swojej siostrzenicy, wyczerpanej, o bladej, skurczonej twarzy i tych pięknych niebieskich oczach, teraz wyblakłych i zużytych, jak stara sukienka. Była zbyt chuda; sweter i spodnie wisały na niej. W tym momencie jej siostrzenica wyglądała bardzo staro, jakby zbyt dobrze poznała złą stronę życia. Cóż, szkoda, ale przecież na świecie jest więcej podłości, niż ktokolwiek miałby odwagę przyznać.

Patrząc na swój kubek, powiedziała spokojnie:

- Jeśli twoja mama zabiła swojego męża, to na pewno ten drań na to zasłużył.

ROZDZIAŁ 2

Sally omal nie upuściła kubka. Ostrożnie go odstawiła. - Wiedziałaś?

- Naturalnie. Wszyscy wiedzieliśmy. Pierwszy raz zobaczyłam cię, kiedy przyniosła cię do domu.

Właśnie wpadłam na chwilę. Tego chciała ode mnie nasza rodzina - żebym wpadała na chwilę, nie za wiele mówiła ani nie pokazywała się w obecności ich znajomych. Tak czy inaczej, zjawiała się twoja mama. Powiedziała, że uciekła od niego. Stwierdziła też, iż nigdy nie wróci. Była posiniaczona. Przez cały czas płakała. Jednak niezbyt długo wytrwała w swym postanowieniu. Zadzwoił do niej wieczorem po dwóch dniach, a następnego dnia wróciła z tobą owiniętą kocykiem. Nie miałaś wtedy nawet roku. Nie chciała o tym ze mną rozmawiać. Nigdy nie mogłam zrozumieć, dlaczego kobieta miałaby się pozwalać bić mężczyźnie, kiedy tylko przyjdzie mu na to ochota.

- Ja również. Próbowałam, ciociu Amabel. Naprawdę próbowałam, ale mnie nie słuchała. Co powiedzieli dziadkowie?

Amabel wzruszyła ramionami, myśląc o swoim przerażonym ojcu, który patrzył na piękną Noelle i zastanawiał się, co zrobi, jeśli dziennikarze odkryją ów smakowity kasek, że jego zięć, Amory St. John, bije żonę. Pomyślała również o swojej matce, odskakującej jak oparzona od córki, jakby ta cierpiała na jakąś paskudną chorobę. Ona też nie dbała o Noelle. Chodziło jej jedynie o to, aby sprawa nie przedostała się do prasy, bo mogłoby to wpłynąć na reputację całej rodziny.

- Nie nazwałabyś ich rodzicami zaangażowanymi emocjonalnie, Sally. Udawali, że nie wierzą, iż twój ojciec bije mamę. Patrzyli na Noelle, widzieli siniaki, ale wszystkiemu zaprzeczali. Oświadczyli jej, że nie powinna mówić takich kłamstw. Twoja mama była naprawdę w strasznym stanie, kiedy ich przekonywała, prosiła o pomoc. I wtedy nagle zadzwonił, a twoja mama zareagowała tak, jakby nic się nie wydarzyło. I wiesz, co ci powiem, Sally? Rodzice odetchnęli z ulgą, kiedy wyjechała. Gdyby opuściła twojego ojca, okazałaby się wielką przegraną, nieudacznikiem życiowym. Jako jego żona była kimś wyjątkowym, z kogo należało być dumnym. Czy widzisz swoich dziadków?

- Trzy razy w roku. O Boże, ciociu Amabel, jakże go nienawidziłam! Teraz jednak...

- A teraz boisz się, że ściga cię policja. Nie martw się, dziecino. W tym przebraniu nikt nie mógłby cię rozpoznać.

On by mnie rozpoznał, pomyślała Sally. I to natychmiast. - Mam nadzieję, że nie - powiedziała. - Czy sądzisz, że tu nadal powinnam nosić czarną perukę?

- Nie zawracałabym sobie tym głowy. Jesteś moją siostrzenicą, nic więcej. Nikt nie ogląda tu telewizji poza Thelmą Netro, właścicielką pensjonatu, tak starą, że nie wiem nawet, czy jest w stanie dostrzec ekran. Za to dobrze słyszy. Wiem to na pewno. Nie, nie przejmuj się peruką, szkła kontaktowe też zostaw w szufladzie. Nie ma zmartwienia. Będziemy używać twojego nazwiska po mężu. Tutaj będziesz występowała jako Sally Brainerd.

- Nie mogę używać tego nazwiska, Amabel.

- Dobrze więc. Będziemy używały twojego panińskiego, Sally St. John. Nie, nie obawiaj się, że ktoś skojarzy cię kiedyś twoim kochanym tatuśkiem. Jak już powiedziałam, nikt tu nie zwraca uwagi

na rzeczy, które dzieją się poza granicami miasteczka. Zaś jeśli chodzi o innych, to nikt tu nie przyjeżdża...

- Poza ludźmi, którzy chcą skosztować Najwspanialszych Lodów Świata. Podobała mi się reklama przy skrzyżowaniu z namalowaną ogromną porcją czekoladowych lodów w rożku. Widać ją z daleka, a kiedy się już do niej dojedzie, człowiekowi zaczyna ciec ślinka. To ty namalowałaś tę reklamę, prawda, Amabel?

- Oczywiście, że ja. I masz rację. Ludzie opowiadają nam, że ledwo ją zobaczą dojeżdżając do skrzyżowania, nawet nie wiedzą kiedy samochód sam skręca do Cove. To przepis Helen Keaton, który przekazała jej babcia. Sklep z lodami mieści się w dawnej kaplicy przed kostnicą Ralpa Keatona. Wspólnie postanowiliśmy, że skoro mamy kościół wielebnego Yorheesa, nie potrzebujemy dodatkowo kapliczki Ralpa. - Przerwała, zagłębiając się we wspomnieniach, po czym uśmiechnęła się. - Na początku przechowywaliśmy lody w trumnach, szczelnie wypełnionych lodem. Wszystkie zamrażalniki w każdej lodówce w mieście wykorzystane były do produkcji tak dużej ilości lodu.

- Nie mogę się doczekać, żeby ich spróbować. Pamiętam czasy, kiedy miasteczko było niczym - wtedy, kiedy tu przyjechałam pierwszy raz. Przypominasz sobie? Byłam jeszcze dzieckiem.

- Pamiętam. Byłaś czarująca.

Sally uśmiechnęła się. Był to bardzo wąły uśmiech, ale dobry na początek. Potrząsnęła głową. - Pamiętam, że miasteczko się waliło, było jak na końcu świata - żaden dom nie był pomalowany, z niektórych budynków spadały deski. A na dziury w jezdni były tak głębokie, że cała mogłabym się w nich schować. Teraz jednak miasto wygląda cudownie, jest pełne uroku, czyste i zadbane.

- Cóż, masz rację. Wiele zmieniło się na lepsze. Wspólnie zaczęliśmy się zastanawiać i wtedy Helen Keaton wspomniała o przepisie swojej babki na lody. Tamtego czwartego lipca - Boże, w tym roku miną już cztery lata - otworzyliśmy Sklep z Najwspanialszymi Lodami Świata. Nigdy nie zapomnę, jak mężczyźni wyśmiewali ten pomysł, jak mówili, że nic z tego nie wyjdzie. Cóż, pokazałyśmy im.

- No pewnie. Skoro miasto jest dziś takie piękne dzięki Sklepowi z Najwspanialszymi Lodami Świata, to może Helen Keaton powinna zostać jego burmistrzem.

- Może. Miałabyś ochotę na kanapkę z szynką, dziecino?

Kanapka z szynką, pomyślała Sally. - Z majonezem? Z prawdziwym majonezem, a nie z tym niskokalorycznym świństwem?

- Z prawdziwym.

- I bułka zamiast ciemnego chleba z ziarnami siedmiu zbóż i czternastoma witaminami?

- Tania pszenna bułka.

- Brzmi cudownie, Amabel. Jesteś pewna, że nikt mnie nie pozna?

- Absolutnie nikt.

W czasie gdy Sally jadła kanapkę, oglądały program na zaśnieżonym ekranie czarno-białego telewizora. Nie upłynęło nawet pięć minut, a w krajowym serwisie informacyjnym pojawiła się ta wiadomość.

- Były oficer marynarki, komandor Amory Davidson St. John został wczoraj pochowany na cmentarzu Arlington National. Wdowie po nim, Noelle St. John, towarzyszył jej zięć, Scott Brainerd, prawnik blisko współpracujący ze zmarłym, który był głównym radcą prawnym TransCon International. Jej córka, Susan St. John Brainerd, była nieobecna.

Rozmawiamy teraz z komisarzem policji, Howardem Duzzmanem, który prowadzi śledztwo w

ściślejszej współpracy z FBI.

Wiedza Amabel na temat Scotta Brainerda była bliska zeru. Nigdy go nie widziała, nigdy z nim nie rozmawiała, aż do chwili gdy zadzwoniła do Noelle, a on odebrał telefon, przedstawił się i spytał, kto dzwoni. A ona mu powiedziała. Czemu nie? Poprosiła, żeby Noelle do niej oddzwoniła. Jednak Noelle nie zatelefonowała do niej; w gruncie rzeczy Amabel wcale tego nie oczekiwała. Gdyby życie Noelle zależało od tego telefonu, sprawa wyglądałaby inaczej. Dopadłaby aparatu telefonicznego szybciej niż strzała. Ale tym razem nie zadzwoniła. Amabel zaczęła się zastanawiać, czy Noelle przyjdzie do głowy, że Sally może tutaj być. A jeśli tak, czy to skłoni ją do zatelefonowania? Nie wiedziała. Na razie nie miało to znaczenia.

Wyciągnęła rękę i nakryła swoją dłonią szczupłe palce siostrzenicy. Dostrzegła miejsce, gdzie nieobecna teraz obrączka pozostawiła jasny ślad. Przez krótką chwilę rozważała, czy powiedzieć Sally, że rozmawiała z jej mężem. Nie, jeszcze nie teraz. Może nigdy. Niech dziewczyna najpierw trochę odpocznie. Szczęśliwie będzie jeszcze czas, ale Amabel nie mogła się zdecydować. W rzeczywistości, gdyby tylko mogła, pozbyłaby się Sally natychmiast, zmusiła ją do wyjazdu stąd, zanim... Nie, nie będzie o tym myśleć. Naprawdę nie miała wyboru.

Wszystko się ułoży. A poza tym, co by się stało, gdyby Scott Brainerd dowiedział się, że jego żona tu się ukrywa? Nie powiedziała więc nic, tylko przytrzymała rękę Sally w swojej dłoni.

- Jestem potwornie zmęczona, Amabel.

- Pewnie, że musisz być zmęczona, dziecko. Na pewno.

Amabel opatulili ją w łóżku w drugiej sypialni, jakby była jej własną małą córeczką. W pokoju było cicho, tak bardzo cicho. Po paru minutach już spała. Zanim upłynęło parę następnych, jęczała, leżąc zwinięta pod przykryciem.

*

W tamtym pokoju tyle było dziennego światła, wlewającego się do środka przez szerokie okna, wychodzące na nieskalaną łąkę, ciągnącą się ze sto metrów, aż po skraj dębowego lasu. Wprowadziło ją dwóch mężczyzn, popychając do przodu, prawie rzucając ją na kolana. Położyli jej ręce na ramionach, zmuszając aby usiadła przed jego biurkiem. Uśmiechał się do niej. Nie odezwał się słowem, dopóki nie wyszli, cicho zamykając za sobą drzwi.

Splótł palce. - Wyglądasz żałośnie, Sally, złana zimnym potem. Spójrz tylko na swoje włosy, całe pozlepiane, jesteś bez makijażu, nawet bez śladu szminki na ustach, którą chciałabyś uczcić spotkanie ze mną. Następnym razem będę musiał poprosić, żeby coś z tobą zrobili, nim przyprowadzą cię do mnie.

Słyszała każde słowo, czuła ból, jaki miało każde zadawać, ale zrozumienie szybko zgasło i tylko wzruszyła ramionami, drobnym ruchem, bo uniesienie i opuszczenie ramion było dla niej ogromnym wysiłkiem.

- Jesteś już u mnie prawie tydzień, Sally, i nic się nie poprawiło. Nadal masz przywidzenia, zachowujesz się paranoicznie. Jesteś za głupia, żeby wiedzieć, co znaczą te słowa, więc pozwól, że ci wytłumaczę w uproszczeniu. Jesteś wariatką, Sally, po prostu wariatką, i taka zostaniesz. Nie ma dla ciebie lekarstwa. Skoro więc muszę zająć się tobą trochę dłużej, może byś przynajmniej zaczęła coś mówić, może nawet zaśpiewała jakąś piosenkę, choćby tę, którą nuciłaś pod prysznicem. Tak. Wiem, że zawsze śpiewałaś przy kąpeli. Co o tym sądzisz?

Dziwnym trafem, chociaż jej mózg nie kojarzył faktów, dotarła do niej cała złośliwość i okrucieństwo tych słów. Udało jej się unieść, pochylić do przodu i plunąć mu w twarz.

Rzucił się ku niej, omijając biurko i jednocześnie wycierając twarz dłonią. Poderwał ją na nogi i mocno uderzył, posyłając zwiniętą z bólu na podłogę. Drzwi do jego gabinetu otworzyły się gwałtownie i wpadło przez nie dwóch mężczyzn, którzy ją tu przyprowadzili.

Martwili się o niego?

Usłyszała, jak mówił: - Opluła mnie, a potem zaatakowała. Przynieście mi trzy miligramy haldolu. Tym razem nie zastosujemy pigułki. To powinno uspokoić naszą nieszczęsną dziewczynkę.

Nie. Wiedziała, że jeśli podadzą jej choćby odrobinę więcej tego świństwa, umrze. Wiedziała to, wiedziała. Chwiejąc się, podniosła się na nogi. Pobiegła do tych szerokich okien. Słyszała za sobą krzyki. Rzuciła się na szybę. Przez chwilę leciała, a jasne okruchy szkła odpadały od niej, pozwalając jej unosić się coraz to wyżej i wyżej nad tą piękną łąką, odlatywać jak najdalej od tego pełnego grozy miejsca, od tego straszliwego człowieka. A potem nagle już nie leciała. Słyszała krzyki i wiedziała, że to ona sama tak krzyczy. I wtedy poczuła przenikliwy ból, przygniatający ją niżej i niżej, aż pozostała jedynie ciemność i cudowny niebyt.

*

AJe krzyk trwał nadal. Coś było nie w porządku. Przecież była nieprzytomna, nie mogła dalej krzyczeć.

Przy następnym wrzasku gwałtownie się obudziła. Sally usiadła na łóżku i wyteżyła słuch, aby usłyszeć owe krzyki. Dochodziły stąd, z Cove, z domu Amabel, a nie z jej snu z przeszłości. Nie ruszała się, tylko czekała i czekała. Kot? Nie, to był krzyk człowieka, okrzyk bólu, wiedziała to dobrze. Bóg wiedział, że w ostatnim roku słyszała wystarczająco dużo takich krzyków.

Więc kto? Amabel? Nie chciała się ruszać, ale zmusiła się do wyśliźnięcia spod trzech kocy, którymi Amabel przykryła ją o dziewiątej wieczorem. W małym gościnnym pokoiku było lodowato i ciemno jak w kotle czarownicy. Sally nie miała szlafroka, jedynie długą flanelową koszulę nocną. Scott nienawidził jej koszul, nienawidził... nie, trzeba zapomnieć o Scotcie. Naprawdę już się nie liczył, nie liczył się od bardzo dawna.

W pokoju było bardzo ciemno. Wstała z łóżka, podeszła do drzwi i uchyliła je ostrożnie. W wąskim przedpokoju było równie ciemno. Odczekała chwilę, potem jeszcze trochę dłużej, nie chcąc już nigdy słyszeć tego krzyku i jednocześnie zdając sobie sprawę z tego, że jeszcze usłyszy. To był okrzyk bólu. Być może brzmiało w nim też zaskoczenie. Teraz nie była tego pewna. Czekala. To tylko sprawa czasu. W samych skarpetkach ruszyła w stronę sypialni Amabel.

Kiedy dotarł do niej następny krzyk, potknęła się i zawadziła biodrem o stół. Ten krzyk dochodził z zewnątrz. Nie była to Amabel; dzięki Bogu, była bezpieczna. Amabel będzie wiedziała, co robić.

Cóż to było? Poprawiając stół stojący przy ścianie, masowała sobie biodro.

Nagle drzwi pokoju Amabel gwałtownie się otworzyły. - Co się dzieje? To ty, Sally?

- Tak, Amabel - odparła szeptem. - Usłyszałam, jak ktoś krzyczy i myślałam, że to ty. Co to jest?

- Nic nie słyszałam - powiedziała Amabel. - Wracaj do łóżka, kochanie. To pewnie pozostałości złego snu. Popatrz tylko na siebie, jesteś biała jak ściana.

Nawiedziły cię koszmary senne, prawda?

Sally kiwnęła głową, bo była to prawda. Ale te wrzaski trwały i trwały. Nie były częścią snu, tego snu, którego wspomnienia nienawidziła, a który nachodził ją zawsze, kiedy była wobec niego bezbronna.

- Idź z powrotem do łóżka. Biedne dziecko, drżysz jak listek. Wracaj do łóżka. Pospiesz się.

- Ale, ciociu Amabel, słyszałam to dwa razy. Myślałam, że to ty, ale nie. Krzyk docierał z

zewnątrz.

- Nie, dziecinko, niczego tam nie ma. Jesteś taka wykończona, tyle rzeczy się wydarzyło w ciągu ostatnich paru dni, że zdziwiona jestem, iż nie słyszałaś Rolling Stonesów, wydzierających się na całe gardło. Nic się nie stało, Sally. To tylko zły sen, nic więcej. Nie zapominaj, że to tylko Cove, kochanie. Tutaj nigdy nic się nie dzieje. A jeśli istotnie coś usłyszałaś, to mógł być jedynie wiatr. Wiatr znad oceanu potrafi zawodzić jak człowiek. Wkrótce się o tym przekonasz. Nic nie słyszałaś. Zaufaj mi. Wracaj do łóżka.

Sally wróciła do łóżka. Leżała i czekała, cała napięta i tak przemarznięta, że zastanawiała się, czy łzy zamarzłyby na jej policzkach, gdyby teraz zaczęła płakać. Gotowa była przysiąc, że słyszała ciche otwarcie i zamknięcie drzwi, ale nie starczyło jej sił, żeby iść sprawdzić.

Rozluźniła się, a potem znów zeszywniała, czekając na następny okropny wrzask. Ale nie było kolejnych krzyków. Może Amabel miała rację. Była wyczerpana: śniła ohydny sen, tak bardzo realny. Może cierpiała na paranoję, psychozę czy schizofrenię. Wmawiali jej to przez sześć miesięcy. Zaczęła się zastanawiać, czy gdyby zobaczyła krzyczącą osobę, czy również ona byłaby złudzeniem? Wytworem jej mózgu? Prawdopodobnie tak. Nie, nie będzie myśleć o tamtym okresie. Za bardzo bolało. Było już blisko świtu, gdy powtórnie zasnęła.

Tym razem nic jej się nie przyśniło.

ROZDZIAŁ 3

James Railey Quinlan czuł w sobie więcej energii, niż jeszcze dwadzieścia minut wcześniej. Jego ciało wręcz kipiało energią. To dlatego, że ona tutaj jest. Teraz był pewien, czuł jej obecność. Zawsze miewał to przeczucie - było to coś więcej niż zwykła intuicja. Spływało na niego znieca i zawsze się nim kierował, od dzieciństwa. Raz czy dwa razy nie posłuchał i wpadł po uszy w bagno. Teraz znajdował się w bardzo trudnej sytuacji i jeśli się pomyli, zapłaci za to. Ale nie mylił się. Czuł jej obecność w tym uroczym miasteczku jak z obrazka.

Okropna dziura, pomyślał, wręcz modelowa jak dekoracje w hollywoodzkim studio, zupełnie jak rodzinne miasto Teresy. Pamiętał, że miał to samo wrażenie, że czuł identyczną, nieokreśloną niechęć, kiedy pojechał do tamtego małego miasta w stanie Ohio, aby poślubić Teresę Raglan, córkę miejscowego sędziego.

Zaparkował szarego buicka na wyraźnie oznaczonym parkingu przed Sklepem z Najwspanialszymi Lodami Świata. Dwa ogromne szklane okna sklepu obramowane były szlaczkiem w żywym, niebieskim kolorze. Wewnątrz mógł dostrzec małe, okrągłe stoliki i staroświeckie krzeselka z kutego żelaza, pomalowane na biało. Stojąca za ladą starsza kobieta mówiła coś do mężczyzny, nakładając czekoladowe lody z pojemnika na ladzie. Fronton sklepu lśnił nieskalaną bielą. Miejsce było malownicze, podobnie jak reszta miasta, ale z jakiegoś powodu Guinlanowi jego wygląd się nie podobał.

Wysiadł z samochodu i rozejrzał się. W sąsiedztwie lodziarni mieścił się mały sklepik spożywczy, którego szyld wyglądał jak przeniesiony wprost z epoki wiktoriańskiej: PURN DAVIES: POTRZEBUJESZ CZEGOŚ - ZNAJDZIESZ TO U MNIE.

Po drugiej stronie sklepu z lodami znajdował się niewielki sklep z odzieżą; sprawiał wrażenie eleganckiego i drogiego, podobnie jak pozostałe domy wyglądem przypominał budynek klasztorny. Sklep nosił nazwę Intymne Ułudy, która Jamesowi kojarzyła się z wizją czarnej koronki na białym prześcieradle albo na jasnym ciecie.

Chodniki wyglądały na zupełnie nowe, a jezdnia była ładnie wyasfaltowana. Nie dostrzegł dziur, w których po deszczu mogłaby się zbierać woda.

Wszystkie miejsca postojowe na parkingu zaznaczono grubymi, białymi liniami. Żadna nie była wytarta. Wjeżdżając do miasta, widział wiele nowoczesnych domów, najwyraźniej wszystkie zbudowane bardzo niedawno. W mieście znajdował się też sklep z artykułami metalowymi, małe Safeway, tak mały, że z ledwością mieścił się nad nim szyld, pralnia chemiczna, punkt błyskawicznego wywoływania zdjęć i McDonald's z bardzo dyskretnym złotym łukiem.

Dostatnie, malownicze małe miasteczko. Wzorcowe.

Wsunął rękę do kieszeni marynarki. Na początek musi znaleźć miejsce, gdzie mógłby się zatrzymać. Dokładnie naprzeciwko zauważył reklamę NOCLEG I ŚNIADANIE U THELMY. Ani sam szyld, ani jego treść nie były w żaden sposób udziwnione. Wyciągnął z tylnego siedzenia samochodu czarną torbę podróżną i ruszył w stronę dużego białego domu Thelmy, pełnego architektonicznych ozdóbek, z głębokimi podcieniami wokół całego budynku. Miał nadzieję, że uda mu się dostać pokój na górze, w jednej z okrągłych wieżyczek.

Jak na swój wiek, dom był w doskonałym stanie. Świecił białą pomalowanych desek okapu, a jasnoniebieskie i żółte wzory wokół okien i na gzymsach wyglądały na świeżo odnowione. Podłoga na ganku nie ugięła się pod jego ciężarem. Szerokie deski były nowe, a balustrada zrobiona z mocnych dębowych bali.

Przedstawił się uśmiechniętej pani dobrze po pięćdziesiątce, która stała w holu wejściowym, za antyczną ladą z orzechowego drewna. Miała na sobie fartuch, mocno oproszony mąką. Wyjaśnił, że poszukuje pokoju, najchętniej w wieży. Na dźwięk starczego chichotu odwrócił się i ujrzał potężną staruszkę, bujającą się w fotelu w drzwiach ogromnego salonu. W jednej ręce, tuż przed nosem, trzymała coś, co wyglądało jak pamiętnik, w drugiej zaś wieczne pióro. Co parę chwil śliniła czubek pióra, który to nawyk pozostawił na koniuszku jej języka dużą czarną plamę.

- Szanowna pani - odezwał się, kierując ukłon w stronę staruszki. - Mam nadzieję, że ten atrament nie jest trujący.

- Nie zabiłby jej nawet wtedy, gdyby był trujący - odparła kobieta zza lady. - Do tej pory z pewnością już by się uodporniła. Thelma pisze ten pamiętnik swoim czarnym atramentem od czasu, gdy wraz z mężem przeprowadziła się do Cove w latach czterdziestych.

Staruszka znów zachichotała. - Jestem Thelma Netro! - zawołała. - Nie masz żony, chłopcze?

- To obcesowe pytanie, proszę pani, nawet jak na osobę w starszym wieku.

Thelma zignorowała go. - Cóż więc porabiasz w Cove? Przyjechałeś na Najwspanialsze Lody Świata?

- Widziałem ich reklamę. Z pewnością skosztuję ich później.

- Spróbuj brzoskwiniowych. Helen właśnie je zrobiła w ubiegłym tygodniu. Ale skoro nie przybyłeś tu z powodu lodów, to czemu do nas zawitałeś?

No i masz, pomyślał. - Jestem prywatnym detektywem, proszę pani. Rodzice mojego klienta zaginęli w tej okolicy jakieś trzy i pół roku temu. Gliniarze niczego nie znaleźli. Syn wynajął mnie, żebym wyjaśnił, co się z nimi stało.

- Byli starzy?

- Tak. Podróżowali przez całe Stany samochodem kempingowym. Samochód znaleziono na złomowisku w Spokane. Sprawa wyglądała podejrzanie, ale nikomu nie udało się nic znaleźć.

- Dlaczego więc przyjechałeś do Cove? Tutaj nigdy nic się nie dzieje, zupełnie nic. Pamiętam, że powiedziałam kiedyś mojemu mężowi, Bobby'emu - umarł na zapalenie płuc zaraz po powtórnym wybraniu Eisenhowera w tysiąc dziewięćset pięćdziesiątym szóstym - że chociaż to miasteczko nigdy nie zaznało rozkwitu, to jednak jakoś trwa nadal. I wiesz, co się wówczas stało? Otóż powiem ci. Pewien bankier z Portland kupił ogromny kawał ziemi na wybrzeżu i postawił tam domki letniskowe. Zbudował dwupasmową szosę, odchodzącą od autostrady 101 i prowadzącą prosto nad ocean. - Thelma przerwała, polizała czubek swojego pióra i westchnęła. - A potem, w latach sześćdziesiątych, wszystko zaczęło się sypać, Judzie się wzbogacili i powyjeżdżali, chyba znudziło im się nasze miasteczko. Widzisz więc, że nie ma sensu, żebyś tu się zatrzymywał.

- Wasze miasteczko będzie mi służyło jako baza wypadowa. Stąd będę prowadził poszukiwania. Może pamięta pani tę starszą parę, przejeżdżającą przez miasteczko...

- Mam na imię Thelma, już ci mówiłam. Na tym świecie istnieje mnóstwo różnych pań, ale ja jestem tylko jedna i nazywam się Thelma Netro. Co prawda parę lat temu doktor Spiver stwierdził, że jestem bardziej martwa niż nieboszczyk, ale nie miał racji. O Boże, szkoda że nie widziałeś wyrazu twarzy Ralpa Keatona, kiedy już przygotował mnie do wystawienia w swoim domu

pogrzebowym. Mało nie postradał zmysłów, gdy usiadłam i zapytałam go, co u diabła robi. Ach, tak, to było coś. Był tak przerażony, że wybiegł wzywając wielebne Hala Vorheesa, aby go ratował. Możesz mi mówić Thelma, mój chłopcze.

- Może pamiętasz tę starszą parę, Thelmo. Mężczyzna nazywał się Harve Jensen, a jego żona miała na imię Marge. Mili starsi państwo, jak twierdzi ich syn. Syn wspominał, że mieli ogromną słabość do lodów. - Czemu nie, pomyślał. Trzeba trochę zamieszać w tym rondlu. Podawaj konkretne fakty, dzięki temu będziesz bardziej wiarygodny. A poza tym, każdy chyba lubi lody. Będzie musiał je spróbować.

- Harve i Marge Jensen - powtórzyła Thelma, bujając się teraz intensywniej, a jej ręce, pełne nabrzmiałych żył i plam, zaciskały się rytmicznie na oparciach fotela. - Nie mogę powiedzieć, abym przypominała sobie taką parę. Mówiłeś, że podróżowali samochodem kempingowym? Zajrzyj do Helen i spróbuj lodów brzoskwiniowych w rożku.

- Zaraz to zrobię. Podoba mi się reklama na skrzyżowaniu autostrady 101 i 101 A. Artyście udało się oddać prawdziwy kolor czekoladowych lodów. Tak, jeździli samochodem kempingowym.

- Ten plakat przywiódł do nas wielu ludzi. Biurokraci z urzędu stanowego chcieli, żebyśmy go usunęli, ale jeden z naszych mieszkańców, Gus Eisner, znalazł kuzyna gubernatora i wszystko załatwił. Płacimy stanowi trzysta dolarów rocznie za prawo do ustawienia tego plakatu. Co roku Amabel go odmalowuje, w lipcu, to taka rocznica, bo w lipcu rozpoczęliśmy działalność. Purn Davies powiedział jej, że brązowa farba, której użyła do namalowania lodów czekoladowych jest za ciemna, ale wszyscy go zignorowaliśmy. Miał ochotę ożenić się z Amabel po śmierci jej męża, ale ona nie chciała mieć z nim nic wspólnego. Jeszcze się z tym nie pogodził. Niezbyt piękne, co?

- Owszem - rzekł Quinlan.

- Powiedz Amabel, że twoim zdaniem jej czekoladowy jest doskonały. To jej sprawi przyjemność.

Amabel, pomyślał. Amabel Perdy. To jej ciotka.

Krępa, siwowłosa kobieta za ladą chrząknęła głośno. Kiedy się odwrócił w jej stronę, uśmiechnęła się do niego.

- Co mówiłaś, Martho? Mów głośniej. Wiesz, że cię nie słyszę.

Akurat, pomyślał James. Starucha najpewniej słyszała wszystko w promieniu trzech mil od miasta.

- I przestań się bawić tymi perłami. Zerwałaś je już tyle razy, że nawet zliczyć trudno.

Pomyślał, że perły Marthy wyglądają dość nędznie.

- Czego chcesz, Martho?

- Muszę zameldować pana Quinlana, Thelmo. Powinam też skończyć piec dekadencje ciasto czekoladowe, zanim pójdę na obiad z panem Drapperem. Najpierw jednak chciałabym, żeby pan Quinlan mógł się rozgościć.

- Dobrze, zajmij się tym, tylko nie stój tam i nie załamuj rąk. I uważaj z Edem Drapperem, Martho. To szybki chłopak. Właśnie wczoraj zauważyłam, że zaczynają ci się robić plamy wątrobowe, Martho. Słyszałam, że plamy wątrobowe robią się wtedy, gdy w młodości uprawiało się za dużo seksu. Tak, uważaj na to, co robisz z Edem Drapperem. O właśnie, i nie zapomnij dodać orzechów włoskich do ciasta. Uwielbiam orzechy włoskie.

James zwrócił się do Marthy, łagodnie wyglądającej starszej pani o sztywnych, siwych włosach i wydatnym biuście, w okularach spuszczonej na czubek nosa. Trzymała ręce w kieszeniach, aby

ukryć te plamy wątrobowe.

James roześmiał się i powiedział, świadom, że staruszka na fotelu bacznie się przysłuchuje. - Straszna z niej jędza, prawda?

- Więcej niż jędza, panie Quinlan - odparła szeptem Martha. - Dużo więcej. Poczciwy Ed Drapper ma sześćdziesiąt trzy lata. - Podniosła głos. - Nie, Thelmo, nie zapomnę o orzechach.

- Po prostu chłopak - rzucił James i uśmiechnął się do Marthy, która wyglądała tak, jakby nigdy w życiu się z nikim nie kochała. Znow szarpała swoje perły.

Kiedy zostawiła go w pokoju na wieży, skąd roztaczał się wspaniały widok na ocean, podszedł do okna i wbił wzrok bynajmniej nie w morze, połyskujące niby błyszczący błękitny klejnot w pełnym świetle popołudniowego słońca, lecz w ludzi w dole. Po drugiej stronie ulicy, dokładnie naprzeciwko sklepu Purna Daviesa, dostrzegł czterech staruszków, rozstawiających krzeselka wokół dębowej beczki, która musiała być równie wiekowa co dziadek Jamesa. Jeden z mężczyzn wyjął talię kart. James miał wrażenie, że obserwuje odwieczny rytuał. Inny ułożył swoje karty i splunął na chodnik. Trzeci wsunął powykrzywiane palce za szelki i rozwalił się na krześle. Tak, pomyślał James, wieloletni rytuał. Zaciekawilo go, czy jednym z graczy nie jest Purn Davies, ten, który skrytykował czekoladowy kolor Amabel, ponieważ nie chciała go poślubić. Czy jednym z nich był wielebny Hal Vorhees? Nie, z pewnością wielebny nie siedziałby tutaj, plując na chodnik i grając w karty.

Nieważne. Już niedługo dowie się, kto kim jest. Aby zaś w niczym umyśle nie pojawił się nawet cień co do celu jego przyjazdu będzie z tymi ludźmi rozmawiał o Harve i Marge Jensenach. Będzie o nich pytał każdego, na kogo wpadnie. W nikim nie wzbudzi podejrzeń.

Gotów był się założyć o swoją miesięczną pensję, że ci staruszkowie widzieli wszystko, co działo się w tym mieście, także uciekinierkę, przypadkiem będącą córką znanego prawnika, który nie tylko dal się zamordować, ale na dodatek był wplątany w bardzo paskudne interesy. Zaś uciekiniarka była siostrzenicą Amabel Perdy.

James żałował, że Amory St. John został zabity, zwłaszcza zaś, że stało się to zanim FBI zdążyło ostatecznie dopaść go w związku z nielegalnym handlem bronią z krajami popierającymi terroryzm.

Odwrócił się od okna i zmarszczył brwi. Dotarło do niego, że Harve i Marge Jensenowie zupełnie go nie interesowali, dopóki nie skłamała mu wiekowa Thelma Netto, która została uznana za zmarłą przez doktora Spivera, po czym usiadła na katafalku i śmiertelnie wystraszyła Ralpha Keatona.

Sledztwo w sprawie Jensenów było dla niego jedynie przykrywką, wymyśloną przez jedną z asystentek. Stwierdziła, że to wiarygodny pretekst, ponieważ państwo Jensenowie naprawdę tajemniczo zaginęli gdzieś w okolicach autostrady, prowadzącej również do Cove.

Ale czemu starsza pani kłamała? Jaki mogła mieć powód? Teraz był zaciekawiony. Szkoda, że nie ma czasu. Tajemnice go fascynowały. A na dodatek był najlepszym z najlepszych, tak przynajmniej powtarzała mu Teresa w łóżku, zanim uciekła z człowiekiem wysyłającym pocztą bomby, którego sam wytropił i aresztował, a którego ona broniła i uwolniła od oskarżeń.

Powiesił spodnie i koszule, a bieliznę ułożył w górnej szufladzie pięknej starej komody. Powędrował do łazienki, aby rozpakować przybory toaletowe i doznał przyjemnej niespodzianki. Pomieszczenie było duże, całe wyłożone różowym, pożyłkowanym marmurem i całkowicie zmodernizowane, aż po oszczędzający wodę sedes. Wanna była ogromna i wyposażona w zasłony, jeśli więc chciał, mógł w niej korzystać z prysznicza.

Stara Thelma Netro wyraźnie była hedonistką. Zastanowiło go, skąd, u diabła, mogła mieć tyle pieniędzy, aby tak przerobić łazienki. Miał wrażenie, że jest tu jedynym gościem.

W Cove znajdowała się jedna restauracja, pretensjonalny lokalik o nazwie Na Zapleczu, którego okna zdobiły skrzynki z pięknymi czerwonymi i białymi tulipanami. W przeciwieństwie do pozostałych budynków, stojących wzdłuż Main Street, restauracja odwrócona była w stronę oceanu i wyglądała niezwykle uroczo ze swoim brukowanym podwórkiem i podcieniami, które, był tego pewien, zostały dobudowane wyłącznie dla ozdoby.

Podawano wyłącznie dorsza i okonia. Nic innego, tylko dorsza i okonia - pieczone, smażone, duszone, gotowane. James nie znosił ryb. Zjadł wszystko, co miał do zaoferowania mały bar sałatkowy i zrozumiał, że będzie musiał się żywić wyrobami garmażeryjnymi z Safeway. Cholera, Safeway był tak mały, że mogło w nim nawet nie być działu garmażeryjnego.

Kelnerka, starsza pani odziana w ludowy strój szwajcarski, który opina! sznurowanym gorsetem jej biust i ciągnął się po podłodze, powiedziała mu: - Och, w tym tygodniu jest ryba. Zeke może robić naraz tylko jedną rzecz. Mówi, że przy większej ilości wszystko mu się miesza. Przyjdzie pan w przyszły poniedziałek, to będziemy mieli coś innego. Może zje pan teraz pure ziemniaczane i jakąś zieleninę?

Uklonił się Marcie i Edowi Draperowi, którym wyraźnie smakował smażony dorsz, sałatka z kapusty i ziemniaki. Martha obdarzyła go wspaniałym uśmiechem. Nie miał pewności, czy go poznała. Była bez okularów. Lewą ręką bawiła się perłami.

Po obiedzie, kiedy James skierował się w stronę czterech starszków grających w karty wokół beczki, dostrzegł co najmniej tuzin samochodów, zaparkowanych przed Sklepem z Najwspanialszymi Lodami Świata. Popularne miejsce. Czy istniało już wtedy, gdy Harve i Marge tędy przejeżdżali? Tak, na pewno. To właśnie przy wzmiance o lodach kaprawe oczy starej Thelmy poruszyły się gwałtownie, a stare ręce zacisnęły się z całych sił. Nic nie stoi na przeszkodzie, aby mógł poznać tutejszych mieszkańców, zanim wytropi Susan St. John Brainerd.

Nie był jeszcze zupełnie pewny, co robi, kiedy ją odnajdzie. Prawda, pomyślał. Chciał tylko usłyszeć od niej prawdę. I usłyszy ją. Zwykle dostawał to, czego chciał. A potem może zajmie się tą drugą tajemnicą. Jeśli w ogóle była to jakaś tajemnica.

*

Dziesięć minut później James wkroczył do Sklepu z Najwspanialszymi Lodami Świata, wiedząc już, że czterej starszycy nie są lepszymi kłamcami od Thelmy Netro. W przeciwieństwie do Thelmy nie powiedzieli ani słowa, tylko potrząsnęli ze smutkiem głowami, patrząc jeden na drugiego. Jeden z nich splunął, powtarzając imię Harve. To był Pum Davies. Stary mężczyzna, rozwalony na krześle oświadczył, że zawsze chciał mieć samochód kempingowy. Nazywał się Gus Eisner. Inny dodał, że Gus potrafi wszystko zreperować przy samochodzie. Następny starszek unikał wzroku Jamesa. James nie zapamiętał, jak nazywali się ci dwaj ostatni.

Ich zachowanie było wiele mówiące. Cokolwiek się stało z Harve i Marge Jensenami, każdy, kogo do tej pory spotkał, musiał coś o tym wiedzieć. Teraz nie mógł się doczekać Najwspanialszych Lodów Świata.

Ta sama starsza kobieta, którą zauważył tuż po przyjeździe, nakładała coś, co przypominało lody brzoskwiniowe, dla rodziny turystów, najpewniej zwabionych tu reklamą przy autostradzie.

Dzieci skakały i wrzeszczały. Chłopiec chciał lody czekoladowe, a dziewczynka waniliowe.

- Macie tylko sześć smaków? - spytała kobieta.

- Iak, tylko sześć. Zmieniamy je sezonowo. Niczego nie robimy w nadmiarze.

Chłopiec wrzasnął, że teraz ma ochotę na lody jagodowe. Czekoladowe są za ciemne.

Starsza pani za ladą uśmiechnęła się do niego. - Nie możesz ich dostać. Wybierz inny smak albo się zamknij.

Matkę zatkalo. - Nie może pani tak się zachowywać wobec naszego syna, on jest taki...

Starsza pani uśmiechnęła się w odpowiedzi i poprawiła swój czepeczek z białej koronki. - Jaki jest, proszę pani?

- Jest rozpuszczony - odparł mąż. Zwrócił się do syna. - Na co masz chęć, Mickey? Masz sześć smaków do wyboru. Wybierz jeden albo nie dostaniesz nic.

- Chcę waniliowe - powiedziała dziewczynka. - A on może sobie wziąć robaki.

- Nie można tak, Julio - rzekła matka, po czym polizała lody, wręczone jej przez kobietę zza lady.

- O Boże, wspaniałe! Świeże brzoskwinie, Rick. Świeże brzoskwinie. Cudowne.

Kobieta za kontuarem tylko się uśmiechnęła. Chłopiec wybrał czekoladowy rożek.

James obserwował, jak rodzina wreszcie opuszcza sklep.

- Słucham, czym mogę służyć?

- Bardzo proszę o lody brzoskwiniowe.

- Jest pan nowy w mieście - powiedziała, nabierając łyżką lody z wielkiego pojemnika. - Jest pan tu przejazdem?

- Nie - odparł James, biorąc rożek z lodami. - Pozostanę tu jakiś czas. Próbuję znaleźć Marge i Harve Jensenów.

- Nigdy o nich nie słyszałam.

James liznął. Miał wrażenie, jakby słodkie brzoskwinie spływały mu do gardła. Kobieta umiała kłamać. - Tamta pani miała rację. Są pyszne.

- Dziękuję. A ta Marge i Harve...

James powtórzył historię, którą opowiedział już wcześniej Thelmie i Marcie oraz staruszkom. Kiedy skończył, wyciągnął rękę i rzekł: - Nazywam się James Quinlan. Jestem prywatnym detektywem z Los Angeles.

- A ja jestem Sherry Vorhees. Mój mąż jest tutejszym kaznodzieją, to wielebny Harold Vorhees. Pracuję tu po cztery godziny przez większość dni.

- Miło panią poznać. Czy mogę panią poczęstować lodami?

- Och, nie. Mam swoją mrożoną herbatę - powiedziała i pociągnęła łyk z dużego plastikowego kubka. Herbata miała bardzo jasny kolor.

- Jeśli pani pozwoli, także chętnie napiłbym się mrożonej herbaty - stwierdził Quinlan.

Sherry Vorhees mrugnęła do niego porozumiewawczo. - Bardzo mi przykro, ale z pewnością nie ma pan ochoty na taką herbatę jak moja, a innej nie mamy.

- Pozostanę więc przy lodach. A więc nigdy nie słyszała pani o Marge i Harve? Nie przypomina pani sobie, aby przejeżdżali tędy jakieś trzy lata temu? W samochodzie kempingowym?

Sherry pomyślała, że jest przystojny, wygląda jak ten Anglik, grający w dwóch filmach o Jamesie Bondzie, tyle tylko że ten człowiek jest Amerykaninem, potężniejszym i o wiele wyższym. Naprawdę spodobał jej się jego dołek w brodzie. Zawsze zastanawiało ją, w jaki sposób mężczyźni się tam gola. I właśnie taki śliczny mężczyzna chciał teraz dowiedzieć się czegoś o parze starszych ludzi. Stał przed nią i lizał lody brzoskwiniowe.

- Mnóstwo ludzi przyjeżdża do Cove na Najwspanialsze Lody Świata - powiedziała, uśmiechając

się do niego. - Za dużo, żeby zapamiętać poszczególne osoby. A trzy lata temu... cóż, w moim wieku ledwie mogę sobie przypomnieć, co ugotowałam Halowi na obiad w ubiegły wtorek.

- Ale proszę, niech pani o tym pomyśli, pani Vorhees. Zatrzymałem się w pensjonacie Thelmy. - Kiedy rozległ się dzwonek przy drzwiach, odwrócił się. Do środka weszła kobieta w średnim wieku. W przeciwieństwie do Marthy wyglądała jak Cyganka, głowę przewiązaną miała czerwoną szarfą, a na nogach grube wełniane skarpetki i wygodne sandały. Ubrana była w długą spódnicę i wełnianą, ciemnoczerwoną marynarkę. Miała ciemne i bardzo piękne oczy. Musiała być najmłodszą mieszkanką miasteczka.

- Cześć, Sherry - odezwała się. - Już cię zmieniam.

- Dzięki, Amabel. Och, to jest James Quinlan. Panie Quinlan, to jest Amabel Perdy. Jest prawdziwym prywatnym detektywem z Los Angeles, Amabel. Próbuje tu odkryć, co się stało ze starszą parą, która mogła przejeżdżać przez Cove i kupować tu lody. Jak oni się nazywali? A tak, Harve i Marge.

Patrząc na niego Amabel uniosła w górę ciemne, cygańskie brwi. Była bardzo spokojna, nie odezwała się ani słowem, tylko patrzyła na niego z pełną swobodą.

A więc to była ciotka. Jak szczęśliwie się złożyło, że spotkał ją tutaj, a nie u niej w domu, gdzie spodziewał się znaleźć Sally Brainerd. Amabel Perdy, artystka, kiedyś hippiska, była nauczycielka. Wiedział, że jest wdową i że była żoną innego artysty, którego poznała w Soho wiele lat temu. Zmarł jakieś siedemnaście lat temu. Jego sztuka nigdy nie miała wielkiej wartości. James wiedział teraz także, że odtrąciła Purna Daviesa. Zauważył, że z wyglądu w niczym nie przypominała swojej siostrzenicy.

- Nie pamiętam żadnych starszych państwa o imionach Harve i Marge - rzekła Amabel. - Pójdę teraz na zaplecze, żeby się przebrać, Sherry. Zrób kasę, dobrze?

Była najlepszym kłamcą z dotychczas poznanych. Zdusił w sobie tę przekłętą ciekawość. Nie to było ważne. Liczyła się tylko Sally Brainerd.

- Jak się miewa twoja siostrzeniczka, Amabel?

Amabel wołałaby, aby Sherry nie piła tyle mrożonej herbaty. Przez to za dużo paplała. Odpowiedziała jednak uprzejmie: - Czuje się lepiej. Była po prostu wyczerpana podróżą.

- Tak, naturalnie. - Sherry Vorhees nadal sączyła napój z dużego plastikowego kubka i uśmiechała się do Jamesa. Tamten angielski aktor nazywał się Timothy Dalton. Piękny mężczyzna. James Quinlan podobał jej się jeszcze bardziej. - W Cove nie ma zbyt wiele do roboty. Nie wiem, czy wytrzyma pan nawet tydzień.

- Któż to może wiedzieć? - odparł James, wrzucił serwetkę do białego kosza na śmieci i wyszedł z lodziarni.

Następnym celem jego wyprawy był dom Amabel Perdy, niewielki biały budynek na rogu Main Street i Conroy Street. Czas zabrać się za robotę.

Kiedy zastukał w białe, rzeźbione drzwi, usłyszał w środku jakiś łoskot. Brzmiało to tak, jakby ktoś przewracał meble. Zapukał głośniejsze. Usłyszał kobiecy krzyk przerażenia.

Przekreślił klamkę, ale drzwi były zamknięte na klucz. O cholera! Oparł się ramieniem o drzwi i pchnął mocno. Drzwi poleciały do środka.

Zobaczył Susan Brainerd klęczącą na podłodze z telefonem. Słyszał dźwięk sygnału. Rękę zwiniętą w pięść trzymała wepchniętą w usta. Pewnie sama się przestraszyła swojego krzyku - a może bała się, że ktoś może ją usłyszeć. Cóż, usłyszał ją i oto tu był.

Gapiła się na niego, gdy wpadał do małego saloniku Amabel, po czym przywarła do ściany, jakby miał zamiar ją zastrzelić, wyciągnęła pięść z ust i znowu krzyknęła.

Naprawdę bardzo głośno.

ROZDZIAŁ 4

- Przestań się wydzierać! - huknął na nią. - O co chodzi, do cholery? Co się stało?

Sally wiedziała, że to było to. Nigdy wcześniej go nie widziała. Nie był stary, jak wszyscy pozostali w tym mieście. Nie pasował tutaj. Wytropił ją. Pojawił się tu, aby ją zaciągnąć z powrotem do Waszyngtonu albo zabrać siłą do tamtego okropnego miejsca. Tak, mógł pracować dla Beadermeyera i prawdopodobnie tak właśnie było. Nie mogła tam wrócić. Wpatrywała się w potężnego mężczyznę, stojącego nad nią i patrzącego dziwnie, jakby naprawdę był przejęty, ale przecież wiedziała, że nie był, nie mógł być przejęty, że to tylko podstęp. Był tutaj, żeby ją skrzywdzić.

- Telefon - powiedziała, bo i tak miała umrzeć, więc słowa nie miały najmniejszego znaczenia. - Ktoś zatelefonował i mnie przestraszył.

Mówiąc to wstała i zaczęła się od niego odsuwać.

Zastanawiał się, czy ma broń. Zastanawiał się, czy się odwróci i po nią pobiegnie. Nie chciał, żeby to się źle skończyło. Skoczył do przodu i złapał ją za lewe ramię, ona zaś krzyknęła i obróciła się, usiłując mu się wyrwać.

- Cholera, nie zamierzam zrobić ci krzywdy.

- Idź sobie! Nie pójdę z tobą, nie pójdę. Idź sobie.

Łkała i dyszała, walcząc z nim z całych sił. Wrażenie wywarł na nim sposób, w jaki zdzieliła go pięściami tuż poniżej żeber, w miejsce, gdzie naprawdę bolało, a potem podniosła nogę, aby go kopnąć kolaniem.

Szarpnął ją ku sobie i oplótł ramionami, przytrzymując, aż się uspokoiła. Nie miała teraz pola do działania, nie było sposobu, żeby mogła mu zrobić krzywdę. Była przeciwnikiem wagi lekkiej, ale miejsce poniżej żeber, gdzie go uderzyła, bolało jak wściekle.

- Nie zamierzam ci zrobić nic złego - powtórzył cichym, spokojnym głosem. W FBI uchodził za jednego z najlepszych śledczych ze względu na umiejętność właściwego modulowania głosu, mówienia łagodnie i uspokajająco, to znów ostro i złośliwie - w zależności od tego jak było trzeba, by osiągnąć to, co chciał.

Teraz odezwał się swoim swobodnym, miękkim tonem: - Usłyszałem twój krzyk i pomyślałem, że ktoś jest tu z tobą i cię atakuje. Chciałem tylko zachować się jak bohater.

Zesztywniała, przyciśnięta plecami do jego klatki piersiowej. Jedyne odgłosem zakłócającym ciszę był dźwięk sygnału, dobiegający z telefonicznej słuchawki.

- Jak bohater?

- Tak, bohater. Już w porządku?

Skinęła głową. - Naprawdę nie przyszedłeś mnie skrzywdzić?

- Jasne, że nie. Przechodziłem po prostu, kiedy usłyszałem twój krzyk.

Rozluźniła się z wyraźną ulgą. Uwierzyła mu. Co, u licha, ma teraz zrobić?

Pozwolił jej się odsunąć i sam zrobił krok do tyłu. Schylił się i podniósł telefon, odłożył słuchawkę na widełki, po czym postawił aparat na stoliku.

- Przepraszam - odezwała się. Objęła się rękoma. Była biała jak prześcieradło. - Kim jesteś?

Przyszedeś do Amabel?

- Nie. Kto dzwonił? Jakiś nieprzyzwoity rozmówca?

- To był mój ojciec.

Usiłował na nią nie patrzeć, nie roześmiać się z tego, co powiedziała. Jej ojciec? Jezu, dziewczyno, dwa dni temu go pochowano, widziało to mnóstwo ludzi. Gdyby twego ojca nie przesłuchiwało FBI, nawet prezydent byłby na pogrzebie. Podjął decyzję. - Rozumiem, że twój ojciec nie jest najprzyjemniejszym facetem?

- Owszem, nie jest, ale nie to jest najważniejsze.

On nie żyje.

James Quinlan znał jej teczkę na pamięć. Teraz potrzebne mu było jedynie, by się przed nim otworzyła.

Odnalazł ją, zawarł z nią znajomość, ale wyglądała na bliską załamania. Wariatka nie była mu potrzebna. Potrzebna mu była Sally Brainerd zdrowa na umyśle, zachowywał więc spokój i w głosie, i w ruchach. - Sama wiesz, że to niemożliwe - odezwał się łagodnie.

- Tak, wiem, ale to jednak był jego głos. - Dłońmi rozcierała ramiona. Wzrok wbiła w telefon, jakby czekała, kiedy się odezwie. Czekala na następny telefon od zmarłego ojca? Wyglądała na przerażoną, lecz przede wszystkim sprawiała wrażenie dezorientowanej.

- Co powiedział ten człowiek, który miał głos twojego zmarłego ojca.

- To był mój ojciec. Wszędzie poznałabym ten głos. - Mocniej potarła ramiona. - Powiedział, że przyjedzie, że już niedługo będzie ze mną i zadba o wszystkie sprawy.

- O jakie sprawy?

- O mnie - odrzekła. - Przyjedzie tutaj, żeby się mną zająć.

- Czy masz jakąś brandy?

Poderwała głowę. - Brandy? - Uśmiechnęła się, a potem roześmiała, wydając ochryply, cichy dźwięk, który wszakże był śmiechem. - To właśnie brandy dolewa mi ciotka do herbaty, odkąd przyjechałam tu wczoraj wieczorem. Oczywiście, mam brandy, ale zapewniam, że nawet bez alkoholu nie wyciągnę z szafy miotły i nie wylecę na niej.

Wyciągnął rękę. - To mi wystarczy. Nazywam się James Quinlan.

Spojrzała na tę dłoń, silną, z drobnymi, ciemnymi włoskami na grzbiecie, długimi palcami, zadbanymi paznokciami, przyciętymi krótko i czystymi. Nie były to ręce artysty, nie takie, jak Amabel, lecz na pewno zdolne ręce. I nie takie, jak dłonie Scotta. Mimo to nie chciała uścisnąć ręki Jamesa Quinlana, nie chciała, żeby zobaczył jej dłonie i dowiedział się, jak bardzo jest zaniedbana. Jednak nie miała wyjścia.

Podala mu rękę i natychmiast ją zabrała. - Nazywam się Sally St. John. Jestem w Cove z wizytą u mojej ciotki, Amabel Perdy.

St. John. Wróciła do swojego panieńskiego nazwiska.

- Ach tak, poznałem ją w Sklepie z Najwspanialszymi Lodami Świata. Skłonny byłem przypuszczać, że mieszka w wozie wędrownym, a w nocy przepowiada przyszłość albo tańczy przy ognisku.

Znów wydała z siebie zdławiony chichot. - To samo sobie pomyślałam, kiedy tu przyjechałam. Nie widziałam jej od czasu, gdy miałam siedem lat. Oczekiwałam, że wydobędzie karty tarota i szczęśliwa byłam, że tego nie zrobiła.

- Dlaczego? Może zna się na wróżeniu z kart. Najgorsza jest niepewność.

Pokręciła głową. - Wolę niepewność od pewności. Nie chcę wiedzieć, co się stanie. Bo nie stanie się nic dobrego.

Nie, nie zamierzał jej powiedzieć, kim jest. Nie potwierdzi też, że całkowicie słusznie przypuszcza, iż to, co się jej przytrafi, nie będzie przyjemne. Zastanawiał się, czy zabiła swojego ojca, czy może uciekła do tego miasteczka, położonego na drugim krańcu świata, żeby chronić matkę. Pozostali w biurze sądzeni, że jakiś interes poszedł źle, że wreszcie Amory St. John oszukał niewłaściwych ludzi. On jednak nie wierzył w to ani przez chwilę, nigdy, i dlatego to on znalazł się tutaj, a nie inni agenci. - Wiesz, z chęcią napiję się brandy.

- Kim jesteś?

Odpowiedział swobodnie: - Jestem prywatnym detektywem z Los Angeles. Pewien człowiek wynajął mnie, żebym odnalazł jego rodziców, którzy zniknęli w tej okolicy jakieś trzy lata temu.

Ważyla jego słowa. Wiedział, że usiłuje ustalić, czy nie kłamie. Jego kamuflaż był doskonały, bo wszystko było prawdą, ale cóż to miało za znaczenie. Był dobrym oszustem. Zdawał sobie sprawę, że jego głos działa na nią.

Była taka szczupła, jej twarz nadal wyglądała jak pozbawiona krwi, wszelka barwa spłynęła pod wpływem grozy tamtego telefonu. Jej ojciec przyjeżdżał, aby się nią zająć? Wariactwo. Umiał postępować z ludźmi zdrowymi na umyśle. Nie wiedział, co ma robić, jeśli dziewczyna zaczyna pleść bzdury.

- No dobrze - powiedziała wreszcie. - Chodź tędy, pójdziemy do kuchni.

Ruszył za nią do kuchni, pomieszczenia, które wyglądało jak żywcem przeniesione z lat czterdziestych, z brązowym linoleum na podłodze, pełnym plam starszych niż on. Było czysto, tylko w okolicy zlewu piętrzył się stos naczyń. Wszystkie sprzęty kuchenne były równie stare jak podłoga i tak samo jak ona czyste. Kiedy usiadł za stołem, odezwała się. - Nie opieraj się o stół. Jedna noga się kiwa. Widzisz, ciocia Amabel podłożyła gazety, żeby było równiej.

Zaciekawiło go, jak długo stół był w takim stanie. Takie coś przecież łatwo naprawić. Przyglądał się, jak Susan St. John nalewa mu brandy do szklanki. Zauważył, że przerwała i zmarszczyła brwi. Zrozumiał, że nie wie, ile ma nalać.

- Jest w sam raz - odezwał się swobodnie. - Dziękuję. - Poczekał, aż nalała sobie odrobinę i wznosił szklankę. - Potrzebuję tego. Koszmarnie mnie przestraszyłaś. Miło mi cię poznać, Susan St. John.

- Mnie również, panie Quinlan. Proszę mnie nazywać Sally.

- Dobrze, Sally. Możę po naszych krzykach i wrzaskach będziesz mi mówiła James?

- Chociaż wrzeszczałam na ciebie, wcale cię nie znam.

- Po twoim uderzeniu między żebra prędzej się poddam, niż pozwolę ci się jeszcze raz tak zaatakować. Gdzie się tego nauczyłaś?

- Od dziewczyny z internatu. Powiedziała, że jej brat jest największym zabijaką w szkole i nie chce mieć siostry mięczaka, więc nauczył ją różnych chwytów z samoobrony.

Przyłapał się, że przygląda się jej rękoma. Były równie blade i chude jak cała reszta.

- Nigdy dotąd tego nie próbowałam, to znaczy nie na serio - mówiła dalej. - A właściwie tak, próbowałam, parę razy, ale nie miałam szans. Zbyt wielu ich było.

O czym, do diabła ciężkiego, ona teraz mówi? - Zadziałało. Szczerze mówiąc, pewnie przez najbliższych kilka dni będę kuśtykał. Cieszę się, że nie trafiłaś mnie w krocze.

Obserwując ją, sączył brandy. Co robić? Wszystko wyglądało tak prosto i łatwo przedtem, teraz

jednak, gdy tak siedział naprzeciwko niej i patrzył na nią jak na człowieka, a nie tylko jak na klucz do rozwiązania zagadki morderstwa Amory'ego St. Johna, sprawa nie była już taka klarowna. A on nie znośił, gdy sprawy nie były klarowne. - Opowiedz mi o swoim ojcu.

Nie odezwała się, tylko pokręciła głową.

- Posłuchaj mnie, Sally. On nie żyje. Twój przeklęty ojciec nie żyje. Nie mógł do ciebie zatelefonować. A to oznacza, że albo było to nagranie jego głosu, albo ktoś, kto potrafi go świetnie naśladować.

- Tak - powiedziała z oczami nadal wbitymi w szklaneczkę brandy.

- Najwyraźniej ktoś wie, że tu jesteś. I ten ktoś chce cię przestraszyć.

Wtedy spojrzała na niego i, o dziwo, uśmiechnęła się. Był to bardzo miły uśmiech, wolny od strachu, wolny od napięcia. Zauważył, że odpowiada jej uśmiechem. - Temu komuś świetnie się udało - oświadczyła. - Byłam śmiertelnie wystraszona. Przykro mi, że cię zaatakowałam.

- Sam na twoim miejscu też bym zaatakował, gdyby ktoś w taki sposób wdarł się do domu.

- Nie wiem, czy telefon był zamiejskowy. Jeśli połączenie było międzymiastowe, to mam troszkę czasu, żeby się zastanowić, co robić. - Przerwała i zeszywniała. Nie poruszyła się, ale miał wrażenie, jakby nagle odsunęła się od niego na odległość paru metrów. - Wiesz, kim jestem, prawda? Że też wcześniej tego nie zauważyłam.

- Tak, wiem.

- Skąd?

- Widziałem twoje zdjęcie w telewizji, a także kilka twoich migawek z ojcem i z matką.

- Amabel zapewniała mnie, że nikt w Cove się nie domyśli, kim jestem. Twierdzi, że poza nią nikt nie ma telewizora, jeśli nie liczyć Thelmy Netro, która jest stara jak świat.

- Nie musisz się obawiać, że rozpowiem wszystkim dookoła. Naprawdę obiecuję, że zachowam to dla siebie. Kiedy byłem w Sklepie z Najwspanialszymi Lodami Świata, poznałem twoją ciotkę. Sherry Vorhees wspomniała, że przyjechałaś w odwiedziny. Twoja ciotka nie pisnęła słowem, kim jesteś. - Oszukiwanie jest sztuką, pomyślał, przyglądając się, jak przyjmuje jego słowa. Wszystko polegało na maksymalnym zbliżeniu się do prawdy. Tb była sztuczka, z której mogliby wiele skorzystać niektórzy mieszkańcy tego miasta.

Siedziała ze zmarszczonymi brwiami, zaciskając dłonie na szklance.

- Kto cię ściga?

Powtórnie obdarzyła go uśmiechem, jednak tym razem był to uśmiech szyderczy, podszyty takim ładunkiem strachu, że niemal mógł go poczuć. Bawiła się serwetnikiem. Poprawiając serwetki, które wypadły na stół, rzekła: - Wymień dowolną osobę, a prawdopodobnie wcześniej czy później będzie jednym ze ścigających.

Siedziała naprzeciwko jednego takiego człowieka. Cholera, wcale mu się to nie podobało. Sądził, że sprawa będzie bajecznie łatwa. Kiedy wreszcie się nauczy, że ludzie nie są takimi, jakimi się wydają na początku? Ma piękny uśmiech. Miał ochotę ją porządnie odżywić.

Nagle odezwała się: - Najdziwniejsza rzecz przydarzyła się pierwszej nocy po moim przyjeździe do Cove. Obudziłam się w środku nocy, słysząc ludzki krzyk. Krzyczał człowiek, jestem tego pewna. Weszłam po schodach na górę, żeby się upewnić, iż nic złego nie dzieje się z Amabel, ale kiedy krzyk dobiegł znowu, wiedziałam już, że pochodzi z zewnątrz. Amabel powiedziała, że mi się wydawało. To prawda, że miewam okropne koszmary senne, bardzo realistyczne, ale to właśnie ten krzyk wyrwał mnie ze snu. Wiem to. Jestem pewna. Tak czy inaczej, wróciłam do łóżka, ale jestem

przekonana, że słyszałam, jak później Amabel wychodzi z domu. Jesteś prywatnym detektywem. Co o tym sądzisz?

- Chcesz zostać moją klientką? To cię będzie sporo kosztowało.

- To mój ojciec był bogaty, nie ja. Nie mam ani grosza.

- A co z twoim mężem? Jest sławnym prawnikiem, prawda?

Zerwała się, jakby ją postrzelił. - Myślę, że powinien pan już pójść, panie Quinlan. Być może pana praca prywatnego detektywa polega na zadawaniu pytań, ale przekroczył pan granicę. Nie jestem dla pana sprawą do rozwiązania. Proszę zapomnieć, co pan widział w telewizji. Niewiele z tego było prawdą. Proszę wyjść.

- W porządku - odparł. - Będę w Cove przez najbliższy tydzień. Możesz zapytać ciotkę, czy pamięta dwójkę starsuszków, Harve i Marge Jensenów. Podróżowali nowym, czerwonym wozem kempingowym i najprawdopodobniej przyjechali do miasta, żeby kupić lody. Jak ci już mówiłem, jestem tutaj, bo ich syn wynajął mnie, abym ich odnalazł. Upłynęły ponad trzy lata, odkąd zniknęli.

- Spytam ją. Do widzenia, panie Quinlan.

Zaprowadziła go do drzwi, które na szczęście nadal trzymały się na swoich przedpotopowych zawiasach.

- Jeszcze się spotkamy, Sally - rzekł, lekko jej zasalutował i ruszył dobrze utrzymanym chodnikiem.

Temperatura spadła. Zbierało się na burzę. Miał jeszcze mnóstwo do zrobienia, zanim się zacznie. Przyspieszył kroku. A więc mąż był tematem tabu. Czyżby się go bała? Nie nosiła obrączki, ale dowodem jej istnienia był szeroki, biały pasek na palcu.

Naprawdę głupio się odezwał - zupełnie do niego niepodobne. Zwykle był bardzo ostrożny i uważny, zwłaszcza z osobami takimi jak ona, delikatnymi, balansującymi na krawędzi załamania.

Teraz, kiedy poznał Susan St. John, tę młodą kobietę przerażoną telefonem od nieżyjącego człowieka, nic nie wydawało mu się już proste i oczywiste.

Zadał sobie pytanie, ile czasu upłynie, zanim Susan St. John odkryje, że ją okłamał. Istniała szansa, że to się nigdy nie stanie. Niemal wszystko, co o niej wiedział, pochodziło z teczki prowadzonej przez FBI. Jeśli zauważy, że wie o niej więcej, niż kiedykolwiek zostało podane do publicznej wiadomości, czy ucieknie? Miał nadzieję, że nie. Teraz dodatkowo był zaciekawiony tą historią o ludzkim wrzasku, który słyszała w środku nocy. Może jej ciotka miała rację utrzymując, że jej się przyśnił. Będąc w nowym miejscu miała prawo być podenerwowana. A przecież przyznała, że nawiedzają ją koszmary sensne. Kto to, u diabła, może wiedzieć?

Rozejrzał się dokoła, popatrzył na śliczne małe domki po obu stronach ulicy. Niemal wszędzie posadzone były kwiaty i niskie krzewy, wszystkie od zachodu osłonięte przed wiatrem znad oceanu wysokimi, drewnianymi płótkami. Wyobrażał sobie, że sztormy potrafią zniszczyć wszelką roślinność. Ludzie próbowali walczyć z oceanem.

Nadal nie podobało mu się miasto, ale nie wyglądało już jak dekoracja hollywoodzka. W istocie wcale nie było podobne do rodzinnego miasta Teresy w Ohio. Nie zdziwiła go atmosfera samozadowolenia, panująca wokoło. Czuł, że każdy mieszkaniec wie, iż miasto jest zadbane, śliczne i malownicze. Mieszkańcy przemyśleli, co chcą uzyskać i osiągnęli to. Musiał przyznać, że miasto miało autentyczny urok i tętniło życiem, chociaż od kiedy tu wjechał przed trzema godzinami, nie spotkał na ulicach ani jednego dziecka czy też młodej osoby.

Sztorm zaczął się na dobre późną nocą. Wiatr zawodził, bijąc w okna. Sally dygotała pod stosem koców, wsłuchując się w deszcz lejący jak z cebra, tłukący w dach. Modliła się, żeby nie było w nim dziur, chociaż Amabel wcześniej powiedziała: - O nie, dziecinko. To nowy dach. Kazałam go zrobić w zeszłym roku.

Jak długo może tu pozostać z Amabel? Teraz, kiedy była bezpieczna, dobrze ukryta, mogła pomyśleć o przyszłości, a przynajmniej wybiec myślami o więcej niż jeden dzień naprzód. Zaczęła się zastanawiać nad następnym tygodniem, następnym miesiącem.

Co ma zrobić? Tamten telefon kazał jej myśleć i o teraźniejszości, i o przeszłości. To był głos ojca, bez dwóch zdań. Nagranie, tak jak powiedział James Quinlan, nagranie naśladowcy.

Nagle rozległ się krzyk, długi, przeciągły, który zaczął się cicho, a skończył crescendo. Dobiegał z zewnątrz.

Pobiegła w stronę pokoju ciotki, nie czując pod bosymi stopami zimna drewnianej podłogi, nic, wciąż biegła, aby wreszcie zmusić się do zatrzymania i delikatnie zapukać w drzwi.

Amabel otworzyła drzwi, jakby stała tuż za nimi, czekając tylko na jej pukanie. Ale to z pewnością było niemożliwe.

Chwyliła ciotkę za ramiona i potrząsnęła nią. - Słyszałaś krzyk, Amabel? Prawda, że słyszałaś?

- Oj, kochanie, to był wiatr. Słyszałam go i wiedziałam, że będziesz przerażona. Właśnie szłam do ciebie. Znowu śnił ci się jakiś koszmar?

- To nie był wiatr, Amabel. To była kobieta.

- Nie, nie, chodź teraz ze mną. Zaprowadzę cię z powrotem do łóżka. Spójrz na swoje boscie nogi. Zaraz się przeziębisz. Chodź już, dziecinko, wracaj do łóżka.

Rozległ się następny krzyk, krótki i przenikliwy, gwałtownie wytłumiony. Podobnie jak za pierwszym razem, był to też krzyk kobiety.

Amabel opuściła ramię.

- Czy teraz mi wierzysz, Amabel?

- Chyba będę musiała zawołać jakiegoś mężczyznę, żeby sprawdził. Problem w tym, że wszyscy są tacy starzy i kiedy w taką pogodę wyjdą z domu, mogą dostać zapalenia płuc. Może to był wiatr. Jaka kobieta krzyczałaby na dworze? Tak, to musi być ten cholerny wiatr, Sally. Zapomnijmy o tym wszystkim.

- Nie mogę. To kobieta, Amabel, i ktoś robi jej krzywdę. Nie mogę po prostu wrócić do łóżka i zapomnieć.

- Czemu nie?

Sally tylko na nią spojrzała.

- Chcesz powiedzieć, że kiedy twój ojciec bił twoją mamę, usiłowałaś jej bronić?

- Tak.

Amabel westchnęła. - Przykro mi, dziecinko. Ale tym razem słyszałaś wiatr, a nie swoją matkę, katowaną przez ojca.

- Czy mogę pożyczyć twój płaszcz przeciwdeszczowy, Amabel?

Amabel westchnęła, mocno przytuliła Sally i powiedziała: - No dobrze. Zadzwoń po wielebnego Vorheesa. Nie jest taki rachityczny jak pozostali, jest całkiem silny. On sprawdzi.

Kiedy wielebny Hal Vorhees zawitał do domu Amabel, towarzyszyło mu trzech innych mężczyzn. - To jest Gus Eisner, człowiek, który potrafi zreperować wszystko, co jeździ na kołach.

- Panie Eisner - odezwała się Sally. - Słyszałam krzyk kobiety, dwukrotnie. Okropny krzyk. Ktoś

jej robił krzywdę.

Gus Eisner sprawiał wrażenie, jakby chciał splunąć, gdyby tylko gdzieś w kącie stała spluwaczka. - To wiatr, proszę pani - rzekł, kiwając głową - to był tylko wiatr. Słyszę ten wiatr przez całe życie, przez całe siedemdziesiąt cztery lata, i czasami są to dźwięki, przy których zaczynam szczękać zębami ze strachu. To tylko wiatr.

- Tak czy inaczej, rozejrzemy się - dodał Hal Vorhees. - To jest Purn Davies, właściciel sklepu spożywczego, a to Hunker Dawson, który jest weteranem drugiej wojny światowej i naszym specjalistą od kwiatów. - Sally skinęła im głową, a wielebny poklepawszy ją po ramieniu, skłonił się Amabel i podążył za pozostałymi mężczyznami ku drzwiom. - A wy, panie, dla bezpieczeństwa nie wychodźcie z domu. I nie wpuszczajcie nikogo poza nami.

- Słabe kobiety - mruknęła Sally. - Czuję, że powinnam, bosu i w ciąży, szykować w kuchni kawę.

- Oni są starzy, dziecinko, po prostu starzy. Tamto pokolenie dawało swoim żonom kieszonkowe. Żona Gusa, Velma, nie wzięłaby do ręki rachunku bankowego, nawet gdyby sam wpychał jej się w palce. Ale wszystko się jakoś równoważy. Stary Gus cierpi na kurzą ślepotę. Bez Velmy byłby zupełnie bezradny po zapadnięciu zmroku. Nie przejmuj się ich słowami. Naprawdę się troszczą, a to miłe uczucie, prawda?

Już otwierała usta, żeby odpowiedzieć, kiedy rozległ się trzeci krzyk, tym razem krótki i głośny, który nagle ucichł, gwałtownie urwany. Dochodził z daleka.

Sally wiedziała instynktownie, że nie będzie następnego krzyku. Już nigdy więcej. Wiedziała też, że nie był to przeklęty wiatr.

Spojrzała na ciotkę, która poprawiała współczesne malowidło wiszące nad kanapą, niewielki obrazek, wykonany techniką nieuporządkowanych nałożenia pędzlem ochry, pomarańczy i purpury. Obrazek budził niepokój, był ponury i gwałtowny.

- Wiatr - powoli powiedziała Sally. - Tak, to tylko wiatr, nic więcej. - Chciała spytać Amabel, jaki pożytek będzie z Gusa przy nocnych poszukiwaniach, skoro nie widzi w ciemnościach.

Nazajutrz poranek był chłodny i pogodny, marcowe niebo było tak niebieskie, jak w sierpniu. Sally skierowała się do pensjonatu Thelmy. Martha poinformowała ją, że pan Quinlan właśnie je śniadanie.

Siedział samotnie, otoczony wspaniałymi, wiktoriańskimi meblami w głównej sali panny Thelmy. Na przykrytym obrusem stole stało jedzenie bardziej odpowiednie dla trzech króli niż dla samotnego mężczyzny.

Podeszła do niego, poczekała, aż oderwie wzrok od gazety i spytała: - Kim jesteś?

ROZDZIAŁ 5

Nigdy nie przyszło mu do głowy, że będzie chciała stanąć z nim twarzą w twarz po tym, jak zobaczył ją zwiniętą na podłodze, gdy wpadł do saloniku jej ciotki. A ona usiłowała go kopnąć kolanem, a nawet udało jej się zadać mu cios pomiędzy zębra. Walczyła. A teraz była tu, gotowa go opluć. Z jakiegoś niejasnego powodu sprawiło mu to przyjemność. Może dlatego, że nie chciał, aby jego zwierzyna była tchórzliwa i głupia. Pragnął, żeby to polowanie było dla niego wyzwaniem.

Jak mogła go tak szybko rozszyfrować? To nie miało sensu.

- Jestem James Quinlan - powiedział. - Większość ludzi nazywa mnie Quinlan. Ty możesz mnie nazywać jak chcesz. Może usiądziesz, Sally? Zapewniam cię, że jedzenia wystarczy, bo kiedy kończę jeść jedno danie, Martha natychmiast przynosi następne. Czy ona sama gotuje?

- Nie wiem. Kim jesteś?

- Usiądź, to porozmawiamy. A może wolisz kawałek gazety? To „Oregonian”, bardzo dobre pismo. Jest w nim długi artykuł o twoim ojcu.

Usiadła.

- Kim pan jest, panie Quinlan?

- No cóż, nie trwało to długo. Jeszcze wczoraj bytem po prostu Jamesem.

- Mam wrażenie, że w pana przypadku nic nie trwa zbyt długo.

Ma rację, pomyślał, mając przed oczami obraz Teresy śmiejącej się, gdy wszedł w nią i szeptał do ucha, że jeśli kiedykolwiek będzie miała innego mężczyznę, zrozumie, co to znaczy czuć się w połowie pustą.

- I co jeszcze myślisz, Sally?

- Że kocha pan zagadki, że wałkuje je pan, wygniata, formuje i robi tysiące rzeczy, aby je rozwiązać. A potem traci pan całe zainteresowanie. I szuka pan nowej zagadki.

Wlepił w nią spojrzenie i powiedział na głos, wcale sobie z tego nie zdając sprawy: - Skąd to wiesz, do cholery?

- Panie Quinlan, skąd pan wiedział, że mój mąż jest prawnikiem? Tego nie było w telewizji. Nie było ku temu żadnych powodów. A nawet gdyby go pokazano, nie byłoby najmniejszego powodu, żeby dyskutować o jego zawodzie, czy innych rzeczach, które go dotyczą.

- O, widzę, że to zapamiętałaś.

- Taktyka odwlekania nie pasuje do pana. Jak pan zareaguje, jeśli powiem, że w torebce mam kolta czterdziestkę piątkę i że strzelę, jeśli zaraz nie powie mi pan prawdy?

- Pewnie ci uwierzę. Trzymaj swoją broń w torebce. To było w telewizji - twój poczciwy małżonek, towarzyszący twojej matce na pogrzebie jej męża. Musiałaś tego nie oglądać. - Dzięki Bogu, że słyszał, jak Thelma i Martha wczoraj o tym rozmawiały. Dzięki Bogu, że nie były tym naprawdę zainteresowane. Stołeczny Waszyngton odległy był o tysiące lat świetlnych od ich świata. - Jeśli sądzisz, że jeszcze coś w twoim życiu pozostało twoją prywatną własnością, zapomnij o tym. Jesteś jak otwarta książka.

Zapomniała, że to widziała, najzwyczajniej w świecie zapomniała. Popełniła błąd i nie mogła już sobie pozwolić na więcej potknięć. Przypomniała sobie teraz, jak jadła tę wspaniałą kanapkę z

szynką, zaraz pierwszego dnia po przyjeździe, siedząc koło Amabel i patrząc na ekran jej czarno-białego telewizora, słuchając i obserwując, i wiedząc, że Scott jest z matką. Ani wcześniej, ani potem nie oglądała już telewizji. Modliła się, żeby nie stać się otwartą książką. Błagała Boga, aby nikt w Cove nie odkrył, kim jest.

- Zapomniałam - powiedziała i wzięła nie posmarowaną grzanekę. Ugryzła, powoli przeżuła i przełknęła. - Nie powinnam była, ale jednak zapomniałam.

- Opowiedz mi o nim.

Ugryzła następny kęs. - Nie stać mnie na twoje usługi, pamiętaj, James.

- Czasem robię coś bezinteresownie.

- Nie wydaje mi się. Czy znalazłeś coś w związku z tym starszym małżeństwem?

- Tak. Każdy, z kim rozmawiałem, kłapie nieprawdę swoją sztuczną szczęką. Marge i Harve byli tutaj, prawdopodobnie w Sklepie z Najwspanialszymi Lodami Świata. Dlaczego nikt nie chce tego przyznać? Co mają do ukrycia? Jeśli jedli lody, to co z tego?

Przerwał gwałtownie, wbiwszy wzrok w bladą młodą kobietę, siedzącą naprzeciw. Znów ugryzła Michę grzanekę. Podniósł miseczkę z dżemem truskawkowym domowej roboty i wyciągnął ku dziewczynie. Potrząsnęła głową. Jeszcze nigdy w życiu nie opowiadał nikomu o prowadzonych przez siebie sprawach. Pewnie, w gruncie rzeczy sprawa Marge i Harve'a nie była jego sprawą, ale nawet jeśli nie była, to dlaczego wszyscy kłamią?

I czemu w ogóle opowiedział jej o tym dochodzeniu? Dopuściła się przestępstwa, a jeśli nawet nie, to przynajmniej wiedziała, kto sprzątnął jej ojca. Była to chyba jedyna rzecz, której był pewien.

Kim jeszcze ona jest - cóż, dowie się. Teraz przyszła do niego. Stała twarzą w twarz. Oszczędziło mu to trudu ponownego jej odszukania.

- Masz rację. To nie ma żadnego sensu. Jesteś przekonany, że ci ludzie kłamią?

- Absolutnie. Ciekawe, prawda?

Skinęła głową, wzięła do ust następny kęs i żuła wolno. - A może spytam Amabel, dlaczego nikt się nie przyznaje, że ich pamięta?

- Nie, lepiej nie. To ja jestem prywatnym detektywem. Ja będę zadawał pytania. To nie zajęcie dla ciebie.

Wzruszyła ramionami.

- Jeszcze za wcześnie na Najwspanialsze Lody Świata - stwierdził. - Może więc pójdziesz ze mną na spacer nad urwisko? Jesteś blada. Od spaceru zaróżowią ci się policzki.

Długo się zastanawiała. Nie powiedział nic więcej, tylko patrzył, jak kończy jeść resztę suchej grzanki, która musiała być już zimna jak kamień. Wstała, strzepnęła okruszki z nogawek sztruksowych, brązowych spodni i rzekła: - Muszę włożyć tenisówki. Spotkajmy się za dziesięć minut przed domem Amabel.

- Świetnie - odparł, zgodnie ze swoimi myślami. To mogło go wreszcie dokądś zaprowadzić. Wkrótce do prowadzi do tego, że się przed nim otworzy, jak ślimak wychyli się ze swojej skorupy. Już niedługo opowie mu wszystko o swoim mężu, matce, o zmarłym ojcu, który przecież nie telefonował do niej. Nie, to było niemożliwe.

Dodatkowo niepokoiło go, że dziewczyna wydawała się zupełnie normalna. Kiedy wczoraj spotkał ją przerażoną i rozhisteryzowaną, był na to przygotowany. Ale ten spokój, ten szczery uśmiech, za którym, jak ocenił krytycznie, nie kryła się zła wola ani oszustwo, sprawiały, iż czuł się jak podróżny spóźniony na ostatni pociąg.

Kiedy spotkali się przed domem ciotki, uśmiechnęła się do niego. Gdzie, u diabła, podziła się jej podstępność?

Kwadrans później szczebiotała tak, jakby nad jej światem nie krążyła żadna czarna chmura. - ... Amabel wspominała, że Cove było niczym, dopóki przedsiębiorca z Portland nie wykupił ziemi i nie wybudował tu domków letniskowych. Wszystko świetnie się układało aż do lat sześćdziesiątych, kiedy wszyscy zapomnieli o miasteczku.

- Ktoś musiał pamiętać, ktoś z dużymi pieniędzmi. Miejsce wygląda jak na kolorowej pocztówce. - Przypomniał sobie, że to samo powiedziała mu stara Thelma Netto.

- Owszem - rzekła, kopiąc mały kamyk na drodze. - To dziwne, prawda? Jeśli miasto umarło, to w jaki sposób z powrotem stanęło na nogi? Nie ma tu żadnej fabryki, która dawałaby zatrudnienie okolicznym mieszkańcom, nie ma żadnej produkcji. Amabel mówiła, że szkoła średnia została zamknięta jeszcze w 1974 roku.

- Może ktoś z nich odkrył, jak się włamać do systemu komputerowego, obsługującego zakład ubezpieczeń społecznych.

- To by zdało egzamin tylko na krótki czas. Zakład ma pieniądze na ile? Piętnaście miesięcy? Ryzykowna sprawa. Nikt nie chciałby na to liczyć.

Stali na krawędzi wąskiej półki skalnej i patrzyli w dół na kłębiącą się pianę, unoszącą się do góry, gdy fale uderzały o czarne skały.

- Pięknie - powiedziała, wciągając głęboko do płuc nasycone solą powietrze.

- Owszem, pięknie, ale przyprawia mnie o nerwowy dreszcz. Cała ta nieokiełznana siła nie ma sumienia. Jakże łatwo może cię zabić.

- Cóż za romantyczna uwaga, panie Quinlan.

- Niezupełnie. Ale mam rację. Ta potęga nie rozróżnia dobrych i złych ludzi. A poza tym mam na imię James. Chcesz zejść na dół? Tam, koło tego samotnego cyprysa, jest ścieżka, która nie wygląda zanadto niebezpiecznie.

- Nie chciałabym, żebyś niebezpiecznie się zachwiał Quinlan, jeśli za bardzo zbliżysz się do tej nieokiełznanej siły.

- Tylko mi zagroź, że mnie uderzysz kolanem, a do końca życia zapomnę o pomyśle ślania się na nogach.

Roześmiała się i ruszyła przodem. Szybko znikła za zakrętem. Ścieżka była wąska, najeżona sporymi głazami, zarośnięta niskimi, gęstymi zaroślami, stroma. Pośliznęła się, głośno krzyknęła i złapała za wystający korzeń.

- Uważaj, do cholery!

- Dobrze, będę. Nie, nic nie mów. Nie chcę wracać. Oboje będziemy bardzo ostrożni. To już tylko dwadzieścia metrów.

Dróżka gwałtownie się urywała. Z wyglądu skał i zarośli można było wnosić, że parę lat temu zeszła tam lawina. Pewnie mogliby zejść po skalach, ale Quinlan nie chciał ryzykować. - Naprawdę wystarczy - rzekł i złapał ją za rękę, gdy zrobiła następny krok. - Nie, Sally. Siądźmy tutaj i poobcujmy z tą nieokiełznaną potęgą.

W dole nie było plaży, jedynie stosy głazów, uformowanych w fantastyczne kształty, podobnie jak chmury na niebie. Jeden z kamieni stanowił nawet rodzaj pomostu między dwoma sąsiednimi skałkami, pod którym przepływała woda. Widok był zachwycający i, James miał rację, trochę przerażający.

Nad ich głowami nawoływały się mewy.

- Dziś nie jest specjalnie zimno.

- Nie - odparła. - Nie tak, jak ubiegłej nocy.

- Śpię w zachodniej wieży w pensjonacie Thelmy. Przez całą noc trzęsły się szyby.

Nagle wstała, z oczami utkwionymi w coś po prawej stronie. Potrząsnęła głową, szepcząc. - Nie, to niemożliwe.

Natychmiast zerwał się na nogi, położył rękę na jej ramieniu. - Co jest, u diabła?

Pokazała ręką.

- O mój Boże - powiedział. - Zostań tutaj, Sally. Stój spokojnie, a ja pójde sprawdzic.

- Odczep się, do cholery, Quinlan. Nie, Quinlan mi się nie podoba. Będę cię nazywać James. Nie dam się odsunąć.

Ale on tylko pokręcił przecząco głową. Ominął ją i ostrożnie ruszył w dół po kamieniach. Zatrzymał się dopiero wtedy, gdy znalazł się jakieś półtora metra nad ciałem kobiety, popychanym przez fale na skały, to znów przez nie zabieranym. Tam i z powrotem. W wodzie nie było krwi. - O nie - powiedział na głos. Znalazła się u jego boku i patrzyła w dół na kobietę. - Wiedziałam - rzekła. - Miałam rację, ale nikt nie chciał mnie słuchać.

- Musimy ją wyciągnąć, bo inaczej nic z niej nie zostanie - powiedział. Usiadł, zdjął buty i skarpetki, podwinął nogawki spodni. - Zostań tutaj, Sally. Nie chcę się dodatkowo denerwować, że możesz wpaść do wody i dać się znieść na pełne morze.

W końcu Quinlanowi udało się wyciągnąć zwłoki. To, co pozostało z kobiety owinął w swoją marynarkę. Żołądek podchodził mu do gardła. Machnął na Sally, żeby zaczęła wracać ścieżką w górę. Nie pozwalał sobie na myślenie, że to, co niesie, było kiedyś żywą, roześmianą osobą. Boże, ależ robiło mu się niedobrze. - Zabierzemy ją do doktora Spivera! - zawołała z tyłu Sally. - On się nią zajmie.

- Taaaak - mruknął pod nosem. - Na pewno się zajmie. - Stary człowiek w tym mikroskopijnym mia steczku prawdopodobnie orzeknie, że została zabita przypadkiem przez myśliwego, polującego na kuliki.

W salonie doktora Spivera unosił się zapach stęchlizny. James miał chęć otworzyć okno i wywietrzyć, ale pomyślał, że widocznie staruszek nie ma takiego życzenia. Usiadł i zadzwonił do Sama Northa, detektywa współpracującego z wydziałem zabójstw policji w Portland. Nie zastał Sama, zostawił więc numer telefonu doktora Spivera. - Przekaż mu, że sprawa jest pilna - powiedział partnerowi Sama, Martinowi Amickowi. - Naprawdę pilna.

Odłożył słuchawkę i zajął się obserwowaniem Sally St. John Brainerd, krążącej tam i z powrotem po miękkim dywanie w kolorze czerwonego wina. - Co miałaś na myśli mówiąc, że wiedziałaś?

- Co? Ach, ostatniej nocy słyszałam jej krzyki. Krzyczała trzy razy i przy ostatnim krzyku wiedziałam, że ktoś ją zabił. Urwał się tak gwałtownie, jakby ktoś bardzo mocno ją uderzył. Amabel uważała, że to wiatr, bo słyhać było zawrodozenie - ale ja wiedziałam, że to krzyk kobiety, dokładnie taki sam, jaki dobiegał pierwszej nocy. Opowiadałam ci o tym. Sądzisz, że to ta sama kobieta?

- Nie wiem.

- Amabel zawiadomiła wielebnego Vorheesa, który przybył z trzema innymi mężczyznami i wszyscy wyruszyli na poszukiwania. Po powrocie oświadczyli, że nic nie znaleźli. Wielebny Vorhees znowu mnie poklepał, jakbym była małą dziewczynką albo idiotką.

- Albo, jeszcze gorzej, rozhisteryzowaną babą.

- Dokładnie. Ktoś ją zabił, James. To nie mógł być wypadek. Słyszałam, jak krzyczała tej nocy, kiedy tutaj przyjechałam, trzy noce temu, a potem dziś w nocy. Oni ją zabili dziś w nocy.

- Jacy oni?

Z lekkim zakłopotaniem wzruszyła ramionami. - Nie wiem. Powiedziałam to, bo tak mi pasowało.

Zadzwonił telefon. Odebrał James. Telefonował Sam North. Sally przysłuchiwała się jednej stronie rozmowy.

- Tak, kobieta, domyślam się, że była młoda, może w średnim wieku. Zabrała ją fala przyływu, a potem przez wiele godzin ciskało nią o skały. Nie wiem, jak długo. Co zamierzasz zrobić, Sam?

Wysłuchał, po czym powiedział: - Małe miasteczko o nazwie Cove, mniej więcej godzinę jazdy na południe od ciebie. Wiesz, gdzie to jest? Świetnie. Teraz oglądają tutejszy lekarz, ale nie mają tu żadnego stróża prawa, nic takiego. Tak? W porządku. Załatwione.

Doktor Spiver, na końcu Main Street. Masz już numer. Dobrze. Dzięki, Sam.

Odkładając słuchawkę, rzekł: - Sam zawiadomi szeryfa. Mówił, że przyśle kogoś, żeby zajął się tą sprawą.

- Mam nadzieję, że niedługo - odezwał się doktor Spiver, wchodząc do niewielkiego saloniku i wycierając dłonie. Obsceniczny gest, pomyślała Sally, patrząc na te stare, upstrzone plamami wątrobowymi ręce ze świadomością, czego te ręce dotykały przed chwilą.

Rozległo się pukanie do drzwi i doktor Spiver zawołał: - Proszę wejść!

Był to wielebny Hal Vorhees. Deptała mu po piętach ta sama czwórka staruszków, którzy większość czasu spędzali siedząc wokół beczki i grając w karty.

- Co do diabła się dzieje, doktorze? Pani wybaczy, ale słyszeliśmy, że znalazła pani ciało u podnóża klifu.

- To prawda, Gus - odparł doktor Spiver. - Czy wszyscy poznaliście już pana Quinlana i Sally, siostrzenicę Amabel?

- Owszem, doktorze - odpowiedział Purn Davies, człowiek który chciał poślubić Amabel. - A teraz co się dzieje? Opowiadaj szybko. Nie chcę, żeby się panie o tym dowiedziały, bo to by je zmartwiło.

- Sally i pan Quinlan znaleźli zwłoki kobiety.

- Kim ona jest? Poznaliście ją? - To spytał Hal Vorhees.

- Nie. Chyba nie była z tej okolicy. Nie znalazłem też żadnych śladów na jej ubraniu. A pan coś widział, panie Quinlan?

- Nie. Szeryf niedługo kogoś przyśle. Również lekarza sądowego.

- To dobrze - rzekł doktor Spiver. - Słuchajcie, wszystko mogło ją zabić. Co do mnie, uważam, że to był wypadek, ale kto może wiedzieć na pewno? Nie mogę przeprowadzić testów, nie mam też narzędzi i wyposażenia, żeby zrobić autopsję. Jak powiedziałem, sądzę że był to wypadek.

- Nie - odezwała się Sally. - Żaden wypadek. Ktoś ją zabił. Słyszałam, jak krzyczała.

- Sally - zwrócił się do niej doktor Spiver, wyciągając rękę, którą wcześniej tak wycierał - nie sądzisz chyba, że wycie wiatru, które słyszałaś, to był krzyk tej biednej kobiety.

- Tak właśnie myślę.

- Nic nie znaleźliśmy - rzekł wielebny Vorhees. - Wszyscy szukaliśmy ponad cztery godziny.

- Po prostu nie szukaliście we właściwym miejscu - odparła Sally.

- Może chcesz coś na uspokojenie?

Spojrzała na starego człowieka, który został lekarzem jeszcze zanim urodziła się jej matka. Poznała go wczoraj. Miły człowiek, chociaż troszeczkę dziwny. Czowała, że nie chce jej tutaj, że uważa ją za obcą, jednak dopóki mieszka z Amabel, będzie dla niej miły. Właściwie, jeśli się nad tym zastanowić, wszyscy ludzie, których tu poznała, byli dla niej bardzo mili, ale i tak czowała, że nie chcą jej tutaj. Pewnie dlatego, że jest córką człowieka, który został zamordowany. Zastanowiło ją, czy teraz, kiedy wraz z Jamesem znalazła ciało kobiety, której krzyki wcześniej słyszała, odwróci się od niej.

- Coś na uspokojenie - powtórzyła powoli - coś na uspokojenie. - Wybuchnęła cichym, bardzo nieprzyjemnym śmiechem, na dźwięk którego Quinlan poderwał głowę.

- Lepiej ci coś przyniosę - powiedział doktor Spiver, szybko się odwrócił i wpadł na stolik. Piękna lampa w stylu Tiffany'ego upadła na podłogę. Nie stłukła się.

Nie zauważył jej, zrozumiał James. Przeklęty staruszek ślepnie. - Nie, doktorze - odezwał się swobodnie.

- Sally i ja już wychodzimy. Śledczy z policji w Portland powie szeryfowi, żeby tu przyjechał. Czy przekażecie im, że jesteśmy w domu Amabel?

- Naturalnie - rzekł doktor Spiver, nie patrząc na nich. Klęczał na podłodze, dotykając cennej lampy, macając ołowiane połączenia, aby upewnić się, że nic się nie połamało.

Zostawili go na podłodze. Pozostali mężczyźni zachowali grobowe milczenie, stojąc w małym saloniku, wyłożonym czerwonym dywanem.

- Amabel mówiła mi, że jest ślepy jak kret - powiedziała Sally, kiedy wyszli na jasne, popołudniowe słońce. Stała jak wryta.

- Co jest?

- Zapomniałam. Nie mogę pozwolić, żeby gliny dowiedziały się o mojej obecności. Zadzwoń do policji w Waszyngtonie, ci wyślą kogoś po mnie, zmuszą mnie do powrotu do tamtego miejsca albo mnie zabiją, albo...

- Nie, nie zrobią tego. Już o tym pomyślałem. Nie martw się. Nazywasz się Susan Brandom. Nie będą mieli powodu, aby w to wątpić. Opowiesz im tylko swoją historię i zostawia cię w spokoju.

- Mam czarną perukę, którą tu nosiłam. Założę ją.

- Nie zaszkodzi.

- Skąd wiesz, że będą tylko chcieli zapoznać się z moją opowieścią? Przecież wiesz nie więcej niż ja, co tu się stało. A, rozumiem. Sądzisz, że mi nie uwierzą, iż w nocy słyszałam krzyczącą kobietę.

- Nawet jeśli ci nie uwierzą, to i tak będą mieli w rękach zamordowaną kobietę, prawda? - powiedział cierpliwie. - Słyszałaś kobiece krzyki. Teraz ona nie żyje. Moim zdaniem, konkluzja może być tylko jedna. Weź się teraz w garść, Sally i nie załamuj mi się tutaj. Będiesz Susan Brandon. Dobrze?

Powoli skinęła głową, ale na jej twarzy dostrzegł tyle strachu, ile chyba jeszcze nigdy w życiu nie widział.

Był zadowolony, że ma perukę. Nikt nie mógłby zapomnieć jej twarzy, a Bóg jeden wie, ile razy ostatnio pokazywała ją telewizja.

ROZDZIAŁ 6

David Mountebank nie znosił swojego nazwiska od chwili, gdy zajrzał do słownika i odkrył, że oznacza ono człowieka chełpliwego i pozbawionego skrupułów. Za każdym razem, kiedy spotykał dużego mężczyznę, na dodatek wyglądającego na bystrego, i musiał się przedstawić, zachowywał się sztywno i ostrożnie, sprawdzając, czy rozmówca nie będzie kpił z jego nazwiska. Przedstawiając się teraz mężczyźnie stojącemu przed nim, cały się zmobilizował.

- Jestem szeryf David Mountebank.

Mężczyzna wyciągnął rękę. - Nazywam się James Quinlan, szeryfie. A to Susan Brandon. Dwie godziny temu to my razem znaleźliśmy ciało.

- Witam, pani Brandon.

- Może pan usiądzie, szeryfie?

Skinął głową, zdjął kapelusz i spoczął na miękkich poduszkach kanapy. - Cove się zmieniło - powiedział, rozglądając się po salonie Amabel, jakby znalazł się w sklepie wypełnionym współczesną grafiką, której nie trawił. - Wydaje się, że za każdym razem, kiedy tu przyjeżdżam, wygląda coraz lepiej. Co pan o tym sądzi?

- Nie wiem - odparł Quinlan. - Jestem z Los Angeles.

- A pani tutaj mieszka, pani Brandon? Jeśli tak, to z pewnością jest pani najmłodszą latoroślą w tym mieście, chociaż niedaleko stąd, bliżej autostrady, powstaje coś w rodzaju nowej dzielnicy. Nie rozumiem, jak ludzie mogą chcieć mieszkać w pobliżu autostrady. Nie odwiedzają Cove, chyba że wpadną na lody, tak przynajmniej słyszałem.

- Nie, szeryfie. Przyjechałam do ciotki. Na krótkie wakacje. Jestem z Missouri.

Szeryf Mountebank zapisał to sobie w notesie, potem wyprostował się na kanapie, przejechał rękami po kolanach i powiedział: - Lekarz sądowy jest w domu doktora Spivera i bada zwłoki kobiety. Musiała być w wodzie jakiś czas, moim zdaniem co najmniej osiem godzin.

- Wiem, kiedy zginęła - rzekła Sally.

Szeryf tylko uśmiechnął się do niej, czekając na resztę. To był jego zwyczaj: czekać, a wtedy na pewno wszystko, co chciał usłyszeć, popłynie z ust rozmówcy, który będzie mówił, żeby tylko przerwać ciszę.

Tym razem nie musiał czekać długo, bowiem Susan Brandon nie mogła się doczekać, żeby mu opowiedzieć wszystko o krzykach, o tym, jak pierwszej nocy ciotka przekonała ją, że to tylko zawrodozenie wiatru, ale że wczorajszej nocy wiedziała, po prostu wiedziała, iż był to krzyk kobiety, wrzask bólu, a potem ten ostatni krzyk... no tak, ktoś ją zabił.

- Która to była godzina? Pamięta pani, pani Brandon?

- Było pięć po drugiej w nocy, szeryfie. Wtedy moja ciotka zeszła ze mną i zadzwoniła do wielebnego Vorheesa.

- Telefonowała do Hala Vorheesa?

- Tak, Stwierdziła, że jest tu chyba najmłodszym mężczyzną i najsprawniejszym fizycznie. Przyproceedził ze sobą trzech starszych mężczyzn. Szukali, ale nic nie udało im się znaleźć.

- To pewnie ta sama grupka, która była u doktora Spivera. Siedzieli i tylko patrzyli jeden na

drugiego. Tego typu wydarzenia naprawdę wywołują silne poruszenie w miasteczkach takich jak Cove.

David Mountebank zapisał ich nazwiska. Nagle, nie łagodząc głosu, zapytał: - Dlaczego nosi pani czarną perukę, pani Brandon?

Bez chwili, namysłu odpowiedziała: - Przechodzę chemoterapię, szeryfie. Jestem prawie łysa.

- Przykro mi.

- W porządku.

W tym właśnie momencie Quinlan zrozumiał, że nigdy nie wolno mu nie doceniać Sally Brainerd. Nie zdziwiło go specjalnie, że szeryf zauważył perukę. Prawdę powiedziawszy, wyglądała po prostu śmiesznie. W tych włosach czarnych jak grzech przypominała Elvirę, Panią Ciemności. Nie, była wręcz bledsza niż Elvira. Na Quinlana wywarło wrażenie samo pytanie szeryfa o perukę. Może gdzieś tam istniała wątpliwa szansa na poznanie tożsamości zabitej kobiety i jej mordercy. Zobaczył, że David Mountebank nie jest głupi.

- Doktor Spiver uważa, że to tylko tragiczny wypadek - odezwał się szeryf, jednocześnie bez przerwy notując coś ołówkiem w swoim notesie.

- Poczciwy doktor jest prawie zupełnie ślepy - odparł James. - Z równym powodzeniem zamiast zabitej kobiety mógłby badać nogę od stołu.

- Cóż, wygląda na to, że doktor za szybko ocenił sprawę. Powiedział, że nie wyobraża sobie, aby ktoś mógł chcieć ją zabić, chyba żeby to był ktoś z zewnątrz. To znaczy ktoś nie mieszkający przy autostradzie 101A. Pozostali czterej mężczyźni nic nie wiedzieli.

Domyślam się, że przyszli, aby wesprzeć doktora moralnie. A pan, panie Quinlan, czy jest pan tu służbowo?

Quinlan opowiedział mu o starszym małżeństwie, którego poszukiwał. Nie wspomniał słowem o kłamstwach mieszkańców miasteczka.

- Ponad trzy lata temu - mruknął szeryf, patrząc na wiszący nad głową Sally obraz Amabel, utrzymany w tonacji jasnożółtej, kremowej i bladego błękitu, pozbawiony konkretnych kształtów, a jednak ładny.

- Tak. Pewnie za dużo czasu upłynęło, żeby coś znaleźć, ale ich syn chciał jeszcze raz spróbować. Obrąłem Cove na swoją kwaterę główną, najpierw poszukam czegoś tutaj, a później będę stąd robił wypadki.

- Wie pan co, panie Quinlan? Kiedy wrócę do mojego biura, też mogę czegoś poszukać. Jestem szeryfem zaledwie od dwóch lat. Sprawdzę, co poprzedni szeryf miał na ten temat do powiedzenia.

- Będę bardzo wdzięczny.

Rozległo się pukanie do frontowych drzwi. Potem drzwi się otworzyły i do salonu wkroczył niewysoki, szczupły mężczyzna. Na nosie miał okulary w drucianej oprawce, a na głowie filcowy kapelusz z miękkim rondem. Zdjął kapelusz, skinął głową szeryfowi i uklonił się Sally. - Witam szeryfie, dzień dobry pani. - Potem spojrzął na Quinlana i wbił w niego wzrok, jak mały piesek, który tylko czeka na polecenie swojego pana, aby rzucić się na mastodonta.

Quinlan wyciągnął rękę. - Quinlan.

- Jestem biegłym lekarzem. Szeryfie, już zabieramy ciało. Chciałem tylko dać panu wstępny raport. - Tu przerwał teatralnie. Quinlan znał dobrze te chwytaki i uśmiechnął się. Wiele razy widział już podobne sceny. Lekarze sądowi rzadko miewali swoje pięć minut.

To była ich jedyna szansa, żeby zablysnąć i ten człowiek robił wszystko, żeby olśnić obecnych w

pokoju.

- Tak, Ponser? Mów szybko.

Nazwisko nie mówiło tyle, co nazwisko Mountebank, ale było dość interesujące. Quinlan zerknął na Sally, która wpatrywała się w czubki swoich butów. Jednak przysłuchiwała się rozmowie; widział, jak cała zeszywniała, czuł nieomal drzenie powietrza wokół i niej.

- Ktoś ją udusił - radośnie obwieścił Ponser. - Sprawa jest dość oczywista, ale na sto procent będę pewny dopiero po otrzymaniu wyników autopsji. Być może zabójca sądził, że jeśli ciało będzie przebywało w wodzie, ślady nie będą takie wyraźne, ale mylił się. Z drugiej jednak strony, gdyby fale nie wyrzuciły jej na brzeg, jej ciało nigdy nie zostałoby znalezione i problem byłby czysto teoretyczny.

- Tego właśnie chcieli - powiedziała Sally. - Nie chcieli, aby ją znaleziono. Nawet gdyby fale wyrzuciły - ją na brzeg, ile osób schodzi tamtędy w dół? Wszyscy tu mieszkający to starzy ludzie. Zejście tamtędy jest niebezpieczne. Mieli pecha, że znaleźliśmy ją z Jamesem.

- Z pewnością - zgodził się szeryf. Wstał. - Pani Brandon, czy spróbowałaby pani określić kierunek i odległość, z jakich dobiegały słyszane przez panią krzyki? Czy dobiegały z tego samego miejsca zarówno pierwszej, jak i drugiej nocy?

- Bardzo celne pytanie - wolno powiedziała Sally. - Taka informacja z pewnością może pomóc. I pierwszej, i drugiej nocy krzyki dochodziły gdzieś z bliska, chyba że krzyczała naprawdę bardzo głośno. Wydaje mi się, że w obu przypadkach krzyk dobiegał z drugiej strony drogi. I z niewielkiej odległości, naprawdę bardzo małej - tak przynajmniej mi się wydaje.

- Naprzeciwko tego domu wzdłuż ulicy stoi cały szereg ślicznych, małych domków. Na pewno ktoś musiał coś słyszeć. Oto moja wizytówka, na wypadek gdyby przypomniła sobie pani coś jeszcze. Proszę dzwonić w każdej chwili.

Potrząsnął dłonią Quinlana. - Wie pan, nie mogę zrozumieć, dlaczego ktoś więził tę kobietę.

- Więził? - rzekła Sally, wbijając wzrok w szeryfa.

- Naturalnie, proszę pani. Gdyby nie przetrzymywano jej wbrew woli, to czy słyszałaby pani krzyki przez dwie noce? Zabójca więził ją z jakiegoś powodu, tak ważnego, że zamordował ją dopiero drugiej nocy, kiedy udało jej się uwolnić i znów zaczęła krzyczeć. Zadaję sobie tylko pytanie, po co kogoś więzić, skoro nie zamierza się go sprzątnąć? Może myślał o okupie i dlatego zachował ją przy życiu? A może przez cały czas zamierzał ją zabić? Może to wariat? Nie mam pojęcia, ale się dowiem. Nie słyszałem, żeby ktoś ostatnio zaginął. Tyle pozostaje pytań. Kiedy tylko będziemy mieli fotografię zamordowanej, moi ludzie zaczną przeczesywać okolicę jak armia mrówek. Naprawdę mam nadzieję, że pochodziła stąd.

- To z pewnością znacznie ułatwiłoby panu pracę - rzucił Quinlan. - Jeśli znajdą się jacyś krewni albo mąż, znajdą się też dziesiątki motywów zbrodni.

- Tak, panie Quinlan, to niewątpliwie prawda.

- Nie ma nic lepszego niż dobra zagadka kryminalna, żeby w człowieku raźniej zaczęła krążyć krew.

- Wolę moją zagadkę niż pańską, panie Quinlan. Odnalezienie po trzech latach dwóch osób nie jest zbyt prawdopodobne. Cóż, będę się zbierał. Miło mi było panią poznać, pani Brandon.

Kiedy szli do drzwi, odezwał się do Quinlana. - Jeśli zaś chodzi o zamordowaną kobietę, dowiem się, kto ją więził, a wtedy zobaczymy, jaki mógł być motyw tak brutalnego zabójstwa. Zastanawia mnie, dlaczego jej ciało zrzucano do morza.

- A nie zakopano w ziemi?

- Właśnie. Wie pan, co sobie myślę? Otóż moim zdaniem ktoś wpadł w szal, że się uwolniła.

Ktoś był tak wściekły, że ją zabił i po prostu zrzucił do wody, jak śmieć. Bardzo chcę go dopaść.

- Na pana miejscu też bym chciał, szeryfie. Myślę, że pana domysły mogą być słuszne.

- Długo pan zostanie w miasteczku, panie Quinlan?

- Jeszcze jakiś tydzień.

- A pani Brandon?

- Nie wiem, szeryfie.

- Nieprzyjemna sprawa z tym nowotworem.

- Tak, nieprzyjemna.

- Ale wyzdrowieje?

- Jej lekarze zdają się w to wierzyć.

Szeryf David Mountebank uściśnął dłoń Quinlana, skinął głową Sally - która, chociaż mówili cicho, słyszała każde słowo - i oddalił się.

Sally zainteresowało, dlaczego ciotka wyszła przed przybyciem szeryfa. Amabel powiedziała jedynie: - Czemu szeryf miałby chcieć ze mną rozmawiać? Nic nie wiem.

- Ale przecież słyszałaś krzyki, Amabel.

- Nie, dziecino, to ty je słyszałaś. Ani przez chwilę nie wierzyłam, że to są krzyki. Nie chcesz chyba, żebym cię nazwała kłamczucha w obliczu przedstawiciela prawa?

Powiedziawszy to, wyszła.

Teraz Sally zwróciła się do Quinlana. - Szeryf nie jest głupi.

- Nie, nie jest. Ale tobie udało się go oszukać z tą całą chemoterapią. Gdzie jest twoja ciotka?

- Nie wiem. Wyszła.

- Przecież wiedziała, że przyjdzie szeryf.

- Tak, ale powiedziała, że nic nie wie. Oświadczyła, że nie słyszała żadnych krzyków, a nie chce mnie przedstawiać w złym świetle, gdyby musiała mu to powiedzieć.

- To znaczy, żeby nie wyszło, iż jesteś histeryczką albo kłamczucha?

- Otóż to. Gdy będzie z nim rozmawiała, prawdopodobnie mu nakłamię. Kocha mnie. Nie chciałyby mnie skrzywdzić.

Ale nie kocha wystarczająco mocno, żeby teraz dla niej skłamać, pomyślał Quinlan. Dziwna rodzina.

- Żadnych nowych telefonów?

Sally potrząsnęła głową, odruchowo przenosząc wzrok na aparat telefoniczny, stojący na stolyczku koło lampy.

- Ktoś jednak wie, że jesteś tutaj.

- Tak, ktoś wie.

Porzucił ten temat. Nie chciał jej przyciskać do muru, przynajmniej nie w tej chwili. Dość już przeszła jak na jeden dzień. A nie załamano się. Trzymała się dzielnie. - Dumny jestem z ciebie - powiedział bez namysłu.

Popatrzyła na niego, mrugając oczami. Ciągle stał w drzwiach wejściowych i z rękami założonymi na piersiach opierał się o ścianę.

- Jesteś ze mnie dumny? Dlaczego?

Wzruszył ramionami i podszedł do niej. - Jesteś cywilem, ale się nie poddajesz.

Gdyby tylko wiedział, pomyślała, pocierając miejsce po obrączce, tak ciasnej i paraliżującej.

- Sally, co się stało?

Poderwała się na nogi. - Nic, James, zupełnie nic. Jesteś głodny?

Nie był, ale ona musiała być, jeśli ten kawałek zeschniętej grzanki był jedynym posiłkiem, który tego dnia zjadła. - Wróćmy do Thelmy i zobaczmy, co tam mają - powiedział, a ona przystała na propozycję. Nie chciała być sama. Nie chciała zostać sama w tym domu.

Staruszka siedziała w jadalni, siorbiąc gęstą zupę jarzynową. Otwarty pamiętnik trzymała na kolanach okładką do góry, wieczne pióro leżało obok talerza. Co, u diabła, pisze w tym pamiętniku? Co mogło być tak cholernie interesującego? Na ich widok staruszka ryknęła: - Martho, przynieś moje zęby! Bez zębów nie mogę być dobrą gospodynią.

Zamknęła usta i nie odezwała się słowem, dopóki biedna Martha nie wbiegła do jadalni i nie podała jej sztucznej szczęki. Thelma odwróciła się, potem odkręciła z powrotem i obdarzyła ich szerokim uśmiechem porcelanowego uzębienia.

- No, co ja słyszę o jakichś zwłokach, które znaleźliście?

- Jesteśmy głodni - powiedział James. - Jest jakaś szansa na zupę?

- Martho, przynieś dwa talerze twojej jarzynowej! - zawołała Thelma.

Wskazała im dwa miejsca naprzeciwko siebie. Zwróciła wzrok na Sally, która nie miała na głowie peruki. - To ty jesteś siostrzenicą Amabel, prawda?

Sally kiwnęła głową. - Tak, proszę pani. Miło mi panią poznać.

Staruszka prychnęła. - Tylko się zastanawiasz, czemu jeszcze żyję. Ale nadal żyję i dbam o to, aby codziennie informować o tym doktora Spivera. Trzy lata temu ogłosił mnie zmarłą, wiecie?

Quinlan wiedział. Wyobrażał sobie, że każdy o tym słyszał, dziesiątki razy. Jednak uśmiechnął się i potrząsnął głową. Sięgnął pod stół i ścisnął Sally za rękę. Zesztywniała, zaraz jednak poczuł, że się rozluźnia. Świetnie, pomyślał, zaczyna mi ufać. I od razu poczuł się jak bydlę.

Martha rozłożyła przed nimi nakrycia i podała dwa talerze zupy.

- Wokół Marthy stale kręcili się jacyś mężczyźni, ale zawsze byli to łajdacy. Interesowało ich tylko jej gotowanie. Co zrobiłaś z młodym Edem, Martho?

Ugotowałaś coś dla niego, czy też zażądałaś, żeby najpierw poszedł z tobą do łóżka?

Martha tylko potrząsnęła głową. - Thelmo, tylko wprawiasz w zakłopotanie panienkę Sally.

- Mnie również - rzucił Quinlan, biorąc do ust łyżkę pełną zupy. - Martho - powiedział - nie jestem łajdakiem i na pewno się z tobą ożenię. Zrobię dla ciebie wszystko.

- Zgoda, panie Quinlan.

- Taki duży chłopiec jak pan miałby być zakłopotany, Jamesie Quinlan? - Theima Nettro roześmiała się. Sally była wdzięczna, że staruszka założyła swoje zęby. - Sądzę, że z niejednego pieca jadłeś chleb, chłopcze. Gotowa jestem się założyć, że nawet gdybym się teraz rozebrała, nie zbilabym cię z tropu.

- Nie byłbym tego taki pewny, proszę pani - odparł Quinlan.

- Zaraz przyniosę duszonego kurczaka - powiedziała Martha. - Z chlebem czosnkowym - rzuciła przez ramię.

- To ona trzyma mnie przy życiu - odezwała się Theima. - Powinna być moją córką, ale nie jest. Szkoda. To dobra dziewczyna.

Interesujące, pomyślał Quinlan, ale nie tak fascynujące jak zupa. Wszyscy skupili całą uwagę na zupie jarzynowej, dopóki Martha nie pojawiła się ponownie z ogromną tacą zastawioną półmiskami.

Dobiegające zapachy omal nie pozbawiły Quinlana przytomności. Zaczął rozważać, jak długo zachowałby płaski brzuch, gdyby Martha przygotowywała dla niego wszystkie posiłki.

Thelma wzięła do ust duży kawałek kurczaka, zaczęła go żuć, jakby to był jej ostatni kęs na ziemi, westchnęła, po czym odezwała się: - Czy mówiłam wam, że mój mąż, Bobby, wynalazł nową, ulepszoną wersję automatycznego pilota i sprzedał go potężnemu koncernowi z San Diego? Bardzo byli rym zainteresowani, bo była wojna i w ogóle. Tak, właśnie tak się stało. Wiem, że dzięki pomysłowi Bobby'ego samoloty mogły latać na lepiej ustabilizowanej wysokości i mniej zbaczały z kursu, niż do tamtej pory. Z pieniędzmi za wynalazek przenieśliśmy się z Bobbym tutaj, do Cove. Nasze dzieci zdążyły tu dorosnąć i wyprowadziły się. - Potrząsnęła głową, uśmiechnęła się i rzekła: - Mogę się założyć, że znalezione przez was ciało było w opłakanym stanie.

- Tak - wierząc się lekko, odpowiedziała Sally. - Biedaczka została zrzucona ze skalistego urwiska. Najwyraźniej została zabrana przez przyływ.

- Ale kim ona była?

- Nikt jeszcze tego nie wie - odparł Quinlan. - Szeryf Mountebank się dowie. Czy słyszała pani kobiece krzyki, pani Netto?

- Mów do mnie Thelmo. Mój drogi Bobby zmarł zimą tysiąc dziewięćset pięćdziesiątego szóstego roku, zaraz po wyborze Eisenhowera - Bobby nazywał mnie Diablicą, ale zawsze się przy tym uśmiechał, więc nie miałam do niego pretensji. Krzyk kobiety? Raczej nie. Lubię, kiedy mój telewizor głośno gra.

- To było w środku nocy - rzekła Sally. - Była już pani w łóżku.

- Mam tak ciasno zwinięte walki na głowie, że nic nie słyszę. Spytajcie Marthę. Kiedy nie usiłuje znaleźć dla siebie chłopa, leży na łóżku i rozmyśla o tym. Może ofia coś słyszała.

- Dobrze - powiedział Quinlan. Odgryzł duży kęs grzanki z czosnkiem, zadrżał z rozkoszy, poczuwszy całe bogactwo smaku czosnku i masła, i odezwał się: - Kobieta krzyczała gdzieś bardzo blisko, może wręcz po drugiej stronie drogi, naprzeciwko domu Amabel. Była czyimś więźniem. A potem ten ktoś ją zabił. Co o tym myślicie?

Thelma żuła następny kawałek kurczaka, a nitka stopionej mozzarelli zwisała jej z kącika ust. - Myślę, że razem z Sally powinniście gdzieś pojechać, żeby się poprzytulać. Nigdy jeszcze nie widziałam tak wystraszonej dziewczyny jak biedna Sally. Jest w opłakanym stanie. Amabel nie powiedziała nic ponad to, że przeżyłaś ciężkie chwile i próbujesz dojść do siebie po nieudanym małżeństwie. Powiedziała, że powinniśmy siedzieć cicho, że potrzebujesz ciszy i spokoju. Nie musisz się martwić, Sally, nikt z Cove nie będzie o tobie paplał.

- Dziękuję pani.

- Mów do mnie Thelmo, Sally. A teraz powiedzcie mi, co każde z was wie o tym znanym waszyngtońskim prawniku, który został zamordowany.

James pomyślał, że Sally zaraz zemdleje i upadnie twarzą prosto w talerz z kurczakiem. Była bledsza niż śmierć. Odezwał się swobodnie: - Podejrzewam, że nie więcej niż inni. A co ty wiesz, Thelmo?

- Ponieważ jestem jedyną osobą ze sprawnym telewizorem, wiem o wiele więcej niż każdy inny mieszkaniec miasteczka. Czy wiecie, że mąż zaginionej córki prawnika wystąpił w telewizji, błagając ją, żeby wróciła do domu? Powiedział, że martwi się złym stanem jej zdrowia, że nie wiedziała, co robi. Powiedział, że ona nie ponosi odpowiedzialności, że jest chora. Stwierdził, że naprawdę niepokoi się o nią, że chce, aby wróciła, żeby mógł się nią zaopiekować. Wiedzieliście o

tym? Czy to nie imponujące?

Teraz już nie groziło jej wpadnięcie w półmisek z kurczakiem. Quinlan poczuł, że skamieniała. - Gdzie to słyszałaś, Thelmo? - zapytał spokojnie, wątpiac jednocześnie, czy kiedykolwiek jeszcze będzie miał ochotę na następny kawałek pieczonego kurczaka.

- Pokazywali w CNN. W programie CNN możesz znaleźć wszystko.

- Czy pamiętasz może, co jeszcze mówił?

- To właściwie wszystko. Naprawdę nieźle przedstawił sprawę. Sprawiał wrażenie bardzo szczerego. Przystojny mężczyzna, ale trochę zanadto gładki. Moim zdaniem ma za miękko zarysowany podbródek. A co wy oboje o tym sądzicie?

- Zupełnie nic - odparła Sally. James był zadowolony, nie słysząc w jej głosie nuty paniki, chociaż zdawał sobie sprawę, że musi być wystraszona.

Thelma zdawała się nie zauważać, że jej otoczenie przerwało jedzenie. Zachichotała. - Lubię Jamesa. Nie jest taki delikatny i gładki jak mąż tamtej biednej dziewczyny. Nie, James nie smaruje włosów tymi wszystkimi piankami. Mogę się założyć, że mąż tamtej biedaczki nie potrafiłby użyć tego ślicznego, dużego rewolweru, który James nosi pod marynarką. Nie, on wolałby jeden z tych delikatnych pistolecików. Tak, jak na mój gust, facet jest zbyt oślizgły. Sally, skoro na miejscu jest James, radzę ci z niego skorzystać. Tak zawsze mawiał do mnie mój mąż. „Thelmo - mówil - mężczyźni uwielbiają, kiedy się z nich korzysta. Użyj mnie”. Nadal brakuje mi Bobby'ego. Wicie, w tysiąc dziewięćset pięćdziesiątym szóstym nabawił się zapalenia płuc.

Zabito go w cztery dni. Szkoda. - Westchnęła i wzięła do ust następny kawałek kurczaka.

- Czuję się, jakbym właśnie połknął pięć ząbków czosnku - powiedział Quinlan, kiedy udało im się umknąć pod pretekstem bólu brzucha Sally.

- Tak, ale było wspaniale, dopóki Thelma nie wspomniała o Scotcie.

- Chce się tobą zająć.

- Jestem tego pewna.

Pragnął, żeby mu opowiedziała o mężu i o tym, co jej zrobił. Gorycz w jej głosie była wyraźniejsza od strachu. Kiedy otrzymała telefon od kogoś podającego się za jej ojca - tak, wtedy była naprawdę przerażona. Odwróciła się do niego. Była jeszcze bledsza, jeśli to w ogóle było możliwe, i skurczona, jakby uszło z niej życie. - Byłeś dla mnie bardzo miły i doceniam to, ale teraz muszę stąd zniknąć. Nie mogę tu zostać ani chwili dłużej. Wystąpił w programie telewizyjnym, ktoś mógł go obejrzeć. Ktoś może zatelefonować z informacją. Muszę wyjechać. I wiesz co? Thelma wie. Tylko bawiła się ze mną.

- Nikt nie zadzwoni, bo nikt nie oglądał programu. Gdyby twój mąż oferował jakąś nagrodę za informację, idę o zakład, że Thelma natychmiast rzuciłaby się do telefonu, chichocząc przez cały czas. Owszem, Thelma wie, ale nie uczyni nic poza dogadywaniem ci. Pomyśl, Sally, poza tym nikt nie wie, kim jesteś. Dla wszystkich jesteś tylko siostrzenicą Amabel. Założyłbym się też, że gdyby się dowiedzieli, nikt nie pisnąłby słowa. Lojalność - rozumiesz, co mam na myśli?

- Właściwie nie - odpowiedziała.

Dobry Boże, pomyślał, krocząc u jej boku, jakim piekłem musiało być jej życie. Nie przypominał sobie, czy w pokoju na wieży widział telewizor. Miał nadzieję, że gdzieś stał. Chciał obejrzeć, jak Scott Brainerd prosi swoją żonę, żeby do niego wróciła.

- Nie wyjeżdżaj - odezwał się, kiedy dotarli do domku Amabel. - Wiesz, wcale nie jest trudno być lojalnym, kiedy to cię nic nie kosztuje. Nie musisz uciekać. Pozwól sprawom toczyć się swoim

torem i trzymaj się z boku. A poza tym, nie masz przecież pieniędzy, prawda?

- Mam karty kredytowe, ale boję się z nich korzystać.

- Bardzo łatwo je wytropić. Dobrze, że ich nie użyłaś. Posłuchaj, Sally, mam kilku kolegów w Waszyngtonie. Pozwól mi wykonać parę telefonów i dowiedzieć się, co się naprawdę dzieje, dobrze?

- Jakich kolegów?

Uśmiechnął się do niej. - Nie mogę mieć przed tobą tajemnic, prawda?

- Nie wtedy, kiedy sprawa jest tak oczywista - odparła i też uśmiechnęła się do niego. - Nieważne, James. Jeśli chcesz pogadać z paroma osobami, proszę bardzo. Pamiętaj tylko, że nie mam pieniędzy, żeby ci zapłacić.

- Pro bono - odrzekł. - Słyszałem, że nawet agencje rządowe czasem pracują za darmo.

- Tak, a potem korzystają z pieniędzy podatników. To twoi przyjaciele pracują dla władz?

- Tak, i są naprawdę dobrzy. Powiem ci, co tam piszczy, naturalnie, jeśli tylko będą coś wiedzieli.

- Dziękuję, James. Ale pamiętaj, że jest jeszcze ktoś podszywający się pod mojego ojca. Ten człowiek wie, gdzie jestem.

- Ktokolwiek się pojawi, będzie miał do czynienia z moim wielkim rewolwerem. Nie martw się.

Kiwnęła głową. Marzyła, żeby dotknął jej dłoni, uścisnął, poklepał ją po policzku, żeby zrobił cokolwiek, pozwalającego jej poczuć się mniej zagrożoną, nie tak zaszczutą. Wiedziała jednak, że nie mógł tego zrobić. Zdawała też sobie sprawę, że zupełnie go nie zna.

A więc zostałem jej obrońcą, uświadomił sobie Quinlan, potrząsając głową. Obroniłby ją przed każdym, kto by się pojawił i chciał ją stąd wywlec siłą albo skrzywdzić.

Zycie splatało mi niezłego figła, pomyślał, wracając do pensjonatu Thelmy.

To on był jej głównym prześladowcą.

ROZDZIAŁ 7

Kiedy zadzwonił telefon, Sally była w kuchni, gdzie kroila pierś z indyka, którą Amabel przywiozła do domu z Safeway. Ciotka zawołała: - To do ciebie, Sally.

James, pomyślała i z uśmiechem wytarła ręce. Gdy weszła do salonu, zobaczyła Marthę i ciotkę, które uśmiechały się do niej, nie mówiąc ani słowa, co było niezwykle uprzejme z ich strony, zważywszy, że pewnie rozmawiały o niej, zanim wkroczyła do pokoju.

- Halo?

- Jak się miewa moja mała dziewczynka? Zamarła. Serce zaczęło jej bić szybko i boleśnie mocno. To był on. Zbyt dobrze zapamiętała ten głos, żeby uwierzyć, iż ktoś udaje Amory'ego St. Johna.

- Nie chcesz ze mną rozmawiać? Nie chcesz wiedzieć, kiedy zamierzam przyjechać i cię dopaść, Sally?

Powiedziała wyraźnie. - Ty nie żyjesz. Od dawna. Nie wiem, kto cię zamordował, szkoda, że nie ja. Idź do diabła, bo tam jest twoje miejsce.

- Już niedługo, Sally. Nie mogę się doczekać, a ty?

Już wkrótce będę cię miał u mojego boku.

- Nie, nie będziesz! - wrzasnęła i cisnęła słuchawkę.

- Sally, co się dzieje? Kto to był?

- Mój ojciec - powiedziała i roześmiała się. Śmiała się jeszcze, idąc na górę po schodach.

Amabel zawołała za nią: - Ależ Sally, to chyba nie był ktoś próbujący cię przekonać, że jest twoim ojcem. Przecież odzywała się kobieta. Martha powiedziała, że głos był bardzo niewyraźny, ale kobiecy. Pomyślała nawet, że był podobny do głosu Thelmy Netro, ale to niemożliwe. Nic mi nie wiadomo o żadnej kobiecie, która wiedziałaby, że jesteś tutaj.

Sally zatrzymała się na przedostatnim schodku. Schody były wąskie, a stopnie za wysokie. Powoli odwróciła się i spojrzała w dół. Nie mogła stąd dojrzeć ciotki ani Marthy. Nie chciała ich widzieć. Kobieta? Może Thelma Netro? Nie ma mowy.

Zbiegła w dół po schodach do saloniku. Zwykle spokojna Martha wyglądała na zaniepokojoną, nerwowo odpinała i zapinała swoje perły, okulary zsuwały jej się z nosa.

- Moja droga - zaczęła, ale przerwała na widok dzikiego gniewu, malującego się na twarzy dziewczyny. - Coś jest nie w porządku? Amabel ma rację. To dzwoniła kobieta.

- Kiedy ja wzięłam słuchawkę, to nie była kobieta. To był mężczyzna, udający mojego ojca. - To był jej ojciec. Była o tym przekonana, do głębi. Czowała się tak przerażona, że nawet zaczęła się zastanawiać, czy człowiek może umrzeć z samego strachu.

- Dziecinko - unosząc się powiedziała Amabel wszystko to jest takie zagmatwane. Chyba obie powinnyśmy później sobie porozmawiać.

Nie powiedziawszy już słowa, Sally powoli ruszyła w górę po schodach. Zaraz musi wyjechać. Nieważne, czy będzie musiała iść piechotą, czy poruszać się autostopem. Znane jej były wszelkie opowieści o niebezpieczeństwach czyhających na samotne kobiety, ale były one niczym wobec grozy tego, co właśnie nad nią zawisło. Ile osób mogło wiedzieć, że przebywa tutaj? Mężczyzna podający

się za jej ojca i jeszcze ta kobieta? Pomyślała o tamtej pielęgniarce. Tak bardzo jej nienawdziła. Sally nie mogła sobie teraz przypomnieć nawet jej imienia. I wcale nie chciała. Czy to mogła być tamta pielęgniarka?

Wcisnęła ubrania do worka podróznego i dopiero wtedy pojęła, że musi poczekać. Nie chciała walczyć z Amabel. Słyszała, jak Amabel zamyka dom. Słyszała, jak wchodzi na górę, stawiając energicznie, mocno nogi. Sally szybko wskoczyła do łóżka i nakryła się po szyję.

- Sally?

- Słucham, Amabel? O Boże, już prawie zasypiałam. Dobranoc.

- Tak, dobranoc, dziecinko. Śpij smacznie.

- Dobrze.

- Sally, jeśli chodzi o ten telefon...

Czekała bez słowa.

- Martha mogła się mylić. To całkiem możliwe. Nie ma już najlepszego słuchu. Starzeje się. A mógł to być również mężczyzna udający kobietę, na wypadek gdyby telefon odebrał ktoś inny, nie ty. Nie potrafię sobie wyobrazić, żeby to mogła być Thelma. Dziecinko, nikt nie wie, kim jesteś, naprawdę nikt. Amabel przerwała. Sally widziała zarys jej sylwetki w futrynie drzwi, oświetlony przyćmionym światłem z korytarza. - Wiesz, kochanie, przeszłaś strasznie dużo, za dużo. Jesteś przerażona. Też bym była na twoim miejscu. Kiedy człowiek jest przerażony, umysł może mu płatać różne figle. Zdajesz sobie z tego sprawę, prawda?

- Tak, rozumiem, Amabel. - Nie zamierzała mówić Amabel, że Thelma zna jej tożsamość.

- Świetnie. Spróbuj teraz zasnąć, dziecinko. - Sally była wdzięczna, że ciotka nie podeszła, żeby pocałować ją na dobranoc. Leżała i czekała, czekała bez końca.

Wreszcie wyśliznęła się z łóżka, założyła tenisówki, wzięła swój worek podrózny i na palcach podkradła się do okna. Wychyliła głowę i uważnie przyjrzała się ziemi. To był sposób opuszczenia domu. Do ziemi nie było daleko, a wiedziała przecież, że nie zeszlaby po schodach tak, aby Amabel nie usłyszała.

Tak, da sobie radę. Wdrapała się na okno i usiadła na wąskim parapecie. Zrzuciła swój worek z ubraniami i popatrzyła, jak wpada w niewysoką, gęstą kępę krzaków pod oknem. Wzięła głęboki oddech i skoczyła.

Wylądowała na Jamesie Quinlanie.

Oboje upadli. James potoczył się, mocno przytulając ją do siebie.

Kiedy się zatrzymali, Sally uniosła się na rękach i spojrzała na niego. Sierp księżycy dawał aż nadto światła, aby wyraźnie widzieć jego twarz.

- Co tutaj robisz?

- Wiedziałem, że po tym telefonie będziesz chciała wyjechać.

Stoczyła się z niego i wstała, ale tylko na moment, bo od razu upadła znowu. Skręciła w kostce tę cholerną nogę. Zakłęła.

Roześmiał się. - Kiepsko, jak na dziewczynę, która nie skończyła szkoły w Szwajcarii. Czyżbyś nie знаła jakichś ordynarnych, ulicznych przekleństw?

- Idź do diabła. Przez ciebie skręciłam sobie tę przeklętą nogę. Czemu nie zajmiesz się swoimi sprawami?

- Nie chciałem, żebyś się włóczyła autostopem z jakimiś podejrzanymi typami, które mogłyby cię zgwałcić albo poderznąć ci gardło.

- Przemyslałam to. Wolę podjąć to ryzyko niż pozostać tutaj. James, on wie, że tu jestem, zdajesz sobie z tego sprawę. Nie mogę zostać i czekać, żeby przyjechał i mnie zabrał. Właśnie to mi zapowiedział. Powiedział, że już niedługo po mnie przybędzie.

- Czytałem gazetę, kiedy wróciła bardzo zmartwiona Martha i zaczęła opowiadać Thelmie o kobiecie, która do ciebie dzwoniła, o kobiecie, która nie była kobietą, tylko twoim ojcem. Stwierdziła, że byłaś naprawdę bardzo strapiona. Nie mogła zrozumieć, dlaczego tak się przejęłaś telefonem od swojego ojca. Domyśliłem się, że będziesz próbowała uciec i dlatego teraz jestem tutaj, wbity przez ciebie w ziemię.

Usiadła obok niego i zaczęła masować nogę w kostce, potrząsając głową. - Nie jestem wariatką.

- Wiem - powiedział cierpliwie. - Musi być jakieś wyjaśnienie. I dlatego nigdzie nie wyjedziesz. To dopiero byłoby wariactwo.

Uklękła i pochylając się ku niemu, chwyciła go za klapy marynarki. - Posłuchaj, James. To był mój ojciec. Żadne oszustwo, żadne naśladowanie. To był mój ojciec. Amabel powiedziała, że mógł to być jakiś mężczyzna celowo mówiący kobiecym głosem, na wypadek gdybym to nie ja odebrała telefon. A zaraz potem zmieniła zdanie i zaczęła mi opowiadać, w jakim napięciu żyję. Innymi słowy, jestem wariatką.

Ujął jej ręce i przytrzymał bez słowa. Wreszcie odezwał się. - Mówiłem już, że zawsze jest jakieś wyjaśnienie. Prawdopodobnie telefonował mężczyzna. Sprawdźmy to. A jeśli nie, jeśli naprawdę była to kobieta, też damy sobie z tym radę. Uwierz mi, Sally.

Opada się na rękach. Kostka przestała pulsować. Może mimo wszystko nie była skrecona.

- Powiedz mi coś.

- Tak?

- Jak myślisz, czy ktoś mógł próbować cię nabrać? Co wiedział? Wypatrywała na jego twarzy śladów kręactwa, wiedzy, ale nic nie dostrzegła.

- Czy to możliwe? Czy ktoś mógł próbować zrobić z ciebie wariatkę? Sprawić, żebyś zważyła w swoje zdrowe zmysły?

Zerknęła na swoje splecione dłonie, na paznokcie. Zauważyła, że od przybycia do Cove nie obgryzała paznokci. Od chwili, gdy go spotkała. Nie miały już takiego okropnego wyglądu. Odezwała się w końcu, nie patrząc na Quinlana, bo przecież to, kim była, kim być może jest nadal, nawet w tym momencie, było okropne. - Dlaczego?

- Wygląda na to, że ktoś się ciebie boi, obawia się tego, co możesz wiedzieć. Ten człowiek pragnie, że tak powiem, wyeliminować cię z gry. - Przerwał, patrząc w stronę oceanu, wyobrażając sobie, że słyszy fale uderzające o brzeg, chociaż było to nierealne, bo domek Amabel był nieco za bardzo oddalony. - Pozostaje pytanie, czemu ten ktoś postępuje w ten sposób. Jesteś chyba najzdrowszą na umyśle osobą, jaką znam, Sally. Kto mógłby uważać, że przekona cię, iż jesteś szalona?

Kochała go za to. Kochała go bez żadnych zahamowań, bez żadnych wątpliwości. Obdarzyła go szerokim uśmiechem. Uśmiechem, który pochodził z głębi duszy, z miejsca, które tak długo było puste, że zdążyła zapomnieć, iż można się czuć tak dobrze, mieć takie zaufanie do siebie i do innych.

- Byłam szalona - rzekła, nadal się uśmiechając.

Czuła nieprawdopodobną ulgę, że może komuś powiedzieć prawdę, że może wszystko opowiedzieć właśnie jemu. - A przynajmniej chcieli, żeby wszyscy w to uwierzyli. Trzymali mnie oszołomioną lekami przez sześć miesięcy, dopóki w końcu nie nauczyłam się tak chować proszków

pod językiem, żeby ich nie połykać. Pielęgniarka zawsze na siłę otwierała mi usta i palcami dokładnie sprawdzała, czy połknęłam pigułkę. Nie mam pojęcia, jak udało mi się ją ukryć, ale jakoś to zrobiłam. Robiłam tak przez dwa dni, aż odzyskałam siły. Wtedy uciekłam. A potem ściągnęłam z palca obrączkę i cisnęłam ją do rowu.

Wiedział, że była w sanatorium, bardzo drogim, eleganckim, małym ośrodku w Maryland. Niezwykle dyskretnym. Ale coś takiego? Była więźniem? Po uszy naszpikowanym narkotykami?

Przygląda! jej się przez dłuższą chwilę. Jej uśmiech zaczął przygasać. Potrząsnął głową, ujął ją pod brodę i rzekł: - Co sądzisz o tym, żeby wrócić ze mną do Thelmy i dzielić ze mną pokój na wieży? Prześpię się na sofie, a ty możesz skorzystać z łóżka. Przysięgam, że w żaden sposób nie będę na ciebie nastawał. Nie możemy tu tak siedzieć przez całą noc. Jest mokro i nie chcę, żeby któreś z nas się przeziębilo.

- A co potem?

- Jutro coś wymyślimy. Jeśli telefonowała kobieta, musimy się zastanowić, kto by to mógł być. Chciałbym się też dowiedzieć, dlaczego spędziłaś w sanatorium sześć miesięcy.

Mówił jeszcze, kiedy zaczęła kręcić głową. Wiedział, że teraz żałuje tego, co mu wyjawiała. W końcu jest dla niej obcym człowiekiem, nie miała pojęcia, czy może mu zaufać. - Wiesz, mam inne pytanie - powiedziała. - Dlaczego telefon odebrała Martha, a nie Amabel?

- Dobre pytanie, ale odpowiedź na nie pewnie jest niezwykle prosta: może Martha stała bliżej telefonu.

Nie popadaj w paranoję, Sally.

Nióśł jej worek podróżny, wolną ręką prowadził ją pod ramię. Utykała, ale nie wyglądało to groźnie. Nie chciał jej ciągnąć znowu do doktora Spivera. Tylko sam Bóg wiedział, co staruszek mógłby wymyślić. Może chciałby zrobić dziewczynie sztuczne oddychanie.

Miał klucze od drzwi wejściowych pensjonatu Thelmy. Wszystkie światła były zgaszone. Dotarli do pokoju na wieży, nie budząc Thelmy ani Marthy. James wiedział, że w hoteliku przebywał jeszcze tylko jeden gość, który zameldował się zaledwie poprzedniego dnia, miła i stale uśmiechająca się starsza pani, która przyjechała tutaj w odwiedziny do mieszkającej w pobliżu córki, ale zawsze chciała zamieszkać w pokoju na wieży. Dzięki Bogu, że są dwa takie pokoje, powiedziała. A to oznaczało, że mieszkała na drugim krańcu domu.

Dopiero kiedy opuścił żaluzje, zapalił lampę przy łóżku. - Proszę bardzo. Czarująco tu, prawda? I nie ma telewizora.

Nie patrzyła ani na niego, ani na okno. Szybko jak strzała ruszyła w stronę drzwi. Wiedziała, że nie kocha go już ani trochę. Bała się. Znalazła się w pokoju mężczyzny, mężczyzny, którego nie знаła, który okazał jej życzliwość. Tak dawno nie zaznała niczyjej życzliwości, że zaufała mu bez zastanowienia, nie zadając żadnych pytań. James Quinlan bardzo się mylił. Była zupełną wariatką.

- Sally, co się stało?

Szarpała gwałtownie za klamkę, usiłując otworzyć drzwi, ale na próżno. Dotarło do niej, że klucz nadal tkwi w drzwiach. Poczula się jak idiotka.

Nie wykonał żadnego ruchu. Nawet nie wyciągnął ręki w jej stronę. Powiedział tylko spokojnym, niskim głosem: - Już w porządku. Rozumiem, że jesteś wystraszona. Chodź, siadaj przy mnie. Porozmawiamy. Nie zrobię ci krzywdy. Jestem po twojej stronie.

Kłamstwo, pomyślał, kolejne przekłete kłamstwo. Prawdopodobieństwo, że kiedykolwiek znajdzie się po jej stronie, było bliskie zeru.

Powoli odeszła od drzwi, zahaczyła o stoliczek i ciężko opadła na sofę, obitą połyskliwym płótnem w bladoniebieskie i kremowe kwiaty.

Zacieram ręce jak lady Mackbeth, pomyślała. Uniosła twarz. - Przepraszam.

- Nie bądź głuptasem. Spróbujesz się zdrzemnąć czy wolisz przez chwilę porozmawiać?

Już i tak za dużo mu powiedziała. Pewnie powtórnie będzie musiał zastanowić się nad swoją opinią, że nie zna człowieka zdrowszego od niej. Chciał się dowiedzieć, dlaczego znalazła się w tamtym miejscu? Boże, nie zniesie tego. Nie mogła o tym myśleć. Nie mogła sobie wyobrazić, aby była w stanie o tym mówić. Gdyby to zrobiła, byłby to dowód jej paranoi.

- Nie jestem wariatką - odezwała się, wpatrując się w niego, świadoma, że oboje siedzą w półmroku i nie mogą widzieć wyrazu swoich twarzy.

- No cóż, może ja jestem wariatem. Ciągłe nie wiem, co się stało z Harve i Marge Jensenami i wiesz co? Wcale mnie to już tak bardzo nie interesuje. Zadzwoiłem do kolegi z FBI. Nie, nie patrz tak, jakbyś miała ochotę znowu rzucić się do drzwi. To mój bardzo dobry przyjaciel, od którego uzyskałem trochę informacji. - Kłamstwa mieszały się z prawdą. A sprawą zawodowych umiejętności było, aby jego kłamstwa były bardziej przekonujące niż kłamstwa przestępców.

- Jak się nazywa?

- Dillon Savich. Powiedział mi, że FBI wszędzie cię szuka, na razie bez skutku. Są przekonani, iż w noc zabójstwa ojca musiałaś coś widzieć, prawdopodobnie człowieka, który go zamordował, że najpewniej była to twoja matka, więc uciekłaś, aby ją chronić. A jeśli to nie była twoja matka, to ktoś inny albo ty sama. Twój ojciec nie był najsympatyczniejszym człowiekiem, Sally. Okazuje się, że był obserwowany przez FBI w związku ze sprzedażą broni do krajów, do których obowiązuje embargo, takich jak Irak i Iran. Tak czy inaczej, są przekonani, że coś wiesz. - Nie zapytał jej, czy to prawda. Przysiadł jedynie na drugim końcu sofy w niezwykle kobiece niebieskie i kremowe kwiaty. I czekał.

- Skąd znasz tego Dillona Savicha?

Pojał wówczas, że dziewczyna może być półżywa ze strachu, ale na pewno nie jest głupia. Zdołał wyjaśnić co trzeba, nie zdradzając się. Sally była niewzruszona. Nadał mu nie ufała i podziwiał ją za to.

- W połowie lat osiemdziesiątych byliśmy razem w Princeton. Zawsze chciał być agentem federalnym, zawsze. Pozostaliśmy w kontakcie. Jest dobry w tym, co robi. Ufam mu.

- Trudno uwierzyć, że zdradził ci to wszystko.

Quinlan wzruszył ramionami. - Jest zawiedziony.

Jak inni. Chcą cię dorwać, a tymczasem zniknęłaś bez śladu. Pewnie miał nadzieję, że coś wiem i wygadam się, gdy odpowiednio rozbudzi mój apetyt.

- Nie wiedziałam, że mój ojciec był zdrajcą. Ale nie jestem tym zdziwiona. Chyba od dłuższego czasu wiedziałam, że jest zdolny niemal do wszystkiego.

Siedziała bardzo spokojnie, co chwilę tylko zerknęła w stronę drzwi, choć nic nie mówiła. Wyglądała na wyczerpaną, była potargana. Brudna smuga przecinała policzek, a na nogawce niebieskich dzinsów widniała rozległa plama z trawy. Zaprzagnął, żeby powiedziała mu, o czym myśli. Zaprzagnął, żeby okazała się niewinna i wszystko mu opowiedziała.

Nagle przyszło mu do głowy, żeby zaprosić ją na kolację.

Roześmiał się. To on jest szalony. Polubił ją. Wcale tego nie chciał. Chciał postrzegać ją jedynie jako główny element łamigłówki, klips spinający wszystko w spójną całość.

- Powiedziałeś coś temu swojemu przyjacielowi?

- Powiedziałem, że już się więcej nie umówię z jego szwagierką. Zawsze ma w ustach gumę balonową.

Zamrugła oczami i uśmiechnęła się - ostrożnie, z zaciśniętymi ustami, ale jednak.

Podniósł się i podał jej rękę. - Jesteś zmordowana. Połóż się do łóżka. Możemy dalej zajmować się sprawą jutro rano. Łazienka jest za tamtymi drzwiami. Luksusowe miejsce, całe w marmurach, z różową ubikacją z zamontowanym systemem oszczędzania wody. Weź długi prysznic, na pewno złagodzi opuchliznę w kostce. Są tam nawet puszyste białe szlafroki.

Przestał ją przypierać do muru, chociaż podejrzewał, że wyciągnąłby z niej jeszcze więcej, gdyby tylko popróbował troszkę dłużej. Ale była bliska załamania, i to nie tylko z powodu tego przekłętego telefonu.

Kim, do cholery, była kobieta, której ciało znaleźli, targane przez fale u podnóża skalistego brzegu?

ROZDZIAŁ 8

Następnego poranka jedli śniadanie sami w przestronnej jadalni. Kobieta, która wprowadziła się poprzedniego dnia, oraz Thelma jeszcze nie zeszły na dół.

Przyjmując ich zamówienie, Martha wyjaśniła: - Czasami Thelma lubi obejrzeć poranne programy telewizyjne w łóżku. Pisze też coś w swoim pamiętniku. Boże drogi, prowadzi te zapiski odkąd sięgam pamięcią.

- O czym pisze? - spytała Sally.

Martha wzruszyła ramionami. - Domyślam się, że o drobnych, codziennych sprawach. Co innego ma do opisywania?

- Jedz - rozkazał Quinlan Sally, kiedy Martha postawiła przed nią talerz pełen naleśników z jagodami. Przyglądał się, jak smaruje je masłem, a potem polewa syropem domowej roboty Marthy. Wzięła do ust kęs, powoli go pogryzła, po czym starannie oparła widelec o brzeg talerza.

Widelec nadal się tam znajdował, kiedy do środka wkroczył szeryf David Mountebank, z depczącą mu po piętach Marthą, oferującą jedzenie i kawę. Omiótł spojrzeniem naleśniki Sally i angielskie, nadziewane konfiturą truskawkową ciasteczka Quinlana i zgodził się na wszystko.

Zrobili mu miejsce przy stole. Przyjrzał się im badawczo, bez słowa przenosząc wzrok z jednego na drugie. Wreszcie odezwał się: - Szybki zawodnik z ciebie, Quinlan.

- Co proszę?

- Ty i pani Brandon już jesteście ze sobą związani? Sypiacie ze sobą?

- To długa historia, szeryfie - odparł Quinlan i roześmiał się, w nadziei, że pozwoli to Sally dostrzec całą głupotę sytuacji.

- Sądzę, szeryfie, że jest pan cholerną świnią - rzuciła miłym głosem Sally. - Mam nadzieję, że naleśniki przyprawią pana o wrzody żołądka.

- Zgoda, jestem wredny. Ale co, do licha, pani tu robi? Wczesnym rankiem Amabel Perdy zadzwoniła do mojego biura i oświadczyła, że pani znikła. Była oszalała. Nawiasem mówiąc, pani włosy rosną bardzo szybko.

Nie miała czarnej peruki. Staw mu czoło, pomyślała, staw mu czoło, - Zamierzałam do niej zadzwonić po śniadaniu - powiedziała. - Jest dopiero siódma rano. Nie chciałam jej obudzić. Szczerze powiedziawszy, zdumiona jestem, że Martha nie zatelefonowała do niej, żeby ją poinformować, że jestem tutaj.

- Martha musiała dojść do wniosku, że Amabel zna już twoje miejsce pobytu. Opowiedcie mi wreszcie, co się tutaj dzieje?

- Co ci powiedziała jej ciotka, szeryfie?

David Mountebank umiał rozpoznać dobre wykszolenie, kiedy je widział. Nie podobało mu się, że użyto go wobec niego, wiedział jednak, że w tym momencie powinien współpracować. Jak na zwykłego prywatnego detektywa ten człowiek był bardzo dobry.

- Powiedziała tylko, że minionej nocy Sally odebrała obsceniczny telefon i wpadła w panikę. Sądziła, że uciekłaś. Była zaniepokojona, bo nie masz ani samochodu, ani pieniędzy.

- To prawda, szeryfie. Przykro mi, że na próżno pana niepokoiła.

Quinlan wtrącił: - To ja uratowałem tę damę i pozwoliłem jej się przespać, samotnie, w moim łóżku. Pokój na wieży spodobał jej się. Na mnie nie zwracała uwagi. Czy znalazłeś coś na temat zamordowanej kobiety?

- Owszem, nazywała się Laura Strather. Mieszkała na przedmieściu z mężem i trójką dzieci. Sądziłem, że jest u swojej siostry w Portland. Dlatego nie było żadnego zgłoszenia zaginięcia. Pozostaje pytanie, dlaczego więziona była w Cove i kto, do cholery, ją zabił?

- Czy pańscy ludzie sprawdzili wszystkie domy, stojące naprzeciwko domku Amabel Perdy?

Szeryf potaknął. - Przygnębiające, Quinlan, bardzo przygnębiające. Nikt nic nie wie. Nikt nic nie słyszał - żadnego włączonego telewizora, dzwonka telefonu, zapalania samochodu, kobiecego krzyku. Również tej drugiej nocy. Zupełnie nic. - Popatrzył na Sally, ale nie mógł nic powiedzieć, bo Martha właśnie przyniosła naleśniki.

Martha powiodła spojrzeniem po całej trójce, uśmiechnęła się i rzekła: - Nigdy nie zapomnę, jak gdzieś na początku lat pięćdziesiątych moja mama pokazała mi artykuł w „The Oregonian”, napisany przez dziennikarza, nazywającego się Qumquat Jagger. „Zachody słońca w Cove dostarczają niezwykłych przeżyć tak długo, jak długo ma się pod ręką kieliszek martini”. Już dawno zgodziłam się z jego opinią na ten temat. - I dodała swobodnie: - Za wcześnie jeszcze na zachód słońca i na martini, ale co sądzicie o Krwawej Mary? Wszyscy troje wyglądacie na bliskich załamania.

- Miałbym ogromną ochotę - odparł szeryf Mountebank - ale niestety nie mogę.

Quinlan i Sally przecząco pokręcili głowami. - Ale dziękujemy za propozycję - powiedział Quinlan.

Sprawdziła, czy mają wszystko, czego mogliby chcieć i opuściła jadalnię.

Kiedy David Mountebank skonsumował połowę swoich naleśników, jeszcze raz spojrzął na Sally i odezwał się: - Gdyby zadzwoniła pani do mnie i powiedziała, że słyszała pani kobiece krzyki, nie jestem wcale pewien, czybym pani uwierzył. Naturalnie sprawdziłbym informację, ale sądziłbym raczej, że to się pani przyśniło. Ale pani znalazła z Quinlanem zwłoki kobiety. Czy to była kobieta, której krzyk pani słyszała? Prawdopodobnie tak. W takim razie mówiła pani prawdę na temat krzyków, a wszyscy starszacy w mieście są głusi jak pień. Czy któreś z was ma inny pomysł?

- Nawet nie pomyślałam o zawiadomieniu szeryfa - przyznała Sally. - Zresztą nawet gdybym pomyślała, to i tak pewnie bym tego nie zrobiła. Moja ciotka nie życzyłaby sobie tego.

- Pewnie nie. Mieszkańcy Cove lubią sami zajmować się swoimi sprawami. - Szeryf uśmiechnął się do niej. - I tak nie wiem, czy byłaby pani najlepszym świadkiem, pani Brandon, skoro już odkryłem, że spała pani w pokoju Quinlana na wieży. A na dodatek okłamała mnie pani w sprawie włosów.

- Mam kilka peruk, szeryfie. Lubię je nosić. Uważałam, że zachowuje się pan wobec mnie impertynencko, więc powiedziałam, że mam raka, żeby dać panu nauczkę.

David Mountebank westchnął. Czemu wszyscy muszą kłamać? Znow spojrzął na Sally. I zmarszczył brwi. - Wygląda pani jakoś znajomo - powiedział powoli.

- James mówił mi już, że jestem podobna do jego byłej szwagierki. Amabel uważa, że wyglądam jak Mary Lou Retton, chociaż jestem niemal o głowę od niej wyższa. Moja mama powtarzała, że jestem wierną kopią jej wenezuelskiej niani. Niech mi pan tylko nie powie, szeryfie, że przypominam pańskiego pekińczyka.

- Nie, pani Brandon, na szczęście nie jest pani podobna do mojego psa. Nazywa się Hugo i jest rottweilerem.

Sally czekała, usiłując powstrzymać się przed nerwowym pocieraniem dłoni, próbując udawać rozbawienie i wyglądać na osobę panującą nad sobą, a nie mającą się rozpaść na strzępy, gdy tylko szeryf powie, że musi ją zamknąć. Obserwowała, jak napięcie znika z jego twarzy. Zwrócił się do Quinlana.

- Sprawdziłem w papierach poprzedniego szeryfa. Była nim Dorothy Willis i była naprawdę bardzo dobra. Jej notatki dotyczące sprawy tych zaginionych staruszków są niezwykle wnikliwe. Skopiowałem je i ci przyniosłem.

- Dzięki, szeryfie - odparł Quinlan, przez chwilę nie wiedząc, o kim, u diabła, mówi David Mountebank. Wreszcie przypomniał sobie o Harve i Marge Jensenach.

- Przejrzałem je ubiegłego wieczoru. Kiedy odnaleziono ich samochód w komisie samochodowym w Spokane, wszyscy już byli przekonani, że przytrafiło im się coś złego. Ale nikt nic nie wiedział. Zanotowała, że rozmawiała niemal z każdym mieszkańcem Cove, ale niczego się nie dowiedziała. Nikt nic nie wiedział. Nikt nie przypominał sobie Jensenów. Przekazała nawet informację do FBI na wypadek, gdyby podobny przypadek miał miejsce w jakimś innym rejonie kraju. To wszystko, Quinlan. Przykro mi, ale nie ma nic więcej. Żadnych śladów. - Zjadł pozostałe naleśniki, wypił kawę, po czym odsunął krzeselko od stołu. - Cóż, jest pani zdrowa, pani Brandon, więc przynajmniej o panią nie muszę się martwić. Wie pani, to dziwne. Nikt poza panią nie słyszał krzyku tej kobiety. Naprawdę dziwne.

Potrząsnął głową i wychodząc z jadalni, rzucił przez ramię. - Ładniej pani wygląda we własnych włosach, pani Brandon. Niech pani zrezygnuje z noszenia peruk. Proszę mi uwierzyć. Moja żona twierdzi, że mam naprawdę dobry gust.

- Szeryfie, co się stało z Dorothy Willis?

David Mountebank zatrzymał się. - Bardzo, bardzo paskudna rzecz. Została postrzelona przez nastolatka, który napadł na lokalny sklep. Umarła.

Kiedy jakieś dziesięć minut później pojawiła się Thelma Netro, wyglądająca w każdym calu jak relikw z epoki wiktoriańskiej, z założoną sztuczną szczęką i z białą koronką przy pergaminowej szyi, pierwsze słowa, które wypowiedziała, brzmiały: - No i co, dziewczyno, czy James jest dobrym kochankiem?

- Nie wiem, proszę pani. Nawet mnie nie pocałował. Powiedział, że jest zanadto zmęczony. Coś wspominał też o bólu głowy. Co miałam robić?

Stara Thelma odrzuciła głowę do tyłu, a jej wychudzona szyja naprężyła się w okrutnym wysiłku, wydając pełny, soczysty śmiech. - A ja sądziłam, że jesteś nieśmiałą ciapą, Sally. To dobre. Słuchaj, o co chodzi z tym wczorajszym telefonem od jakiejś kobiety, która okazała się twoim zmarłym ojcem? Martha mi powiedziała.

- Kiedy wzięłam słuchawkę, nie było żadnej kobiety.

- To bardzo dziwne, Sally. Czemu ktoś miałby to robić? Ha, gdyby telefonował James, to byłaby zupełnie inna sprawa. Skoro jednak on się tak łatwo męczy, może lepiej zapomnieć o nim.

- Ilu miałaś mężów, Thelmo? - spytał James. Wiedział, że Sally kręci się w głowie i chciał dać jej czas na pozбиieranie się.

- Był tylko Bobby. Czy mówiłam wam już, że Bobby wymyślił nowy, ulepszony model automatycznego pilota? Tak, dlatego właśnie mam więcej pieniędzy, niż inni biedacy w mieście.

- A mnie się wydawało, że wszyscy mają pieniądze - rzekła Sally. - Miasteczko jest czarujące. Wszystko sprawia wrażenie nowości, jest zaplanowane, jakby mieszkańcy złożyli się i wspólnie

zadecydowali, co zrobić za uzbierane pieniądze.

- Coś w tym stylu - powiedziała Thelma. - Teraz wszędzie są skały. Pamiętam, że w pobliżu urwiska jeszcze w latach pięćdziesiątych rosły sosny i jodły, a nawet trochę topoli. Naturalnie wszystkie drzewa pochylały się ku ziemi na skutek ciągłych wiatrów. Teraz znikły bez śladu. Przynajmniej w samym miasteczku udało nam się niektóre ocalić.

Odwróciła się na krześle i zawołała: - Martho, gdzie jest moja herbata miętowa? Znowu spędzasz czas z młodym Edem? Zostaw go na chwilę i podaj mi śniadanie!

James odczekał chwilę i odezwał się lekko: - Naprawdę bardzo bym chciał, żebyś mi opowiedziała o Harve i Marge Jensenach, Thelmo. Zdarzenie miało miejsce zaledwie trzy lata temu, a ty masz najbystrzejszy umysł w całym miasteczku. A może było w nich coś ciekawego i opisałaś ich w swoich pamiętnikach. Jak ci się wydaje?

- To prawda, chłopcze. Z pewnością jestem by strzejsza niż biedna Martha, która nie potrafi zliczyć do trzech. I nigdy nie zostawi w spokoju swoich pereł.

Już co najmniej trzy razy kupowałam jej nowe. A teraz pozwalam jej myśleć, że to ja dzwoniłam do Sally. Lubię jej dokuczać. Życie nabiera rumieńców, kiedy Martha trzepocze się jak żagiel na wietrze. Przykro mi, ale nie pamiętam żadnego Harve ani żadnej Marge.

- Wiecie - wtrąciła Sally - tamten telefon mógł być miejscowy. Głos brzmiał tak wyraźnie.

- Sądzisz, dziewczyno, że zadzwoniłam do ciebie, a potem udawałam twojego ojca? Pomysł mi się podoba, ale nie ma sposobu, żebym mogła zdobyć taśmę z nagraniem głosu twojego tatusia. Zresztą, kogo to interesuje?

- Przyznajesz więc, że wiesz, kim jestem?

- Pewnie, że wiem. Strasznie dużo czasu straciłaś, żeby to zrozumieć. Nie ma powodów do zmartwienia, Sally, nikomu nie powiem. Nie trzeba chyba mówić, co wyprawiałyby okoliczne półgłówki na wieść o tym, że jesteś córką tego zamordowanego, sławnego prawnika. Nie, nikomu nie powiem, nawet Marcie.

Martha wniosła herbatę miętową i talerz wypełniony pół tuzinem podsmażonych kiełbasek. Pływały na talerzu w kałuży tłuszczu. Sally i Quinlan wbili wzrok w talerz.

Thelma zachichotała. - W chwili śmierci chcę mieć najwyższy poziom cholesterolu w historii. Zmusiłam doktora Spivera do obietnicy, że gdy opuszczę swą doczesną powłokę, sprawdzi mi cholesterol. Chcę się znaleźć w księdze rekordów.

- Chyba już ci niewiele brakuje - rzekł Quinlan.

- Nie sądzę - powiedziała Martha, stojąca w gotowości po lewej stronie Thelmy. - Już od wielu lat tak jada. Sherry Vorhees powiada, że Thelma przeżyje nas wszystkich. Twierdzi, że nawet jej mąż, wielebny Hal, nie ma przy Thelmie najmniejszych szans. Już teraz posapuje, a ma zaledwie sześćdziesiąt osiem lat i nie jest gruby. Dziwne, prawda? Thelma zastanawia się, kto odprawi za nią mszę pogrzebową, jeśli wielebny Hal nie dożyje.

- A co Sherry może wiedzieć? - zapytała Thelma, żując jedną z tłustych kiełbasek. - Podejrzewam, że byłaby szczęśliwsza, gdyby wielebny Hal odszedł z tego świata i otrzymał należną sobie zapłatę, chociaż nie wiem, czy uznałby ją za sprawiedliwą. Mógłby na przykład wylądować w piekle i zastanawiałby się, jak to się mogło stać, jeśli był takim świętym człowiekiem. W większości przypadków Hal zachowuje się bardzo rozsądnie. Dopiero kiedy znajdzie się koło jakiejś samotnej kobiety, zaczyna coś mruścić o grzechu, piekle i pokusach ciała. Chyba uważa, że seks jest grzechem i z rzadka dotyka swojej żony. Nic dziwnego, że nie mają dzieci. Nawet jednego. Wyobraźcie to

sobie. Trudno uwierzyć, bo w końcu jest mężczyzną. Tak czy inaczej, nieszczęsna Sherry tylko popija swoją mrożoną herbatę, poprawia uczesanie i sprzedaje lody.

- Czy coś jest z nią nie tak? - zadała pytanie Sally, zastanawiając się, czy przyjęcie u Mad Hattera mogło być bardziej niesamowite niż śniadanie w towarzystwie Thelmy Nettro. - Dlaczego go nie rzuciła, jeśli była z nim nieszczęśliwa? - Tak, podobnie jak ty, tyle że za późno. Tłuszcz wokół kielbasek powoli zaczynał się ścinać.

- Ta jej mrożona herbata, którą popija, naprawdę jest tanim białym winem. Nie mam pojęcia, jak jej wątroba wytrzyma przez te wszystkie lata.

Sally nerwowo przełknęła ślinę i odwróciła wzrok od kielbasek. - Amabel opowiadała mi, że po otwarciu Sklepu z Najwspanialszymi Lodami Świata przechowywałyście lody w trumnach Ralpa Keatona.

- To prawda. To był pomysł Hellen, żony Ralpa, która miała przepis. To ona wymyśliła, żebyśmy otworzyli lodziarnię. Była wtedy wstydliwą kruszyną, popadającą w przerażenie, gdy tylko miała coś powiedzieć. Jeśli Ralph krzyknął, chowała się za meble. Teraz się zmieniła, mówi pewnym głosem, a kiedy nie podobają jej się poczynania Ralpa, każe mu dać spokój. A wszystko to dzięki przepisowi na lody. Naprawdę rozkwitła dzięki sukcesowi z lodami. Biedny stary Ralph. Potrzebne mu zajęcie, a nikt z nas nie chce umrzeć dla jego przyjemności. Sądzę, że ma nadzieję, iż mąż tej zmarłej kobiety poprosi go o pochówek żony.

Sally nie mogła tego dłużej znieść. Podniosła się, spróbowała uśmiechnąć i rzekła: - Dziękuję za śniadanie, Thelmo. Muszę już iść do domu. Amabel na pewno się o mnie martwi.

- Martha zadzwoniła i poinformowała ją, że jesteś tutaj z Jamesem. Nie musiała dodawać nic więcej.

- Podziękuję Marcie - grzecznie powiedziała Sally. Poczekała na Jamesa. Na dworze padało, dzień był szary i ponury.

- Cholera - mruknął James. Wrócił do sieni i wziął parasol. Kiedy już szli ulicą, powiedział: - Idę o zakład, że staruszkowie grają w karty w sklepie Purna Daviesa. Nie potrafię sobie wyobrazić, żeby złamali codzienny rytuał.

- Szeryf Mountebank dowie się, kim naprawdę jestem, James. To tylko kwestia czasu.

- Nie wydaje mi się. Prawdopodobnie widział twoje zdjęcie w telewizji, ale od tego momentu upłynął już co najmniej tydzień. Nie skojarzy sobie.

- Jestem przekonana, że władze roześlą wszędzie moją podobiznę.

- To prowadzi donikąd, Sally. Rozesłanie zdjęć do wszystkich biur szeryfa i policji w całym kraju za dużo kosztuje. Nie martw się tym. Szeryf nie ma o niczym pojęcia. Sposób, w jaki odpowiadałaś na pytania, rozwiał wszelkie jego wątpliwości.

Miał oczy tak szare, jak padający deszcz. Nie patrzył na nią, ale prosto przed siebie, trzymał ją pod rękę. - Uważaj na kałużę.

Szybko ominęła wodę. - W tym deszczu miasto nie wygląda już tak czarująco, prawda? Main Street podobna jest do starej, porzuconej dekoracji hollywoodzkiej, szarej i zapomnianej, gdzie nikt nigdy nie mieszkał.

- Nie martw się, Sally.

- Może masz rację. Jesteś żonaty?

- Nie. Uważaj, gdzie stawiasz nogi.

- Dobrze. Czy kiedyś byłeś żonaty?

- Raz. Nie wyszło.

- Zastanawiam się, czy w ogóle istnieją udane małżeństwa.

- Jesteś ekspertem?

Zaskoczy! ją sarkazm w jego głosie, ale potaknęła. - Troszeczkę. Małżeństwo moich rodziców nie funkcjonowało za dobrze, a teraz... nie, nieważne. Mnie też się nie układało. Mój świat niemal w stu procentach składał się z tego małżeństwa, i wszystko się zepsuło.

Przechodzili koło sklepu Purna Daviesa. Quinlan uśmiechnął się i wziął ją za rękę. - Chodź, wejdziemy i zobaczymy, co tam porabiają nasi staruszkowie. Chciałbym ich osobiście zapytać, czy to prawda, że nikt nic nie słyszał tamtej nocy, kiedy została zamordowana ta nieszczęsna kobieta.

Purn Davies, Hunker Dawson, Gus Eisner i Ralph Keaton siedzieli wokół beczki, tocząc karcianą rozgrywkę. W kominku, ślicznym antyku, sprawiającym wrażenie raczej dekoracji niż funkcjonalnego sprzętu, buzował ogień. Kiedy Quinlan i Sally wchodzili do środka, dzwonek nad drzwiami zabrzączał.

- Ale mokro - powiedział Quinlan, strząsając wodę z parasola. - Jak leci?

W odpowiedzi usłyszał dwa mruknięcia i jedno „w porządku”, po czym Purn Davies odłożył swoje karty figurami do stołu i wstał, żeby się z nimi przywitać. - Co mogę dla was zrobić?

- Czy poznał pan już siostrzenicę Amabel Perdy, Sally St. John?

- Właściwie tylko ją widziałem. Jak się pani miewa, panno Sally? Wszystko w porządku u Amabel?

Kiwnęła głową. Miała tylko nadzieję, że jej fałszywe nazwiska się nie pomylą. Dla szeryfa Mountebanka nazywała się Brandon, dla pozostałych była St. John.

Uśmiechnęła się, słysząc w głosie Purna Daviesa coś więcej niż tylko grzeczne zainteresowanie, gdy pytał o Amabel. - Amabel ma się świetnie, panie Davies. W czasie burzy nic nam nie przeciekało. Nowy dach naprawdę sprawował się znakomicie.

Hunker Dawson, który siedział obok i strzelał ze swoich szelek od spodni, odezwał się: - Zatrudniłyście nas wszystkich do szukania tej nieszczęsnej kobiety, która spadła z urwiska. Tamtej nocy było wietrznie i chłodno. Nikomu z nas nie chciało się wychodzić. Zresztą i tak nie było nic do szukania.

ROZDZIAŁ 9

Sally zadarała brodę. - Owszem, proszę pana. Słyszałam jej krzyk i musiałam panów zaalarmować. Żałuję jedynie, że nie znaleźliście jej, zanim została zamordowana.

- Zamordowana? - Przednie nogi krzesła, na którym siedział Ralph Keaton głośno stuknęły o sosnową podłogę. Co, u licha, ma pani na myśli, mówiąc „zamordowana”? Doktor oświadczył, że musiała spać. Powiedział, że to był tragiczny wypadek.

Guinlan wtrącił się spokojnie: - Biegły lekarz stwierdził, że została uduszona. Najwyraźniej ten, kto ją zabił, nie liczył się z tym, że woda wyrzuci jej ciało na brzeg. Co więcej, ten, kto ją zabił, nie przewidział również, że jeśli ciało zostanie wyrzucone na brzeg, znajdzie się tam ktoś, żeby na nie natrafić. Zejście w dół tamtą ścieżką jest dość niebezpieczne.

- Chce pan powiedzieć, że jesteśmy zbyt rachityczni, aby korzystać z tamtej ścieżki, panie Quinlan?

- No cóż, to jest jakaś możliwość, prawda? Jesteście panowie pewni, że żaden z was nie słyszał w nocy jej krzyku? Wołania o pomoc? Czegokolwiek, co nie byłoby typowym odgłosem nocy?

- Gdzieś koto drugiej w nocy - dodała Sally.

- Niech pani posłucha, panno Sally - powiedział Ralph Keaton i wstał - wszyscy wiemy, że przeżywa pani odejście od męża, ale to nie ma znaczenia. Wszyscy wiemy, że przyjechała tu pani, żeby odpocząć, odreagować. Ale zdaje pani chyba sobie sprawę, że takie przeżycia mogą mieć ogromny wpływ na osobę tak młodą, jak pani. I dlatego może pani odmiennie interpretować rzeczy, które pani widzi czy słyszy.

- Nie wymyśliłam sobie tamtego krzyku, panie Keaton. Uwierzyłabym, że ten krzyk był złudzeniem, gdybyśmy z panem Quinlanem nie odkryli następnego dnia ciała kobiety.

- W tym rzecz - zabrał głos Pum Davies. - To mógł być zbieg okoliczności. Nawiedziły panią koszmary senne, bo właśnie rzuciła pani męża, tak przynajmniej powiedziała nam Amabel, albo usłyszała pani wycie wiatru, a tamta kobieta skoczyła ze skały. Tak, zwyczajny zbieg okoliczności.

Quinlan wiedział, że nic więcej nie uda im się uzyskać. Mieszkańcy okopali się na swoich pozycjach. Oboje z Sally byli obcy w mieście. Nie byli mile witani, zaledwie z trudem tolerowani. Zainteresowało go, że Amabel Perdy zdawała się mieć taki wpływ na innych mieszkańców miasteczka, iż żaden z nich nie doniósł policji o obecności Sally w mieście, chociaż dziewczyna wyraźnie ich martwiła. Modlił się, żeby ów wpływ Amabel na innych mieszkańców Cove trwał jak najdłużej. Może powinien złagodzić sytuację, żeby zapewnić sobie i Sally bezpieczeństwo. - Pan Davies ma rację, Sally - powiedział swobodnie Quinlan. - Kto wie? My na pewno nie. Ale wiesz, marzę tylko, żebyś przypomniała sobie coś na temat Harve i Marge Jensenów.

Hunker Dawson odwrócił się tak szybko, że aż spadł z krzeselka. Na krótką chwilę zapanowało istne pandemonium. Quinlan natychmiast znalazł się koło Dawsona, żeby sprawdzić, czy nie zrobił sobie krzywdy. Kiedy Quinlan ostrożnie pomagał mu się podnieść, Hunker Davies powiedział: - Jestem niezdarnym, starym dziwakiem.

- Co ci się stało, do diabła? - huknął na niego Ralph Keaton, cały czerwony na twarzy.

- Jestem niezdarnym, starym człowiekiem - powtórzył Hunker. - Chciałbym, żeby Arlene nadal

żyła. Zrobiłaby mi masaż, a potem przygotowała zupę z jajkami. Boli mnie ramię.

Guinlan poklepał go po ramieniu. - Sally i ja wybieramy się w stronę domu ciotki Amabel. - Wpadniemy po drodze z Sally do domu doktora Spivera i powiemy mu, żeby tu zajrzał, dobrze? Proszę wziąć dwie aspiryny. Lekarz powinien być już niedługo.

- Ależ proszę się nie fatygować - rzekł Ralph Keaton. - To żaden problem. Hunker teraz tylko trochę stęka.

- To dla nas żaden kłopot - stwierdziła Sally. - I tak mieliśmy do niego zajrzeć.

- Zgoda - powiedział Hunker i dał się na powrót usadowić swoim przyjaciołom na krześle.

Zaczął rozmasowywać ramię.

- Tak, zawiadomimy doktora Spivera - powtórzył Quinlan. Otworzył parasol i wyszedł wraz z Sally ze sklepu. Zatrzymał się tylko na moment, słysząc ciche głosy staruszków. Usłyszał, jak Pum Davies mówi: - Czemu, u diabła, nie mieliby pójść do domu doktora Spivera? Widzisz w tym jakiś problem, Ralph? Hunker nie widzi i ma rację. Uwierz' mi, to nie ma żadnego znaczenia.

- Tak - mruknął Gus Eisner. - Nie sądzę, żeby Hunker mógł tu cokolwiek zmienić, prawda?

- Pewnie nie byłby taki sprytny - wycedził Pum Davies. - Niech Quinlan i Sally tam pójdą. Tak będzie najlepiej.

Deszcz przerodził się w uporczywą mżawkę, przez którą przemarzli do szpiku kości. - Żaden z nich nie jest zbyt dobrym kłamcą - odezwał się Quinlan. - Zastanawiam się, jakie znaczenie miała ta ich cała rozmowa.

Znaczenie jego słów rozległo się echem w jej głowie i poczuła lodowaty dreszcz, nie związany z przenikliwie zimnym powietrzem. - Nie mogę uwierzyć w to, co sugerujesz, James.

Wzruszył ramionami. - Chyba nic nie powinienem był mówić. Zapomnij o tym, Sally.

Naturalnie nie potrafiła. - Są starzy. Jeśli nawet pamiętają Jensenów, to boją się do tego przyznać. Zaś reszta ich rozmowy była zupełnie niewinna.

- Możliwe - zgodził się James.

W milczeniu doszli do domu doktora Spivera i Quinlan zastukał w białe, świeżo pomalowane drzwi. Nawet w skąpym świetle ponurego poranka dom miał zadbane wygląd. Podobnie jak wszystkie pozostałe domki w tym cholernym miasteczku.

Żadnej odpowiedzi.

Quinlan zastukał powtórnie i zawołał - Doktorze Spiver! To ja, Quinlan. Chodzi o Hunkera Dawsona. Przewrócił się i coś sobie zrobił w ramię.

Żadnej odpowiedzi.

Sally poczuła, jak spowija ją coś mrocznego, mocnego. - Musiał z kimś wyjść - powiedziała, ale nadal dygotała.

Quinlan nacisnął klamkę. Ku jego zaskoczeniu drzwi nie były zamknięte. - Zobaczmy, co jest w środku - mruknął i otworzył drzwi. W środku było gorąco, piec grzał pełną mocą.

Światło nigdzie nie było zapalone, chociaż w takim szarym, ponurym dniu było to konieczne.

Wewnątrz domu panował podobny półmrok, jak na dworze.

- Doktorze Spiver!

Nagle James odwrócił się, chwycił ją za ramiona i powiedział: - Chcę, żebyś została tutaj, w przedpokoju, Sally. Nie ruszaj się stąd.

Uśmiechnęła się tylko do niego. - Zajrzę do saloniku i do jadalni. Czemu nie sprawdzisz pomieszczeń na piętrze? Jego tu po prostu nie ma, James.

- Prawdopodobnie masz rację. - Odwrócił się i ruszył w kierunku schodów. Sally poczuła uderzenie gorąca. Zrobiło się cieplej, jakby się paliło, poczuła suchość w ustach. Szybko zapaliła światło w przedpokoju. Dziwne, wcale nie pomogło. Nadal było zbyt ciemno. Wszystko było takie spokojne, nieruchome.

Miała wrażenie, jakby brakowało powietrza. Próbowwała głęboko zaczerpnąć tchu, ale nie mogła. Zerknęła na łukowe przejście, prowadzące do saloniku.

Nagle poczuła, że nie chce tam iść. Zmusiła się jednak do stawiania powolnych kroków. Chciała, żeby przy jej boku kroczył James i mówił do niej, przerywając tę koszmarną ciszę. Na litość boską, staruszka po prostu tu nie ma, i tyle.

Spróbowała zrobić następny głęboki wdech. Posunęła się krok do przodu. Stała w łukowym przejściu. Salonik był równie mroczny i szary jak przedpokój. Szybko zapaliła górne światło. Zobaczyła bogaty dywan, lampę w stylu Tiffany'ego, której wówczas doktor Spiver nie zauważył i zrzucił. Lampa nie była stłuczona ani połamana. Sally zrobiła krok do środka saloniku.

- Doktorze Spiver, jest pan tam?

Odpowiedzi nie było.

Rozejrzała się dookoła, nie chcąc wchodzić ani kroku dalej w głąb tego pokoju. Zobaczyła smugę, gwałtowny ruch. Usłyszała głośny stuk o drewnianą podłogę, potem skrzypiący odgłos bujanego fotela. Wreszcie rozległo się głośne, obrażone miauknięcie i ogromny, szary kot zeskoczył z oparcia sofy do jej stóp. Sally wrzasnęła. Potem wybuchnęła śmiechem, straszliwym, brzęącym wariacko. - Dobry kotek - powiedziała tak cienkim głosem, że sama była zdumiona, iż może jeszcze oddychać. Kot uciekł.

Dotarły do niej odgłosy skrzypiącego z cicha, bujającego się fotela, w przód i w tył, w przód i w tył. Zdusiła krzyk w gardle. Po prostu kot poruszył fotel, który zaczął się kołysać, nic więcej. Nabrała głęboko powietrza i ruszyła szybko w przeciwny koniec saloniku. Fotel kołysał się powoli, jakby ktoś go naciskał, zmuszał do ruchu. Obeszła fotel i stanęła przed nim.

Powietrze było nieruchome i pozbawione życia, jak stary mężczyzna, wciśnięty w wiekowy bujany fotel z giętego drewna. Jedna ręka mężczyzny zwieszała się nad podłogą, głowa opadła mu na piersi. Paznokciami skrobał lekko o drewnianą podłogę. Ten odgłos był dla Sally jak salwa karabinowa. Pięścią przyciśniętą do ust stłumiła krzyk. Kilka razy szybko odetchnęła. Zafascynowana patrzyła na krople krwi, które skapywały powoli, nieubłaganie, z czubka jego środkowego palca. Obróciła się na pięcie i pobięła z powrotem do przedpokoju.

Zawołała głosem ochryłym z przerażenia i chwytających ją mdłości. - James! Tu jest doktor Spiver! James!

*

- Człowiek zaczyna się zastanawiać, pani Brandon, czy, gdyby pani tu nie było, udałoby się uniknąć tych dwóch śmierci?

Sally siedziała na brzegu sofy Amabel z rękami zaciśniętymi na podolku, kołysząc się delikatnie do przodu i do tyłu, zupełnie jak stary doktor Spiver w tamtym bujanym fotelu. James przysiadł na poręczu sofy i zamarł w bezruchu, jak człowiek czekający w cieniu na przechodzącą zdobycz. David Mountebank zadał sobie pytanie, skąd mu przyszło do głowy to porównanie. Teraz wiedział już na pewno, że James Quinlan jest zawodowcem, łatwo mógł to rozpoznać po sposobie, w jaki Quinlan zachowywał się w domu doktora Spivera, bardziej profesjonalnie od niego, zachowując spokój i dystans. Wszystkie te elementy dawały świadectwo intensywnego treningu, przy czym otrzymał go

człowiek, posiadający wszystkie potrzebne zdolności oraz opanowanie.

David widział, że Quinlan martwi się o Sally Brandon, ale w trosce tej było coś więcej, a David nie znosił sytuacji, kiedy nie wiedział wszystkiego.

- Zgadza się pani ze mną, pani Brandon? - zapytał znowu, lekko tylko naciskając w obawie, żeby się nie załamała. Była bardzo blada i wychudzona, ale musiał się dowiedzieć, co tu się naprawdę dzieje.

Odpowiedziała wreszcie z ogromną prostotą: - Tak.

- Dobrze. - Odwrócił się do Quinlana i obdarzył go leniwym uśmiechem. - Właściwie oboje z Sally przyjechaliście tutaj niemal w tym samym czasie. Raczej dziwny zbieg okoliczności, nie sądzisz?

Ciepło, ciepło, pomyślał Quinlan, zdawał sobie jednak sprawę, że David Mountebank nie może wiedzieć wszystkiego. Mógł jedynie zgadywać.

- Owszem - odparł. - I na twoim miejscu dałbym sobie spokój z tym akurat zbiegiem okoliczności. Amabel powinna niedługo wrócić. Sally, masz ochotę na herbatę?

- Jego paznokcie skrobały o drewnianą podłogę. Idiotycznie się przez to przestraszyłam.

- Ja też byłbym tym głupio przerażony - powiedział David. - A więc przyszliście tu oboje, bo Hunker Dawson spadł! z krzesła i uszkodził sobie ramię.

- Tak - odparł James. - Dokładnie tak. Nic grzesznego, po prostu sąsiedzka przysługa. I nic więcej, poza słowami, jakie wypowiedzieli staruszkowie, kiedy wychodziliśmy. Coś o tym, że to nie ma znaczenia. Że Hunker nie powinien iść. Żeby nam pozwolić pójść, że to już czas.

- Nie chcesz chyba powiedzieć, że wiedzieli o śmierci doktora i pragnęli, żebyście to wy go znaleźli?

- Nie mam pojęcia. Wszystko to naprawdę nie ma sensu. Po prostu pomyślałem, że nic nie będę ukrywał.

- Sądzisz, że popełnił samobójstwo?

- Jeśli wziąć pod uwagę kąt, pod którym padł strzał, jak upadł pistolet i jak opadło ciało, myślę że obie możliwości są prawdopodobne. Twój biegły lekarz może to rozstrzygnąć, prawda?

- Ponser jest dobry, ale nie aż tak dobry. Nie przeszedł najlepszego przeszkolenia. Pozwolę mu się zająć tą sprawą, a jeśli rezultaty nie będą rozstrzygające, poproszę o pomoc Portland.

Sally uniosła głowę. - Naprawdę sądzisz, że mógł popełnić samobójstwo, James?

Skinął głową. Chciał powiedzieć więcej, ale wiedział, że nie może, nawet gdyby nie było tu szeryfa. Musiał powstrzymać wszystkie słowa, które cisnęły mu się na usta, które chciał jej powiedzieć. Za dużo tego było.

- Czemu miałby to zrobić?

Quinlan wzruszył ramionami. - Może miał nieuleczalną chorobę, Sally. Może bardzo cierpiał.

- Albo może wiedział o czymś i nie mógł tego znieść. Zabił się, żeby kogoś osłonić.

- Skąd ten pomysł, pani Brandon?

- Nie mam pojęcia, szeryfie. To wszystko jest po prostu obrzydliwe. Kiedy znaleźliśmy tamtą nieszczęsną kobietę, Amabel powiedziała mi, że tutaj nigdy nic się nie działo, jeśli nie liczyć przygody Kleszcza, kota doktora Spivera, który uwiązł kiedyś w pniu starego wiązu, rosnącego na tyłach domu. Co się stanie z kotem?

- Dopilnuję, żeby Kleszcz znalazł nowy dom. Do diabła, gotów jestem się założyć, że któreś z moich dzieci ubłaga mnie, żebym przyniósł cholernego kota do domu.

- David - odezwał się Quinlan - dlaczego nie zaczniesz nazywać jej po imieniu?

- Dobrze, jeśli nie masz nic przeciwko temu, Sally. - Kiedy skinęła głową, znów uderzyło go, że wygląda jakoś znajomo. Ale nie potrafił skojarzyć, gdzie ją widział. Bardzo możliwe, że po prostu jest podobna do kogoś, kogo znał przed laty.

- Może ja i James powinniśmy wyjechać, żeby już nic złego się nie wydarzyło?

- Cóż, w tej chwili szanowna pani nie może opuścić Cove. Znaleźliście drugie ciało. Jest tyle pytań, na które brakuje odpowiedzi. Quinlan, może razem zrobimy herbatę Sally?

Sally obserwowała, jak wychodzą z małego saloniku. Szeryf przystanął przed jednym z obrazów Amabel, tym z pomarańczami gnijącymi w misie. Amabel zużyła całe pokłady farby na gnijące fragmenty pomarańczy. Obraz był niepokojący. Wzdrygnęła się. O czym szeryf chciał rozmawiać z Jamesem?

*

David Mountebank przyglądał się Quinlanowi, nalewającemu wodę do starego czajnika i włączającemu kuchenkę. - Kim jesteś? - zapytał.

James zastygł. Potem wyjął z szafki trzy filiżanki i spodeczki. - Szeryfie, lubisz z cukrem czy z mlekiem? - Nie.

- A może brandy? Dodam trochę do herbaty Sally.

- Nie, dziękuję. Odpowiedz mi, Quinlan. Nie ma mowy, absolutnie, żebyś był prywatnym detektywem. Jesteś za dobry. Przeszedłeś najlepsze możliwe szkolenie. Masz doświadczenie. Wiesz, jak się zachować w sytuacji, w której normalny prywatny detektyw straciłby głowę.

- Cholera - powiedział James. Wyciągnął portfel i otworzył go. - Agent specjalny James Quinlan, szeryfie. FBI. Miło mi pana poznać.

- Kurczę - rzekł David. - Jesteś tutaj incognito. O co, do diabła, chodzi?

ROZDZIAŁ 10

James nalał do filiżanki z herbatą warstwę brandy, grubą na palec. Uśmiechnął się, kiedy szeryf wyciągnął rękę. - Nie, poczekaj chwilę. To chcę dać Sally. Chcę mieć pewność, że wytrwa. Jest cywilem. To było dla niej niezwykle trudne. Z pewnością to rozumiesz.

- Tak. Poczekam tu na ciebie, Quinlan.

James był z powrotem niemal natychmiast i zobaczył szeryfa z rękami opartymi o blat, wyglądającego przez kuchenne okno, znajdujące się nad zlewem. Szeryf był wysokim mężczyzną, typem smukłego, długonogiego biegacza. Mógł być zaledwie o kilka lat starszy od Jamesa. Emanowało z niego pełne skupienie, coś, co sprawiało, że ludzie chcieli z nim rozmawiać. James podziwiał tę cechę, ale sam nie zamierzał się przed szeryfem otwierać. Zaczynał lubić Davida Mountebanka, nie miał jednak zamiaru kierować się emocjami.

Quinlan odezwał się cicho, nie chcąc przestraić życ szeryfa. - Zasnęła. Przykryłem ją jednym z afgańskich kocyków Araabel. Ale zachowujmy się cicho, dobrze, szeryfie?

David Mountebank odwrócił się powoli i obdarzył Quinlana cieniem uśmiechu. - Mów do mnie David. Co się dzieje, u diabła? Czemu tu przyjechałeś?

- Tak naprawdę wcale nie jestem tu po to, aby wyjaśnić sprawę Marge i Harve Jensenów - powiedział spokojnie Quinlan. - To tylko pretekst. Niemniej ich zniknięcie pozostaje zagadką. I nie tylko ich zniknięcie. Miałaś rację. Poprzedni szeryf przesłał wszystko FBI, w tym sprawozdania na temat zaginięcia dwóch innych osób - motocyklisty i jego dziewczyny. W innych miastach na wybrzeżu zrobiono to samo. Powstała całkiem opasła teczka dotycząca ludzi, którzy po prostu zniknęli gdzieś w tej okolicy. Niewątpliwie Jensenowie byli pierwsi, więc trzymam się ich przypadku. Powiedziałem wszystkim, że jestem prywatnym detektywem, żeby nie przstraszyć tych staruszków. Pomyśleliby nie wiadomo co, gdyby wiedzieli, że agent FBI jest wśród nich i Bóg wie co robi.

- Dobry pretekst, bo prawdziwy. Nie sądzę, żebyś chciał mi powiedzieć, co się naprawdę dzieje?

- Nie mogę, przynajmniej jeszcze nie teraz. Czy chwilowo możesz się czuć usatysfakcjonowany tym, co już wiesz?

- Chyba będę musiał. Czy odkryłeś już coś związanego ze sprawą Jensenów?

- Tak. Wszyscy ci szanowani staruszkowie w rozmowie ze mną kłamali. Możesz to sobie wyobrazić? Twoich rodziców czy dziadków, kłamiących w tak niewinnej sprawie, jak para staruszków w wozie turystycznym, która przyjechała do miasteczka prawdopodobnie po to jedynie, żeby kupić Najwspanialsze Lody Świata?

- No dobrze. Pamiętają więc Harve i Marge Jensenów, ale boją się o tym mówić, boją się, że zostaną wplątani w całą sprawę. Czemu nie przyszedłeś prosto do mnie? Nie powiedziałeś, kim jesteś i że to poufne?

- Chciałem zachować wszystko w tajemnicy tak długo, jak tylko było to możliwe. Tak było łatwiej. - Quinlan wzruszył ramionami. - Otóż gdybym nic nie znalazł, nie wyrządziłbym nikomu krzywdy. A kto wie, może udałoby mi się odkryć coś na temat tych wszystkich zaginionych staruszków.

- Udałoby ci się utrzymać w tajemnicy przede mną swoją tożsamość, gdyby nie śmierć dwóch osób. Po prostu jesteś za dobry, za dobrze wykształcony. - David Mountebank westchnął, upił duży łyk wzmocnionej brandy herbaty, którą podał mu James, lekko zadrżał, po czym z uśmiechem poklepał się po brzuchu. - Taka herbata przywraca człowiekowi optymizm.

- Tak - zgodził się Quinlan.

- A co robisz z Sally Brandon?

- Można powiedzieć, że wpadliśmy na siebie od razu pierwszego dnia mojego tu pobytu. Lubię ją. Nie zasługuje na całe to nieszczęście.

- To więcej niż nieszczęście. Widok ciała tej kobiety, ciskanego na skały u podnóża urwiska, każdego mógł przypisać o koszmarnie sny do końca życia. Ale jeszcze gorsze było znalezienie doktora Spivera z odstrzeloną połową głowy.

David upił następny łyk herbaty. - Na pewno nie zapomnę tego lekarstwa. Sądzisz, że jest szansa, aby obie te śmierci były powiązane z prowadzoną przez FBI sprawą tajemniczego zaginięcia Harve i Marge Jensenów oraz pozostałych?

- To zbyt daleko posunięte spekulacje, nawet jak dla mojego pokrętnego umysłu, ale dość zastanawiające jest to wszystko, prawda?

Znów się wyslizguje, pomyślał David bez urazy. Był zręczny, uprzejmy i nie zamierzał z niczym się wygadać. Niemożliwością byłoby coś z niego wydusić. Ciekawił go prawdziwy powód jego tutaj obecności. Cóż, Quinlan powie mu, gdy uzna, że już pora.

David odezwał się spokojnie: - Wiem, że mi nie powiesz, czemu naprawdę tu przyjechałeś, ale mam teraz tyle własnych problemów, że nie będę się tym gryzł. Rób, co masz do zrobienia, a jeśli będziesz mógł mi pomóc, albo ja tobie, pamiętaj o moim istnieniu.

- Dziękuję, Davidzie. Doceniam to. Cóż to interesujące miasteczko, nie uważasz?

- Teraz tak. Powinieneś je zobaczyć trzy czy cztery lata temu. Wszystko było zrujnowane, opuszczone, pozostali sami starcy. Wszyscy młodzi wynieśli się z miasta tak szybko, jak tylko mogli. A potem dobrobyt. Cokolwiek zrobili, wszystko było przeprowadzone dobrze, doskonale zaplanowane. Może zmarł „krewny któregoś z nich, zapisując miastu w testamencie wór pieniędzy. Cokolwiek by to było, teraz miasteczko jest bardzo przyjemne. Tak, świetny dowód na to, że ludzie mogą stanąć na nogi, jeśli tylko dobrze pomyślą. Trzeba ich za to szanować.

David odstawił pustą filiżankę do zlewu. - Cóż, wracam do domu doktora Spivera. Absolutnie nic tam nie znalazłem, Quinlan.

- Zadzwoń, jeśli coś odkryję.

- Nie będę prowadził otwartego dochodzenia. Właśnie zrozumiałem, że obie te śmierci naprawdę musiały mocno dotknąć mieszkańców miasteczka. A tu nagle ja oskarżam któregoś z nich” że więził kobietę, a potem ją zabił. Ba, sądziłem nawet, że tych czterech starszków wiedziało o śmierci doktora Spivera, zanim wyraziliście gotowość wezwania go do Hunkera Dawsona, że może mieli coś wspólnego z tą śmiercią. Czyste wariactwo. To poczciwi ludzie. Chcę wyjaśnić sprawę najszybciej, jak tylko się da.

- Tak jak już powiedziałem, jeśli tylko coś znajdę, dam ci znać.

David nie wiedział, czy ma w to uwierzyć, ale Quinlan sprawiał wrażenie szczerego. Cóż, powinien. Został wykształcony przez najlepszych z najlepszych. David miał kuzyna, Toma Neibbera, którego wyrzucono z Quantico we wczesnych latach osiemdziesiątych, po zaliczeniu czterech z szesnastu tygodni kursu. Zawsze uważał, że kuzyn miał wszystkie potrzebne kwalifikacje, ale i tak nie

przebrnął przez szkolenie.

W drzwiach kuchni David odwrócił się. - Śmieszna rzecz, ale nie do uniknięcia. Sally nie spodziewała się mnie. Ktoś, kto zabił Laure Strather, już wcześniej ją więził. Gdyby tamtej pierwszej nocy Sally nie słyszała krzyku kobiety, można się założyć, że nikt inny by go nie słyszał, i dokładnie tak to wyglądało. Gdybyście z Sally nie wybrali się na spacer nad urwisko, ciało tej kobiety nigdy nie zostałoby znalezione. Nie byłoby żadnej zbrodni. Nic, może tylko następne doniesienie o zaginięciu, złożone przez męża. Ale doktor Spiver to zupełnie inna sprawa. Mordercy nie obchodziło, czy ciało zostanie odnalezione, po prostu nie dbał o to.

- Nie zapominaj, że to mogło być samobójstwo.

- Wiem, chociaż sprawa trochę cuchnie, nie uważasz?

- Nie mam pojęcia, ale wiesz dalej, Davidzie. Zastanawiam się, dlaczego nikt kompletnie nic nie słyszał. Trudno w to uwierzyć, prawda? Ludzie zaniadto się różnią, żeby wszyscy się ze sobą zgadzali. Ha, zapowiada się dla ciebie ciekawy czas.

- Owszem. Myślę jednak nadal, że starszycy po prostu się boją. Będę się kręcił w pobliżu, Quinlan. Zaopiekuj się Sally. Jest w niej coś takiego, co skłania człowieka do schowania jej za pazuchę i pilnowania, by nie stała jej się żadna krzywda.

- Może teraz, lecz wyobrażam sobie, że gdybyś w normalnych warunkach próbował ją chronić, dzieliłaby cię tak, aż byś zobaczył gwiazdy przed oczami.

- Odniosłem takie samo wrażenie. Prawdopodobnie kiedyś by się tak zachowała, ale nie teraz. Tak, coś tutaj nie gra, ale spodziewam się, że mi nie powiesz co.

- Odezwę się do ciebie, Davidzie. Powodzenia z autopsją.

- Och, muszę zadzwonić do żony. Chyba nie zapomniała, że będę w domu na obiedzie.

- Jesteś żonaty?

- Obrączka to była pierwsza rzecz, którą u mnie zauważyłeś, Quinlan. Nie bądź taki cwany. Potem wspomniałem nawet o jednym z moich dzieci. Mam trójkę, same dziewczynki. Kiedy staję w progu, dwie wspinają się po moich nogach, a trzecia przyciąga krzeselko, żeby wskoczyć mi w objęcia. To wyścig, która pierwsza obejmie mnie za szyję.

David obdarzył Quinlana krzywym uśmiechem, lekko zasalutował i wyszedł.

Nikt nie potrafił rozmawiać o niczym innym, tylko o doktorze Spiverze i o tym, że dwójka obcych znalazła go leżącego w bujanym fotelu, z przestrzeloną głową i zakrwawionymi rękami.

Zabił się - wszyscy byli zgodni - ale dlaczego?

Ostatnia faza raka, zaopiniowała Thelma Netto. Jej dziadek miał raka i popełniłby samobójstwo, gdyby wcześniej nie umarł.

Był prawie niewidomy, powiedział Ralph Keaton. Wszyscy wiedzieli, że jest zadowolony, bo po wydaniu ciała będzie je grzebał. Ralph utrzymywał, iż doktor nie mógł znieść świadomości, że przestał już być nieomylnym lekarzem.

Cierpiał, bo jakaś kobieta nim wzgardziła, powiedziała Helen Keaton, nakładając potrójną porcję lodów czekoladowo-orzechowych dla Sherry Vorhees. Mnóstwo ludzi w podeszłym wieku po prostu nudziło już życie. Doktor poradził sobie sam, zamiast czekać, jęcząc przez następne dziesięć lat, aż go wezmą diabli.

A może, rzucił Hunker Dawson, ale tylko może, doktor Spiver miał coś wspólnego ze śmiercią tamtej nieszczęsnej kobiety. Jego późniejsze samobójstwo miałyby wówczas sens, prawda? Poczucie winy doprowadziłyby takiego porządnego człowieka jak doktor do targnięcia się na własne życie.

Chociaż w mieście nie było prawników, jednak szeryf szybko znalazł ostatnią wolę doktora Spivera. Miał około dwudziestu dwóch tysięcy dolarów na koncie bankowym w South Bend. Wszystko zapisał Fundacji na Rzecz Miasta, której przewodniczył wielebny Hal Vorhees.

Szeryf David Mountebank był zdumiony, dowiedziawszy się o istnieniu fundacji. Nigdy o czymś takim nie słyszał. Jaki wpływ mogła mieć ta fundacja na postępowanie mieszkańców? Oczywiście nadal nie wiedział, czy ktoś nie włożył lufy pistoletu kaliber 38 w usta doktora, nie pociągnął za spust, a potem nie wcisnął broni w jego dłoń.

To była zbrodnia z premedytacją. Albo też doktor Spiver sam włożył sobie lufę w usta. Tego wieczora Ponser zadzwonił do Davida o ósmej. Skończył sekcję zwłok, której wyniki nie były jednoznaczne, niech go szlag trafi. Gdy David zaczął go przyciskać, Ponser wreszcie zdecydował się na samobójstwo. Nie, doktor Spiver nie cierpiał na żadną nieuleczalną chorobę, a przynajmniej Ponser niczego nie zauważył.

Tego samego wieczora Amabei odezwała się do Sally: - Myślę, że powinniśmy razem wyjechać do Meksyku i pobyczyć się na plaży.

Sally uśmiechnęła się. Nadal zawinięta była w szlafrok Amabei, gdyż nie mogła się rozgrzać. James nie chciał jej pozostawić, ale potem chyba przypomniał sobie o czymś, co skłoniło go do szybkiego powrotu do Thelmy. Miała ochotę zapytać, co to było, ale nie zrobiła tego. - Nie mogę jechać do Meksyku, Amabei. Nie mam paszportu.

- W takim razie jedźmy na Alaskę. Będziemy mogły leżeć w zaspach śnieżnych. Ja będę malować, a ty, Sally... no właśnie, co? Czym się zajmowałaś, zanim zastrzelono twojego ojca?

Sally zrobiło się jeszcze zimniej. Mocniej otuliła się szlafrokiem i przysunęła do grzejnika. - Byłam asystentką senatora Bainbridge'a.

- Przeszedł na emeryturę?

- Tak, w ubiegłym roku. Więcej już nigdzie nie pracowałam.

- Dlaczego?

Seria szalonych scen stanęła jej przed oczami, krzycząc głośniejsz niż wiatr wyjący za oknem. Chwyciła za brzeg kuchennego stołu.

- Już dobrze, dziecino, nie musisz mi nic opowiadać. To naprawdę nieważne. Boże, co za dzień! Będzie mi brakowało doktora. Mieszkał tu od zawsze. Wszystkim go będzie brakowało.

- Nie, Amabei, nie wszystkim.

- A więc twoim zdaniem to nie było samobójstwo, Sally?

- Tak - odparła Sally, mocno wciągając powietrze do płuc. - Myślę, że w mieście panuje jakieś szaleństwo.

- Co za pomysł! Mieszkam tu niemal od trzydziestu lat. Nie jestem szalona. Nikt z moich przyjaciół nie jest szalony. Wszyscy są mocno stąpającymi po ziemi ludźmi, pełnymi przyjacielskich uczuć i troski o siebie nawzajem i o miasto. A poza tym, gdybyś miała rację, to szaleństwo ujawniło się dopiero po twoim przybyciu. Jak to wyjaśnisz, Sally?

- To właśnie powiedział szeryf. Amabel, czy naprawdę wierzysz, że Laura Strather, ta kobieta, którą znaleźliśmy z Jamesem, została sprowadzona do miasta przez kogoś obcego, kto ją tu przetrzymywał przed zamordowaniem?

- W tej chwili widzę jedynie, że masz gonitwę myśli, a to nie jest najzdrowsze dla ciebie, zwłaszcza kiedy wszystko w twoim życiu jest wywrócone do góry nogami. Przestań po prostu o tym myśleć. Niedługo wszystko wróci do normy. Musi wrócić.

Tej nocy, bezdeszczowej, ale z silnym wiatrem, dokładnie o trzeciej nad ranem coś obudziło Sally. Przez chwilę leżała bez ruchu. I wówczas usłyszała delikatne stukanie w okno. Przynajmniej nie był to krzyk kobiety.

Pewnie jakaś gałąź, pomyślała, obracając się na bok i zakrywając po czubek nosa. Tylko gałąź.

Stuk.

Zrezygnowana, podniosła się z łóżka.

Stuk.

Nie pamiętała, że pod oknem nie rośło wystarczająco wysokie drzewo, dopóki nie rozsunęła zasłon i nie ujrzała nienaturalnie bladej, śmiejącej się twarzy swojego ojca.

Amabel znalazła ją klęczącą na środku pokoju, z rękoma zaplecionymi wokół ciała. Okno było otwarte, zasłony porwane przez wiatr powiewały na zewnątrz, a Sally krzyczała i krzyczała, dopóki gardło jej się nie zacisnęło i nie wydała więcej żadnego głosu.

*

Quinlan podjął natychmiastową decyzję. - Zabieram ją z powrotem do Thelmy. Zostanie ze mną. Jeśli coś jeszcze się stanie, będę na miejscu.

Zadzwoiła do niego pół godziny wcześniej i z trudem wyrzucając słowa błagała, żeby przyszedł i zmusił jej ojca do zniknięcia. W tle słyszał głos Amabel, powtarzający, że w tym stanie nie powinna telefonować do nikogo, a już zwłaszcza do człowieka, którego nie zna, żeby odłożyła słuchawkę, że to była tylko gra jej wyobraźni. Trzeba wziąć pod uwagę wszystko, przez co przeszła.

I nadal mówiła to samo, ignorując obecność Quinlana. - Pomyśl tylko, dziecinko. Spałaś smacznym snem, kiedy usłyszałaś dziwne odgłosy wiatru za oknem. Śniło ci się, podobnie jak poprzednio. Założę się, że nie byłaś w pełni rozbudzona, gdy odsłaniałaś zasłony.

- Nie spałam - powiedziała Sally. - Obudził mnie wiatr. Leżałam. I wtedy rozległo się pukanie.

- Dziecinko...

- To nieważne - przerwał niecierpliwie Quinlan, świadomy, że niedługo Sally zacznie myśleć, iż jest obłąkana i wszystko to sobie tylko wyobraziła. Błagał Boga, żeby to nie była prawda. Jednak spędziła w tym sanatorium sześć miesięcy. W dokumentach zanotowano, że cierpi na paranoję. Miała stany depresji i manię samobójczą. Bano się, że może sobie zrobić krzywdę. Lekarz nie chciał jej wypisać. Mąż się z tym zgadzał.

Chcieli, żeby wróciła do ośrodka. Mąż był najbliższą rodziną. Quinlana zastanowiło, czy osadzenie kogoś wbrew jego woli w tego typu ośrodku jest legalne.

Czemu rodzice Sally nie interweniowali? Czy oni również byli przekonani, że jest szalona? Mimo wszystko nie była osobą ubezwłasnowolnioną. Musi sprawdzić, w jaki sposób załatwiono tę sprawę.

- Amabel, czy mogłabyś teraz spakować rzeczy Sally? - powiedział. - Bardzo bym chciał, żebyśmy wszyscy zdążyli się jeszcze trochę przespać tej nocy.

Amabel zacisnęła usta. - Sally jest mężatką. Nie powinna iść z tobą.

Sally zaczęła się śmiać, ponurym, ochryplym, bardzo nieprzyjemnym głosem.

Amabel była tak zaskoczona, że nie powiedziała już nic więcej. Poszła na górę pakować worek podróży Sally.

Pół godziny później, koło czwartej nad ranem, Quinlan wprowadził Sally do swojego pokoju na wieży.

- Dziękuję, James - rzekła. - Jestem taka zmęczona. Dziękuję, że po mnie przyszedłeś.

Owszem, przyszedł. Popędził jak strzała, żeby ją dopaść. Cholera, dlaczego nic nie może się

dziać tak jak powinno, jak to sobie zaplanował? Był w trakcie układania łamigłówek, a wszystko, co posiadał, to były rozsypane kawałki puzzla, które sprawiały wrażenie, że nigdy nie będą do siebie pasować. Położył ją do łóżka, opatulił kocami i bez zastanowienia lekko pocałował w usta.

Nie zareagowała, popatrzyła tylko na niego.

- Spij - rzekł i łagodnym ruchem odgarnął jej włosy z twarzy. Zgasił lampę przy łóżku. - Rozwiążemy tę sprawę. Tylko już się nie martw.

To było coś więcej niż obietnica. Bardzo się przeraził.

- Przez telefon powiedział mi, że przybędzie po mnie. Niedługo, powiedział wtedy, bardzo niedługo. Nie skłamał, prawda? On tu jest, James.

- Ktoś tu jest. Zajmiemy się tym jutro. Spróbuj zasnąć. Ja jestem tutaj i nie zostawię cię, już nigdy.

Zwykle była sama. Na początku niektórzy pacjenci próbowali z nią rozmawiać, na swój sposób, ale odwracała się od nich. Właściwie nie miało to znaczenia, bo i tak przez większą część czasu mózg miała zamroczony, była zupełnie odłączona od wszystkiego wewnątrz i na zewnątrz, zagubiona w głębokiej czeluści. A może bujała w eterze. Nie było elementów rzeczywistości, żadnego wstawania o szóstej rano, żeby przebiec dwie mile po Exeter Street i Concord Avenue, żadnego powrotu biegiem do domu, wskakiwania pod prysznic i analizy planu dnia w trakcie mycia głowy.

Senator Bainbridge udawał się do Białego Domu co najmniej dwa razy w tygodniu. Towarzyszyła mu wielokrotnie, trzymając pieczę nad jego notatkami na temat spraw, które miały być omawiane. Było to dla niej łatwe zajęcie, gdyż sama przygotowywała większość notatek i lepiej od niego znała jego stanowisko wobec omawianych projektów. Tyle robiła, była zaangażowana w tak wiele spraw - kontakty z mediami, a kiedy sensacyjne wiadomości przedostawały się do prasy, narady ze współpracownikami i z senatorem nad przyjęciem najlepszej strategii.

Stale odbywały się też zbiórki pieniędzy, przyjęcia dla prasy, polityków, bale w ambasadach. Tak wiele, i uwielbiała to wszystko nawet wtedy, gdy bez sił padała wieczorem na łóżko.

Początkowo Scott mówił jej, że jest z niej dumny. Sprawia! wrażenie podekscytowanego zaproszeniami na wszystkie te przyjęcia, spotkaniami z ważnymi osobistościami. Na początku.

Teraz nie robiła nic. Dwa razy w tygodniu ktoś mył jej głowę. Niemal tego nie zauważała, chyba że woda zaczynała jej ściekać po karku. Nie miała już żadnych mięśni, chociaż codziennie ktoś wyprowadzał ją na spacer, jak psa. Kiedyś chciała pobiec, po prostu biec, czując na twarzy powiew wiatru, pierzchniecie skóry, ale jej nie pozwolili. Zaczęli jej dawać więcej środków odurzających, żeby odechciało jej się biegania.

On przyjeżdżał co najmniej dwa razy w tygodniu, czasem częściej. Pielęgniarki ubóstwiały go, szepcząc do siebie, jak bardzo jest do niej przywiązany. Przez kilka minut siedział z nią w świetlicy, a potem brał za rękę i prowadził z powrotem do jej pokoju. Pokój był ciemny, o białych ścianach, pozbawiony wszelkich rzeczy mogących służyć do popełnienia samobójstwa - nic ostrego, żadnych pasków.

Raz dosłyszała, że umeblował go dla niej zgodnie ze wskazówkami doktora Beadermeyera. Łóżko było metalowe, pokryte imitacją drewna. Imitacją dlatego, żeby nie mogła odłupać jakiegoś fragmentu i wbić go sobie w serce. Nigdy nie przyszło jej nic takiego do głowy, ale opowiedział jej o tym ze śmiechem, gdy trzymał jej twarz uwięzioną w swoich rękach i zapewniał, że będzie się nią opiekował przez długi, długi czas.

Potem zdierał z niej ubranie i kładł na plecach na łóżku. Zaczynał krążyć wokół łóżka, patrząc na

nią, opowiadając, jak spędził dzień, o swojej pracy, o kobiecie, z którą właśnie sypiał. Wreszcie rozpiął spodnie i pokazywał jej się, mówiąc o tym, jakie ma szczęście mogąc go oglądać i że pewnego dnia pozwoli jej się dotknąć, ale na razie nie ma do niej zaufania.

Dotykał ją wszędzie. Zaczynał się masować. Tuż przed wytryskiem wymierzał jej co najmniej jeden cios, zwykle w żebra.

Kiedyś, gdy w chwili orgazmu odrzucił głowę do tyłu, przez mgłę zasnuwającą oczy zobaczyła dwie osoby stojące za szybą w drzwiach, przyglądające im się i rozmawiające przy tym. Próbowwała go odepchnąć, ale się nie udało. Miała tak mało sił. Skończył, pochylił się nad nią, dostrzegł w jej oczach nienawiść i uderzył ją w twarz. To był jedyny raz, kiedy uderzył ją w twarz.

Pamiętała, jak raz przewrócił ją na brzuch i przyciągając do siebie jej plecy powiedział, że może pewnego dnia pozwoli jej go mieć, poczuć wdzierającego się w nią głęboko i to będzie bolało, bo jest przecież taki duży, nieprawdaż? Ale nie, nie zasługuje jeszcze na niego. Zresztą co za różnica? Mają przed sobą całe wieki, wiele lat, żeby robić najróżniejsze rzeczy. I opowiedział jej o tym, co robią jego kochanki, kiedy wreszcie pozwala im się posiąść, żeby sprawić mu przyjemność.

Nic nie odpowiedziała. Uderzył ją za to pasem w pośladki. I bił przez długi czas bez przerwy. Pamięta, jak krzyczała, błagała, znów krzyczała, próbując mu się wyrwać, ale trzymał ją mocno. Nie przestał.

*

Była piąta rano, kiedy z głębokiego snu wyrwał Quinlana jej głośny, przenikliwy krzyk, tak przepełniony bólem, że James nie mógł go znieść. Znalazł się przy niej w mgnieniu oka i przyciągnął do siebie. Próbuje ją uspokoić mówił, co tylko przyszło mu na myśl, po prostu mówił i mówił, żeby wyrwać ją z koszmarnego snu.

- Boże, bolało tak bardzo, ale on się nie przejmował, dalej mnie bił i bił, przygniatając do dołu, żebym nie mogła się ruszyć, nie mogła uciec. Krzyczałam bez końca, ale nikogo to nie obchodziło, nikt nie przyszedł, ale wiedziałam, że tamte twarze patrzą przez okno i są zachwycone. O Boże, nie, niech to się skończy. NIECH SIĘ SKOŃCZY!

A więc to był koszmar związany z pobytem w zakładzie leczniczym, a przynajmniej tak to wyglądało. Brzmiało bardzo sadystycznie i seksualnie. Co tam się, u diabła, działo?

Głaskał jej włosy, plecy, przez cały czas mówiąc coś do niej, mówiąc, mówiąc.

Okropny, zachłystujący się oddech dziewczyny zaczął się uspokajać. Dostała czkawki. Opadła na plecy i przeciągnęła ręką po nosie. Na chwilę przymknęła oczy, a potem zaczęła się trząść.

- Nie, Sally, przestań. Jestem tutaj, wszystko dobrze. Rozluźnij się, właśnie tak. Po prostu uspokój oddech. Dobrze, dokładnie tak. - Gładził ją po plecach, czując jak drżenie powoli zamiera. Boże, co jej się śniło? Wspomnienia, zmieszane z ułudą potrafią być okropne.

- Co ci zrobił? - Mówił powoli i cicho, gdzieś koło jej skroni. - Możesz mi powiedzieć. Kiedy o tym opowiesz, koszmar szybciej minie.

Zaczęła szeptać, wtulona w jego szyję. - Przyjeżdżał co najmniej dwa razy w tygodniu i zawsze zdejmował ze mnie ubranie, patrzył na mnie, dotykał i opowiadał o tym, co robił tego dnia i o kobietach, które posiadał. Ludzie obserwowali wszystko przez szybę w drzwiach, stale ci sami ludzie, jakby mieli abonament. To było straszne, ale większość czasu po prostu tam leżałam, bo mój mózg nie funkcjonował. Ale tamtego razu bolało tak bardzo, że moje myśli i uczucia skoncentrowały się, pozwalając mi odczuć upokorzenie, więc próbowałam uciec od niego, walczyć z nim, ale on nie przestawał mnie bić, najpierw ręką, potem pasem. Sprawiało mu przyjemność, że zaczęłam krwawić.

Powiedział mi, że może kiedyś, kiedy na to zasłużę, wejdzie we mnie. Miałam się nie martwić, bo nie miał dodatniego wyniku testu na HIV, chociaż i tak bym się nie martwiła, bo jestem kompletną wariatką. Tak właśnie powiedział: „Nie będziesz nic pamiętać, prawda, Sally, bo jesteś kompletną wariatką”.

Quinlan był tak napięty, że gdyby ktoś go stuknął, rozpadłby się na miliard kawałeczków, tymczasem Sally leżała na nim bezwładnie, oddychając ciszej, spokojniej. Miał rację. Opowiedzenie wszystkiego głośno sprawiło jej ulgę, ale nie jemu, na miły Bóg, nie jemu.

Czy mogła sobie to wszystko wyobrazić? Długo nie mógł nic powiedzieć. Wreszcie rzekł: - Czy to twój mąż ci to zrobił, Sally?

Spała, czuł na piersiach jej równy, spokojny oddech. Dopiero wtedy zauważył, że ma na sobie tylko krótkie spodenki. Kogo to mogło obchodzić? Odchylił ją nieco i usiłował się od niej odsunąć. Ku jego radości i zakłopotaniu mocno zacisnęła ręce na jego karku. - Nie, proszę, nie - powiedziała zasnana.

Ułożył się na wznak u jej boku, przytulając jej twarz do swojego ramienia. Tego nie zaplanowałem, pomyślał, patrząc w sufit. Oddychała głęboko, nogę miała opartą na jego brzuchu, jej ręka spoczywała na jego piersi. Gdyby ta dłoń albo noga leżała odrobinę niżej, byłby w sporym kłopotcie.

I tak był już w dużym kłopotcie. Pocałował ją w czoło, przytulił mocniej do siebie i zamknął oczy. Przynajmniej ten drań jej nie zgwałcił. Ale bit ją.

Nieoczekiwanie zasnął.

ROZDZIAŁ 11

- No tak - mruknął pod nosem Quinlan, podnosząc się. Przed oknem sypialni Sally w domu Amabei widniały dwa śliczne ślady męskich butów oraz, co ważniejsze, głębokie odciski, pozostawione przez nogi drabiny w ziemi.

Na ziemi leżały gałązki, połamane przez kogoś, kto musiał poruszać się w pośpiechu, targając ze sobą tę przeklętą drabinę. Quinlan znów przykucnął i zmierzył ślady butów. Rozmiar jedenaście, prawie takie, jakie on sam nosił. Zdjął swój mokasyn i ostrożnie przyłożył do zagłębienia. Pasował niemal idealnie. A więc jedenaście i pół.

Ślady były dość głębokie, co wskazywało na to, iż nie był to mały człowiek, pewnie jakieś metr osiemdziesiąt wzrostu, ważący około dziewięćdziesięciu kilogramów. Coś koło tego. Przyjrzał się dokładniej, mierząc palcami głębokość śladów. Dziwne, jeden odcisk był głębszy. Mężczyzna utykał? Nie wiadomo. Może to zwykły przypadek.

- Znalazłeś coś, Quinlan? - To pytanie padło z ust Davida Mountebanka. Ubrany w odprasowany mundur i ogolony sprawiał wrażenie w pełni wypoczętego.

Było zaledwie wpół do siódmej rano. - Rozważasz ucieczkę z Sally Brandon?

Diabli nadali, pomyślał Quinlan, podnosząc się z wolna. - Prawdę mówiąc ostatniej nocy ktoś usiłował dostać się do domu i bardzo przstraszył Sally. Natomiast jeśli cię to interesuje, to Sally powinna jeszcze spać w pokoju na wieży u Thelmy, w moim pokoju.

- Ktoś próbował się włamać?

- Coś w tym rodzaju. Sally obudziła się i zobaczyła twarz mężczyzny w oknie. Przstraszyła się śmiertelnie.

Kiedy zaczęła krzyczeć, człowiek za oknem musiał się równie śmiertelnie przerazić, bo natychmiast zniknął.

David Mountebank oparł się o kant domu Amabel. Ściany wyglądały, jakby je odmalowano nie dawniej niż pół roku temu. Ciemnozielony pas wokół okien był bardzo świeży. - Co tu się naprawdę dzieje, Quinlan?

James westchnął. - Nie rnoę ci powiedzieć. Nazwijmy to sprawą bezpieczeństwa narodowego, David.

- Mam ochotę nazwać to mydleniem oczu.

- Nie mogę ci powiedzieć - powtórzył Quinlan. Napotkał wzrok Davida. Nawet nie drgnął. Nie drgnąłby nawet wtedy, gdyby David wymierzył w niego broń.

- Dobra - powiedział wreszcie David. - Niech będzie po twojemu, przynajmniej na razie. Dajesz słowo, że to nie ma nic wspólnego z tymi dwoma morderstwami?

- Nie ma. Im dłużej się zastanawiam, tym bardziej wydaje mi się, że śmierć tej kobiety wiąże się z zaginięciem Harve i Marge Jensenów przed tizema laty, chociaż jeszcze wczoraj powiedziałem ci, że nie mogę sobie tego wyobrazić. Nie wiem, o co w tym chodzi, ale coś mi tutaj śmierdzi. Muszę przetrwać jeszcze parę rzeczy. Na razie to tylko moja intuicja, ale nauczyłem się jej nie lekceważyć. Te sprawy w jakiś sposób są ze sobą powiązane. Nie mam jedynie pojęcia, w jaki sposób i dlaczego. Zaś co do Sally, Davidzie, zostaw ją. Będę ci bardzo zobowiązany, jeśli dasz spokój.

- Miały miejsce aż dwa morderstwa, Quinlan.

- Doktor Spiver?

- Właśnie. Dzwonił do mnie ekspert medyczny z Portland, kobieta przeszkolona w San Francisco, która naprawdę zna się na swojej robocie. Żeby wszędzie byli lekarze sądowi, którzy wiedzą, co robią. Wczoraj późną nocą przesiałem jej zwłoki, a ona, niech jej Bóg to wynagrodzi, zgodziła się natychmiast przeprowadzić sekcję. Stwierdziła, że żadnym cudem nie mógł się usadowić w bujanym fotelu, wsadzić do ust lufy i pociągnąć za cyngiel.

- To podważa teorię, że doktor Spiver zamordował tamtą kobietę, a potem czuł się tak winny, że sam się zabił.

- Możemy tę teorię wyrzucić na śmietnik.

- Wiesz, na co mi to wszystko wygląda? Może ktoś naprawdę wierzył, że wszyscy będą uważać, iż doktor Spiver popełnił samobójstwo. Może jakaś starsza osoba, nie mająca pojęcia o tym, co potrafi wykryć dobry lekarz sądowy. W końcu twój człowiek, Ponser, nie umiał powiedzieć nic konkretnego. Miałeś szczęście, że ta lekarka z Portland jest taka dobra.

- Chyba masz rację. - David Mountebank westchnął. - Mamy więc zabójcę chodzącego na wolności, a ja jestem w ślepych zaułku i nie wiem, co począć. Moi ludzie rozmawiali z każdym w tym przeklętym miasteczku i, tak jak w przypadku Laury Strather, nikt nic nie wie. Nadal nie mogę uwierzyć, że ktoś z mieszkańców może być wmieszany w tę sprawę.

- Ktoś z nich musi być, Davidzie, nie ma innej możliwości.

- Chcesz, żebym wziął odciski z tych śladów butów?

- Nie, nie zawracaj sobie tym głowy. Spójrz tylko, jeden but odcisnął się głębiej niż drugi. Czy kiedykolwiek widziałeś coś takiego?

David opadł na kolana i podpierając się rękami, badał ślady. Swoim różowym palcem zmierzył głębokość śladów, podobnie jak wcześniej zrobił to Quinlan. - Dziwne - powiedział. - Nie mam zielonego pojęcia, jak to wyjaśnić.

- Przyszło mi do głowy, że może facet kulał, ale wtedy ślady wyglądałyby inaczej. Zataczałyby się w jedną stronę.

- Przekonałeś mnie, Quinlan. - David wstał i spojrzał na ocean. - Zapowiada się piękny dzień. Zwykle przywoziłem tu dzieci na Najwspanialsze Lody Świata przynajmniej dwa razy w tygodniu. Od czasu tego pierwszego morderstwa nie chcę, żeby zbliżały się do Cove.

A Quinlan wiedział jeszcze, że poza zabójcą kręci się tu inny człowiek, który chce przekonać Sally, że jest chora umysłowo. To musi być jej mąż, Scott Brainerd.

Otrzeptał ręce o ciemnobrązowe sztruksowe spodnie. - O właśnie, David, która była pierwsza?

- Co?

- No która z twoich córek pierwsza zarzuciła ci ręce na szyję? - David roześmiał się. - Najmłodsza. Wspięła się po mojej nodze jak małpka. Ma na imię Deirdre.

Quinlan rozstał się z Davidem i wrócił do pensjonatu Thelmy.

Kiedy otworzył drzwi swojego pokoju na wieży, Sally stała w drzwiach do łazienki. Mokre włosy oblepiały głowę, pasmami opadając na ramiona. W lewej ręce trzymała ręcznik. Zamarła, patrząc na niego.

Była zupełnie naga.

Była cholernie szczupła i cholernie zgrabna, co zauważył w ułamku sekundy, zanim zasłoniła się ręcznikiem.

- Gdzie chodziłeś? - zapytała, nadal nie ruszając się z miejsca, mokra, szczupła i doskonała, okryta białym ręcznikiem.

- Nosi obuwie numer jedenaście i pół.

Zakryła się szczelniej ręcznikiem, owijając go wokół piersi. Wpatrywała się w niego.

- Człowiek podający się za twojego ojca - odparł, uważnie ją obserwując.

- Znalazłeś go?

- Jeszcze nie, ale odkryłem ślady jego butów pod oknem twojej sypialni i odciski nóg drabiny.

Tak, nasz przyjaciel był tam. Jaki rozmiar butów ma twój mąż, Sally?

Była bardzo blada. Tak bardzo poszarzała, że gdy na nią patrzył, miał wrażenie, iż nawet włosy jej wyblakły. - Nie wiem, jaki ma rozmiar. Nigdy nie pytałam. Nigdy nie kupowałam mu butów. Mój ojciec nosi jedenaście i pół.

- Sally, twój ojciec nie żyje. Został zamordowany ponad dwa tygodnie temu. Został pochowany. Policja widziała ciało. To był twój ojciec. Ten mężczyzna wczoraj w nocy to nie twój ojciec. Jeśli nie przychodzi ci do głowy nikt inny, kto chciałby cię doprowadzić do szaleństwa, pozostaje twój mąż. Czy widziałas go tamtej nocy, kiedy zabito twojego ojca?

- Nie - wyszeptała i odsunęła się od niego, tyłem wycofując się do łazienki. Potrząsnęła głową, aż mokre pasma włosów uderzyły o policzki. - Nie, nie.

Nie zatrzasnęła drzwi, tylko łagodnie je przytknęła. Usłyszał odgłos zamka, przekręcanego od wewnątrz.

Wiedział, że już nigdy nie będzie mógł na nią patrzeć tak jak dotychczas. Może mieć na sobie futro z niedźwiedzia, a on i tak będzie miał przed oczami jej nagą postać, stojącą w drzwiach łazienki, bladą i tak piękną, że pragnął unieść ją do góry i bardzo łagodnie położyć na swoim łóżku. Ale to się nigdy nie stanie. Musi wziąć się w garść.

- Hej - odezwał się, kiedy chwilę później wyszła z łazienki, zawinięta w biały szlafrok, z suchymi włosami, unikając jego wzroku. Tylko kiwnęła głową, nie odrywając wzroku od swych gołych stóp, i zaczęła zbierać ubranie.

- Sally, oboje jesteśmy dorośli.

- Co chcesz przez to powiedzieć? Przynajmniej wreszcie na niego spojrzała, a w jej oczach i głosie nie było ani śladu strachu. Był z tego zadowolony. Wierzyła, że nie zrobi jej krzywdy.

- Nie miałem na myśli uwiedzenia. Chodziło mi o to, że nie jestem już dzieckiem, ty również. Nie ma powodu, żebyś czuła się zakłopotana.

- Podejrzewam, że to raczej ty możesz być zakłopotany, bo jestem taka chuda i brzydka.

- O tak.

- A to co miało znaczyć?

- To znaczy, że jesteś bardzo... nie, nieważne. A teraz uśmiechnij się.

Obdarzyła go cieniem uśmiechu, w którym jednak nadal nie było strachu. Miała do niego zaufanie, wierzyła, że jej nie zgwałci. Dotarło do niego, że pyta ją bez zastanowienia: - Czy to twój mąż tak cię upokarzał i bił w sanatorium?

Nie poruszyła się, nie zmieniła wyrazu twarzy, ale odsunęła się od niego. Zamknęła się.

- Odpowiedz mi, Sally. Czy to był twój przeklęty mąż?

Spojrzała mu prosto w oczy i rzekła: - Nie znam cię. To ty możesz być tym człowiekiem, który do mnie telefonował, udając mojego ojca, to ciebie mogłam widzieć wczorajszej nocy za oknem. Mógł cię wysłać. Teraz chcę stąd odejść, James, i już nigdy tu nie wrócić. Chcę zniknąć. Czy mi

pomożesz?

Jezu, jak bardzo chciał jej pomóc. Chciał zniknąć razem z nią. Chciał... Potrząsnął głową. - To żadne rozwiązanie. Nie możesz uciekać przez całe życie, Sally.

- Nie byłabym tego taka pewna. - Odwróciła się i przyciskając do siebie ubranie, wróciła do łazienki.

Zaczął wołać przez drzwi, że podoba mu się małe ciemne znamię z prawej strony jej brzucha. Nie skończył. Usiadł na kanapie, próbując przeanalizować sytuację.

*

- Thelmo - powiedział Quinlan po przełknięciu łyżeczki delikatnie usmażonej, wspaniale przyprawionej ziołami jajecznicy, najsmaczniejszej, jaką zdarzyło mu się jeść w życiu - gdybyś była kimś obcym i chciała się ukryć w Cove, dokąd byś poszła?

Thelma zjadła swoją tłustą kielbasę, wytarła tłuszcz z brody i rzekła: - Poczekaj, niech się zastanowię. Na pagórku, zaraz za domem doktora Spivera, znajduje się zrujnowany szałas. Ale wyznam ci, chłopcze, że musiałabym być bardzo zdesperowana, żeby tam się schronić. Pełno tam brudu, pajaków, a może nawet szcurów. Paskudne miejsce, gdzie pewnie strasznie cieknie w czasie deszczu. - Wbiła widelec w kolejną kielbasę i w całości wepchnęła ją do ust.

Martha podeszła do niej, podając świeżą serwetkę. Thelma obdarzyła ją ponurym spojrzeniem. - Twoim zdaniem jestem typem staruszki, która cała się wyplami, jeśli czuwająca obok służąca natychmiast jej nie wytrze?

- Thelmo, poprzednią serwetkę mięłaś tak długo, aż zrobiła się z niej pognieciona kula. Weź tę. No zobacz, trochę tłuszczu kapnęło na twój pamiętnik. Musisz bardziej uważać.

- Potrzebny mi atrament. Idź i kup mi go, Martho. Hej, czy młody Ed jest w kuchni? Dokarmiasz go, Martho, prawda? Za moje pieniądze kupujesz jedzenie, a potem go karmisz, żeby poszedł z tobą do łóżka.

Martha przewróciła oczami i spojrzała na talerz Sally. - Nie smakuje ci grzanka? Jest tylko troszkę podpieczona. Chcesz bardziej zrumienioną?

- Ależ nie, ta jest naprawdę bardzo dobra. Po prostu nie jestem specjalnie głodna.

- Żaden mężczyzna nie gustuje w chudych patykach, Sally - wtrąciła się Thelma, z głośnym chrupnięciem odgryzając kawałek grzanki. - Mężczyzna musi mieć coś, o co mógłby zawadzić. Popatrz tylko na Marthę, ma taki wydatny biust, że młody Ed nie mógłby nawet przejść obok, żeby się nań nie nadziać.

- Młody Ed ma kłopoty z prostatą - rzekła Martha, unosząc ciemne, gęste brwi. Wychodząc z jadalni rzuciła przez ramię: - Kupię ci czarny atrament, Thelmo.

*

- Idę z tobą.

- Ale...

Sally potrząsnęła głową i przeszła na drugą stronę ulicy, zmierzając w stronę Sklepu z Najwspanialszymi Lodami Świata. Kulała już tylko odrobinę. Kiedy otworzyła drzwi, zabrzączał dzwonek.

Amabel, ubrana jak Cyganka, przewiązana ślicznym, białym fartuszkim, stała za ladą, zajęta nakładaniem waniliowych lodów do wafla dla młodej kobiety, która wyrzucała z siebie słowa z szybkością karabinu maszynowego.

- ... Słyszałam, że w ciągu ostatnich kilku dni zamordowano tu dwie osoby. Nie do wiary! Moja

mama powiedziała, że Cove zawsze było najspokojniejszym miejscem, jakie poznała, że nigdy nic złego się tu nie wydarzyło i że to musiał być któryś z gangów z południa kraju na gościnnych występach.

- Sally, James, witajcie. Jak się macie, dziecińko?

I jednocześnie wręczyła loda młodej kobiecie, która natychmiast zaczęła go lizać, wzdychając z zachwytem.

- Nieźle - odparła Sally.

- Dwa dolary sześćdziesiąt centów proszę - powiedziała Amabel.

- Och, wspaniale - rzekła młoda kobieta. Nie przestając lizać loda, zaczęła grzebać w portmonetce.

Quinlan uśmiechnął się do niej. - Te lody są wysmienite. Może więc będzie je pani jadła, a ja za nie zapłacę?

- W przyjęciu lodów od nieznanego nie ma nic niewłaściwego - dodała Sally. - A poza tym ja go znam. Jest nieszkodliwy.

Quinlan zapłacił Amabel. Dopóki dziewczyna nie wyszła ze sklepu, nikt się nie odzywał.

- Nie było nowych telefonów - powiedziała Amabel. - Ani od Thelmy, ani od twojego ojca.

- Wie, że wyniosłam się od ciebie - rzekła zamyślona Sally. - To dobrze. Nie chcę, żeby ci coś zagrażało.

- Nie bądź śmieszna, Sally. Nie grozi mi żadne niebezpieczeństwo.

- A jednak Laura Strather i doktor Spiver zginęli - rzucił Quinlan. - Bądź ostrożna, Amabel. Sally i ja wyruszamy na zwiady. Thelma powiedziała nam o szałasie na górze za domem doktora Spivera. Idziemy go sprawdzić.

- Uważajcie na węże! - zawołała za nimi Amabel.

Kiedy okrążali dom doktora Spivera, Sally odezwała się: - Czemu powiedziałaś cioci Amabel, gdzie się wybieramy?

- Zarzucałem sieci - odparł. - Idź ostrożnie, Sally. Uważaj na nadwężoną kostkę. - Przytrzymał grubą, powykrzywianą gałąź cisu. Zza domu wyłonił się łysy pagórek, u którego podnóża przycupnęła maleńka chatka.

- Co to znaczy, że zarzucasz sieci?

- Nie podoba mi się, że twoja kochana ciotunia traktuje cię jak osobę szalenie nerwową, której nie można wierzyć. Powiedziałem jej o naszych zamiarach, żeby rądnąć, czy coś z tego nie wyniknie. A jeśli coś się zdarzy...

- Amabel nigdy by mnie nie skrzywdziła; nigdy.

Spojrzał na nią, po czym przeniósł wzrok na szałas.

- Czy tak samo wierzyłaś swojemu mężowi, gdy brałaś z nim ślub?

Nie czekając na odpowiedź, pchnięciem otworzył drzwi. Były zaskakująco solidne. - Uważaj na głowę - rzucił przez ramię, schylając się i wchodząc do mrocznej izby.

- Brr... - powiedziała Sally. - Paskudnie tu jest, James.

- Też mi się tak wydaje. - Nie powiedział nic więcej, tylko zaczął rozglądać się wokół, co pewnie kilka dni wcześniej uczynił już szeryf. Nic nie znalazł. Niewielkie pomieszczenie było puste. Nie było okien. Przy zamkniętych drzwiach panowałyby tu egipskie ciemności. I nic w środku. Odrobina nadziei, którą jeszcze miał, prysła i poczuł się bardziej niż trochę rozczarowany. - Powiedziałbym, że jeśli ktoś przetrzymywał tutaj Laurę Strather, to bardzo starannie posprzątał. Nic

tu nie ma, Sally, nawet śladu. Diabli nadali.

- I nie ukrywa się tutaj - odrzekła. - Bo tak naprawdę właśnie to przyszliśmy sprawdzić, prawda?

- Szczerze mówiąc, i jedno, i drugie. Przeczucie mówi mi, że twój ojciec nie zniżyłby się do tego, żeby zamieszkać w takim miejscu. Tu nie ma nawet zapasowego szlafroka.

*

Tego popołudnia jedli „Na Zapleczu”. Zeke rozpoczął tydzień hamburgerów i wariacji na temat kotleta mielonego.

Oboje zamówili kotlet mielony według oryginalnego przepisu Zeke’a.

- Ślinka mi cieknie od tych wszystkich woni - powiedział Quinlan, entuzjastycznie wdychając zapach.

- Zeke dodaje czosnek do puree ziemniaczanego. Potem wystarczy tylko głęboko odetchnąć, a żaden wampir się nie zbliży.

Sally bawiła się kawałkiem marchewki w swojej sałatce. - Lubię czosnek.

- Sally, opowiedz mi o tamtej nocy.

Wzięła właśnie do ust marchewkę i zaczynała ją gryźć. Plasterek marchewki wypadł jej z ust. Znów uniosła go i wolno zaczęła jeść. - Dobrze - powiedziała wreszcie. Uśmiechnęła się do niego. - Chyba mogę ci zaufać. Jeśli będziesz chciał mnie zdradzić, zawsze mogę się wszystkiego wyprzeć. Gliny mają rację. Byłam tam owej nocy. Ale mylą się co do całej reszty. Nic nie pamiętam, James, nic a nic.

Cholera, zaklął w myśli. Wiedział jednak, że mówi mu prawdę. - Sądysz, że ktoś cię uderzył?

- Nie, chyba nie. Długo nad tym myślałam i jedyne, co mi przyszło do głowy, to że po prostu nie chcę o tym wszystkim pamiętać. Nie mogę znieść tych wspomnień, więc mój mózg się od nich odizolował.

- Słyszałem o amnezji na tle historycznym, widziałem nawet parę takich przypadków. Zwykle jednak ludzie sobie przypominają, jeśli nie następnego dnia, to za tydzień. Twój ojciec nie został zabity w jakiś koszmarny sposób. Strzelono mu prosto w serce, żadnego bałaganu, zamieszania. I dlatego właśnie wydaje mi się, że to tożsamość osób zamieszanych w jego śmierć tak bardzo tobą wstrząsnęła, powodując zablokowanie pamięci.

- Tak - odparła powoli. Odwróciła się i dostrzegła kelnerkę, która przyniosła zamówione jedzenie.

Otoczyła ich woń czosnku, masła, smażonego kabaczka i bogaty zapach kotleta.

- Nie mógłbym tu mieszkać i zachować linii - zauważył James. - Cudownie pachnie, Neldo.

- Ketchup do kotleta?

- Bez tego ani rusz.

Nelda, kelnerka, roześmiała się i postawiła między nimi butelkę ketchupu Heinza. - Smacznego - powiedziała.

- Neldo, jak często młody Ed i Martha jadają u was?

- Może ze dwa razy na tydzień - odparła lekko zaskoczona. - Martha twierdzi, że nudzi ją jej własne jedzenie. Młody Ed jest moim starszym bratem. Biedny człowiek. Za każdym razem, kiedy chce się spotkać z Martha, musi znosić żarty Thelmy. Czy możecie uwierzyć, że ta stara kobieta jest nadal przy życiu, codziennie jedząc te swoje kiełbaski i opisując w pamiętniku dzień po dniu?

- To ciekawe - mruknął James, kiedy Nelda odeszła. - Jedz, Sally. O, tak. Masz doskonałą figurę, ale martwiłbym się o ciebie w czasie silnego wiatru.

- Kiedyś biegałam codziennie - powiedziała. - Byłam silna.

- I znowu będziesz. Tylko się mnie trzymaj.

- Nie potrafię sobie wyobrazić biegania w Los Angeles. Zawsze oglądałam tylko obrazki okropnej mgły i samochodów, stojących w korkach na autostradach.

- Mieszkam w kanionie. Powietrze jest tam świeże, więc chętnie biegam.

- Jakoś nie umiem sobie wyobrazić, że mieszkasz w południowej Kalifornii. Po prostu nie jesteś w kalifornijskim typie. Czy twoja była żona nadal tam mieszka?

- Nie, Teresa wróciła na wschód. Co ciekawe, wyszła za męża za kombinatora. Mam nadzieję, że nie ma nim dzieci. Na myśl o ich genetycznym potencjale włosy się jeżą.

Zaczęta się śmiać, naprawdę. Uczucie było cudowne, Quinlan też był zachwycony.

- Masz pojęcie, jaka jesteś piękna, Sally?

Jej widelec zawisł nad kotлетem. - Podobają ci się wariatki?

- Jeśli jeszcze kiedykolwiek powiesz coś takiego, wścieknę się. A kiedy się wściekam, robię różne dziwne rzeczy, na przykład rozbieram się i nago poluję na kaczki w parku. - Napięcie z niej opadło. Nie rozumiał, dlaczego powiedział, że jest piękna; po prostu wymknęło mu się. Prawdę mówiąc była więcej niż piękna - ciepła i czuła, nawet przeżywając ten koszmar. Chciałby wiedzieć, jak ma dalej postępować.

- Wspomniałaś, że nie pamiętasz tamtej nocy, kiedy zginął twój ojciec. Czy masz jeszcze inne luki w pamięci?

- Tak. Czasami, kiedy myślę o tamtym miejscu, docierają do mnie bardzo wyraźne wspomnienia, ale nie mogłabym przysiąc, czy nie są to dziwaczne obrazy wytworzone przez mój mózg. Wszystko, co wydarzyło się dawniej niż sześć miesięcy temu, pamiętam bardzo dokładnie.

- Co się stało pół roku temu?

- Wtedy właśnie wszystko się zamgliło.

- Co się stało pół roku temu?

- Senator Bainbridge niespodziewanie przeszedł na emeryturę i znalazłam się bez pracy. Pamiętam, że wybierałam się na rozmowę kwalifikacyjną z senatorem Irwinem, ale nigdy nie dotarłam do jego biura.

- Dlaczego?

- Nie wiem. Pamiętam, że dzień był słoneczny.

Podśpiewywałam sobie. Opuściłam dach w moim mustangu. Powietrze było czyste i ciepłe. - Przerwała, marszczyła brwi, wreszcie wzruszyła ramionami. - Przy opuszczonym dachu zawsze sobie nuciłam. Nic więcej nie pamiętam, ale wiem, że nigdy nie spotkałam się z senatorem Irwinem.

Nic więcej nie powiedziała. Zabrała się za jedzenie kotleta. Pewnie nawet się nie zorientowała, że je, ale nie chciał, żeby przerwała. Chyba bardziej pragnął, żeby jadła, niż żeby mówiła. Przynajmniej w tej chwili. Do diabła, co się wówczas wydarzyło?

Sally udała się do toalety, a James zapłacił rachunek i wyszedł na dwór. Zaczął się zastanawiać, jak uda mu się trzymać ręce z dala od niej, gdy wrócą do pokoju na wieży.

ROZDZIAŁ 12

Usłyszał cichutki dźwięk, który nie pasował do ograniczonej, wąskiej przestrzeni koło baru. Rozejrzał się, myśląc, że może to Sally niezauważenie wyszła na zewnątrz. I znów usłyszał ten odgłos. Niezwykle cichy dźwięk. Okręcił się na pięcie, z ręką w kieszeni, przytrzymując spust SIG-saugera, dziewięciomilimetrowego półautomatycznego pistoletu niemieckiej produkcji, który doskonale pasował do jego dłoni i charakteru. Czuł, że tylko z tym pistoletem, jedynym w całej swojej zawodowej karierze, tworzy jedność. Zaczął go wyciągać, szybko i sprawnie, ale i tak się spóźnił. Cios trafił go tuż nad lewym uchem. Padł na ziemię, nie wydawszy najmniejszego dźwięku.

- James! - Sally wystawiła głowę przez drzwi baru. Nikogo nie było w pobliżu. Pomachała Neldzie i odwróciła się. Gdzie się podział James? Zmarszczyła brwi i wyszła na ulicę. Usłyszała dźwięk, który kłócił się jakoś z obrazem otoczenia. Skręciła, zęby zając do zaułka za domem.

Zobaczyła Jamesa, leżącego na boku na ziemi. Strużka krwi spływała mu po policzku ku brodzie. Wykrzyknęła jego imię i opadła na kolana. Zaczęła nim potrząsać, potem cofnęła się. Wstrzymała oddech. Delikatnie przyłożyła palce do żyły na szyi Quinlana. Puls był mocny i miarowy. Dzięki Bogu, nic mu nie było. Co tu się działo? I nagle zrozumiała.

To jej ojciec wreszcie po nią przyszedł, tak jak obiecał. I zranił Jamesa dlatego, że jej pilnował.

Rozejrzała się za jakąś pomocą, modląc się, żeby kogoś dostrzec. Nieważne, ile będzie miał lat, byle tylko ktoś się pojawił. Wokół nie było jednak żywej duszy.

O Boże, co ma robić? Pochyliła się, żeby obejrzyć ranę, kiedy nagły cios trafił ją prosto w tył głowy. Miętko opadła na Jamesa.

*

Słyszała jakieś dźwięki. Docierały do niej miarowo. Odgłosy wody, kapiącej, kropla za kroplą, na metalową powierzchnię.

Plum.

Otworzyła oczy, ale nie potrafiła na niczym skupić spojrzenia. Czuła, że ma mózg w zawieszeniu, pływający wewnątrz czaszki. Nie mogła myśleć, mogła tylko słuchać tego plusku. Wiedziała, że coś jest nie w porządku. Usiłowała sobie przypomnieć, jednak nie była w stanie zmusić swojego mózgu do wygenerowania jakiejś myśli, jakiejkolwiek myśli, wspomnienia czegokolwiek, co się z nią działo, zanim się znalazła w tym miejscu, gdziekolwiek ono było.

- Obudziłaś się. Świetnie.

Głos, męski głos, jego głos. Udało jej się powiązać głos z twarzą. Należały do doktora Beadermeyera, człowieka, który torturował ją przez sześć długich miesięcy.

Tak, przypomniawszy sobie, może nie wszystko, ale wystarczająco wiele, żeby wspomnienia te przebiły się przez odrętwienie i znów poraziły ją koszmarami, nadal wywołującymi żywy ból.

Nagle przypomniawszy sobie dokładnie. Była z Jamesem. Tak, z Jamesem Quinlanem. Zadano mu cios w głowę. Leżał nieprzytomny na maleńkim skrawku ziemi koło baru.

- Nic nie masz do powiedzenia, Sally? Zmniejszyłem dawkę, żebyś mogła ze mną porozmawiać. - Poczowała siarczysty policzek.

- Popatrz na mnie, Sally. Nie udawaj, że jesteś gdzieś w innym świecie. Wiem, że tym razem to

niemożliwe. - Znów ją uderzył.

Złapał ją za ramiona i mocno potrząsnął.

- Czy Jamesowi nic się nie stało?

Przestał nią potrząsać. - James? - Wyglądał na zaskoczonego. - Ach, ten mężczyzna, z którym byłeś w Cove. Tak, ma się dobrze. Nikt nie chciał ryzykować jego śmierci. Był twoim kochankiem, Sally? Miałaś go tylko trochę ponad tydzień. Szybko poszło. Musiał być zdesperowany. Spójrz tylko na siebie. Wyglądasz okropnie. Chuda szkapa, ubranie na tobie wisi, włosy całe w strąkach. No już, Sally, opowiedz mi o Jamesie. Mów, co mu powiedziałaś.

- Powiedziałałam mu o tobie - rzekła. - Miałam koszmarne sny, a on pomógł mi się z nimi uporać. Powiedziałałam mu, jaki z ciebie padalec.

Znów wymierzył jej policzek, nie za mocny, ale wystarczająco bolesny, żeby szarpnęła się do tyłu.

- Jesteś nieuprzejma, Sally. I w dodatku kłamiesz.

Nigdy nie umiałaś dobrze kłamać i zawsze udawało mi się to rozpoznać. A wiesz dlaczego? Bo jesteś wariatką, a ja tak dalece jestem twoją częścią, że gdybyś powiedziała komuś o mnie, cóż, załamałabyś się kompletnie i umarła. Nie możesz istnieć beze mnie, Sally. Przebywałaś z dala ode mnie zaledwie dwa tygodnie i zobacz, co się stało. Jesteś wrakiem. Usiłowałaś udawać, że jesteś normalna. Straciłaś dobre maniery. Twoja matka byłaby przerażona. Twój mąż cofnąłby się przed tobą z niesmakiem. Natomiast jeśli chodzi o twojego ojca, no cóż, chyba teraz nie ma sensu spekulować, co by zrobił, skoro opuścił swoją cielesną powłokę.

- Gdzie jestem?

- Ha, jeśli wierzyć książkom i telewizji, tak właśnie powinny brzmieć twoje pierwsze słowa. Jesteś z powrotem tam, gdzie twoje miejsce, Sally. Rozejrzyj się tylko. Jesteś znów w swoim pokoju, tym samym, który urządził dla ciebie twój kochany tata. Trzymałem cię na środkach usypiających przez półtora dnia. Jakies cztery godziny temu przerwałem ich podawanie. Odzyskanie świadomości zabrało ci trochę czasu.

- Czego chcesz?

- Mam to, czego chcę, a przynajmniej pierwszą ratę. To znaczy ciebie, moja droga.

- Chce mi się pić.

- Spodziewam się. Holland, gdzie jesteś? Przynieś naszej pacjentce trochę wody.

Pamiętała Hollanda, chudego, nieśmiałego, małego mężczyznę, jednego z dwóch przyglądających się przez małe okienko, kiedy była bita, obmacywana i poniżana. Holland miał brązowe, rzadziejące włosy i najbardziej martwe spojrzenie, jakie kiedykolwiek widziała. Rzadko się odzywał, przynajmniej do niej.

Dopóki się nie pojawił obok ze szklanką wody, zachowywała milczenie.

- Proszę, doktorze - powiedział charakterystycznym, cichym i chropawym głosem, który niby kamień nagrobny zwieńczył wszystkie jej koszmary sprawiając, że wołała być oszołomiona lekami i nie wiedzieć, że jest koło niej.

Stał za Beadermeyerem, patrząc na nią z góry martwymi, głodnymi oczami. Chciało jej się rzygać. Doktor Beadermeyer uniósł jej głowę, żeby mogła się napić.

- Niedługo będziesz chciała iść do łazienki. Holland ci pomoże, prawda?

Holland skinął głową, a ona zapragnęła umrzeć. Opadła z powrotem na poduszkę, twardą, szpitalną poduszkę, i zamknęła oczy. Całą sobą wiedziała, że nie zachowa swej integralności, jeśli

pozostanie w tym miejscu. Dotarło też do niej, że już nigdy stąd nie ucieknie. Tym razem nadszedł jej koniec.

Z zamkniętymi oczami, nie odwracając się w jego stronę, powiedziała tylko: - Nie jestem wariatką. Nigdy nie byłam szalona. Czemu to robicie? On nie żyje. Jaki ma to sens?

- Nadal nie pojmujesz, prawda? Ciągle jeszcze nic nie pamiętasz. Prawie od razu to zrozumiałem. Cóż, wyjaśnianie wszystkiego nie należy do mnie, moja droga. - Poczula, że klepie ją po policzku. Wzdrygnęła się.

- No, no, Sally, to nie ja cię męczyłem, choć muszę przyznać, że obejrzenie jednej taśmy sprawiło mi przyjemność. Chociaż właściwie byłaś tam obecna tylko ciałem, które opadło bezwładnie, z zamkniętymi oczami, pozwalając mu robić, co tylko chciał. Nie było w tobie ducha walki. Cóż, odpłynęłaś za daleko, ledwo się uchylałaś przed jego ciosami. Ale nawet wtedy się nie bałaś, widziałem to. Dzięki temu kontrastowi widok był fascynujący.

Poczula, jak pod wpływem powracającego wspomnienia jego dłoni sunących po jej ciele, popychających, bijących, pieszczących aż do bólu, dostaje gęziej skórki na rękach.

Usłyszała skrzypienie łóżka i wiedziała, że doktor Beadermeyer stoi obok niej i przygląda jej się z góry. Usłyszała, jak mówił cicho: - Holland, jeśli znowu się wydostanie, będę musiał cię bardzo skrzywdzić. Rozumiesz?

- Tak, doktorze Beadermeyer.

- To nie będzie wyglądało, jak poprzednim razem, Holland. Poprzednio niewłaściwie cię ukarałem. Spodobała ci się tamta terapia wstrząsowa, prawda?

- To się już nie powtórzy, doktorze Beadermeyer. - Czyżby w przerażającym głosie tego małego człowieka pobrzmiewało rozczarowanie?

- Dobrze. Wiesz, co się stało z siostrą Krider, kiedy pozwoliła jej schować pod językiem tamte pigułki. Tak, naturalnie, że pamiętasz. Nie zapominaj, Holland. Sally, muszę już iść, ale wrócę do ciebie wieczorem. Będziemy musieli wywieźć cię z sanatorium, prawdopodobnie jutro rano. Decyzja, co z tobą dalej robić jeszcze nie zapadła. Ale tu nie możesz zostać. Ten facet z FBI, ten Quinlan, pewnie się dowie o tym miejscu. Pewien jestem, że opowiedziałaś mu parę historii ze swojej przeszłości. Przyjdą więc. Ale to nie twoje zmartwienie. A teraz pozwól, że ci zrobię maleńki zastrzyk czegoś, co sprawi, że odpłyniesz w niebyt i naprawdę poczujesz się całkiem zadowolona. Holland, przytrzymaj jej ramię.

Sally poczuła nieprzyjemny chłód igły i krótkie ukłucie. Prawie natychmiast jej mózg zaczął dryfować, odpływać w niebyt. Poczula, jak jej realna część, ta pragnąca życia, przed poddaniem się toczy krótką walkę - taki słabutki trzepot. Potem westchnęła głęboko i uległa.

Czula na sobie ręce, zdejmujące z niej ubranie. Wiedziała, że to Holland. Prawdopodobnie doktor Beadermeyer się przyglądał.

Nie walczyła. Nie było po co.

Quinlan ocknął się z potwornym bólem głowy, który natężeniem przerastał wszelkie kace, jakie zaliczył w czasie studiów. Zaklął, złapał się za głowę i zaklął powtórnie.

- Cholernie boli cię głowa, tak?

- David - powiedział, ale nawet wypowiedzenie tego jednego słowa bolało. - Co się stało?

- Ktoś ci zdrowo przyłożył tuż nad lewym uchem. Nasz lekarz założył ci trzy szwy. Nie ruszaj się, zaraz ci podam tabletkę.

Guinlan skoncentrował się na tabletkę. Musi pomóc. Jeśli nie pomoże, mózg wyskoczy mu chyba

z czaszki.

- Proszę, Quinlan. To silny środek; powinieneś brać nie więcej niż jedną tabletkę co cztery godziny.

Quinlan połknął lekarstwo, popijając całą szklanką wody. Położył się na wznak, zamknął oczy i czekał.

- Doktor Grafft mówił, że zadziała bardzo szybko.

- Mam nadzieję. Opowiadaj mi, Davidzie. Gdzie jest Sally?

- Wszystko ci powiem, tylko leż spokojnie. Znalazłem cię nieprzytomnego na wąskiej ścieżce za barem „Na Zapleczu”. Thelma Netto zgłosiła zniknięcie twoje i Sally, więc zacząłem was szukać. Piekielnie mnie przestraszyłeś. Kiedy natknąłem się na ciebie leżącego, myślałem, że nie żyjesz. Zrzuciłem cię na plecy i zaniósłem do siebie do domu. Ściągnąłem tam doktora Graffta, który cię pozszywał, Nic nie wiem o Sally. Przepadła, Quinlan. Żadnych śladów, nic, jakby nigdy jej tutaj nie było.

Gdyby tak bardzo nie cierpiał, Quinlan pewnie by zaczął wrzeszczeć. Tymczasem leżał tylko spokojnie, usiłując wyobrazić sobie przebieg wypadków, przemyśleć wszystko. Chwilowo jednak wykraczało to poza zakres jego możliwości.

Sally zniknęła. Tylko to było realne. Zniknęła, nie znaleziono jej martwej. Przepadła. Ale gdzie?

Usłyszał dziecięce głosy. Z pewnością coś się nie zgadzało. Dotarły do niego słowa Davida: - Deirdre, chodź tutaj i siadaj mi na kolanach. Musisz być bardzo cicho, dobrze? Pan Quinlan nie czuje się dobrze i nie chcemy, żeby czuł się jeszcze gorzej.

Usłyszał, że dziewczynka coś szeptę, ale nie rozumiał słów. Deirdre oznacza smutek. Zasnął.

Gdy się obudził, zobaczył patrzącą na niego młodą kobietę o jasnej karnacji i intensywnie ciemnorudych włosach. Miała najśłodsza twarz, jaką zdarzyło mu się widzieć w życiu. - Kim pani jest?

- Jestem Jane, żona Davida. Proszę spokojnie leżeć, panie Quinlan. - Poczul na czole jej chłodną dłoń. - Mam dla pana ciepły rosół z kurczaka. Doktor Grafft zalecił, żeby do jutra był pan na diecie. Nakarmię pana, proszę tylko otwierać usta. O tak.

Po zjedzeniu całego talerza zaczął się czuć jak człowiek. - Dziękuję - powiedział i powoli, podpierany przez nią, usiadł na pościeli.

- Bardzo pana boli głowa?

- Teraz to już tylko tępy łomot. Która godzina? A może raczej, co to za dzień?

- Został pan zraniony dzisiaj po południu. Teraz jest ósma wieczorem. Mam nadzieję, że dziewczynki panu nie przeszkadzały.

- Nie, zupełnie nie. Dziękuję za przygarnięcie.

- Zawołam Davida. Kładzie teraz dziewczynki do łóżek. Powinien już skończyć bajeczkę na dobranoc.

Quinlan siedział na wygodnej kanapie, z głową opartą na poduszkach. Ból głowy ustąpił. Będzie się mógł stąd szybko wynieść. Będzie mógł znaleźć Sally. Odkrył, że nogi ma miękkie ze strachu. Co jej się przydarzyło?

Ojciec przybył po nią, tak jak to obiecywał. Nie, to nonsens. Amory St. John od dawna nie żyje.

- Dolać ci trochę brandy do herbaty?

- Nie, niepotrzebny mi nadmiar optymizmu. - Quinlan otworzył oczy i uśmiechnął się do Davida Mountebanka. - Twoja żona mnie nakarmiła. Pyszna zupa. Wdzięczny jestem, że zabrałaś mnie do

siebie do domu, Davidzie.

- Jak mogłem cię zostawić na pastwę Thelmy Netto? Nie zostawiłbym tam nawet najgorszego wroga. Robię się bardzo nerwowy przy tej staruszce. To niesamowite. Zawsze ma przy sobie swój pamiętnik, a w garści ścisła wieczne pióro. Czubek języka ma wytatuowany na niebiesko od lizania koniuszka pióra.

- Opowiedz mi o Sally.

- Wszyscy, których tylko mogłem ściągnąć, rozmawiają z mieszkańcami Cove i szukają dziewczyny. Mam już list gończy...

- Tylko nie list gończy - rzekł James, prostując się. Zbladł. - Nie, Davidzie, odwołaj go. To bardzo ważne.

- Nie zamydlisz mi już więcej oczu bajeczką o sprawie wagi państwowej, Quinlan. Wyjaśnij mi, dlaczego mam odwoływać, bo inaczej tego nie zrobię.

- Nie ułatwiasz współpracy, Davidzie.

- Opowiedz mi i pozwól sobie pomóc.

- To Sally St. John Brainerd.

David wbił w niego wzrok. - Córka Amory'ego St. Johna? Ta wariatka, która uciekła z ośrodka? I której mąż drży o jej bezpieczeństwo? Wiedziałem, że wygląda znajomo. Cholera, starzeję się. Powinienem był skojarzyć. Ach, to dlatego nosiła ciemną perukę. A potem po prostu zapomniała ją włożyć, prawda?

- Tak, ja zaś powiedziałem jej, żeby się uspokoiła, że nigdy nie skojarzysz jej z Susan Brainerd. Modliłem się, żeby tak było.

- Chciałbym uwierzyć, że na pewno w końcu bym się domyślił, ale pewnie nigdy by się tak nie stało, chyba żebym zobaczył ją, a zaraz potem zdjęcie Susan Brainerd w telewizji. Co z nią robiłeś, Quinlan?

Quinlan westchnął. - Nie wie, że jestem z FBI. Przyjęła za dobrą monetę bajeczkę o tym, że jestem prywatnym detektywem, szukającym starszej pary, która zaginęła trzy lata temu gdzieś w tej okolicy. Przyjechałem tu, bo miałem przeczucie, że będzie uciekać do swojej ciotki. Chciałem ją zabrać z powrotem.

- Ale dlaczego FBI zaangażowało się w sprawę zabójstwa?

- Chodzi nie tylko o zabójstwo. To tylko część całej sprawy. Weszliśmy w to z innych powodów.

- Wiem. Nie zamierzasz mi ich podawać.

- Wolalbym jeszcze nie. Jak już mówiłem, chciałem ją zabrać z powrotem, ale...

- Ale co?

- Dwukrotnie zatelefonował do niej ojciec. A potem, w środku nocy, zobaczyła jego twarz w oknie.

- A ty następnego ranka znalazłeś jego ślady, odciski na ziemi. Jej ojciec nie żyje, został zamordowany. Jezu, Quinlan, o co w tym chodzi?

- Nie wiem, lecz muszę ją odnaleźć. Ktoś usiłował śmiertelnie ją przestraszyć, zmusić, żeby uwierzyła w swoje szaleństwo, a ta jej ciotka nie była żadną pomocą. W kółko tylko powtarzała łagodnym, pełnym zrozumienia głosem, że też by miała omamy wzrokowe i słuchowe, gdyby przeszła przez to, co Sally. Kiedy się jeszcze doda do tego długi pobyt w tym sanatorium, to można sobie wyobrazić, że dziewczyna zacznie rozumować inaczej, prawda? Mówisz teraz o dwóch morderstwach. Muszę ją znaleźć. Wszystko jest szalone, ale nie Sally.

- Kiedy poczujesz się wystarczająco dobrze, obaj pójdziemy spotkać się z jej ciotką. Już z nią rozmawiałem, ale powiedziała jedynie, że nie widziała Sally, że dziewczyna przebywała z tobą w pensjonacie Theimy. Przeszukaliśmy twój poioj na wieży. Zniknął jej worek podróżny i wszystkie ubrania, suszarka do włosów, wszystko. Jakby nigdy jej tam nie było. Słuchaj, Quinlan, a może, gdy cię zobaczyła nieprzytomnego, naprawdę się przestraszyła i uciekła.

- Nie - rzekł Quinlan, patrząc Davidowi prosto w oczy. - Wiem, że nie zostawiłaby mnie w sytuacji, gdy leżałem nieprzytomny. Nie zachowałaby się tak.

- A więc tak to wygląda, tak?

- Bóg jeden wie, ale Sally jest bardzo honorowa i zależy jej na mnie. Nie zostawiłaby mnie.

- Musimy więc ją odnaleźć. I jeszcze jedna rzecz - jestem stróżem prawa. Skoro teraz już wiem, kim jest, moim obowiązkiem jest o tym zameldować.

- Byłbym bardzo wdzięczny, gdybyś się trochę wstrzymał z tym meldunkiem, Davidzie. Chodzi o coś więcej niż o śmierć Amory'ego St. Johna, o wiele więcej. Uwierz mi.

David długo mu się przyglądał. W końcu odezwał się: - Zgoda. Powiedz mi, co mam zrobić, żeby ci pomóc.

- Chodźmy się spotkać z ciocią Amabel Perdy.

*

Doktor Beadermeyer świetnie się bawił. Sally nie wiedziała, że małe lustro w jej pokoju było lustrem weneckim. Wydawało mu się, że nikt o tym nie wiedział. Obserwował, jak wolno siada, wyraźnie próbując skoordynować ruch rąk i nóg. Miała otępiały mózg, więc były z tym trudności, ale uparcie próbowała. Podziwiał w niej to, a jednocześnie chciał w niej to zniszczyć. Najwyraźniej upłynęło kilka chwil, zanim uświadomiła sobie, że jest naga.

Bardzo wolno, jakby była zgrzybiałą staruszką, podniosła się i podeszła do niewielkiej szafy. Wyjęła z niej koszulę nocną, leżącą tam od czasu ucieczki. Nie wiedziała, że koszula została kupiona przez niego. Chociaż się trochę chwiała, wciągnęła ją w końcu przez głowę. Potem powędrowała z powrotem i przysiadła na brzegu łóżka. Objęła rękami głowę.

Zaczynał się nudzić. Nic już nie robi? Nie zacznie krzyczeć? Cokolwiek? Już zamierzał odejść, kiedy wreszcie podniosła głowę i zobaczył łzy spływające jej po policzkach.

Już trochę lepiej. Niedługo będzie gotowa go słuchać. Już wkrótce. Opóźni następny zastrzyk o jakąś godzinę. Odwrócił się od szyby i przekręcił klucz w drzwiach prowadzących do małego pokoiku.

Sally zdawała sobie sprawę z tego, że płacze. Czowała wilgoć na twarzy i słony smak, kiedy łzy spłynęły do ust. Czemu płakała? James. Pamiętała Jamesa, jak leżał, a krew płynęła z rany nad lewym uchem. Był taki nieruchomy, tak bardzo nieruchomy. Beadermeyer dał słowo, że nie umarł. Jak może wierzyć temu potworowi?

Z Jamesem musi być wszystko dobrze. Spojrzała na jedwabną koszulę, ślizgającą się po jej skórze. Była w pięknym, brzoskwiniowym kolorze, z szerokimi ramiączkami. Ale teraz smętnie na niej wisiała. Popatrzyła na ślady po igle na ramieniu. Widać było pięć nakłuć. Pięć razy ją otumaniał. Poczowała, że w głowie zaczyna jej się rozjaśniać, powoli, tak bardzo powoli. Zaczęło docierać więcej spraw, wspomnień, nabierały kształtu i wyrazu.

Musi się stąd wydostać, zanim ją zabije albo przeniesie gdzieś indziej, gdzie nikt jej nie znajdzie. Pomyślała o Jamesie. On ją znajdzie, jeśli tylko będzie to w ludzkiej mocy.

Zmusiła się, żeby wstać. Zrobiła jeden krok, potem drugi. Po chwili kroczyła powoli, ostrożnie,

ale naturalnie. Przy wąskim oknie zatrzymała się i spojrziała na zewnątrz, na teren należący do ośrodka.

Równy skoszony trawnik ciągnął się przez dobre sto metrów, i tam spotykał się z obszarem gęsto porośniętym drzewami. Z pewnością dałaby radę dojść tak daleko; wcześniej jej się to udawało.; Musi się tylko dostać do tych drzew. W lesie im się zgubi, tak jak to zrobiła poprzednim razem. W końcu znajdzie jakąś drogę ucieczki. Znowu jej się uda.

Podeszła z powrotem do szafy. Znalazła szlafrok, dwie inne koszule nocne i parę kapci. Nic więcej. Żadnych rajstop, sukienek, bielizny.

Nie obchodziło jej to. Jeśli będzie trzeba, pójdzie w szlafroku nawet na koniec świata. Nagle następna zasłona opadła z jej mózgu i przypomniała sobie, że za pierwszym razem ukradła jednej z pielęgniarek kostium i buty. Czy będzie można to znów powtórzyć?

Kto jej to zrobił? Wiedziała, że nie ojciec. Od dawna już nie żył. To musiała być sprawka mężczyzny podającego się za jej ojca, człowieka, który do niej telefonował i którego zobaczyła w oknie. To mógł być Scott, mógł być doktor Beadermeyer czy też ktoś inny, wynajęty przez któregoś z nich.

Ale nie ojciec, dzięki Bogu. Ten nędzny bydlak wreszcie jest martwy. Modliła się, żeby piekło istniało naprawdę. Bo jeśli istniało, to ojciec siedział z pewnością w jego najgłębszych czeluściach.

Musiała się dostać do matki. Noelle jej pomoże. Kiedy Noelle pozna prawdę, będzie ją ochraniać. Ale czemu w czasie tych sześciu miesięcy pobytu w ośrodku Noelle ani razu jej nie odwiedziła? Nie zażądała wyjaśnień, dlaczego jej córka tu przebywa? Z tego, co Sally wiedziała, Noelle nie uczyniła nic, żeby jej pomóc. Czy wierzyła, że jej córka jest obłąkana? Uwierzyła swojemu mężowi? Uwierzyła zięciowi?

Jak się stąd wydostać?

*

Amabel zapytała: - Czy któryś z panów miałby ochotę na filiżankę kawy?

- Nie - krótko odparł Quinlan. - Powiedz nam, gdzie jest Sally.

Amabel westchnęła i gestem zaprosiła ich, by usiedli, - Posłuchaj, James, mówiłam już szeryfowi, że kiedy Sally zobaczyła cię zranionego, musiała się przestraszyć i uciekła. To jedyne wytłumaczenie. Sally nie jest silną dziewczyną. Wiele przeszła. Była nawet w ośrodku dla nerwowo chorych. Nie wyglądasz na zaskoczonego. Trochę jestem zdziwiona, że ci o tym powiedziała. O takich rzeczach się nie opowiada. Posłuchaj mnie, była naprawdę bardzo chora. I nadal jest. Jej ucieczka teraz, podobnie jak ucieczka z Waszyngtonu, jest zrozumiała. Jeśli mi nie wierzysz, idź do Thelmy. Martha powiedziała mi, że z pokoju Jamesa zniknęły wszystkie rzeczy Sally. Czy to nie dziwne? Nie pozostawiła po sobie nawet wspomnienia. Jakby chciała wymazać samą siebie. - Przerwała na chwilę, po czym dodała nieobecny głosem: - To niemal jakby nigdy jej tu nie było, jakbyśmy sobie tylko wyobrazili, że tu przebywała.

Quinlan zerwał się na nogi i stanął nad nią. Wyglądał piekielnie groźnie, ale David nie odezwał się nawet słowem, czekał. Quinlan przysunął twarz do twarzy Amabel i zaczął mówić powoli i wyraźnie: - Bzdura, Amabel! Sally nie jest zjawą, nie jest też wariatką, co usiłowałaś wmówić i jej, i nam. Nie wymyśliła sobie nocnych krzyków tamtej kobiety. Nie wyobraziała sobie w środku nocy twarzy swojego ojca w oknie sypialni. Starłaś się jak mogłaś, żeby zaczęła w siebie wątpić, prawda, Amabel? Próbowałaś ją przekonać, że oszalała.

- To kpiny.

Quinlan zbliżył się jeszcze bardziej, pochylił tak, że musiała oprzeć się plecami o krzesło. - Dlaczego to zrobiłaś, Amabel? Powiedziałaś przed chwilą, że wiedziałaś o jej pobycie w sanatorium. Wiedziałaś, że ktoś umieścił ją tam i przez sześć miesięcy trzymał po uszy naszpikowaną narkotykami, prawda? Nie próbowałaś umocnić jej w przekonaniu, że jest normalna jak wszyscy. Nie, ty karmiłaś ją aluzjami. Nie zaprzeczaj, sam słyszałem. Starłaś się, żeby zwątpiła w samą siebie, w swój rozsądek. Dlaczego?

Lecz Amabel tylko uśmiechnęła się smutno. Zwróciła się do Davida. - Byłam bardzo cierpliwa, szeryfie. Ten człowiek znał Sally zaledwie trochę ponad tydzień. Jestem jej ciotką. Kocham ją. Nie ma żadnego powodu, żebym chciała ją skrzywdzić. Zawsze będę chciała ją osłaniać. Przykro mi, James, ale Sally uciekła. Tak po prostu. Modlę się, żeby szeryf ją odnalazł. Nie jest silna. Trzeba się nią zająć.

Quinlan był tak wściekły, że bał się, iż za chwilę zerwie ją z krzeselka i zacznie nią potrząsać. Cofnął się i zaczął spacerować po niewielkim saloniku. David obserwował go przez chwilę, wreszcie odezwał się: - Pani Perdy, jeśli Sally uciekła, czy domyśla się pani, gdzie mogłaby się skierować?

- Na Alaskę. Powiedziała, że chciałyby pojechać na Alaskę. Stwierdziła, że wolałyby Meksyk, ale nie ma paszportu. Tylko tyle mogę panu powiedzieć, szeryfie. Naturalnie, jeśli tylko Sally się odezwie, natychmiast dam panu znać. - Amabel wstała z krzesła. - Przykro mi, James. Wiesz, kim jest Sally. Bardzo możliwe, że podałeś szeryfowi Mountebankowi jej prawdziwe nazwisko. Przed Sally jest wiele spraw, którym w końcu będzie musiała stawić czoło. Jeśli zaś chodzi o jej stan psychiczny, to kto tu może coś wiedzieć? Możemy się tylko wszyscy modlić.

James miał ochotę objąć palcami jej cygańską szyję i ścisnąć. Łgała, psiakrew, ale robiła to bardzo dobrze. Sally nie uciekłyby, widząc go leżącego bez przytomności u swoich stóp. Na pewno.

A to oznaczało, że ktoś ją dopadł.

I tym kimś była osoba udająca jej ojca. James gotów był się o to założyć. Teraz wiedział już, co ma robić. Miał nawet podejrzenie, gdzie mogłaby być. Na samą myśl krew ścięła mu się w żyłach.

ROZDZIAŁ 13

Noc była ciemna. Ani blade światło skrawka księżyca, ani pojedyncza gwiazda nie rozjaśniały smoliście czarnego nieba. Czarne chmury kłębiły się i przesuwały, ale nie odsłaniały nic poza jeszcze głębszą czernią.

Sally patrzyła przez okno, raz za razem głęboko chwyając powietrze. Niedługo się pojawią, żeby dać jej następny zastrzyk. Żadnych tabletek, słyszała słowa doktora Beadermeyera, bo może je znowu schować w ustach. Oświadczył, że nie chce jej więcej krzywdzić, drań.

Była też nowa pielęgniarka - na plakietce widniało imię Rosalee - o twarzy tak pozbawionej wyrazu jak oblicze Hollanda. Nie odzywała się do Sally, ograniczając się tylko do zwięzłych poleceń, co ma robić i w jaki sposób. Pilnowała jej w łazience, co Sally uznawała za przyjemniejsze niż obecność w tym miejscu Hollanda.

Doktor Beadermyer nie chciał, żeby jej się stała jakaś krzywda? Jeśli tak, to tylko dlatego, że sam chciał ją skrzywdzić. Nie widziała nikogo, poza Beadermeyerem, Hollandem i siostrą Rosalee. Zmusili ją, żeby nie oddalała się ze swojego pokoju. Nie miała nic do czytania, nie było telewizora. Nic nie wiedziała ani o matce, ani o Scotcie. Przez większą część czasu była tak otumaniona lekami, że było jej wszystko jedno, nie wiedziała nawet, kim jest. Teraz jednak wiedziała, teraz mogła rozsądnie myśleć i z każdą minutą stawała się coraz silniejsza.

Gdyby tylko Beadermeyer wstrzymał się jeszcze kilka minut, może kwadrans, byłaby gotowa.

Ale nie dał jej nawet dwóch minut. Podskoczyła, kiedy usłyszała, jak przekręca klucz w drzwiach. Nie było czasu, żeby zająć właściwą pozycję. Stała cała sztywna przy oknie w jedwabnej koszuli nocnej w kolorze brzoskwini.

- Dobry wieczór, moja droga Sally. Wyglądasz świeżo i całkiem ładnie w tej koszulce. Czy zechciałabyś teraz zdjąć ją dla mnie?

- Nie.

- Aha, a więc odzyskałaś już zdolność myślenia, prawda? Chciałbym z tobą pogawędzić przez chwilę, zanim wyślę cię z powrotem w niebyt. Usiądź, Sally.

- Nie. Chcę stać jak najdalej od ciebie.

- Jak sobie życzysz. - Ubrany był w ciemnoniebieski sweter i czarne spodnie. Ciemne włosy miał zaczesane gładko do tyłu i wyglądał, jakby właśnie wyszedł spod prysznica. W białym garniturze zębów dwie górne jedyńki były krzywe i zachodziły na siebie.

- Masz paskudne zęby - zauważyła teraz. - Dlaczego jako dziecko nie nosiłeś aparatu korygującego?

Słowa te wypowiedziała bez zastanowienia; następny dowód na to, że nadal jeszcze nie myślała zupełnie jasno.

Wyglądał tak, jakby chciał ją zabić. Bezwiednie podniósł palce, aby dotknąć zębów, po czym opuścił rękę. Dzielili ich zaledwie wąska smuga cienia, ale rozpoznała kipiącą w nim złość i chęć, żeby jej zadać ból.

Opanował się. - Cóż, jesteś dziś trochę jędzowata, prawda?

- Nie - powiedziała, stale go obserwując, cała napięta, świadoma tego, że chce ją zaatakować i

bardzo skrzywdzić. Nie zdawała sobie sprawy, że stacją na taką nienawiść wobec kogokolwiek. Wobec kogokolwiek, poza ojcem. I poza mężem.

Wreszcie usiadł na krześle i założył nogę na nogę. Zdjął okulary i położył je na małym okrągłym stolyczku koło łóżka. Stała na nim karafka z wodą i szklanka, nic więcej.

- Czego chcesz? - Karafka była plastikowa; nawet gdyby wyrznięta go nią z całej siły w głowę, nie zrobiłaby mu krzywdy. Ale stół był solidny. Gdyby tylko była wystarczająco szybka, mogłaby go uchwycić i roztrzaskać o Beadermeyera. Miała jednak świadomość, że musiałaby być bez narkotyków jeszcze co najmniej godzinę, żeby mieć dość sił. Czy będzie umiała tak długo podtrzymać rozmowę? Wątpiła w to. Wątpiła, ale warto było spróbować.

- Czego chcesz? - powtórzyła. Nie potrafiła się zmusić do zrobienia nawet jednego kroku w jego stronę.

- Jestem znudzony - powiedział. - Zarabiam tyle pieniędzy, ale nigdy nie mogę opuścić tego miejsca.

Chcę mieć przyjemność z moich pieniędzy. Co proponujesz?

- Pozwól mi odejść, a dopilnuję, żebyś miał jeszcze więcej pieniędzy.

- To by się kłóciło z ideą tego ośrodka, nieprawdaż?

- Chcesz powiedzieć, że poza mną trzymasz tu innych ludzi, którzy są zupełnie zdrowi? Więżysz innych ludzi? Innych ludzi, za których przetrzymywanie ci zapłacono?

- To jest bardzo mały, dyskretny ośrodek, Sally. Niewiele osób wie o jego istnieniu. Zdobywam pacjentów z polecenia, które bardzo uważnie sprawdzam. Posłuchaj mnie. Pierwszy raz rozmawiam z tobą jak z dorosłą. Przez sześć miesięcy byłaś u mnie, całe sześć miesięcy i zabawy było z tobą tyle, co z połamaną lalką, z wyjątkiem tego razu, kiedy wyskoczyłaś z okna mojego gabinetu. I właśnie to wydarzenie przekonało twoją kochaną mamę, że jesteś wariatką. Mnie zaś skłoniło do zwrócenia na ciebie baczniejszej uwagi, ale nie na długo. Teraz jest dużo lepiej. Gdybym tylko mógł ci zaufać, że znów nie będziesz próbowała ucieczki, nie podawałbym ci leków, tak jak teraz.

- Jak sobie wyobrażasz, że mogłabym uciec?

- Na nieszczęście Holland jest całkiem głupi, a to właśnie on najczęściej się tobą zajmuje. Wydaje mi się, że siostra Rosalee troszeczkę się ciebie boi. Czy to nie dziwne? Zaś co do Hollanda, błagał mnie, żebym pozwolił mu się tobą opiekować, żalosne stworzenie. Tak, mogę sobie wyobrazić, jak czekasz za drzwiami na jego przyjście. Co byś wtedy zrobiła, Sally? Rąbnęła go w głowę stolikiem? To by go ogłuszyło. Mogłabyś go wtedy rozebrać, chociaż wątpię, aby ci to sprawiło taką przyjemność, jak jemu rozbieranie ciebie. Jak widzisz, jestem w trudnej sytuacji. I proszę, nie ruszaj się. Pamiętaj, nie jestem Hollandem. Zostań tam, gdzie stoisz, bo inaczej od razu dostaniesz solidny zastrzyk.

- Nie przesunęłam się ani o milimetr. Dlaczego tu jestem? Jak mnie znalazłeś? Amabel musiała dać ci znać. Ale dlaczego? I kto chciał, żebym tu wróciła? Mój mąż? Czy to ty udawałeś mojego ojca, czy też Scott?

- Mówisz o swoim biednym mężu, jakby był dla ciebie kimś obcym. Chodzi o Jamesa Quinlana, tak? Spałaś z nim, zabawiałaś się z nim, a teraz chcesz rzucić nieszczęsnego Scotta. Nigdy bym nie podejrzewał, że jesteś taką niestałą kobietą, Sally. Poczekaj, aż powiem Scottowi, co zrobiłaś.

- Kiedy będziesz rozmawiał ze Scottem Brainerdem, powiedz mu, że zdecydowanie zamierzam go zabić, gdy tylko wydobanę się z tego miejsca. A będę wolna już niedługo, doktorze Beadermeyer.

- Och, Sally, pewien jestem, że Scott pragnie, abym uczynił z ciebie osobę bardziej uległą. Nie

lubi kobiet agresywnych, pochłoniętych własną karierą zawodową. Uwierz mi, że się tym zajmę, Sally.

- Albo ty, albo Scott, któryś z was zadzwonił do mnie do Cove, udając mojego ojca. Jeden z was przyjechał do Cove i wdrapał się na tę głupią drabinę, żeby mnie śmiertelnie wystraszyć i przekonać, że jestem obłąkana. Nikt inny nie mógł tego zrobić. Mój ojciec nie żyje.

- Tak, Amory nie żyje. Osobiście sądzę, że to ty go zabiłaś, Sally. Zabiłaś go?

- Nie wiem, czy rzeczywiście chcesz usłyszeć prawdę. Nic nie pamiętam z wydarzeń tamtej nocy. Ale pamięć mi wróci. Musi.

- Nie licz na to. Jeden z leków, który ci podaję, powoduje osłabienie pamięci. Nikt jeszcze nie zna skutków ubocznych jego działania przy długim podawaniu. A ty będziesz go dostawać przez całe życie, Sally.

Podniósł się i podszedł do niej. - Teraz - powiedział. Uśmiechał się. Nie mogła się powstrzymać. Kiedy chciał ją pochwycić, jak mogła najmocniej uderzyła go pięścią w szczękę. Głowa odskoczyła mu do tyłu. Uderzyła go jeszcze raz, kopnęła z całych sił w krocze i pobiegła, żeby złapać stolik.

Lecz potknęła się, w głowie jej zawiroowało, ogarnęły ją mdłości. Nogi ugięły się pod nią. Upadła na podłogę.

Usłyszała nad sobą jego sapanie. Musi się dostać do stolika. Z trudem stanęła na nogach, zmuszała stopy, by się posuwały jedna za drugą. Był już teraz tuż za nią, stękał, stękał, cierpiał z bólu, zrobiła mu krzywdę. Gdyby go nie znokautowała, to on czerpałby ogromną przyjemność, zadając jej cierpienie. Proszę, Boże, błagam, błagam.

Chwyciła stolik, podniosła go i obróciła się przodem do Beadermeyera. Był tak blisko, ręce z zakrzywionymi palcami wyciągał w stronę jej szyi.

- Holland!

- Nie - powiedziała i zamachnęła się na niego stolikiem. Ale był to daremny wysiłek, bo zablokował stolik ramieniem.

- Holland!

Drzwi otworzyły się i do pokoju wpadł Holland.

- Łap tę sukę, łap ją!

- Nie, nie. - Cofnęła się, ale dalej nie było już gdzie, pozostawało wąskie łóżko. Stolik trzymała przed sobą jak tarczę.

Doktor Beadermeyer trzymał się za krocze, a twarz miał zbolałą. Boże, zrobiła mu krzywdę. Warto było, bez względu na to, co jej zrobi. Zadała mu ból.

- Dość już, Sally. - To był głos Hollanda, miękki, zachrypnięty, przerażający.

- Zabiję cię, Holland. Trzymaj się ode mnie z daleka. - Ale była to czcza groźba. Ręce jej się trzęsły, w żołądku ścisnęło. Czowała smak żółci. Upuściła stolik, opadła na kolana i zwymiotowała na włoskie pantofle doktora Beadermeyera.

- Czy mi pomożesz, czy nie, Dillon, tak czy inaczej nie wspominaj o tym żywej duszy.

- Cholera, Quinlan, wiesz, o co prosisz? - Dillon Savich odchylił się na krześle tak mocno, że cudem zachował równowagę. Ekran jego komputera rozświetlało zdjęcie twarzy młodego mężczyzny, wyglądającego na maklera, dobrze ubranego, o miłym uśmiechu i starannie przystrzyżonych włosach.

- Tak. Jedziesz ze mną do tego sanatorium i uwolnimy Sally. A potem uporządkujemy cały ten bałagan. Staniemy się bohaterami. Nie będziesz się musiał odrywać od swojego komputera na dłużej niż kilka godzin. Może na trzy godziny, jeśli chcesz zostać bohaterem. Zabierz swojego laptopa i

modem. Nadal będziesz mógł włamywać się do dowolnego systemu.

- Marvin utnie nam jaja. Wiesz, że nie znosi, kiedy zaczynasz coś na własną rękę, bez rozmowy z nim.

- Przypiszemy Marvinowi całą zasługę. FBI będzie błyszczało. Marvin będzie się uśmiechał od ucha do ucha. Sceduje całą zasługę na swojego szefa, wicedyrektora Shruggsa, żeby ten jemu z kolei nie obciął jaj. Shruggs będzie szczęśliwy jak głupi. I tak dalej, i tak dalej. Sally będzie bezpieczna, a my rozwiążemy piekielną sprawę tamtego morderstwa.

- Nadal ignorujesz fakt, że Sally sama mogła zabić ojca. To jedna z możliwości. Co z tobą? Jak możesz to lekceważyć?

- Owszem pomijam tę możliwość, muszę. Ale rozwiążemy tę sprawę, prawda?

- Związałeś się z nią, prawda? A spędziłeś z nią zaledwie tydzień. Kirn ona jest, syreną jakąś, czy co?

- Nie, jest chudą, drobną blondynką, mającą więcej hartu niż można sobie wyobrazić.

- Nie wierzę. Nie, zamknij się teraz Quinlan, muszę pomyśleć. - Dillon przysunął się do biurka i wbił wzrok w zdjęcie mężczyzny na ekranie komputera. Powiedział nieobecny tonem: - To prawdopodobnie ta gnida, która morduje bezdomnych w Minneapolis.

- Zostaw na chwilę gnidę w spokoju. Myśl, przeżuwasz, obojętne. Będziesz próbował rozważyć wszelkie za i przeciw. Swoim komputerowym umysłem spróbujesz przewidzieć wszystkie konsekwencje. Nie ułożyłeś jeszcze na to programu?

- Jeszcze nie, ale niewiele mi brakuje. Daj spokój, Quinlan, przecież kochasz mnie dla mojego umysłu. Co najmniej trzy razy ocaliłem twój tyłek. Nie zamieniłbyś mnie na żadnego innego agenta. Zamknij się. Muszę teraz podjąć ważną decyzję.

- Masz dziesięć minut. Ani sekundy dłużej. Muszę się do niej dostać. Diabli wiedzą, co jej tam robią, czym ją szpikują. Jezu, może już nie żyje. Albo ją już gdzieś przenieśli. Jeśli typ, który mi przyłożył, pofatygował się, żeby sprawdzić moją legitymację, to wiedzą już, że jestem z FBI. Ale nawet jeśli nie sprawdzili, i tak nie mamy wiele czasu. Wiem, że ją przeniosą, bo to jedyne rozsądne posunięcie.

- Skąd masz taką pewność, że jest w tym ośrodku?

- Nie zaryzykowałiby wywiezienia jej w inne miejsce.

- Jacy „oni”? Nie, nie wiesz. A więc dziesięć minut. Nie, cicho bądź, Guinlan.

- Dzięki Bogu, że byłeś już dziś rano na siłowni, bo inaczej musiałbym czekać, jak będziesz wypacał swoje kilogramy. Idę po kawę.

Quinlan udał się do niewielkiego pomieszczenia socjalnego w końcu korytarza. Czwarte piętro nie robiło wrażenia nieprzyjemnego, niegościnnego miejsca. Nie miało prawa, odkąd do budynku zaczęto wpuszczać turystów. Nie wyglądało tu zanadto oficjalnie, wszystko było raczej wysłużone. Nadal leżało jasnobrazowe linoleum, z pokładami żwiru, przez lata całe wdeptywanymi głęboko w jego powierzchnię.

Nalał sobie kubek kawy, powąchał, potem ostrożnie upił łyk. Tak, kawa ciągle powodowała skurcz w krtani, ale równocześnie doskonale trzymała na wodzy nerwy. Prawdopodobnie bez niej agent federalny załamałby się i zginął marnie.

Potrzebował Dillona. Wiedział, że w sytuacji, gdyby się okazało, że nie dadzą rady, Dillon stanowiłby świetną podporę. Kusilo go, żeby udać się z Duiles prosto do Marylandu, ale starannie przemyślał sprawę. Siedział w tym aż po szyję, a chciał również uratować szyję Sally.

Nie miał pojęcia o środkach ostrożności w sanatorium Beadermeyera, ale Dillon je rozpracuje i będą mogli dostać się do środka. Nie mógł ryzykować zaalarmowania swojego szefa, Brammera. Nie mógł zaryzykować, że sprawa ratowania Sally spali na panewce.

Upił więcej kawy, poczuł, jak kofeina niemal równocześnie dociera do mózgu i do żołądka.

Powrócił do pokoju Dillona. - Minęło dziesięć minut.

- Czekałem na ciebie, Quinlan. Chodźmy.

- Tak po prostu? Żadnych nowych argumentów? Żadnego mówienia, że mamy trzynaście procent szansy na to, iż jeden z nas skończy w jakimś rowie z poderżniętym gardłem?

- Nie - odparł pogodnie Diii, wyjął z drukarki kilka kartek papieru i wstał. - Tu masz plan sanatorium. Chyba znalazłem miejsce, któredy będziemy mogli najbezpieczniej dostać się do środka.

- Podjąłeś decyzję, jeszcze zanim wyrzuciłeś mnie z pokoju.

- Jasne. Chciałem tylko rzucić okiem na plan. Nie byłem pewien, czy mi się uda go zdobyć, ale udało się. Chodź, pokażę ci najlepszą drogę do środka. Powiedz, co o tym myślisz.

*

- Czy zmusiłeś ją do umycia zębów i wypłukania ust?

- Tak, doktorze Beadermeyer. Opluła mnie płynem do płukania, ale trochę zostało jej w ustach.

- Nienawidzę smrodu wymiocin - powiedział Beadermeyer, patrząc na swoje buty. Wyczyścił je najlepiej, jak się dało. Na samą myśl o tym, co zrobiła, miał ochotę znów ją uderzyć, ale nie miałby z tego żadnej przyjemności. Była nieprzytomna.

- Nie będzie kontaktować jeszcze co najmniej przez cztery godziny. Potem zmniejszę dawkę i będę ją trzymał w stanie miłego uspokojenia.

- Mam nadzieję, że dawka nie jest za duża.

- Nie bądź głupcem. Nie mam zamiaru jej zabijać, przynajmniej nie teraz. Nie wiem jeszcze, co się stanie. Jutro rano zabieram ją stąd.

- Tak, zanim po nią przyjdzie.

- Czemu to powiedziałaś, Holland? Do diabła, skąd to wszystko wiesz?

- Po zastrzyku, który pan jej dał, siedziałem koto niej, a ona szeptała, że James na pewno tu przyjdzie, że wie o tym.

- To kompletna wariatka. Wiesz o tym, Holland.

- Tak, doktorze.

Psiakrew. Quinlan może się dowiedzieć wszystkiego, czego tylko będzie chciał o sanatorium, korzystając z szybkiej informacji komputerowej. Poczul pod pachami wilgoć własnego potu. Cholera, to nie powinno było się zdarzyć. Zaczął rozważać, czy nie wywieźć jej stąd zaraz, jeszcze tej nocy.

Powinni byli zabić tego przekłętą agenta, kiedy mieli go w swojej mocy, a że się bali, więc teraz on sam będzie musiał sobie z tym poradzić.

Jeśli jest sprytny, jeśli chce sobie zapewnić bezpieczeństwo, powinien wywieźć Sally od razu.

Gdzie ją zabrać? Jezu, ależ był zmęczony. Masując kark, wrócił do swojego gabinetu.

Pani Willard nie zostawiła mu żadnej kawy, niech ją szlag trafi. Usiadł za mahoniowym biurkiem, które zapewniało ponadmetrowy dystans od pacjentów, i rozparł się w fotelu.

Kiedy pojawi się tu Quinlan i jego kolesie z FBI? Beadermeyer wiedział na pewno, że się pojawi. Przyjechał za nią aż do Cove. Przyjedzie też i tutaj. Ale jak prędko? Ile ma jeszcze czasu? Podniósł słuchawkę i wybrał numer. Będą musieli natychmiast podjąć decyzję. Koniec zabawy.

*

Noc była czarna jak smoła. Zostawili oldsmobila jakieś dwadzieścia metrów przed bramą sanatorium Beadermeyera. Nad czarną żelazną kratą umieszczono ozdobne litery, składające się w fantazyjny napis.

- Pretensjonalny bydlak.

- Tak - przytaknął Dillon. - Niech pomyślę, czy nie ma jeszcze czegoś, co powinienem ci powiedzieć o naszym doktorze. Po pierwsze, nie sądzę, żeby wiele osób dysponowało informacjami o nim. Jest wybitny i pozbawiony skrupułów. Świat jest tak urządzony, że jeśli jesteś wystarczająco bogaty i dyskretny, a bardzo chcesz kogoś usunąć w cień, wtedy Beadermeyer przejmie taką osobę z twoich rąk. Oczywiście to tylko plotki, ale kto wie? Komu Sally tak bardzo przeszkadzała, że umieścił ją tutaj? Pomyśl, Quinlan, może ona jest naprawdę chora.

- Nie jest chora. Kto ją umieścił? Nie wiem. Nigdy mi nie powiedziała. Nigdy nie wymieniła nazwiska Beadermeyera. Ale to musi być on. Skieruj latarkę do dołu, Dillon. Tak lepiej. Kto wie, jaki ma system zabezpieczeń?

- Tego nie mogłem znaleźć, ale spójrz, płot nie jest pod napięciem.

Obaj byli ubrani na czarno, na rękach mieli grube czarne rękawice. Czterometrowej wysokości płot nie stanowił dla nich najmniejszego problemu. Lekko zeskoczyli na sprężystą trawę po drugiej stronie ogrodzenia.

- Jak na razie, całkiem nieźle - powiedział Guinlan, zataczając szeroki łuk nisko trzymaną latarką.

- Trzymajmy się blisko linii drzew.

Obaj mężczyźni posuwali się szybko, zgięci wpół, za światłem latarki, która wąskim snopem oświetlała teren tuż przed nimi.

- O cholera - zaklął Dillon.

- Co? Aha. - Dwa owczarki niemieckie gnały w ich stronę.

- Psiakrew, nie chcę ich zabijać.

- Nie musisz. Tylko stój spokojnie, Dillon.

- Co zamierzasz...

Dillon zobaczył, jak Quinlan wyciąga spod czarnej bluzy owiniętą plastikiem paczuszkę. Rozwinął ją; w środku znajdowały się trzy kawatki surowego mięsa.

Psy były w odległości zaledwie czterech metrów. Quinlan nadal się nie poruszał, wyczekując, wyczekując.

- Jeszcze jedna sekunda - mruknął i rzucił jeden kawałek mięsa w jedną, drugi w przeciwną stronę. Psy natychmiast rzuciły się do mięsa.

- Ruszajmy. Ostatni kawałek zachowam na drogę powrotną.

- Niezły system bezpieczeństwa - zauważył Dillon.

Zaczęli bieć, nisko pochyleni, z wyłączoną latarką, gdyż kilka lamp, zapalonych na długim, rozciągającym się przed nimi budynku wystarczająco oświetlało drogę.

- Mówiłeś, że wszystkie pokoje pacjentów usytuowane są w lewym skrzydle.

- Zgadza się. Gabinet Beadermeyera jest na samym końcu prawego skrzydła. Jeśli drań jest tam jeszcze, to będzie w bezpiecznej odległości.

- Powinna tam być jeszcze jakaś mała dyżurka.

- Mam nadzieję. Nie miałem czasu na przejrzanie informacji o personelu i administracji. Nie wiem, ile osób pracuje na nocnej zmianie.

- Przeklęta, beużyteczna maszyna.

Dillon roześmiał się. - Nie przyganiaj mi, że wziąłem ślub ze swoim komputerem, bo sam większość weekendów spędzasz w tym swoim cholernym klubie, zawodząc na saksofonie. Hola, Guinlan, stój.

Zastygli natychmiast, przywierając do ściany budynku, za dwoma wysokimi krzakami. Ktoś nadchodził energicznym krokiem, z latarką w rękach.

Gwizdał motyw muzyczny z „Przeminęło z wiatrem”.

- Romantyczny strażnik - szepnął Quinlan.

Mężczyzna poświecił latarką na boki i znów do przodu. Nie przestawał gwizdać. Plama światła przesunęła się tuż nad ich pochylonymi głowami, ukazując oczom strażnika tylko czarne cienie.

- Mam jedynie nadzieję, że Sally tu jest - powiedział Quinlan. - Beadermeyer musi wiedzieć, że się zjawię. Jeśli to on mnie uderzył, na pewno sprawdził moją legitymację. A co będzie, jeśli już ją wywieźli?

- Jest tutaj. Przestań się martwić. A jeśli jej nie ma, no cóż, wtedy szybko ją znajdziemy. Czy mówiłem ci, że byłem dziś umówiony na randkę? Miałem randkę, a patrz, co robię zamiast tego. Bawię się z tobą w ekipę ratowniczą. Przestań się zamartwiać. Jesteś sprytniejszy od Beadermeyera. Nadal tu jest, gotów jestem się założyć. Mam wrażenie, że w tym Beadermeyerze jest więcej arogancji niż w większości śmiertelników. Chyba drań wierzy, że jest niezwyciężony.

Znów się poruszali, zgięci prawie do ziemi, bez latarki, jak dwa cienie sunące ponad starannie utrzymanym trawnikiem.

- Musimy się dostać do środka.

- Niedługo - rzekł Dillon. - Na razie do przodu. Później będzie trudniej. Wyobraź sobie, kiedy nas zobaczą w strojach włamywaczy wałęsających się po korytarzach.

- Szybko znajdziemy jakąś pielęgniarkę, która nam powie, gdzie szukać.

- Jesteśmy już prawie przy wyjściu ewakuacyjnym. Już jesteśmy. Pomóż mi otworzyć drzwi, Quinlan.

Dzięki Bogu dobrze naoliwione, pomyślał Quinlan, kiedy ostrożnie zamknęli za sobą drzwi. Włączył latarkę. Znajdowali się w zamkniętym pomieszczeniu, mogącym pomieścić co najmniej sześć samochodów. Chwilowo stały tam cztery auta. Obeszli je, po czym Quinlan światłem latarki omiół tablice rejestracyjne.

- Spójrz, Dillon. Nieźle zgadłem, co? Drań ma nietypową tablicę - BEADRMYYR. A więc nadal tu jest.

Nie miałbym nic przeciwko spotkaniu się z nim.

- Marvin miałby nasze jaja.

Quinlan roześmiał się.

Dillon użył jednego ze swoich wytrychów, żeby otworzyć zamek w drzwiach. Zajęło mu to zaledwie moment.

- Robisz się w tym dobry.

- Nabierałem wprawy w Quantico co najmniej sześć godzin. - Mieli tam ze trzy tuziny zamków różnych typów. Ćwiczyli cię ze stoperem. Byłem szósty.

- Ilu agentów odbywało przeszkolenie?

- Siedmioro. Ja i sześć kobiet.

- Później chętnie dowiem się czegoś więcej.

Znaleźli się w długim korytarzu, oświetlonym lampami, dającymi przyćmione, łagodne światło.

Na drzwiach nie było tabliczek z nazwiskami, tylko numery.

- Musimy dorwać jakąś pielęgniarkę - rzekł Dillon.

Zza rogu korytarza wyszli wprost na pokój pielęgniarek. W środku była tylko jedna kobieta, która czytała książkę. Od czasu do czasu zerknęła na ekran telewizora, stojącego na wprost niej. Byli tuż koło niej, kiedy w końcu ich zauważyła. Gwałtownie wciągnęła powietrze, a gdy usiłowała poderwać się z krzeselka i pobiec, książka upadła na linoleum.

Quinlan złapał ją za rękę i delikatnie zacisnął dłoń na jej ustach. - Nie zrobimy ci krzywdy, tylko bądź cicho. Masz spis pacjentów, Dillon?

- Tak, jest tutaj. Pokój 222.

- Przepraszam - spokojnie powiedział Quinlan i wymierzył jej cios w szczękę. Opadła na niego. Opuścił ją na podłogę i przeciągnął pod biurko.

- Mijaliśmy pokój 222. Szybko, Dillon. Mam wrażenie, że nasza świetlana przyszłość za chwilę legnie w gruzach.

Szybko pobiegli korytarzem, przebywając połowę drogi, którą przyszli. - Tu jest. Nie ma światła. To dobrze.

Quinlan powoli napadł na drzwi. Tak jak podejrzewał, cholerne drzwi były zamknięte na klucz. Przepuścił Dillona. Ten obejrzał zamek, potem wyciągnął wytrych. Nie powiedział ani słowa, tylko zamienił wytrych na inny. Po długich trzech minutach zamek się otworzył.

Quinlan gwałtownie otworzył drzwi. Delikatne światło z korytarza wpadło do środka, prosto na oblicze mężczyzny, siedzącego na wąskim łóżku i pochylającego się nad kobietą.

Mężczyzna obrócił się na łóżku, lekko się uniósł, z ustami gotowymi do krzyku.

ROZDZIAŁ 14

- Nie wiedziałem, że umiesz tak szybko się poruszać - powiedział z podziwem Dillon, kiedy Quinlan rzucił się do łóżka i wyrzwał mężczyźną pięścią w usta, zanim ten zdążył wydać choćby jeden dźwięk. Zrzucił go z łóżka na podłogę.

- Czy to jest Sally Brainerd?

Quinlan zerknął szybko na małego człowieczka, który zaczął krwawić z nosa, potem przeniósł wzrok na kobietę na łóżku. - To Sally - rzekł głosem tak przepełnionym wściekłością, że Dillon obrzucił go zdumionym spojrzeniem. - Poczekaj, zamknę drzwi. Wtedy będziemy mogli skorzystać z naszych latarek. Zwiąż czymś tego małego jegomościa.

Quinlan poświecił latarką na jej twarz. Był wstrząśnięty bladością i bezwładem jej ciała. - Sally - zawołał, leciutko klepiąc ją po twarzy.

Nie zareagowała.

- Sally - powtórzył i tym razem nią potrząsnął. Kołdra zsunęła się w dół i zobaczył, że jest naga. Zerknął na wąłego mężczyznę, który leżał teraz nieprzytomny i związany. Czyżby planował ją zgwałcić?

Była zupełnie nieprzytomna. Oświetlił latarką jej nagie ramię. Dostrzegł sześć śladów po igle.

Przekłęte dranie. - Spójrz, Dillon. Popatrz tylko, co jej zrobili.

Dillon ostrożnie przesunął palcami po śladach ukłuć. - Wygląda na to, że tym razem dali jej naprawdę dużą dawkę - zauważył, kiedy pochylił się nad nią i unióś jej powieki. - Naprawdę potężna dawka - powtórzył. - Przekłęte dranie.

- Zapłacą za to. Zobacz, jakie ubranie jest w szafie.

Quinlan dostrzegł, że Sally miała starannie zaczesane do tyłu włosy. To musiał zrobić ten mały człowieczek, który się nad nią pochylał. Quinlan był tego pewien. Przeszył go dreszcz. Jezu, co się tu działo?

- Jest koszula nocna, szlafrok i kapcie. Nic więcej.

W parę minut Quinlan naciągnął na nią koszulę i szlafrok. Trudno jest ubierać nieprzytomną osobę, nawet tak drobną. Wreszcie przerzucił ją sobie przez ramię. - Zmywajmy się stąd.

Wyśliznęli się już przez wyjście ewakuacyjne i zamierzali wyjść z garażu, gdy zawyły syreny alarmowe.

- Pielęgniarka - powiedział Quinlan. - Psiakrew, trzeba było ją związać.

- Mamy czas. Damy radę.

Kiedy Quinlan się zmęczył, Dillon przejął od niego Sally. Byli prawie przy płocie, gdy owczarki niemieckie rzuciły się w ich stronę, ujadając głośniejsz niż pies Baskerville'ów.

Quinlan cisnął ostatni kawałek mięsa. Nie zatrzymali się, żeby sprawdzić, co zrobiły z nim psy.

Dobiegłszy do płotu, Quinlan wspiał się nań szybciej, niż kiedykolwiek wdrapywał się na cokolwiek. Na górze wychylił się ku Dillonowi. - Podaj mi ją.

- Jest jak kurczak pozbawiony kości - rzucił Dillon, próbując dobrze ją uchwycić. Przy trzeciej próbie Quinlanowi udało się złapać jej nadgarstki. Powoli wciągnął ją na górę i przytrzymał, obejmując w pół, dopóki Dillon nie znalazł się obok niego na szczycie ogrodzenia. Zanim Dillon

obrócił się i zeskoczył na ziemię, Quinlanowi zdrętwiały ręce. Przekręcił ją i zaczął ją opuszczać. - Pospiesz się, Quinlan, szybko.

W porządku, to już tylko parę centymetrów. Już ją mam. Schodź na dół!

Szczekanie psów było coraz głośniejsze. Mięso zatrzymało je zaledwie na czterdzieści pięć sekund.

Usłyszeli krzyki kilku mężczyzn.

Ktoś zaczął strzelać, jeden z pocisków trafił w żelazne ogrodzenie tak blisko głowy Quinlana, że poczuł rozchodzące się ciepło.

Zza męskich głosów przebijał się ostry kobiecy krzyk.

- Zmywajmy się stąd - odezwał się Quinlan, przerzucił sobie Sally przez ramię i co sił w nogach pobiegł do oldsmobila.

Strzały nie ustawały, dopóki nie minęli zakrętu i nie znikli z pola widzenia.

- Jeśli wypuszczą na nas psy, będziemy mieli niezły pasztet - zauważył Dillon.

Quinlan miał nadzieję, że to nie nastąpi. Nie chciał zabijać tych pięknych zwierząt.

Poczuł ogromną ulgę, kiedy parę minut później zatrzasnęli za sobą drzwi samochodu. - Dzięki Bogu za nadmiar łaski.

- Dobrze powiedziane. Ha, ale była zabawa. A teraz gdzie, do twojego mieszkania, Quinlan?

- Och nie, jedziemy do Delaware, to tylko godzina jazdy. Poprowadzę cię. Zdumiewa mnie tylko, że mimo wszystko zabrali ją znowu w to samo miejsce. Musieli się spodziewać, że przede wszystkim tu jej będę szukał. Mogę się założyć, że wywieźliby ją jutro rano, więc nie zamierzam być tak samo głupi. Nie możemy pojechać do mnie.

- Masz rację. Kiedy ktoś w Cove dał ci po głowie, musiał przeszukać ci kieszenie. Wiedzą, że jesteś z FBI. Dlatego cię nie zabili, gotów jestem się założyć o mój pistolet. To byłoby dla nich zbyt wielkie ryzyko.

- Tak. Pojedziemy do domku letniskowego moich rodziców nad jeziorem. Tam będzie bezpiecznie. Nikt poza tobą nie wie o tym miejscu. Nikomu nie powiedziałaś, prawda, Dillon?

Dillon potrząsnął głową. - Co masz zamiar z nią zrobić, Quinlan? To całkowicie niezgodne z przepisami.

Spoczywała na kolanach Quinlana, z głową wtuloną w jego ramię. James przykrył ją swoją czarną marynarką. W samochodzie było gorąco. - Zaczekam}', aż zaczniesz dochodzić do siebie po tych narkotykach i zobaczymy, co wie. Potem uporządkujemy wszystko. Jak ci się to podoba?

- Zupełnie jakbyśmy byli parą cholernych bohaterów - westchnął Dillon. - Brammerowi to się nie spodoba. Pewnie będzie próbował przenieść nas na Alaskę, za karę, że się wyłamujemy z pracy zespołowej. Ale cóż, nie dzielimy skóry na niedźwiedziu.

Kiedy się ocknęła, zobaczyła przyglądającego jej się obcego mężczyznę, którego nos znajdował się nie dalej niż piętnaście centymetrów od jej twarzy. Chwilę trwało, zanim dotarło do niej, że to człowiek z krwi i kości, a nie jakieś widmo z niezdrowego snu. Czowała, że ma spierzchnięte wargi. Trudno jej było zmusić się do mówienia, ale przemogła się.

- Nie ma znaczenia, czy przysłał cię doktor Beadermeyer. - I plunęła na niego.

Dillon gwałtownie odskoczył do tyłu, wierzchem dłoni przetarł nos i policzek. - Jestem bohaterem, nie czarnym charakterem. Nie przysłał mnie Beadermeyer.

Sally usiłowała odcedzić jego słowa, zrozumieć ich sens. Zdawało się, że jej mózg nadal chce drzemać, jakby jego część była odrętwiała, jak ręka czy noga trzymana zbyt długo w jednej pozycji. -

Jesteś bohaterem?

- Tak, prawdziwym, żywym bohaterem.

- To znaczy, że musi tu gdzieś być James.

- Masz na myśli Quinlana?

- Tak. On też jest bohaterem. Jest pierwszym bohaterem, jakiego spotkałam w życiu. Przykro mi, że cię oplułam, ale sądziłam, że jesteś jednym z tych okropnych ludzi.

- W porządku. Leż tylko spokojnie, a ja pójdę po Quinlana.

Co on sobie wyobrażał? Co mogła zrobić? Podskoczyć i wybiec stąd pędem, bez względu na to, gdzie się to „stąd” znajduje?

- Dzień dobry, Sally. Nie pluj na mnie, dobrze?

Patrzyła na niego, tak spragniona, że z trudem mogła wydawać dźwięki. Jej mózg w końcu zaczął spójnie funkcjonować. Zdotarała zarzucić Quinlanowi ręce na szyję i przyciągnąć do siebie. Wszeptała mu prosto w szyję: - Wiedziałam, że przyjdiesz. Po prostu wiedziałam. James, tak bardzo chce mi się pić. Czy mogę dostać trochę wody?

- Dobrze się czujesz? Naprawdę? Daj mi się odrobinę wyprostować, dobrze?

- Tak. Tak się cieszę, że nie umarłeś. Ktoś cię uderzył i pochylałam się nad tobą. - Odsunęła się od niego, delikatnie przesuwając palcami po zeszytej ranie nad lewym uchem Quinlana.

- Czuję się dobrze, tym się nie przejmuj.

- Nie wiem, kto ci to zrobił. Potem ktoś uderzył mnie w głowę. Kiedy się obudziłam, Badermeyer pochylał się nade mną. Byłam znów w tamtym miejscu.

- Wiem. Ale teraz jesteś ze mną i nikt nie będzie w stanie cię tu odszukać. - Rzucił przez ramię: - Dillon, podasz damie wodę?

- To od tych leków, które mi podawał, mam suchą pustynię zamiast gardła.

Poczuła, że pod wpływem jej słów cały się spina.

- Proszę. Potrzymam ci szklanekę.

Wypiła do dna, opadła do tyłu i westchnęła. - Za dziesięć minut wrócę do normy, tak przynajmniej mi się wydaje. James, kim jest ten człowiek, którego oplułam?

- To mój bliski przyjaciel, Dillon Savich. We dwóch wydostaliśmy cię ostatniej nocy z sanatorium. Dillon, chodź tu i przywitaj się z Sally.

- Witam.

- Powiedział, że jest bohaterem, tak jak ty, James.

- To możliwe. Możesz mu ufać, Sally.

Skinęła głową. Był to bardzo drobny ruch. Zauważył, że znów zamykają jej się oczy. - Nie masz jeszcze chęci coś zjeść?

- Nie, jeszcze nie. Nie odejdziesz, prawda?

- Nigdy.

Mógłby przysiąc, że kąciki jej ust uniosły się odrobinę w bardzo leciutkim uśmiechu. Nie myśląc wiele, nachylił się i pocałował jej zamknięte usta. - Cieszę się, że znów cię dopadłem. Kiedy obudziłem się w domu Davida Mountebanka, z głową jak pulsująca bania, powiedział mi, że znikłaś. Nigdy w życiu tak się nie bałem. Już nigdy mi nie zginiesz, Sally.

- Zabrzmiało to całkiem nieźle - powiedziała.

W następnej chwili już spała. Nie była nieprzytomna, tylko pogrążona w prawdziwym śnie.

Guinlan podniósł się i popatrzył na nią. Poprawił cienki koc. Pogładził jej włosy, leżące na

poduszce. Przypomniawszy sobie tego małego człowieka, którego zastali w jej pokoju i poczuł, że jeśli jeszcze kiedyś go zobaczy, zabije go.

I Beadermeyera. Nie mógł się doczekać chwili, kiedy dostanie w swoje ręce doktora Beadermeyera.

- Jak się czuje człowiek, który jest najważniejszą osobą w całym wszechświecie, Quinlan?

Quinlan powoli, spokojnie gładził koc. Wreszcie odparł: - Cholernie się boję. I wiesz, co jeszcze ci powiem? Wcale nie jest to nieprzyjemne uczucie. Ile z tego powinienem przypisać tobie?

*

Tego wieczoru zasiedli we trójkę przed domkiem rodziców Quinlana na werandzie, z widokiem na jezioro Louise Lynn. Jak na marcowy wieczór, powietrze było łagodne. Front domu był skierowany na zachód. Słońce świeciło nisko nad horyzontem, rozświetlając zmarszczki na wodzie złotem i połyskliwym różem.

- Jezioro jest wąskie - odezwał się Quinlan do Sally - niewielka to frajda dla żeglarzy, chyba że jest się niezbyt doświadczonym nastolatkiem. Możesz stąd dostrzec co najmniej cztery zakręty. Wiesz, jezioro tak się wije, że...

- Tak się wije, że co? - zapytał Dillon, odrywając wzrok od gładkiego pniaka klonu, w którym coś wycinał.

- Nie jesteśmy w nastroju do żartów - rzekł Quinlan, uśmiechając się do Sally. - Otóż jezioro tak się wije, że prawie wpada sarno na siebie.

Obserwując skrzyżowanie klonowy, opadający na drewnianą podłogę, Dillon zauważył: - Czasami nie wiadomo, gdzie jest początek, a gdzie koniec.

- Jesteście bardzo dobrymi przyjaciółmi - powiedziała Sally. - Znać się całkiem nieźle, prawda?

- Tak, ale nie zamierzamy się pobrać. Quinlan chrapie jak świnia.

Uśmiechnęła się. To był prawdziwy uśmiech, nie wymuszonego, pomyślał Dillon. A to oznaczało, że czuła się tu bezpieczna.

- Chcesz jeszcze trochę mrożonej herbaty, Sally?

- Nie. Lubię ssać kostki Jodu. Jeszcze mi ich mnóstwo zostało.

Quinlan oparł nogi o drewnianą barierkę, otaczającą werandę. Miał na sobie krótkie czarne buty, stare, wypłowiałe dzinsy, w których wyglądał bardzo ładnie - niewątpliwie zdumiewające było to, że w ogóle mogła o czymś takim myśleć - i białą koszulę z rękawami podwiniętymi do łokci.

Miał także kaburę z pistoletem, przewieszoną przez ramię. Nie wiedziała, że wszyscy prywatni detektywi przez cały czas noszą broń. Czuł się z nią swobodnie, jakby była jeszcze jednym elementem stroju. Wyglądał, jakby się z nią zrosł. Był wysoki, silny i twardy. Przypomniała sobie, jak przyciągnęła do siebie jego twarz, kiedy obudziła się z narkotycznego snu. Jak jej na to pozwolił. Jak ją pocałował, gdy myślał, że znowu zasnęła. Nigdy dotąd nie spotkała takiego mężczyzny - mężczyzny, któremu można wierzyć, ufać, który przejmował się tym, co się z nią działo.

- Rozjaśniło ci się w głowie? - spytał Dillon. Odwróciła się w jego stronę i zobaczyła, że raz za razem delikatnie pociera klonowy klocek palcami.

- Czemu tak robisz?

- Co? Ach, to rozgrzewa drewno i nadaje mu blask.

- Co rzeźbisz?

- Ciebie, jeśli nie masz nic przeciwko temu.

Wyrzuciła na niego oczy, połknęła ssaną właśnie kostkę lodu i zaczęła się krztusić. James pochylił się i lekko klepnął ją dłonią między łopatkami.

Kiedy złapała oddech, spytała: - Czemu miałbyś mnie w ten sposób unieśmiertelnić? Jestem nikim, zupełnie nikim...

- Psiakrew, zamknij się, Sally.

- Dlaczego, James? Ktoś chce mnie sprzątnąć, ale to nie wystarczy, żebym stała się kimś ważnym. Tylko to, co ewentualnie mogę wiedzieć, jest dla kogoś istotne.

- Może już czas, żebyśmy o tym porozmawiali - odezwał się Dillon. Odłożył kawałek klonu i odwrócił się twarzą do Sally.

Przeniosła wzrok z Dillona na Jamesa. Ze zmarszczonymi brwiami opuściła oczy na swoje dłonie. Ostrożnie odstawiła szklankę na stojący w pobliżu rattanowy stół.

Znow spojrzała na Jamesa, kiwając głową w stronę jego kabury. - Właśnie myślałam, że nie zdawałam sobie sprawy, iż prywatni detektywi nie rozstają się nigdy z bronią. A ty nosisz ją stale, prawda? Poza tym na tobie wygląda ona bardzo naturalnie, jakbyś się już z nią urodził. Nie jesteś prywatnym detektywem, prawda, James?

- Nie jestem.

- Kim jesteś?

Przez chwilę w ogóle się nie poruszał, potem spojrzał jej prosto w oczy i powiedział: - Tak jak ci mówiłem, nazywam się James Guinlan. Nie mówiłem ci natomiast, że jestem agentem specjalnym Jamesem Quinlanem z FBI. Od pięciu lat pracuję razem z Dillonem. Nie tworzymy zespołu, gdyż FBI nie działa w ten sposób, ale pracowaliśmy wspólnie nad wieloma sprawami. Przyjechałem do Cove, żeby cię odszukać.

- Pracujesz dla FBI? - Samo wypowiedzenie tych słów wywołało gęsią skórę na rękach, poczucie odrętwienia i zimna.

- Tak. Nie powiedziałem ci o tym od razu, bo wiedziałem, że to cię przestraszy. Chciałem zdobyć twoje zaufanie, a potem zawieźć cię do Waszyngtonu i uporządkować cały ten bałagan.

- Niewątpliwie udało się panu zdobyć moje zaufanie, panie Quinlan.

Drgnął, usłyszawszy tak oficjalne sformułowanie. Zauważył, że Dillon zamierza coś powiedzieć, więc podniósł rękę. - Nie, pozwólcie mi skończyć. Posłuchaj, Sally, wykonywałem mój zawód. Kiedy cię poznałem, sprawy się skomplikowały. A potem były te dwa morderstwa w Cove, zaś twój drogi ojczulek zaczął do ciebie wydzwaniać, by wreszcie pokazać się w oknie twojej sypialni. Postanowiłem ci nie mówić, bo nie miałem pojęcia, jak możesz zareagować. Wiedziałem, że możesz się znajdować w niebezpieczeństwie, a nie chciałem, żebyś znowu rzuciła się do ucieczki. Wiedziałem, że będę w stanie cię ochronić...

- Nie spisałeś się najlepiej, prawda?

- Owszem. - Cholera, ależ jest wściekła. Jej głos nie pozostawiał złudzeń. Marzył, żeby móc zmienić fakty, ale to było niemożliwe. Musi spróbować jej to wytłumaczyć. Jeśli jej nie przekona, co się wówczas stanie?

Powoli podniosła się na nogi. Miała na sobie niebieskie dzinsy, wyglądające jak druga skóra. Dillon źle ją ocenił i kupił jej dzinsy dzieciinne w najbliższym miasteczku Glenberg. Bluzka też była opięta, aż się guziki rozpięły.

Wyraz twarzy miała nieobecny, daleki, jakby już nie stała pomiędzy nimi na werandzie. Długo nic nie mówiła, wpatrywała się tylko w jezioro. W końcu odezwała się: - Dziękuję, że mnie

wyciągnęliście z tamtego miejsca ostatniej nocy. Nawet na chwilę nie pozwoliłby mi odzyskać świadomości, żebym nie mogła wymyślić nowego planu ucieczki. Nie sędzę, abym kiedykolwiek odzyskała wolność. Jestem wam za to bardzo zobowiązana. Wam obu. Ale teraz wyjeżdżam. Mam jeszcze mnóstwo spraw do załatwienia. Zegnaj, James.

ROZDZIAŁ 15

- Nigdzie nie wyjedziesz, Sally. Nie mogę ci na to pozwolić.

Obdarzyła go spojrzeniem tak pełnym potępienia, że nie mógł tego znieść.

- Proszę, Sally, posłuchaj. Przepraszam cię. Zrobiłem to, co wydawało mi się słuszne. Nie mogłem ci powiedzieć, proszę, zrozum to. Zaczynałaś mi ufać.

Nie mogłem ryzykować, że zachowasz się tak, jak teraz reagujesz.

Roześmiała się. Po prostu się roześmiała. Nie powiedziała ani słowa.

Dillon podniósł się i oświadczył: - Idę się przejść. Wracam za godzinę, żeby przygotować obiad.

Sally obserwowała, jak wąską ścieżką podąża w stronę wody. Dobrze się prezentował, choć oczywiście nie tak dobrze, jak James. Nie podobały jej się jego rozrośnięte mięśnie, ale podejrzewała, że na niektórych ludziach sprawia to wrażenie.

- Sally.

Nie chciała się odwrócić w stronę Jamesa. Nie chciała już nigdy z nim rozmawiać, poświęcać mu uwagi i wysłuchiwać jego przeklętych słów, które jemu wydawały się tak rozsądne, ją zaś całkowicie zniszczyły.

Nie, wolą obserwować Dillona albo dwie łódki kołyszące się leniwie na spokojnej wieczornej wodzie. Niedługo zacznie się zachód słońca. Woda zaczynała przybierać barwę dojrzałych wiśni.

- Sally, nie mogę pozwolić ci odejść. Zresztą dokąd byś poszła? Nie wiem, gdzie byłabyś bezpieczna. Sądziłaś, że znalazłaś schronienie w Cove, a okazało się, że byłaś w błędzie. Twoja kochana ciotunia Amabel maczała w tym palce.

- Nie, to niemożliwe.

- Uwierz w to. Nie ma żadnego powodu, żebym kłamał. Obaj z Davidem złożyliśmy jej wizytę, gdy tylko znów stanąłem na nogi. Utrzymała, że zobaczyłaś mnie nieprzytomnego i zdecydowałaś się na ucieczkę. Powiedziała, że prawdopodobnie uciekłaś na Alaskę, że nie możesz pojechać do Meksyku, bo nie masz paszportu. Stwierdziła też, że byłaś chora, przebywałaś w zamkniętym ośrodku i że nadal jesteś niezrównowazona, nadal cierpisz na zaburzenia umysłowe. Intuicja mi podpowiada, że twoja cioteczka tkwi w tym całym bagnie po uszy.

- Przyjęła mnie. Była szczerą. Mylisz się, James, albo zwyczajnie kłamiesz.

- Może na początku była szczerą, ale potem ktoś na nią wpłynął. A co z dwoma morderstwami w Cove, Sally? Co z krzykami kobiety, które słyszałaś, a które Amabel bagatelizowała, kładąc na karb wiatru albo twojej choroby umysłowej?

- A więc wykorzystałaś tych starszków, Marge i Harve, którzy przyjechali do Cove swoim samochodem, a potem zniknęli, jako... jak to się mówi? O, mam, jako pretekstu. Szeryf całkowicie ci uwierzył, prawda?

- Tak. I co więcej, śledztwo zostanie wznowione, gdyż całe mnóstwo innych ludzi również zniknęło w tej okolicy. Owszem, rola prywatnego detektywa, wynajętego przez syna zaginionych z Los Angeles była tylko pokrywką. I to zadziałało. Po tamtych morderstwach nie wiedziałem, co myśleć. Wiedziałem tylko, że nie mają żadnego bezpośredniego związku z tobą.

Przerwał i przeczesał palcami włosy. - Kurczę, zbaczamy z tematu, Sally. Zapomnij o Cove. I o

Amabel. Zarówno ona, jak i to miasteczko są o trzy tysiące kilometrów stąd. Chcę, żebyś zrozumiała, dlaczego musiałem zachować milczenie w sprawie mojej tożsamości i prawdziwego powodu przyjazdu do Cove.

- Chcesz, żebym przyznała, że twoje kłamstwa i kręactwa były w porządku?

- Tak. Zresztą jeśli sobie przypominasz, ty też mnie oszukiwałaś. Wystarczyło, że zaczęłaś wrzeszczeć, kiedy tak zwany ojciec zatelefonował do ciebie, a wpadłem po uszy. Piękna kobieta przemówiła do mojej męskiej duszy. Tak, od tej chwili jestem zgubiony.

Patrzyła na niego, jakby postradał zmysły.

- Jezu, Sally, wpadłem jak burza do pokoju, zobaczyłem cię na podłodze, wpatrzoną w ten przeklęty telefon, jakby to był jadowity wąż szykujący się do ataku, i przepadłem.

Zlekceważyła jego słowa. - Ktoś na mnie polował, James. Nikt nie czyhał na ciebie.

- To nie ma znaczenia.

Wybuchnęła śmiechem. - Tak naprawdę to aż dwie osoby mnie prześladowały, i ty byłeś tą drugą osobą. Po prostu byłam zbyt głupia, zbyt zrozpaczona i wdzięczna, żeby to sobie uświadomić. Wyjeżdżam, James. Nie chcę cię więcej widzieć. Trudno mi uwierzyć, że uważałam cię za bohatera. Boże, kiedy przestanę być taka głupia?

- Dokąd pojedziesz?

- Nie twój interes, panie Quinlan. Od tej chwili nic, co zrobię, nie będzie twoim interesem.

- Do diabła, Sally! Powiedz mi prawdę. Kiedy wdarliśmy się z Dillonem do twojego pokoju w sanatorium, na twoim łóżku siedział i gapił się na ciebie jak bęcwał taki żaloszny mały człowieczek. Czy skrzywdził cię kiedykolwiek? Bił cię? Zgwałcił?

- Holland był w moim pokoju?

- Tak. Byłaś naga, a on pochylał się nad tobą. Wydaje mi się, że rozczesywał i układał ci włosy. Czy cię zgwałcił?

- Nie. - Głos miała nieobecny. - Nikt mnie nie zgwałcił. Jeśli chodzi o Hollanda, robił różne inne rzeczy, które kazał mu robić Beadermeyer. Nigdy mnie nie skrzywdził, tylko... nie, to nieistotne.

- Więc kto cię skrzywdził, do cholery? Ten przeklęty Beadermeyer? Twój mąż? Kim jest ten człowiek, który pojawiał się w twoich snach?

Obrzuciła go długim spojrzeniem, które i tym razem przepełnione było zimną wściekłością. - Jesteś już dla mnie nikim. To wszystko nie twoja sprawa. Idź do diabła, James!

Odwróciła się od niego i zaczęła schodzić po drewnianych schodkach. Zrobiło się już chłodno. Miała na sobie jedynie za ciasną koszulę i dzinsy.

- Wracaj, Sally. Nie pozwolę ci odejść. Nie chcę, żeby ktoś znów cię skrzywdził.

Nawet nie zwolniła kroku, szła dalej, w tenisówkach, które pewnie też były dla niej za ciasne. Nie chciał, żeby zrobiły się jej pęcherze na stopach. Zaplanował, że następnego dnia kupi trochę ubrań w odpowiednim rozmiarze, że". Cholera, przegrywał.

Zobaczył Dillona stojącego nad wodą, nieświadomego faktu, że Sally odchodzi.

- Sally, nie wiesz nawet, gdzie jesteś. Nie masz pieniędzy.

Wtedy się zatrzymała. Kiedy się do niego obróciła, miała na twarzy uśmiech. - Masz rację, ale szybko rozwiążę ten problem. Naprawdę nie obawiam się już żadnego mężczyzny. Nie martw się. Zdobędę wystarczającą ilość pieniędzy, żeby wrócić do Waszyngtonu.

To go wyprowadziło z równowagi. Oparł rękę o balustradę i przeskoczył ją, lądując miękko zaledwie o parę kroków od niej. - Nikt już cię nie skrzywdzi. Nie będziesz ryzykować, że jakiś drań

cię zgwałci. Zostaniesz ze mną, dopóki się to wszystko nie skończy. A potem, jeśli będziesz chciała odejść, pozwolę ci odejść.

Zaczęła się śmiać. Cała trzęsa się ze śmiechu. Powoli opadła na kolana, obejmując się i śmiejąc bez końca.

- Sally!

Spojrzała na niego, z dłońmi opartymi na biodrach. Zaśmiała się jeszcze raz, po czym powiedziała: - Pozwolisz mi odejść? Zatrzymasz, jeśli nie będę chciała odejść? Jak żalosego przybędę? To dobre, James. Już bardzo dawno nie spotkałam człowieka, któremu by na mnie choć odrobinę zależało, choć to teraz nieważne. Koniec z kłamstwami, bardzo proszę. Jestem dla ciebie wyłącznie ciekawą sprawą. Jeśli ją rozwiążesz, pomyśl o swojej reputacji. W FBI mianują cię pewnie dyrektorem. Będą cię całowali po rękach. A prezydent wręczy ci medal.

Zasapała się, dusząc się śmiechem, który wydobywał się z jej gardła. - Powinieneś uwierzyć w informacje, zawarte w mojej teczce. Tak, jestem pewna, że FBI ma o mnie mnóstwo papierów, zwłaszcza o pobycie w domu wariatów. Jestem szalona, James. Nikt nie uwierzy, że jestem wiarygodnym świadkiem, choćbyś nie wiem jak bardzo chciał kogoś wsadzić do pudła, obojętnie kogo. Nic ci nie powiem. Nie ufam ci, ale wdzięczna ci jestem, że mnie wyciągnąłeś z tamtego miejsca. A teraz pozwól mi odejść, zanim się stanie coś strasznego.

Ukląkł przed nią. Bardzo powoli zmusił ją, by opuściła ręce wzdłuż boków. Przyciągnął ją do siebie, aż twarzą dotknęła jego ramienia. Głaskał ją po plecach, w górę i w dół. - Wszystko będzie dobrze, przysięgam. Przysięgam, że już więcej nic nie zepsuję.

Nie poruszyła się, nie oparła o niego, nie uwolniła tej potwornej złości, która tkwiła w głębi niej od tak dawna. Bała się stanąć z nią twarzą w twarz, bała się o niej mówić, gdyż łatwo mogłoby to ją zniszczyć, ba, mogłoby też zniszczyć innych.

Ta złość gotowała się w niej już od dawna, a teraz doszło do niej poczucie zdrady. Zaufała mu, a on ją zdradził. Była głupia, że uwierzyła mu tak szybko, tak całkowicie.

Sally była zdumiona, że odczuwa takie namiętności, taką ohydną żądzę zadania komuś bólu, tak jak jej zadawano ból. Myślała, że już od dawna pozbawiona jest tak gwałtownych uczuć. Cudownie było znów poczuć złość, pot spływający po ciele, chęć działania, pragnienie zemsty. Tak, pragnęła zemsty.

Wspierając się na nim analizowała, zastanawiała się, próbowała uspokoić, ale i tak nie wiedziała, co ma zrobić.

- Musisz mi teraz pomóc, Sally.

- A jeśli ci nie pomogę, zabierzesz mnie do lochów FBI, gdzie zaaplikują mi następne prochy, zmuszające do mówienia prawdy?

- Nie, ale wcześniej czy później FBI i tak dojdzie prawdy. Zwykle nam się to udaje. Morderstwo twojego ojca to grubsza afery, nie tylko samo zabójstwo, ale całe mnóstwo innych, powiązanych z nim spraw. Wiele osób pragnie złapać jego mordercę. Jest to ważne z różnych powodów. I koniec już tych bzdur o twojej niewiarygodności. Jeśli mi teraz pomożesz, uwolnisz się od tego całego piekła.

- Śmieszne, że nazwałeś to piekłem.

- Nie wiem, czemu tak powiedziałem. Zabrzmiało to trochę melodramatycznie, ale tak jakoś mi wyszło. Czy to piekło, Sally?

Nie odzywała się, patrzyła tylko prosto przed siebie, nieobecna myślami. Nie mógł tego znieść. Chciał wiedzieć, o czym myśli. Wyobrażał sobie, że o niczym przyjemnym.

- Jeśli mi pomożesz, zdobędę dla ciebie paszport i zabiorę cię do Meksyku.

Dzięki tej uwadze na chwilę powróciła do rzeczywistości. Z przekornym uśmiechem, który pewnie od bardzo dawna nie gościł na jej twarzy, odparła: - Nie chcę jechać do Meksyku. Byłam tam już trzy razy i za każdym razem byłam potwornie chora.

- Jest środek, który należy zażyć przed wyjazdem.

Chroni układ pokarmowy przed drobnoustrojami.

Korzystałem z niego raz, kiedy pojechałem z kumplami na ryby do La Paz. Nie zachorowałem ani razu, chociaż większość czasu spędzaliśmy na wodzie.

- Nie wyobrażam sobie, żebyś mógł być chory z jakiegokolwiek powodu. Żadna bakteria nie miałaby ochoty zadomowić się u ciebie. Za duże ryzyko.

- Odzywasz się do mnie.

- No tak. Mówienie mnie uspokaja. Sprawia, że zółć przestaje się gotować. Zresztą posłuchaj sam siebie, swoich słów, skierowanych do biednej ofiary, mających ją ukoić, uspokoić, ułatwić zdobycie zaufania. Naprawdę jesteś w tym bardzo dobry, świetnie operujesz głosem, tonem, dobierasz słowa. Daj spokój, James. Mam jeszcze więcej do powiedzenia. Prawdę mówiąc, wszystko już mam opanowane. Bądź łaskaw zauważyć, panie Quinlan, że trzymam twój pistolet wymierzony w twój brzuch. Spróbuj tylko mnie ścisnąć, zrobić mi jakąś krzywdę, albo zastosować jeden z twoich efektownych chwytów, żeby mi go wyrwać, a nacisnę spust.

Istotnie poczuł wylot lufy swojego SIG-sauera przyciśnięty do brzucha. Jeszcze przed sekundą go nie czuł. Do diabła, w jaki sposób wydostała go z kabury? Fakt, że wydobyła go niezauważenie przeraził go bardziej niż świadomość, iż pistolet jest odbezpieczony, a ona trzyma palec na cynglu.

Wyszeptał w jej włosy: - Chyba to oznacza, że nadal jesteś na mnie wkurzona, tak?

- Owszem.

- I domyślam się, że nie masz więcej ochoty rozmawiać o Meksyku? Nie lubisz łowić ryb pod wodą?

- Nigdy tego nie robiłam. Ale czas na rozmowę już się skończył.

- Ten pistolet jest niezwykle czuły i zareaguje niemal na twoje myśli - powiedział powoli i spokojnie. - Proszę, Sally, zachowaj ostrożność, nie myśl o niczym gwałtownym, dobrze?

- Postaram się, ale mnie nie prowokuj. A teraz, James, połóż się na plecach i niech ci nawet przez głowę nie przemknie myśl, żeby mnie kopnąć. Nie, nie naprężaj się tak, bo strzelę. Nie zapominaj, że nie mam nic do stracenia.

- To nie jest dobry pomysł, Sally. Porozmawiajmy jeszcze.

- **KŁADŹ SIĘ NA PLECACH!**

- Już dobrze. - Opuścił ręce wzdłuż tułowia i przewrócił się do tyłu. Mógł spróbować kopnąć pistolet w jej dłoni, ale nie miał pewności, czyby jej przy tym mocno nie pokiereszował. Leżąc na plecach obserwował, jak się podnosi i staje nad nim z tym cholernym pistoletem w dłoni. Operowała bronią bardzo fachowo. Ani na chwilę nie odrywała wzroku od Jamesa, nawet na sekundę.

- Czy kiedykolwiek strzelałaś z jakiejś broni?

- O tak. Nie powinieneś się martwić, że się postrzelę w nogę. A teraz James, nawet nie drgnij. - Tyłem odsunęła się od niego, tyłem weszła po schodkach werandy. Chwyciła jego kurtkę i z kieszeni na piersi wyciągnęła portfel. - Mam nadzieję, że masz dość pieniędzy - rzekła.

- Cholera, zanim ruszyłem ci na ratunek podjąłem pieniądze w bankomacie.

- To miłe z twojej strony. Nie martw się, James. - Zasalutowała mu jego pistoletem, po czym

zarzuciła sobie marynarkę na ramiona. - Dillon niedługo wróci, żeby ci zrobić obiad. Wydaje mi się, że słyszałam, jak wspominał coś o halibucie. Jezioro wygląda na czyste, więc może się nie otrujesz. Czy mówiłam ci kiedykolwiek, że mój ojciec przewodniczył komitetowi obywatelskiemu protestującemu przeciw zanieczyszczeniu środowiska? Nawet napisałam artykuł na ten temat, który sam prezydent Reagan określił jako wyśmienity. Ale kogo to teraz obchodzi? Nie, nic nie mów, teraz mówię ja. Właściwie jest to całkiem przyjemne. Widzisz więc, bez względu na to, co jeszcze zrobił ten bydlak, dokonał też czegoś dobrego. No tak, panie Quinlan, chciał pan poznać pikantne szczegóły związane z tym, kto i co mi robił w sanatorium. Umierasz z ciekawości, kto to zrobił i kto mnie tam umieścił. Cóż, nie był to ani doktor Beadermeyer, ani mój mąż. To był mój ojciec.

A teraz, pomyślała, czy kiedykolwiek będzie mogła się zemścić na człowieku, który nie żyje? Ruszyła błyskawicznie, biegnąc szybciej, niż ją o to podejrzewał, aż piasek tryskał spod tenisówek.

Była przy samochodzie, kiedy zerwał się na nogi. Bez zastanowienia ruszył najszybciej jak mógł w stronę oldsmobila. Zobaczył, że stanęła przy drzwiach kierowcy, szybko wymierzyła i poczuł grad żwiru na nogawce dżinsów, gdy pocisk uderzył niespełna trzydzieści centymetrów od jego prawego buta. Już była w środku. Silnik zapalił. Boże, ależ jest szybka.

Patrzył, jak rusza tyłem i wąskim duktem wyjeżdża na małą, wiejską drogę. Nieźle jej to szło, podjechała bardzo blisko wiązu, ale nie otarła się samochodem o pień. Miłe z jej strony, gdyż władze nigdy nie były zadowolone, kiedy musiały lakierować służbowe samochody.

Znów gnał za nią, świadomy, że musi coś zrobić, ale nie miał pojęcia co. Godził się z faktem, że jest głupcem i niekompetentnym idiotą. I biegł, biegł.

Jej ojciec bił ją, dotykał i upokarzał w sanatorium? To ojciec ją tam umieścił?

Dlaczego?

Cała ta sprawa była czystym szaleństwem. I dlatego nic mu nie powiedziała. Jej ojciec nie żył, nie można go przycisnąć, a cała ta historia wyglądała na wariactwo.

- Wyhamuj, Quinlan - zawołał za nim Dillon. - Wracaj. Odjechała na dobre.

Odwrócił się i ujrzał biegnącego za nim Dillona. - Kiedy ostatnim razem mierzyłem ci czas na bieżni, nie byłeś w stanie prześcignąć przyspieszającego oldsmobila.

- Tak, tak. Psiakrew, to moja wina! Nie musisz mi tego mówić.

- Tego wcale nie trzeba mówić. Skąd wzięła twoją broń?

Quinlan odwrócił się twarzą do swojego długoletniego przyjaciela, wsunął ręce do kieszeni dżinsów i odezwał się najbardziej zdumionym głosem, jaki kiedykolwiek zdarzyło się Billionowi usłyszeć. - Przytulałem ją i próbowałem przekonać, że zrobiłem to, co musiałem, że nie zdradziłem jej zaufania, naprawdę nie zdradziłem, i myślałem, że zaczyna to rozumieć. Wygląda na to, że tym razem spieprzyłem sprawę. Nic nie poczułem. Absolutnie nic. A potem oświadczyła, że trzyma pistolet wycelowany w mój brzuch. Trzymała.

- Nie wiem, czy cieszyć się z partnera, który tak zgłupiał, że nie potrafi utrzymać w kaburze swojej własnej broni.

- Czy to ma być jakaś dziwna aluzja seksualna?

- Zupełnie nie. Chodźmy do telefonu. Mam nadzieję, że nie przecięła kabla.

- W ogóle nie wchodziła do domku.

- Dzięki ci, Boże, za drobne łaski. Był już najwyższy czas, żeby nam się jakaś przytrafiła.

Quinlan zapytał: - Czy twoje koneksje są na tyle dobre, żebyśmy mieli szansę na następną? Jeśli nie, zadzwonię do ciotki Paulie. Wspólnie z wujkiem Abe mają lepsze dojścia niż sam papież.

ROZDZIAŁ 16

Wiedziała, że James tu dotrze, może nie natychmiast, ale na pewno niedługo. Wiedziała też, że ma czas. Niedobrze się stało, że nie wyrwała sznura telefonicznego ze ściany. To by go naprawdę opóźniło. Ale za dużo rzeczy miała na głowie.

Zatrzymała oldsmobil na pustym parkingu przy Cooperton Street. Zamknęła drzwi i mając na sobie kurtkę Jamesa, która powinna zapewnić jej modny wygląd, ruszyła powoli w stronę domu opatrzonego numerem 337, przyjemnej ceglanej budowli w stylu georgiańskim, stojącej przy Lark Street. Na parterze paliło się światło. Modliła się, żeby w domu była Noelle, a nie policja czy FBI.

Mocno się przygarbiła i zaczęła biec wzdłuż linii krzewów w kierunku biblioteki na parterze. W kierunku gabinetu ojca. Pokoju, w którym pierwszy raz zobaczyła ojca, wymierzającego cios matce. To było dziesięć lat temu. Dziesięć lat. Co się stało z tymi latami? Studia przerywane nocnymi telefonami, przesadnie częstymi wizytami w domu, nawet niespodziewanymi w środku tygodnia, by się upewnić, że ojciec nie bije matki.

Wyczuwała w swoim ojcu rozjątrzony gniew za tę ingerencję, ale jego z każdym rokiem coraz bardziej znacząca pozycja i panika, aby nikt się nie domyślił, że bije żonę, przez większość czasu trzymała go w ryzach. Za to gdy tylko Sally wyjeżdżała do college'u, ojciec bił matkę jak wściekły. Ale tego matka jej nie mówiła.

Po pewnych odwiedzinach w domu zapomniała zabrać swetra i szybko wróciła po niego. Otworzyła sobie drzwi kluczem i wkroczyła do biblioteki w chwili, gdy ojciec kopał matkę, leżącą na podłodze.

- Wzywam policję - powiedziała zimno od drzwi. - Nie obchodzi mnie, co się stanie. To się musi skończyć, i to natychmiast.

Ojciec zastygł z nogą podniesioną do kopnięcia i wbił w nią wzrok. - Ty przekłeta mała dziwko! Co tu robisz, do cholery?

- Natychmiast wzywam policję. To już koniec. - Wyszła do holu do telefonu, stojącego na małym stolyczku w stylu Ludwika IV pod lustrem w połączonych ramach.

Wybrała już dwie dziewiątki, kiedy ktoś chwycił jej rękę. To była Noelle, płacząca, błagająca, aby nie dzwoniła na policję, błagająca na kolanach, bez końca, ze łzami spływającymi po twarzy.

Sally patrzyła na kobietę obejmującą ją za kolana i czuła łzy bólu, ciekące po policzkach. Potem spojrzała na ojca, stojącego w drzwiach do biblioteki, z rękami założonymi na piersiach, wysokiego i szczupłego, pięknie ubranego w wełny i kaszmiry, z gęstymi, ciemnymi włosami, przetkanymi lśniąca siwizną, który wyglądał jak romantyczny bohater filmowy. Obserwował ją.

- Śmiało, zrób to - powiedział. - Zrób to, a zobaczysz, jak twoja matka się zachowa, gdy gliny się tu zjawia. Powie, że jesteś oszustką, Sally, że jesteś zazdrosną małą dziwką, że nie chcesz, żebym ją darzył uczuciem, że zawsze żywiłaś do niej urazę, nie lubiłaś własnej matki. Czyż nie dlatego stale przyjeżdżałaś ze szkoły do domu? Śmiało, Sally. Zadzwoń. Sama się przekonasz. - Przez cały ten czas stał bez ruchu i mówił tym swoim odurzającym, hipnotyzującym głosem, którym od trzydziestu lat zwodził swoich kolegów i klientów. Zachował ślady akcentu południowca, wiedząc że dodają one właściwej wymowy zręcznie cedzonym słowom, które chciał podkreślić.

- Proszę, Sally, nie. Nie dzwoń. Błagam cię. Nie możesz. To by wszystko zniszczyło. Nie mogę ci na to pozwolić. To niebezpieczne. Wszystko jest w porządku, Sally. Tylko nie dzwoń, na miły Bóg, nie dzwoń.

Obrzuciła rodziców ostatnim spojrzeniem i wyszła. Wróciła dopiero siedem miesięcy później, po ukończeniu college'u.

Może ojciec bił matkę nieco mniej tylko dlatego, że Sally nie przyjeżdżała do domu.

Śmieszne, że dopiero teraz przypomniała sobie to zdarzenie. Dopiero teraz... gdy przyjechała do Cove i poznała Jamesa, a jej egzystencja znowu zaczęła przypominać życie, pomimo morderstw, pomimo telefonów od ojca, pomimo wszystkiego.

Naprawdę musi być szalona. Przeklęty facet zawiódł jej zaufanie. Nie sposób by to temu zaprzeczyć. Ale też uratował ją, chociaż to się nie liczyło, na tym mniej więcej polegała jego praca. Nadal zdumiewała ją własna naiwność. Był z FBI. Wytropił ją i kłamał.

Kiedy zbliżyła się do okien biblioteki, pochyliła się jeszcze bardziej. Zajrzała do środka. Matka czytała książkę. Siedziała w ulubionym fotelu bujanym swego męża i czytała książkę. Wyglądała wyśmienicie. Cóż, powinna. Bydlak nie żyje od dobrych trzech tygodni. Koniec z siniakami. Koniec z perspektywą siniaków.

Sally czekała w bezruchu. W domu nie było nikogo innego.

*

- Jesteś pewny, że jedzie do domu, Quinlan?

- Nie do domu. Jedzie do swojej matki. Nie do domu swojego męża. Wiesz, jaką mam intuicję. Zresztą, szczerze mówiąc, trochę ją poznałem. Czuje coś do swojej matki. Tam pojedzie w pierwszej kolejności. Mogę się założyć, że ojciec i mąż wspólnie umieścili ją w tamtym zakładzie. Czemu? Nie mam zielonego pojęcia. Wiem tylko, że jej ojciec był bardzo złym człowiekiem.

- Zakładam, że później mi powiesz, co miałeś na myśli.

- Jedź szybciej, Dillon. Dom stoi przy Lark Street, pod numerem 337. Tak, powiem ci, ale nie teraz. Jedźmy dalej.

- Cześć, Noelle.

Noelle St. John powoli opuściła czytaną książkę na kolana. Potem równie wolno spojrzała w stronę drzwi, w których stała jej córka, ubrana w męską marynarkę, sięgającą niemal do kolan.

Matka nie poruszyła się, tylko patrzyła na nią. Kiedy Sally była młodsza, Noelle zawsze ją obejmowała, przytulała, całowała. Teraz nawet się nie poruszyła. Cóż, jeśli wierzyła, że Sally jest szalona, może to miało jakiś sens. Czyżby sądziła, że córka zjawiała się tu, żeby ją zastrzelić? Odezwała się miękkim, przestraszonym głosem. - Czy to naprawdę ty, Sally?

- Tak. Znowu wydostałam się z sanatorium. Uciekłam od doktora Beadermeyera.

- Ale dlaczego, kochanie? Przecież tak dobrze się tobą opiekuje, prawda? Czemu na mnie tak patrzysz, Sally? Coś jest nie tak?

Ale nic już nie było ważne, bo jej matka uśmiechała się do niej. Noelle zerwała się na nogi i podbiegła, chwytając ją w objęcia. Gdzieś przepadły wszystkie te lata. Znowu była małą dziewczynką. Była bezpieczna.

Noelle ją przytulała. Sally poczuła ogromną wdzięczność. Mama byia tu dla niej, tak jak się o to modliła.

- Mamo, musisz mi pomóc. Wszyscy mnie ścigają.

Noelle cofnęła się nieco, pogładziła włosy Sally i przesunęła dłońmi po jej bladej twarzy. Znowu

ją przytuliła, szepcząc tuż przy policzku: - Wszystko będzie dobrze, kochanie. Wszystkim się zajmę. Już dobrze. - Noelle była niższa od córki, ale to ona była matką, a Sally dzieckiem, które uważało ją za boginię.

Pozwoliła się obejmować, wdychając zapach matki, zapamiętany od najwcześniejszego dzieciństwa. - Przepraszam, Noelle. Czy u ciebie wszystko w porządku?

Matka puściła ją i odsunęła się o krok. - Było trudno, bo i policja, i nie wiedziałam, gdzie jesteś, więc stale się martwiłam. Powinnaś była do mnie zadzwonić, Sally. Tak bardzo się denerwowałam o ciebie.

- Nie mogłam. Pomyślałam, że policja ma twój telefon na podsłuchu. Mogliby mnie wytropić.

- Nie wydaje mi się, żeby było coś nie tak z telefonami. Z pewnością nie mieliby odwagi zainstalować podsłuchu w domu twojego ojca.

- On nie żyje, Noelle. Zrobiliby wszystko. A teraz posłuchaj. Musisz mi powiedzieć prawdę. Wiem, że byłam tutaj tamtej nocy, kiedy został zamordowany ojciec. Ale nic nie pamiętam. Tylko jakieś gwałtowne sceny, ale żadnych twarzy. Hałaśliwe głosy, ale nie było ludzi, którzy je wydawali.

- Nie martw się, kochanie. Nie zamordowałam twojego ojca. Wiem, że dlatego uciekaś. Uciekaś, żeby mnie osłonić, tak jak usiłowałaś to robić przez te wszystkie lata. Wierzysz mi? Czemu myślisz, że miałam z tym coś wspólnego? Nie byłam tu wtedy sama. Był ze mną Scott, twój mąż. On tak się martwi o ciebie. Potrafi rozmawiać tylko o tobie i o tym, że się modli, abyś wróciła do domu. Proszę, powiedz, że mi wierzysz. Nie zabiłabym twojego ojca.

- Tak, Noelle, wierzę ci. Chociaż gdybyś go zastrzeliła, złożyłabym ci gratulacje. Ale nigdy nie myślałam, że to ty zrobiłaś. Tylko nic nie pamiętam, po prostu nie mogę sobie przypomnieć, a policja i FBI są przekonani, że dokładnie wiem, co się wydarzyło owej nocy. Powiesz mi, co się wtedy wydarzyło, Noelle?

- Znów się dobrze czujesz, Sally?

Zwróciła wzrok na matkę. W słowach dźwięczała nuta obawy. Obawy przed nią? Przed własną córką? Czyżby myślała, że Sally ją zamorduje, bo jest chora umysłowo? Potrząsnęła głową. Być może Noelle była trochę wystraszona, ale wyglądała wyśmienicie w szmaragdowozielonym dresie. Włosy miała podpięte złotą spinką. Szyję zdobiły trzy cienkie złote łańcuszki. Była piękna, młoda i pełna życia. Może jednak istnieje jeszcze jakaś sprawiedliwość na tym świecie.

- Posłuchaj, Noelle - powiedziała Sally, pragnąc, aby matka jej uwierzyła. - Nigdy nie byłam chora. Ojciec umieścił mnie w tamtym miejscu. To był spisek. Chciał mnie usunąć z drogi. Dlaczego? Nie wiem. Może po prostu z zemsty za te dziesięć lat, w czasie których krzyżowałam jego plany. Na pewno musiałaś się czegoś domyślać. I wątpić, kiedy ci powiedział o mojej chorobie. Nigdy nie przyjechałaś, żeby mnie odwiedzić, mamo, nigdy.

- Twój ojciec mi powiedział. I masz rację, Sally, miałam różne podejrzenia, ale potem Scott się załamał. Cały był we łzach, gdy mi opowiadał o wszystkim, co robiłaś, że już nie byłaś sobą i że nie było innego wyjścia, tylko umieścić cię w tym ośrodku. Spotkałam się z doktorem Beadermeyerem. Zapewnił mnie, że zajmą się tobą bardzo starannie. Och, Sally, doktor Beadermeyer powiedział, że lepiej będzie, jeśli na razie nie będę cię odwiedzać, że obarczysz mnie winą za tak wiele rzeczy, że mnie nienawidzisz, że nie chcesz mnie widzieć, że spotkanie ze mną pogorszy twój stan do tego stopnia, iż będziesz mogła targnąć się na swoje życie.

Lecz Sally nie słuchała. Poczwała, jak włosy jej się jeżą i wiedziała, wiedziała na pewno, że on jest blisko. Wiedziała też, że matka nie mówi jej prawdy o tamtej nocy, kiedy zginął ojciec.

Dlaczego? Co naprawdę się wówczas wydarzyło? Teraz nie było na to czasu.

Tak, James był blisko. Nie słyszała niezwykłych dźwięków, żadnego realnego ostrzeżenia, a jednak wiedziała.

- Czy masz jakieś pieniądze, Noelle?

- Tylko parę dolarów, Sally, ale czemu pytasz? Dlaczego? Pozwól mi zawiadomić doktora Beadermeyera. Dzwonił już kilka razy. Musze cię chronić, Sally.

- Do widzenia, Noelle. Jeśli mnie kochasz - jeśli kiedykolwiek mnie kochałaś - proszę, przeciągaj rozmowę z agentem FBI tak długo, jak tylko się da. Nazywa się James Quinlan. I proszę, nie mów mu, że tu byłam.

- Skąd znasz nazwisko agenta FBI?

- Nieważne. Proszę, Noelle, nic mu nie mów.

- Pani St. John, widzieliśmy samochód, zaparkowany na Cooperton. Sally była tutaj. Czy nadal tu jest? Ukrywają pani?

Noelle St. John przyjrzała się legitymacji służbowej Jamesa, a potem Dillona. W końcu, a trwało to całą wieczność, oderwała wzrok od legitymacji i powiedziała: - Nie widziałam mojej córki prawie od siedmiu miesięcy, agencie Quinlan. O jakim samochodzie pan mówi?

- O tym, którym jechała, pani St. John - odparł Dillon.

- Dlaczego mówi pan o mojej córce po imieniu? Właściwie Sally to zdrobnienie. Naprawdę ma na imię Susan. Jak pan się dowiedział o tym zdrobnieniu?

- To nieistotne - odpowiedział Quinlan. - Proszę, pani St. John, musi nam pani pomóc. Czy nie ma pani nic przeciwko temu, abyśmy przeszukali dom? Jej samochód stoi zaparkowany na ulicy tuż obok. Prawdopodobnie schowała się w domu i chce poczekać, aż sobie stąd pójdziemy, żeby wyjść z ukrycia.

- To śmieszne, panowie, co mówicie, ale szukajcie sobie do upojenia. Nikt ze służby tu nie nocuje, więc dom jest pusty. Nie bójcie się, nikogo nie wystraszycie. - Uśmiechnęła się do nich i z elegancją pomaszrowała z powrotem do biblioteki.

- Najpierw na górze - rzucił Quinlan.

Metodycznie przeszukiwali pokój za pokojem. Podczas gdy Quinlan szukał, Dillon czekał w korytarzu, żeby sprawdzić, czy przypadkiem Sally nie przemknie się między połączonymi drzwiami pokojami i nie ucieknie. Kiedy Quinlan otworzył drzwi do pomieszczenia na końcu korytarza, natychmiast wiedział, że był to jej pokój. Zapalił światło. Nie był to zbytkowny pokój z różowym bądź białym łóżkiem z baldachimem i plakatami gwiazd muzyki rockowej, powieszonymi na ścianach. Nie, wzdłuż trzech ścian stały półki pełne książek. Na czwartej ścianie wisiały oprawione w ramki dyplomy za działalność literacką, poczynając od artykułów, które napisała jeszcze w szkole średniej na temat uzależnienia USA od zagranicznej ropy naftowej i kryzysu paliwowego, zakładników w Iranie, krajów, które dostały się pod kontrolę komunistów w okresie rządów Cartera i przyczyn tych przekształceń. Był też artykuł, który dostał nagrodę Idleberga i ukazał się w „New York Times”, o zwycięstwie amerykańskiej drużyny hokejowej nad reprezentacją radziecką w Lake Placid na olimpiadzie w 1980 roku. Nagrody z okresu college’u dotyczyły artykułów na tematy literatury.

A potem nagle wszystko się urywało, gdzieś w okolicach matury - żadnych nowych dyplomów, nagród za doskonale opowiadania czy eseje. Przynajmniej nie było ich w tym pokoju. Wyniosła się na uniwersytet w Georgetown, wybierając literaturę angielską. I znów żadnych dowodów, że

napisała cokolwiek, że zdobyła jakąś nową nagrodę.

- Na litość boską, Quinlan, co robisz? Jest tam czy nie?

Kiedy dołączył do Dillona, potrząsał głową. Powiedział: - Nie ma tu Sally. Z pewnością tu była, ale już dawno się wyniosła. Jakimś cudem wiedziała, że jesteśmy blisko. Nie mam pojęcia skąd, ale wiedziała. Chodźmy, Dillon.

- A może jej matka domyśla się, gdzie się podziewa, jak sądzisz?

- Bądź realistą. - Ale i tak zapytali panią St. John. Obdarzyła ich bezradnym uśmiechem i wyprawiła w dalszą drogę.

- Co teraz, Quinlan?

- Muszę pomyśleć. - Quinlan zgarbił się nad kierownicą, marząc o kawie, nie jakiejś ekstra, tylko zwykłej, z automatu, jaką miał u siebie w biurze. Skierował się do głównej siedziby FBI w Pensylwanii, najpaskudniejszego gmachu, jaki kiedykolwiek wybudowano w okolicy.

Dziesięć minut później popijał kawę tak gęstą, że mógłby nią zalepiać dziury w ścianach. Kawę dla Dillona postawił po prawej stronie komputera.

- No tak, ma mój samochód.

- Daruj sobie szczegóły, Dillon.

Dillon obrócił się na krześle, rylem do świecącego monitora. - Nie możemy nadal prowadzić dwuosobowego polowania, Quinlan. Zgubiliśmy ją. Obydwaj przegraliśmy z amatorką. Nie uważasz, że czas już rozciągnąć sieci?

- Jeszcze nie. Ma również mój portfel. Zobacz, co możesz z tym zrobić.

- Jeśli będzie się ograniczała do wydatków poniżej pięćdziesięciu dolarów, jest szansa, że nikt tego nie sprawdzi. Gdyby jednak ktoś sprawdził konto, będziemy ją mieli natychmiast. Poczekaj minutkę, zobaczę.

Dillon Savich miał wielkie ręce i duże, szorstkie palce. Quinlan obserwował, jak te niekształtne paluchy przebierają po klawiaturze. Dillon uderzył w ostatni klawisz i z satysfakcją kiwnął głową. - Jednak jest coś w komputerach - rzucił przez ramię do Quinlana. - Nigdy się na ciebie nie wypną, nigdy ci się nie sprzeciwią. Prostym językiem powiesz im, co mają zrobić i robią to.

- Ale nie potrafią cię kochać.

- Na swój sposób kochają. Są takie czyste, Quinlan. Ale wracając do sprawy, jeśli teraz użyje którejś z twoich kart kredytowych, będą ją miał w ciągu osiemnastu godzin. Nie najlepiej, ale musi wystarczyć.

- Może będzie musiała skorzystać z karty, ale na pewno podejmie mniej niż pięćdziesiąt dolarów. Nie jest głupia. Czy wiesz, że wygrała krajowy konkurs, pisząc artykuł o tym, ile kosztują społeczeństwo amerykańskie kradzieże kart kredytowych? Uwierz mi, będzie świadoma faktu, że ma nad nami osiemnastogodzinną przewagę i skorzysta z karty wówczas, kiedy te osiemnaście godzin jej wystarczy.

- Skąd o tym wiesz? Przecież miałeś z nią do omówienia mnóstwo innych rzeczy. Jezu, w tym cholernym i malowniczym miasteczku zdarzyły się dwa morderstwa, i to wy dwoje znaleźliście oba ciała. Z pewnością dostarczyło to tematu do rozmowy przynajmniej na trzy godziny.

- Kiedy byłem w jej sypialni, zauważyłem, że ściany są pokryte dyplomami uznania za artykuły, krótkie opowiadania, eseje i najróżniejsze kawałki, które pisała. Nagroda za esej o kartach kredytowych też tam wisiała. Gdy go napisała, musiała mieć szesnaście lat.

- A więc nieźle pisze, może nawet jest utalentowaną autorką. Nadal jednak pozostaje tylko

amatorką. Jest przerażona. Nie wie, co ma robić. Wszyscy ją ścigają, przy czym my pewnie jesteśmy jej najzyczliwsi, ale dla niej nie ma to znaczenia. Przecież wymierzyła ci pistolet prosto w brzuch.

- Nie jęcz. Ma przy sobie jakieś trzysta dolarów gotówką. Daleko z tym nie zajedzie. A z drugiej strony, za niewielkie pieniądze może objechać cały kraj autobusami.

- Mam nadzieję, że nie trzymałeś w portfelu numeru swojego kodu?

- Nie.

- To dobrze. Nie będzie mogła podjąć pieniędzy na twoje nazwisko.

Quinlan usiadł koło Dillona na krześle obrotowym. Zaczął rytmicznie bębnić palcami. - Jest jeszcze coś, co powiedziała, Dillon, od czego ścisnęło mnie w dołku, że wszyscy wokół niej zawsze tylko myśleli o sobie. Chyba dlatego tak szybko mi zaufała, bo rozpaczliwie potrzebowała czyjejś życzliwości.

- Mówisz jak psychiatra.

- Nie, posłuchaj. Tak jak powiedziałeś, jest przerażona, ale potrzebuje kogoś, kto jej zaufa, kto się o nią zatroszczy, kto uwierzy, że nie jest obłąkana, kto ją po prostu zaakceptuje, bez zastrzeżeń, bez wahania. Myślała, że ja tak zrobiłem i miała rację, ale wiesz sam, co się stało. Przez pół roku była zamknięta w tamtym miejscu. Wszyscy jej powtarzali, że jest wariatką. Potrzebuje prawdy, pełnej, niekwestionowanej prawdy.

- I kto ma powiedzieć jej całą prawdę, bez żadnych ograniczeń? Jej matka? Nie mogę w to uwierzyć, chociaż Sally do niej pojechała w pierwszej kolejności. Coś dziwnego dzieje się z panią St. John. Na pewno nie dowie się niczego od Scotta Brainerda, swojego męża, choć miałbym ochotę spotkać faceta i może nawet odrobinę przemodelować mu buzię.

Guinlan wyciągnął teczkę Sally. - Popatrzmy na jej przyjaciół.

Czytał spokojnie przez długi czas, podczas gdy Dillon ustawiał cały system komputerowy na szybką reakcję, kiedy tylko Sally skorzysta z którejkolwiek karty kredytowej.

- Ciekawe - powiedział Quinlan, rozpiernając się na krześle i trąc oczy. - Miała kilka bliskich koleżanek, w większości związanych z Kongresem. Po ślubie ze Scottem Brainerdem, w okresie poprzedzającym umieszczenie jej przez tatusia w tamtym uroczym ośrodku, przyjaciółki zaczęły się oddalać.

- Co ogranicza sprawę, ale niewiele nam pomaga. Chyba nie pojedzie do męża, jak sądzisz? Nie mogę sobie tego wyobrazić, ale...

- W żadnym razie.

Na ekranie komputera coś błysnęło, zapiszczał głośnik. - A niech to - rzekł Dillon i zatarł ręce. Wstukał jakieś liczby, dodał jeszcze dwie komendy.

- Zapłaciła kartą kredytową za benzynę. Rachunek był zaledwie na dwadzieścia dwa i pół dolara, ale na stacjach benzynowych sprawdzają karty kredytowe bez względu na wysokość kwoty do zapłacenia. Jest w Delaware, Quinlan, tuż pod Wilmington. Cholera.

- Wilmington jest nie tak daleko od Filadelfii.

- I nie tak daleko od innych miejsc, może z wyjątkiem Cleveland.

- Nie to miałem na myśli. Jej dziadkowie mieszkają pod Filadelfią. Naprawdę w eleganckiej dzielnicy. Ulica nazywa się Rybacka.

- Rybacka? Nie brzmi zbyt elegancko.

- Nie daj się zwieść nazwie ulicy. Przeczucie mówi mi, że ulica Rybacka jest jedną z ulic, wzdłuż których, oddalone po kilkaset metrów w głąb ogrodów, stoją kamienne dwory. Mogę się też założyć,

że otoczone są murem.

- Niedługo przekonamy się na własne oczy. Mieszkają tam rodzice jej matki. Nazywają się Harrisom Pan Franklin Oglivee Harrison z żoną.

- Podejrzewam, że pani Harrison nie ma swojego imienia?

- Nie, jeśli ludzie są bogaci i starzy, przedstawiają się w ten sposób. Pani Franklinowa Oglivee Harrisonowa. Zastanawiałem się, czy czasami nie dodają drugiego nazwiska, żeby wyrzeć większe wrażenie.

ROZDZIAŁ 17

- Chciałbym ci wyjaśnić, dlaczego Sally skorzystała z karty kredytowej, a nie z części dolarów, które ma przy sobie.

Dillon prowadził swoje porsche z taką samą lekkością i zręcznością, jaką wykazywał przy pracy z komputerami.

W świetle małej latarki Quinlan czytał wszystko, co udało mu się znaleźć na temat dziadków Sally. Co kilka minut musiał podnosić głowę znad lektury, żeby nie zwymiotować. - Nie znoszę czytać w samochodzie. Moja siostra zawsze czytywała powieści, siedząc na tylnym siedzeniu auta i nigdy nic jej nie dokuczało. A wystarczyło, żebym ja zerknął na obrazek w książce i już robiło mi się niedobrze. Co mówiłeś, Dillon? A tak, czemu Sally użyła karty kredytowej. Kiedy poszedłeś po płaszczy, przejrzałem resztę informacji, które podano na temat sprawdzonej karty kredytowej. Numer rejestracyjny samochodu był inny. Kupiła jakiś wrak, na co pewnie zużyła te trzysta dolarów co do centa.

Dillon mruknął - Podaj mi kawę. Jeszcze godzina, i będziemy na miejscu.

- Kupienie starego grata musiało jej zająć trochę czasu. Założmy, że teraz ma nad nami dwugodzinną przewagę. To nie tak źle.

- Miejmy nadzieję, że nie wyczuje naszej obecności w pobliżu, co, twoim zdaniem, zdarzyło się u jej matki.

- Ona naprawdę wiedziała. Posłuchaj tego. Pan Franklin Oglivee Harrison jest prezesem First Philadelphia Union Bank. Jest też właścicielem dwóch sklepów z odzieżą o nazwie „Dostawa dla dżentelmena”. Jego ojciec był właścicielem dwóch największych hut żelaza w Pensylwanii, a że zmarł przed załamaniem gospodarczym, zostawił rodzime grube miliony. Jeśli chodzi o panią Harrison, pochodzi ze starego bostońskiego rodu Thurmondów, którego wszyscy członkowie są urzędnikami wysokiego szczebla, a ogromny majątek zrobili na budowie statków. Mają dwie córki, Amabel i Noelle oraz syna, Geoffreya, który ma zespół Downa i przebywa w bardzo ładnym, prywatnym ośrodku pod Bostonem.

- Chcesz się zatrzymać na tej stacji benzynowej w Wilmington? Będziemy tam za pół godziny.

- Tak. Może ktoś będzie pamięta! markę samochodu, którym jechała.

- Jeśli kupiła coś za trzysta dolarów, powinno rzucić się w oczy.

Jednak facet, który sprzedał jej benzynę, poszedł do domu. Pojechali prosto do Filadelfii.

*

Sally przeniosła wzrok z dziadka Franklina na swoją babkę Oliwię. Przez wiele lat widywała ich dwa albo trzy razy do roku. Z wyjątkiem ostatniego roku.

Cecylia, pokojówka z parteru, wpuściła ją do domu i nawet nie mrugnęła okiem na widok za dużej męskiej kurtki, narzuconej na przyciasną bluzkę i dzinsy. Spokojnie zaprowadziła ją do kameralnego gabinetu na tyłach domu. Dziadkowie oglądali w telewizji „Seinfelda”.

Cecylia nie zaanonsowała jej, tylko zostawiła w pokoju i cicho zamknęła za sobą drzwi. Przez długą chwilę Sally nie odezwała się nawet słowem. Stała tylko, wsłuchując się w dochodzący od czasu do czasu chichot dziadka. Babka trzymała na kolanach książkę, ale jej nie czytała, także

wpatrując się w telewizor. Oboje mieli po siedemdziesiąt sześć lat, cieszyli się doskonałym zdrowiem i dwa razy do roku przyjemnie relaksowali się w prywatnym ośrodku wypoczynkowym w Jumby Bay na Antigui.

Sally poczekała na przerwę na reklamy, żeby się odezwać. - Cześć dziadku, cześć babciu.

Babcia poderwała głowę do góry i wykrzyknęła: - Susan!

- Czy to naprawdę ty, Susan? - rzekł dziadek. - Na miły Bóg, biedne dziecko, co ty tutaj robisz?

Żadne z nich się nie podniosło. Sprawiali wrażenie przyrośniętych do kanapy. Książka zsunęła się z kolan babki i upadła na piękny dywan.

Sally zrobiła krok w ich stronę. - Miałam nadzieję, że będziecie mogli dać mi trochę pieniędzy. Szuka mnie mnóstwo ludzi i muszę się gdzieś ukryć. Mam tylko siedemnaście dolarów.

Franklin Harrison powoli wstał z kanapy. Miał na sobie smoking i fontaż - nie miała pojęcia, że nadal robiono takie rzeczy. Nagle stanął jej przed oczami obraz dziadka z czasów, kiedy była jeszcze małą dziewczynką, ubranego dokładnie tak samo. Przypomniała sobie, jak ją brał na ręce i pozwalał głaskać miękki jedwab fontazia. Miał gęste, falowane siwe włosy, ciemnoniebieskie oczy, wyraźnie zarysowane kości policzkowe i wąskie, zaciśnięte usta. I teraz te usta wydawały się jeszcze bardziej zaciśnięte niż zwykle.

OHvia Harrison też się podniosła i poprawiła jedwabną suknię, którą miała na sobie. Wyciągnęła rękę. - Susan, kochanie> dlaczego nie jesteś u tego wspaniałego doktora Beadermeyera? Chyba nie uciekłaś po raz drugi? To niedobrze dla ciebie, kochanie, wcale niedobrze, zwłaszcza w połączeniu z całym tym skandalem, wywołanym śmiercią twojego ojca.

- On nie umarł zwyczajnie, babciu, został zamordowany.

- Wiemy. I wszyscy nad tym bolejemy. Ale teraz skoncentrujmy się na tobie, Susan. Twoja matka opowiadała nam, ile dobrego zrobił dla ciebie doktor Beadermeyer, jak bardzo poprawił się twój stan. Spotkaliśmy go raz i zrobił na nas spore wrażenie. Czyż to nie ładnie z jego strony, że przyjechał do Filadelfii, żeby się z nami spotkać? Lepiej się już czujesz, Susan, prawda? Chyba już nie widzisz różnych rzeczy, które nie istnieją? I nie oskarżasz ludzi o czyny, których nie popełnili?

- Nie, babciu. Nigdy tego nie robiłam.

Dziwne, żadne z nich nie chciało podejść do niej bliżej.

- Wiesz, kochanie - kontynuowała babka łagodnym głosem, pod którym kryła się stalowa siła - oboje z dziadkiem rozmawialiśmy o tobie i pomyśleliśmy, chociaż mówię o tym z niechęcią, że może jesteś podobna do wujka Geoffreya. Pewnie twoja choroba jest dziedziczna, więc nie ma w tym twojej winy. Kochanie, pozwól mi wezwać doktora Beadermeyera.

Sally była w stanie jedynie wytrzeszczyć oczy na babkę. - Wujek Geoffrey urodził się z zespołem Downa. To nie ma nic wspólnego z chorobą umysłową.

- Owszem, ale może wskazywać, że zachwianie równowagi może być przynajmniej w części genetyczne, przekazywane z matki lub ojca na córkę. Ale nie to jest istotne. Najważniejsze, żebyś wróciła do tego miłego ośrodka, aby doktor Beadermeyer mógł kontynuować leczenie. Przed śmiercią twojego ojca dzwonił do nas co tydzień, żeby poinformować o kolejnej poprawie twojego stanu. Owszem, bywały tygodnie regresu, ale twierdził, że generalnie poprawiało ci się, dzięki zastosowaniu leków nowej generacji.

Cóż mogła na to odpowiedzieć? Opowiedzieć im całą prawdę, tak jak to zapamiętała, i obserwować, jak niewiarę na ich twarzach zastępuje wściekłość? Nieprawdopodobne.

Rok za rokiem obserwowała, jak babka robi się coraz bardziej nieugięta, a jej umysł kostnieje.

Przypomniała sobie, co opowiadała jej ciotka Amabel o tym, jak Noelle pojawiła się w domu pobita przez męża, kiedy Sally była jeszcze niemowlęciem. Nie uwierzyli jej wówczas.

Naturalnie, w domu dziadków zawsze panowała sztywność, ale jako że jej wizyty tutaj były rzadkie, Sally nigdy nie odczuła, że jest wymierzona przeciwko niej. Dokładniej niż kiedykolwiek mogła teraz zrozumieć, jak babka potraktowała swoją córkę Noelle, kiedy ta przybyła błagając o pomoc. Wzdrygnęła się.

- No cóż - odezwał się dziadek, jak zawsze czerstwy i serdeczny, dobroduszny i taki słaby - miło było cię zobaczyć, kochanie. Wiem, że nie masz czasu, żeby zostać dłużej, prawda? Może odeślemy cię do Waszyngtonu? Jak powiedziała twoja babcia, ten Beadermeyer sprawiał wrażenie faceta, który bardzo ci pomagał.

Popatrzyła na oboje. Dziadek, równie wysoki jak James, a przynajmniej kiedyś taki był, człowiek, który wiódł życie zgodne z regułami, ustalonymi przez swoją żonę - a może jeszcze przez swojego ojca - człowiek, któremu nie przeszkadzało, kiedy ktoś zboczył z prostej drogi, ale który nigdy nie bronił nikogo, gdy w pobliżu była jego żona.

Zawsze uważała go za kochającego, dobrego, a tymczasem także do niej nie podszedł. Boże, co on naprawdę o niej myśli? Zaczęła się zastanawiać, dlaczego miał takie zacięte, nieprzyjemne usta. - Byłam w Cove - powiedziała. - Zatrzymałam się na trochę u Amabel.

- Nie rozmawiamy o niej - rzuciła babka, nagle wyższa, bo zeszywniał jej kark. - Jak sobie posłała, tak się...

- Jest bardzo szczęśliwa.

- Nie może być szczęśliwa. Zniesławiła siebie i swoją rodzinę, poślubiając tego nedorzecznego człowieka, który zarabiał na życie malowaniem, malowaniem obrazów.

- Ciocia Amabel jest wspaniałą artystką.

- Twoja ciotka bawiła się wieloma rzeczami, nic poza tym. Jeśli jest dobrą malarką, to czemu o niej nie słyszeliśmy? Sama widzisz, nikt o niej nie słyszał. Mieszka w tym zabitym dechami miasteczku i wie dzie jej się nieszczególnie. Zapomnij o Amabel. Jest nam z dziadkiem przykro, że ją odwiedziłaś. Nie możemy ci dać pieniędzy, Susan. Pewna jestem, że twój dziadek się ze mną zgodzi. Z pewnością rozumiesz dlaczego.

Spojrzała babce prosto w oczy. - Nie, nie rozumiem. Wyłumacz mi, czemu nie dacie mi pieniędzy.

- Susan, kochanie - powiedziała babka cichym, kojącym głosem - nie czujesz się dobrze. Przykro nam z tego powodu i trochę jesteśmy tym oszołomieni, gdyż nigdy do tej pory nic takiego nie przytrafiło się w naszej rodzinie, oczywiście z wyjątkiem wujka Geoffreya. Nie możemy dać ci pieniędzy, bo mogłabyś je wykorzystać ze szkodą dla siebie. Jeśli usiądziesz na chwilę, albo nawet przenocujesz, zawiadomimy doktora Beadermeyera, który przyjedzie i cię zabierze. Zaufaj nam, kochanie.

- Tak, Susan, zaufaj nam. Zawsze cię kochaliśmy, zawsze chcieliśmy dla ciebie jak najlepiej.

- Tak jak dla swojej córki, a mojej matki, gdy ją odesłaliście do męża, który ją bił?

- Susan!

- Oboje wiecie, że to prawda. Tłukł ją jak cholera, kiedy tylko miał na to ochotę.

- Nie używaj takich słów w obecności babci, Susan - powiedział dziadek i zobaczyła, że zaciska wargi.

Patrzyła na niego, zastanawiając się, po co w ogóle tu przyjechała. Musiała jednak próbować.

Musiała mieć pieniądze.

- Przez wiele lat usiłowałam chronić Noelle, ale nie mogłam jej uratować, bo pozwalała mu na to.

Słyszycie mnie? Noelle pozwalała mu się bić. Była taka jak te wszystkie żalose kobiety, o których tyle się słyszy.

- Nie bądź głupia, Susan - odezwała się babka głosem, którym mogłaby kruszyć skały. - Omówiliśmy tę sprawę z twoim dziadkiem i wiemy, że bite żony to słabe i głupie kobiety. Nie są niezależne. Nie mają motywacji. Nie mają chęci pracować nad sobą. Nie potrafią zmienić swojej sytuacji, bo rodzą dzieci jak króliki, a ich mężowie piją i nie mają pieniędzy.

- Twoja babcia ma całkowitą słuszość, Susan. To nie są kobiety z naszej sfery. Naturalnie należy im współczuć, ale nigdy nie zaliczaj do ich grona swojej matki.

- Amabel mówiła mi, że pewnego razu Noelle przyjechała tutaj, we wczesnym okresie jej małżeństwa, i opowiedziała wam obojgu, co wyprawia mój ojciec. Nie chcieliście tego słuchać. Nalegaliście, żeby wróciła. Odtrąciliście ją. Byliście przerażeni. Czy sądziliście choć przez chwilę, że zmyśliła to wszystko?

Sally przemknęło przez myśl, że z pewnością w ten sposób nie zdobędzie od nich pieniędzy. Nie zdawała sobie wcześniej sprawy, że drzemie w niej tak ogromna niechęć do dziadków.

- Nie będziemy z tobą dyskutować o twojej matce, Susan - stwierdziła babka. Dała dziadkowi znak głową, ale Sally to zauważyła. Dziadek postąpił krok w jej stronę. Zaciekawilo ją, czy będzie próbował ją przytrzymać, związać i wezwać doktora Beadermeyera.

W tamtej chwili szczerze pragnęła, żeby tego spróbował. Chętnie przyłożyłaby mu w te zacięte usta, maskujące słabość i głoszące banały.

Zrobiła krok do tyłu, wyciągając przed siebie rękę. - Posłuchajcie, potrzeba mi trochę pieniędzy. Jeśli macie dla mnie choć odrobinę uczucia, proszę, dajcie mi jakieś pieniądze.

- W co ty się ubrałaś, Susan? To męska kurtka. Co zrobiłaś? Nie skrzywdziłaś chyba jakiegoś niewinnego człowieka, prawda? Co zrobiłaś?

Była głupia, że w ogóle tu przyjechała. Czego się spodziewała? Tkwili tak mocno osadzeni w świecie swoich racji, że nawet spychacz by ich stamtąd nie ruszył. Oglądali świat z jednego tylko punktu widzenia - z punktu widzenia babki.

- Nie czujesz się dobrze, prawda, Sally? Gdybyś była zdrowa, nie nosiłabyś takiego nieeleganckiego stroju. Może położysz się na chwilę, a my tymczasem zadzwonimy po doktora Beadermeyera?

Dziadek znów zaczął się zbliżać w jej kierunku i wiedziała, że tym razem będzie chciał ją przytrzymać.

Miała w zanadrzu kartę atutową i zagrała nią. Nawet się uśmiechnęła do tych starych ludzi, którzy kiedyś, być może, na swój sposób ją kochali. - Ściga mnie FBI. Wkrótce tu będą. Chyba nie chcesz, dziadku, żeby złapali mnie agenci FBI?

Stał jak wryty i spojrzał na żonę, która pobladła na twarzy.

Babka spytała: - Skąd mogliby wiedzieć, że tu przyjedziesz?

- Znam jednego z agentów. Jest sprytniejszy, niż powinien, a w dodatku ma ten szósty zmysł. Widziałam go w akcji. Możecie mi uwierzyć. Będzie tu niedługo ze swoim partnerem. Jeśli mnie znajdą, zabiorą mnie z powrotem. A wtedy wszystko wypłynie na wierzch. Powiem całemu światu, że mój ojciec - ten wspaniały, bardzo bogaty prawnik - bił moją matkę, a was to nie obchodziło.

Udawaliście, że wszystko jest w porządku, pławiąc się w szczęściu z posiadania odnoszącego takie sukcesy zięcia.

- Nie najładniej się zachowujesz, Susan - powiedziała babka, a na jej bardzo białych policzkach wykwitły dwie jasnoczerwone plamy. Prawdopodobnie objaw gniewu. - To chyba z powodu twojej choroby.

Nigdy taka nie byłaś.

- Dajcie mi pieniądze, a zniknę w okamgnieniu. Rozmawiajmy dalej, a zjawi się tu FBI i mnie stąd wywlecze.

Tym razem dziadek nie spojrział nawet na żonę. Wyciągnął portfel. Nie przeliczył pieniędzy. Wyjął wszystkie banknoty, złożył je i wyciągnął ku niej. Nie chciał jej dotykać. Znów ją to zastanowiło. Czyżby obawiał się, że zarazi się jej szaleństwem?

- Powinnaś natychmiast pojechać z powrotem do doktora Beadermeyera - rzekł, powoli wymawiając słowa, jakby była idiotką. - On cię obroni. Zabezpieczy cię przed policją i FBI.

Wsadziła banknoty do kieszeni dzinsów. Spodnie były bardzo dopasowane. - Do widzenia i dziękuję za pieniądze. - Z ręką na klamce przerwała na chwilę. - Co wiecie o doktorze Beadermeyerze?

- Ma świetne rekomendacje, kochanie. Wróć do niego. Zrób, jak radzi dziadek. Wróć.

- To okropny człowiek. Więził mnie. Robił mi straszliwe rzeczy. Ale to samo robił mój ojciec. Naturalnie nie wierzycie w to, prawda? Ojciec jest taki wspaniały, a raczej był taki wspaniały. Nie martwicie się, że wasz zięć został zamordowany? To raczej nie zdarza się w wyższych sferach, prawda?

Patrzyli na nią bez słowa.

- Do widzenia. - Ale zanim zdążyła wyjść z pokoju, babka zawołała za nią: - Dlaczego mówisz takie rzeczy, Susan? Nie mogę uwierzyć, że tak się zachowujesz. I nie chodzi mi tylko o nas, ale o twoją matkę.

I co z twoim kochanym mężem? Chyba o nim nie opowiadasz kłamstw, prawda?

- Ani jednego - odpada Sally i wymknęła się z pokoju, zamykając za sobą drzwi. Przez moment na jej twarzy zagościł uśmiech.

W korytarzu stała Cecylia. - Nie wezwałam policji. Poza tym nikogo nie ma w domu. Nie musi się pani martwić. Ale niech się pani pośpieszy, panienko Susan.

- Czy my się znamy?

- Nie, ale moja mama zawsze zajmowała się panienką, kiedy co roku rodzice przywozili tu panienkę. Mówiła, że była pani najmądrzejszym, słodkim szkrabem. Opowiadała, że potrafiła pani pisać wspaniałe wierszyki na kartkach urodzinowych. Do dziś zachowałam kilka takich kart, zrobionych przez mamę, na których są pani wierszyki. Powodzenia, panienko Susan.

- Dziękuję, Cecylio.

*

- Jestem agent Quinlan, a to agent Savich. Czy zastaliśmy państwa Harrison?

- Tak, proszę pana. Proszę za mną. - Cecylia zaprowadziła ich do gabinetu, tego samego, do którego pół godziny wcześniej wprowadziła Sally Brainerd. Kiedy weszli do środka, przymknęła za nimi drzwi. Pomyślała, że Harrisonowie oglądają teraz kanał telezakupów. Pan Harrison lubił śledzić ceny oferowanych tam ubrań i porównywać z cenami w swoich sklepach.

Uśmiechnęła się. Nie miała zamiaru mówić im, że teraz Sally Brainerd ma pieniądze. Nie

wiedziała, ile dziewczyna dostała od tego skąpego starucha. Nie więcej, niż pani Harrison pozwoliła mu dać. Cecylia życzyła Sally powodzenia.

Sally zatrzymała się pod sklepem nocnym i kupiła kanapkę z szynką i coca-colę. Posiliła się na zewnątrz, w świetle latarni przed sklepem. Oczekała, aż odjedzie ostatni samochód, po czym przeliczyła pieniądze.

Wybuchnęła śmiechem i wydawało jej się, że będzie się śmiać bez końca.

Miała dokładnie trzysta dolarów.

Była tak zmęczona, że zataczała się jak pijana. Śmiech nadal nią targai. Zaczynała się zachowywać jak histeryczka.

Motel. Tak, potrzebny był jej miły, tani motel. Musiała przespać solidne osiem godzin, potem będzie mogła jechać dalej.

Znalazła motel pod Filadelfią - „Ostatni Przystanek”. Zapłaciła gotówką, czym zasłużyła sobie na uważne spojrzenie starego mężczyzny, który naprawdę nie chciał mieć jej w hotelu, ale nie potrafił powstrzymać się przed przyjęciem pieniędzy, które ścisnęła w dłoni.

Pomyślała, że jutro będzie musiała kupić jakieś ubranie. Zapłaci kartą kredytową i wyda nie więcej niż czterdzieści dziewięć dolarów i dziewięćdziesiąt dziewięć centów. Pięćdziesiąt dolarów musi wystarczyć, prawda?

Kiedy wreszcie położyła się na cudownie miękkim łóżku, zadała sobie pytanie, gdzie też może być James.

- Gdzie teraz, Quinlan?

- Daj mi ochłonąć z wściekłości. Niech ich diabli wezmą. Sally była u nich. Czemu nie chcieli nam pomóc?

- Bo ją kochają i chcieli ją osłaniać?

- Guzik prawda. Kiedy znalazłem się o dwa kroki od nich, zrobiło mi się lodowato.

- Pani Harrison powiedziała interesującą rzecz - zauważył Dillon, zapalając silnik porsche'a. - O tym, że Sally jest chora i że ma nadzieję, iż wkrótce dziewczyna wróci do tego miłego doktora Beadermeyera. Gotów jestem się założyć, że zatelefonowali do poczciwego doktora, gdy tylko Sally przekroczyła ich próg. Czy to nie dziwne, że pani Harrison usiłowała przedstawić męża jako silnego, mocnego mężczyznę? Nie chciałbym znaleźć się oko w oko z tą walkirią. Budzi postrach w całej rodzinie. Ciekaw jestem, czy dali Sally jakieś pieniądze.

- Mam nadzieję - odparł James. - Na myśl o tym, że podróżuje tym gratem bez grosza przy duszy, robi mi się niedobrze.

- Ma twoje karty kredytowe. Gdyby nie dali jej pieniędzy, musiałyby z nich skorzystać.

- Dam głowę, że Sally jest śmiertelnie zmęczona. Znajdźmy jakiś motel, a potem możemy zacząć dzwonić po wszystkich hotelach w okolicy.

Zatrzymali się w Quality Inn, miejscu właściwym dla agentów FBI. Pół godziny później Quinlan gapił się na telefon. Ze zdumienia nie mógł się poruszyć.

- Znalazłeś ją? Tak szybko?

- Jest niespełna pięć kilometrów stąd, w motelu o nazwie „Ostatni Przystanek”. Nie podała swojego prawdziwego nazwiska, ale zdaniem staruszka wyglądała dziwnie, ubrana w męską kurtkę i bardzo opięte ubranie, które nadawało jej wygląd dziwki, tyle że nie jest dziwką, i dlatego pozwolił jej się zatrzymać. Powiedział, że wyglądała na przestraszoną i zagubioną.

- Hura! - rzekł Dillon. - Wcale nie jestem już taki zmęczony, Quinlan.

- Ruszajmy.

ROZDZIAŁ 18

Sally rozebrała się - prawdę powiedziawszy ściągnęła dzinsy dlatego, że były takie obcisłe - i położyła się na łóżku w bawełnianych figach, które kupił Dillon. Nie miała stanika i z tego powodu została w kurtce Jamesa. Sportowy stanik, który nabył Dillon, mogła nosić, kiedy miała jedenaście lat.

Łóżko było cudownie twarde - no, może nawet twarde jak skała - ale zawsze to lepsze niż ciągłe wpadanie do dołków wygniecionych w materacu. Zamknęła oczy.

Otworzyła oczy i wbiła wzrok w sufit. Przez tanie zasłony mogła dostrzec migający przez całą noc neon z napisem: GORAĆE DZIEWCZYNY HARVEYA TOPLESS.

Wybrała sobie świetną część miasta.

Znów przymknęła oczy, przekręciła się na bok i zaczęła rozmyślać, gdzie może się znajdować James. W Waszyngtonie? Ciekawa była, co powiedziała im Noelle. Czemu Noelle nie powiedziała jej prawdy o tamtej nocy? Może by powiedziała, gdyby było więcej czasu. Może. Czy Noelle mówiła prawdę, że ojciec spiskował z mężem Sally, żeby umieścić ją w ośrodku doktora Beadermeyera? Obaj razem? I Noelle w to uwierzyła?

Zaczęła się zastanawiać, czy dziadkowie zatelefonowali do doktora Beadermeyera i czy ten nazista był już w drodze do Filadelfii. Nie, on będzie czekał. Nie lubił gonić za cieniem, a właśnie tym teraz była i zamierzała pozostać. Teraz już nikt jej nie dopadnie. Za te trzysta dolarów dotrze do Maine. Pojedzie do Bar Harbor, znajdzie pracę i jakoś przeżyje. Turyści będą się przetaczać przez trzy miesiące w roku, więc przez większą część roku będzie miała lepszą kryjówkę, niż potrzebuje. Nikt jej tam nie znajdzie. Wiedziała, że patrzy na Bar Harbor oczami siedmiolatki, ale wtedy było to magiczne miejsce; na pewno teraz nie mogło za bardzo się zmienić.

Gdzie jest James? Wiedziała, że blisko. Nie czuła co prawda jego obecności w pobliżu, ale - jak to powiedziała dziadkom - ten facet jest sprytniejszy niż powinien.

Mogła tylko łudzić się nadzieją, że znajduje się w swoim domu w Waszyngtonie i śpi smacznie w swoim łóżku, co i ona powinna teraz robić. Jak blisko jest?

- A niech to! - zaklęła na głos. Przez parę minut rozważała sprawę, po czym wstała z łóżka. Po prostu wyruszy do Bar Harbor trochę wcześniej niż planowała. Chociaż wydała na ten pokój dwadzieścia siedem dolarów pięćdziesiąt dwa centy. Marnowanie takich pieniędzy było grzechem, ale nie mogła spać.

W ciągu pięciu minut opuściła pokój. Rozgrzała silnik swojego motocykla i pomknęła z powrotem na szosę, w aureoli jaskrawych świateł Gorących Dziewczyń Harveya. Dziwne, pomyślała, mijając chevroleta, mogłaby przysiąc, że James znajduje się gdzieś w pobliżu. Ale to było niemożliwe.

James był pilotem i wypatrywał motelu „Ostatni Przystanek”. Kiedy przemknęła niespełna pięćdziesiąt metrów przed nimi, nie mógł w to uwierzyć. Krzyknął: - Dobry Boże. Czekał, Dillon, czekaj. Stop!

- Dlaczego? Co się stało?

- Mój Boże, to Sally.

- Jaka Sally? Gdzie?

- Na motocyklu. Wszędzie bym rozpoznał moją kurtkę. Nie kupiła żadnego gruchota, tylko motocykl. Jedźmy, Dillon. Jezu, a gdybyśmy przyjechali pół minuty później?

- Jesteś pewien? To na pewno Sally na tamtym motocyklu? Tak, masz rację, to twoja kurtka. Nawet z tej odległości wygląda na pogryzioną przez mole. Jak mam ją zablokować? To może być niebezpieczne, ze względu na ten cholerny motor.

- Na razie jedźmy na ogonie i zastanówmy się przez chwilę.

Dillon utrzymywał odległość ponad pięćdziesięciu metrów za Sally.

- Chytrze zrobiła, kupując motocykl - stwierdził Dillon.

- Są cholernie niebezpieczne. Może sobie skrócić kark, jadąc na tym motorze.

- Przestań gadać, jakbyś był jej mężem, Quinlan.

- Chcesz, żebym ci rozciął górną wargę? Hej, co się tam dzieje?

Cztery motocykle minęły porsche'a i przyspieszyły, jadąc w stronę pojedynczego motocykla w przedzie.

- Cholera - powiedział Dillon. - Tego nam tylko brakowało. Gang, jak myślisz?

- Czemu nie? Jak dotąd, szczęście się do nas uśmiechało. Ile masz amunicji?

- Wystarczy - krótko odparł Dillon, nadal swobodnie trzymając ręce na kierownicy i nie spuszczać oczu z drogi przed sobą. O tej porze nocy ruch samochodowy na drodze wyjazdowej z Filadelfii był niewielki.

- Znów czujesz się jak dzielny, samotny stróż prawa?

- Czemu nie?

Czterej motocykliści otoczyli od tyłu Sally.

Tylko nie wpadaj w panikę, Sally, powtarzał w kotko Quinlan. Tylko nie panikuj.

*

Nigdy w życiu tak bardzo się nie bała. Musiała się z tego roześmiać. No dobrze, mówiąc ściśle, nigdy tak się nie bała w ciągu ostatnich pięciu godzin. Było ich czterech, sami faceci, wszyscy na ogromnych harleyach, wszyscy w ciemnych, skórzanych kurtkach. Żaden nie miał na głowie kasku. Powinna im powiedzieć, że są głupi, nie nosząc hełmów. Może nie zorientowali się, że jest dziewczyną. Poczula smagnięcia włosów na ramionach. Koniec złudzeń.

Co robić? A raczej, co by zrobi! James? Powiedziała, że jest w mniejszości i że trzeba zmykać. Mocno ścisnęła rączkę gazu, ale jadąca za nią czwórka uczyniła to samo, wyraźnie chwilowo zadowolona z zajmowanych pozycji, stale ją otaczając i wprawiając w przerażenie.

Pomyślała o cennych dwustu siedemdziesięciu paru dolarach, stanowiących cały majątek, jaki jej pozostał na świecie. Nie, nie pozwoli zabrać sobie tych pieniędzy. To było wszystko, co miała.

Krzyknęła w stronę chłopaka, jadącego obok niej: - Czego chcecie? Znikajcie!

Chłopak tylko się roześmiał. - Jedź z nami. Znamy takie jedno miejsce, które ci się spodoba.

- Nie, jedźcie sobie! - odkrzyknęła. Czy ten idiota mówił poważnie? Nie był grubym, odrażającym, stereotypowym członkiem motocyklowego gangu. Był szczupły, o krótko przystrzyżonych włosach i nosił okulary.

Przybliżył swój motocykl do jej pojazdu tak, że jechali w odległości niespełna trzydziestu centymetrów.

- Nie boj się! - zawołał glosno. - Jedź z nami. Na następnym zjeździe skręcamy w prawo. Al, facet po twojej prawej stronie, ma miłą, przytulną chatę niecałe pięć kilometrów stąd. Mogłabyś

spędzić z nami trochę czasu, może nawet przenocować. Naszym zdaniem musiałaś obrobić jakiegoś faceta z tej kurtki, ale to nie ma najmniejszego znaczenia. Hej, jesteśmy dobrymi, porządnymi obywatelami. Daję słowo.

- Tak, akurat - krzyknęła - jak papież. Chcecie, żebym z wami pojechała, żebyście mogli mnie okraść, zgwałcić i pewnie jeszcze zabić. Idź do diabła, chłoptasiu!

Przyspieszyła. Motocykl wystrzelił do przodu. Mogłaby przysiąc, że za jej plecami rozległ się śmiech. W kieszeni kurtki Jamesa czuła pistolet. Pochyliła się nisko nad kierownicą i zaczęła się modlić.

- Jedźmy, Dillon.

Dillon przyspieszył i zatrał na motocyklistów, którzy rozpierzchli się na boki drogi. Usłyszeli krzyki i przekleństwa. Quinlan tylko się uśmiechnął.

- Trzymajmy się między nią a motocyklistami - powiedział Quinlan. - Jak myślisz, Dillon, czy będziemy jechać za nią, dopóki nie skończy się jej benzyna?

- Mogę wysunąć się przed nią, ostro zahamować i obrócić samochód w poprzek drogi.

- Nie możemy tego zrobić, mając za plecami motocyklistów. Po prostu trzymaj się blisko niej.

- Jeszcze chwila, a obejrzy się za siebie - rzekł Dillon.

- Do tej pory nie widziała porsche'a.

- Świetnie. Będzie wtedy myślała, że ściga ją nie tylko paru szalonych motocyklistów, ale również facet w seksownym, czerwonym porsche'u.

- Na jej miejscu wybrałbym ciebie.

*

Czemu samochód jej nie wyprzedza?

Jeszcze bardziej przesunęła się ku brzegowi szosy. Samochód nadal jej nie wyprzedzał. Droga była dwupasmowa. W pobliżu nie było innych aut. Czyżby ten idiota potrzebował trzech pasów jezdni?

I wtedy coś ścisnęło ją w żołądku. Facet w porsche jechał za nią. Kim jest? Musi być związany z Quinlanem, postawiłaby na to swój ostatni grosz.

Dlaczego nie została w pokoju motelowym, spokojnie leżąc na twardym łóżku i licząc barany? Prawdopodobnie tak postąpiłby James. A ona nie, musiała po północy wyruszyć w drogę na motocyklu.

I wtedy dostrzegła niewielką przerwę w barierze, oddzielającej obie jezdnie autostrady. Nie namyślając się, skręciła ostrym łukierii i przemknęła przez dziurę w barierze. Usłyszała za sobą klakson samochodu, który cudem ją ominął. 'Mijając ją, kierowca zwymyślał ją przez okno.

Na drodze w stronę Filadelfii panował duży ruch. Teraz była więc bezpieczniejsza.

- Jezu, nie mogę uwierzyć, że to zrobiła - powiedział James, którego serce tłukło się w klatce piersiowej aż do bólu. - Widziałeś tę przerwę? Nie mogła mieć więcej niż pół metra szerokości. Kiedy ją dopadniemy, będę ją musiał zrugać.

- Ale udało się jej. Wyglądało to całkiem profesjonalnie. Mówiłeś, że dziewczyna jest twarda. Powiedziałbym raczej, że ma nerwy ze stali i szczęście jak Irlandczyk. Aha, i jeszcze ci powiem, że znowu mówisz, jakbyś był jej mężem. Przestań, Quinlan. Boję się tego.

- Nie przestraszy cię nic mniejszego od strzelającej haubicy. Uważaj teraz i przestań analizować każde moje słowo. Dopadniemy ją, Dillon; niedługo dojedziemy do skrótu.

Trochę czasu zabrało im, aby znów znalazła się w polu ich widzenia. Jechała zygzakiem

pomiędzy sznurem pojazdów, zmierzających w stronę Filadelfii.

- Niech to piekło pochłonie - powtarzał Quinlan, wiedząc że w każdej chwili ktoś może jej zajechać drogę, a inny kierowca, nie dostrzegłszy jej, zmieni pas ruchu i zostanie zgnieciona pomiędzy dwoma samochodami.

- Przynajmniej wydaje jej się, że nas zgubiła - rzekł Dillon. - Ciekawe, za kogo nas uważała?

- Nie byłbym zdziwiony, gdyby myślała, że to ja.

- No nie, jak to możliwe?

- Przecucie tak mi podpowiada. Tak, prawdopodobnie wie o nas i dlatego pędzi na złamanie karku. Jezu, popatrz, Dillon! Mój Boże! Hej, koleś, uważaj! - Quinlan opuścił szybę w oknie i jeszcze raz krzyknął do kierowcy jadącego obok. Potem odwrócił się do Dillona. - Przekłęci kierowcy z Pensylwanii. I jak będziemy ją łapać?

- Jedźmy za nią, dopóki nie nadarzy się okazja.

- Nie podoba mi się to. O kurczę, Dillon, wrócili motocykliści, cała czwórka.

Czterej motocykliści jechali ławą, zjeżdżając się, gdzie było więcej samochodów i powtórnie rozjeżdżając się, gdy robiło się luźniej.

*

Sally była w świetnym humorze. Czowała się sprytna. Przechytrzyła ich, i tego typu prowadzącego porsche, i czterech motocyklistów. Bez wahania przejechała przez dziurę w barierce, udało jej się bez żadnych problemów. Dobrze, że nie miała czasu się nad tym zastanowić, inaczej ze strachu narobiłaby w majtki. Uśmiechnęła się szeroko i poczuła powiew wiatru na zębach, które aż ją od tego rozbolały. Jedno było tylko niedobre - jechała w niewłaściwym kierunku.

Spojrzała na mijany znak na drodze. Za pół kilometra miała zjazd na Maitland Road. Nie miała pojęcia, dokąd prowadzi Maitland Road, ale sądząc po tym, że widziała ją wijącą się pod autostradą, musiała zmierzać na wschód.

Przejechała motocyklem na prawy pas. Usłyszała trąbienie samochodu i gotowa była przysiąc, że poczuła też ciepło bijące od pojazdu, który przemknął tuż obok niej. Pomyślała, że już nigdy, nigdy więcej nie wsiądzie na motor.

Ale właściwie [czemu nie? Przecież była mistrzynią w jeździe na motocyklu.

Hondą 350, dokładnie taką, jak ta, jeździła przez dwa lata, od ukończenia szesnastego roku życia. Kiedy oświadczyła ojcu, że sprowadza się z powrotem do domu, ten odmówił kupienia samochodu, który wcześniej jej obiecał. Motocykl miał być czymś tymczasowym. Za zaoszczędzone pieniądze kupiła czerwoną hondę, cudowny motor. Przypomniała sobie, jaki ojciec był wściekły. Zabronił jej nawet się zbliżyć do motocykla.

Zignorowała go.

Zakazał jej wychodzić z domu.

Nie obchodziło jej to. I tak nie chciała opuszczać matki. A potem przestał o tym mówić. Podejrzewała, iż nie przejąłby się, gdyby się zabiła na motorze.

Ale to nie było istotne. I tak się zemścił.

Nie chciała o tym myśleć.

Skreśliła w Maitland Road. Już niedługo będzie znowu jechała w przeciwnym kierunku i tym razem nikt nie będzie jej ścigał. Droga tonęła w ciemnościach, nie było żadnych świateł. Wiał wiatr. Po obu stronach drogi rosły gęste, wysokie krzaki. Na drodze nie było nikogo. I co zrobiła najlepszego? Poczuła własny strach. Czemu skreśliła, do diabła? James by nie skreślił.

Była głupią idiotką i zapłaci za to.

Wszystko wydarzyło się tak szybko, że nie miała nawet czasu, żeby krzyknąć albo poczuć przerażenie. Zobaczyła przywódcę motocyklistów po swojej lewej stronie, który machał i wołał coś do niej, ale nie mogła zrozumieć słów. Ostro szarpnęła motocykl w prawo, wjechała na żwirowe pobocze, wpadła w poślizg i straciła panowanie nad kierownicą. Przeleciała nad motocyklem i wylądowała na brzegu dwupasmowej drogi, w przydrożnych krzakach.

Miała wrażenie, że trafił w nią meteor - kręgi oślepiającego światła i szum w uszach - a potem otoczyła ją ciemność mroczniejsza niż dusza jej ojca.

Quinlan nie chciał uwierzyć w to, co przed chwilą zobaczył. - Mój Boże, ona jest ranna, Dillon! Cholera, pospiesz się, no pospiesz!

Z piskiem hamulców porsche zatrzymało się niespełna dwa metry od miejsca, gdzie czterej motocykliści stali wokół Sally. Jeden z nich, wysoki, chudy, krótko ostrzyżony, nachylał się nad nią.

- Dobrze, chłopcy - powiedział Quinlan. - A teraz odsuńcie się.

Trzej motocykliści odwrócili się w jego stronę i ujrzeli wycelowane w siebie dwie lufy. - Jesteśmy z FBI i chcemy, żeby za trzy sekundy już was tu nie było.

- Nie tak szybko - odezwał się przywódca motocyklistów, klęczący teraz na ziemi koło Sally.

- Co z nią robisz?

- Jestem lekarzem. No, może nie do końca, jestem dopiero na stażu, nazywam się Simpson. Właśnie usiłuję sprawdzić, jakie odniosła obrażenia.

- Dziwnie to brzmi, zważywszy, że to przez ciebie zjechała z drogi.

- Nie zmuszaliśmy jej do zjechania z drogi. Wpadła w poślizg. Prawdę mówiąc, pojechaliśmy za nią, bo zobaczyliśmy, że ją ścigacie. Człowieku, chcieliśmy tylko jej pomóc.

- Jak już mówiłem, jesteśmy z FBI - powtórzył Quinlan, patrząc na motocyklistę. - Zrozumcie, ona jest przestępcą. Oszustką dużego kalibru. Czy wyjdzie z tego? Możesz powiedzieć, czy czegoś sobie nie złamała? Dillon, zwróć uwagę na tych panów.

Quinlan przyklęknął. - Czy mogę zdjąć jej kask?

- Nie, lepiej ja to zrobię. Chyba my też powinniśmy jeździć w kaskach. Gdyby nie miała hełmu na głowie, miałyby jajecznicę zamiast mózgu, i to wcale niekoniecznie w głowie. Naprawdę jesteście z FBI? I ona naprawdę jest przestępcą?

- Naturalnie. Co robisz? Aha, sprawdzasz, czy nie ma połamanych rąk. Lepiej, żeby była cała, bo inaczej rozwalę ci gębę. Śmiertelnie ją wystraszyłeś. Tak, to typowy okaz przestępcy. Dlaczego jeszcze nie odzyskała przytomności?

W tym właśnie momencie Sally jęknęła i otworzyła oczy. Otaczała ją ciemność. Słyszała męskie głosy, wiele głosów. Nagle usłyszała Jamesa.

- Nie - odezwała się. - Nie, to niemożliwe, żebyś mnie złapał. Nie sądziłam, że mnie złapiesz. Znow się pomyliłam.

Pochylił się nad nią i z odległości paru centymetrów od jej nosa powiedział: - Faktycznie, złapałem cię. I to jest ostatni raz, kiedy to robię. A teraz bądź cicho i leż spokojnie.

- Nigdy bym nie zgadł, że jest przestępcą - rzekł Simpson. - Wygląda tak słodko i niewinnie jak moja młodsza siostrzyczka.

- No tak, nigdy nie wiadomo. Dużo czasu zajęło nam, żeby wpaść na jej trop. Nie wiedzieliśmy, że weszła w posiadanie motocykla. Zaledwie sześć godzin temu miała jeszcze samochód. I co, Sally, nic ci nie jest? Nic cię nie boli? Nic nie masz złamanego, prawda? Czy teraz możesz już zdjąć jej

kask?

- Dobra, ale naprawdę bardzo ostrożnie.

Po zdjęciu kasku odetchnęła z ulgą. - Boli mnie głowa - powiedziała - poza tym jeszcze tylko ramię. Czy jest złamane?

Motocyklista bardzo delikatnie obmacał jej rękę. - Nie, nie jest nawet zwichnięte. Prawdopodobnie upadłaś na nie. Przez jakiś czas będzie dolegało. Myślę, że powinnaś zgłosić się do szpitala, żeby sprawdzić, czy nie masz wewnętrznych obrażeń.

- Nie - odparła. - Chcę wsiąść na mój motor i odjechać. Muszę się uwolnić od tego człowieka. On mnie zdradził.

- Co masz na myśli, mówiąc, że cię zdradził?

- Wciągnął mnie w swoją grę i spowodował, że mu zaufałam. Nawet przespałam z nim jedną noc, ale to było jeszcze w Oregonie. A potem miał czelność oświadczyć mi, że kłamał i że jest agentem FBI. Powiedział mi to tutaj, nie w Oregonie.

- Jesteś pewien, że nie ma wstrząsu mózgu? - zapytał Dillon, przysuwając się odrobinę bliżej.

- Mówiła zupełnie rozsądnie - zabrał głos Quinlan. - Jeśli nie masz nic sensownego do dodania, Dillon, to siedź cicho.

Quinlan dotknął ramienia motocyklisty. - Dzięki za pomoc. Możecie już teraz odjechać.

- Czy mogę zobaczyć wasze legitymacje?

Quinlan roześmiał się, szczerząc zęby. - Jasne. Dillon, pokaż człowiekowi jeszcze raz nasze legitymacje. Za pierwszym razem nie obejrzał ich zbyt dokładnie.

Motocyklista uważnie przestudiował dokumenty, potem skinął głową. Spojrzał w dół na Sally, która leżała, oparta na łokciach. - Nadal nie mogę uwierzyć, że to oszustka.

- Powinieneś widzieć jej babkę. Ta stara dama jest jak bryła lodu. To ona jest głową tej bandy oszustów.

Prowadzi swojego męża za ucho. Jest przerażająca, a ta dziewczyna wyrośnie na taką samą osobę.

Kiedy motocykliści odjechali, Quinlan zwrócił się do Sally: - A teraz zabierzemy cię do szpitala.

- Nie.

- Nie bądź idiotką. Mogłaś odnieść wewnętrzne obrażenia.

- Jeśli siłą zawieziecie mnie do szpitala, ogłoszę przed całym światem, kim jestem i kim wy jesteście.

- Nie zrobisz tego.

- Sprawdź.

Pojał, że jest szantażowany, ale nic mu nie grozi. To ona ucierpi najbardziej, jeśli zrealizuje swoją groźbę. Uwierzył jej.

- Jak się czujesz, Sally?

- Dillon? To ty byłeś tym typem prowadzącym porsche? A James siedział obok i mówił ci, co masz robić. Powinnam była wiedzieć. Właściwie w głębi duszy wiedziałam.

- No tak - mruknął Dillon, zastanawiając się, czemu nawet do głowy jej nie przyszło, żeby to jemu przypisać choć część zasług. - Pozwól, że pomogę ci wstać. W kurtce Quinlana nie wyglądasz najgorzej. Może jest odrobinę za długa, ale poza tym świetnie pasuje. Ktoś, kto jeździ na motocyklu tak jak ty, musi mieć najszerze bary w kraju.

- Jak mnie znaleźliście? O Boże, moja głowa. - Potrząsnęła głową i zamrugła. - To tylko

niewielki ból głowy. I boli mnie trochę ramię, ale nic poza tym. Żaden szpital.

Quinlan nie mógł znieść widoku kręcącej się Sally, w jego kurtce, rozdartej na lewym ramieniu, w bluzce z oberwanymi dwoma guzikami. - Nie masz stanika.

Sally zerknęła w dół na rozchylającą się bluzkę. Nie było jak jej zapiąć. Owinęła się więc kurtką Jamesa. - Dillon przyniósł mi ze sklepu staniczek sportowy i te wszystkie ciuszki, które okazały się o trzy numery za małe. Nawet zapiąć ich nie mogłam.

- Cóż, nie znałem twojego rozmiaru. Przykro mi, że nie spełniły swojego zadania.

Kopnęła go w łydkę.

- Psiakrew, nie to miałem na myśli - powiedział, masując nogę. - Pomyślę jeszcze nad czymś i powiem ci później.

- Lepiej nie.

Quinlan wziął ją za ramię i delikatnie przyciągnął do siebie. - Teraz już wszystko jest dobrze, Sally, wszystko dobrze.

Przytulił ją do siebie. - Jesteś pewna, że nie chcesz, żeby cię zbadał jakiś lekarz?

- Żaden lekarz. Nienawidzę lekarzy.

Mógł ją zrozumieć. Nie próbował dowodzić, że nie każdy lekarz oznaczał psychiatrę. Teraz wątpił zresztą nawet, czy doktor Beadermeyer w ogóle był lekarzem. Zwrócił się do Dillona: - Kiedy będziesz miał chwilę czasu, sprawdź tego Beadermeyera. Zaczynam się zastanawiać, czy nie jest bezwzględny oszustem. - Zaś do Sally powiedział: - Zgoda. Ale musisz wypocząć. Poszukajmy miejsca, gdzie mogłabyś spędzić noc.

- Jak mnie znaleźliście?

- Spóźniliśmy się o włos u twoich dziadków, tak samo jak u twojej mamy. Pomyśleliśmy, że musisz być nie mniej zmęczona od nas, więc zaczęliśmy telefonować po okolicznych hotelach. To było łatwe. Musisz się jeszcze wiele nauczyć o uciekaniu, Sally.

I wtedy dotarło do niej, że przegrała, że przegrała naprawdę. A dla nich było to takie łatwe. Gdyby nie wysledzili jej na autostradzie, James po prostu wkroczyłby do jej pokoju hotelowego. Łatwo, za łatwo. Czuła się jak upolowany indyk. Spojrzała w dół na rozwaloną honde, na powyginaną ramę i sflaczałe tylne koło.

- Mój świeżo kupiony motocykl jest zniszczony. Właśnie się do niego przyzwyczajałam.

- To nieważne.

- Wydałam na niego prawie wszystkie pieniądze.

- Ponieważ były to moje pieniądze, gotów jestem odpisać je na straty.

Wszystko działo się na opak. Nic nie wyglądało tak, jak powinno. Wsunęła rękę pod kurtkę i wyciągnęła jego pistolet. Przyłożyła mu go w okolice dolnych żeber.

ROZDZIAŁ 19

- Tylko nie znów to samo, Sally - powiedział, ale nie ruszał się, zachowując ostrożność.

- Znowu ma cię na muszce twojego pistoletu, Quinlan?

- Tak, ale wszystko w porządku. Myślę, że nauczyła się czegoś od ostatniego razu. Sally, wszystko już za nami. Chodź, kochanie, odłóż ten straszak. Cokolwiek zrobisz, nie zapominaj, że spust jest bardzo czuły.

Chyba przy najbliższej wizycie w Quantico będę musiał trochę go zmodyfikować. Byłbym bardzo wdzięczny, gdybyś mogła wsunąć pistolet do mojej kabury, kiedy znajdziemy się w samochodzie. Odkąd ukradłaś mi broń, moja kabura jest pusta i czuję się nie do końca ubrany.

- Nie chcę do ciebie strzelać, James, ale chcę się od ciebie uwolnić. Zdradziłeś moje zaufanie. Wiesz, że nie mogę ci wierzyć. Pozwól mi odejść, proszę.

- O nie, już nigdy więcej. Wiesz, że możesz mi zaufać. Twoje zastrzeżenia doprowadzają mnie do szału. Posłuchaj, Sally. Dopóki to się nie skończy, będziesz ze mną. A może wolałabyś zaufać swojej mamie albo dziadkom? O tak, z twojej drobniotkiej, milutkiej babci jest niezły numer.

- Nie, nie ufam nikomu. A właściwie mam zaufanie do Noelle, ale ona jest cała skołowana i nie wie, w co ma wierzyć, czy jestem wariatką, czy też nie. Jestem pewna, że wszyscy telefonowali już do Beadermeyera, nawet Noelle. Ale ona dzwoniła nie po to, żeby mnie wydać, ale aby uzyskać odpowiedź na parę pytań. O Boże, czy Beadermeyer może jej zrobić krzywdę?

Quinlan sądził, że Beadermeyer mógłby skrzywdzić Noelle tylko wtedy, gdyby jego skóra znalazła się w poważnym niebezpieczeństwie, czyli już niedługo, ale jeszcze nie w tej chwili. Odpowiedział jednak: - Nie wiem. Beadermeyera stać na wszystko, gdy czuje się zagrożony, a teraz, kiedy wyrwaliśmy cię z jego sanatorium, pewnie tak się czuje. Hej, czy wiesz, że rzucałem psom kawałki mięsa, żeby cię uratować?

Spojrzała na niego w ciemności. - Jakim psom?

Wtrącił się Dillon. - Sanatorium pilnowały psy, Sally. James rzucał im mięso, żeby nie dobrały się nam do gardeł. Jeden z psów usiłował złapać Jamesa za kostkę, kiedy prznosił cię przez ogrodzenie.

Widziała rozmyte kontury jego twarzy. - No cóż - rzuciła w końcu, świadoma, że nie da rady dłużej trzymać pistoletu, bo ramię diabelnie ją bolało. - Co za gówno.

- Od sześciu godzin jesteśmy tego samego zdania stwierdził Dillon. - Daj już spokój, Sally. Quinlan jest zdecydowany, żeby ci pomóc. Jest zdeterminowany, żeby cię chronić. Pozwól mu na tę opiekuńczość. Nigdy nie widziałem go w takim stanie. To poważna sprawa. No chodźcie już, moi drodzy. Zbierajmy się stąd, zanim motocykliści dojdą do siebie i zatrzymają się, albo, co gorsza, ktoś wezwie miejscowych gliniarzy.

Niewiele myśląc, Quinlan złapał ją na ręce i zaniósł do porsche'a.

- Nie jesteś supermanem - powiedziała najbardziej zgorzkniałym głosem, jaki kiedykolwiek słyszała. - To był tylko dwumetrowy spacer. Nawet karzeł dałby radę.

- To ze względu na mój pistolet - rzekł, pochylając się i leciutko całując ją w ucho. - Jest bardzo ciężki. - Kiedy posadził ją sobie na kolanach na siedzeniu dla pasażera, wyciągnął rękę po broń.

Bardzo długo patrzyła na niego. - Naprawdę czujesz się za mnie odpowiedzialny?

- Ukradłaś moje pieniądze, mój samochód, moje karty kredytowe i zdjęcia moich siostrzenic i siostrzeńców. Musiałem cię złapać, żeby to wszystko odebrać.

- Ty draniu. - Oddała mu broń.

- Owszem, jestem nim - zgodził się. - Dziękuję, Sally. Koniec z próbami ucieczki ode mnie? - zapytał, rzucając pistolet na tylne siedzenie.

- Nie wiem.

- Wiesz co, nie będę ryzykował. Przykuję cię do siebie, co ty na to?

Nie odpowiedziała, siedziała z głową przyciśniętą do jego ramienia. Zrozumiał, że cierpi, podczas gdy on sobie z niej dworuje. - Spróbuj się odprężyć - powiedział. Zerknął na Dillona. - Co sądzisz o znalezieniu jakiegoś sympatycznego motelu?

- To są sprzeczne pojęcia. Ty płacisz czy FBI?

- A niech tam. Teraz, kiedy odzyskałem karty kredytowe, jestem bogaty. Płacę za wszystko poza twoim pokojem, Dillon.

- - Jutro kupimy jakieś ubranie, które będzie na ciebie pasować.

Stała, przyglądając się wnętrzu ogromnego pokoju motelowego. Mieścił się w nim kącik wypoczynkowy, telewizor i podwójne łóżko.

Odwróciła się, żeby spojrzeć na niego. - Czy przyszedł czas zapłaty?

Przechylił głowę na bok. - Co masz na myśli?

Wskazała głową łóżko. - Domyślam się, że mam z tobą spać w tym łóżku.

- Miałem zamiar poprosić cię, żebyś spała na kanapie. Dla mnie jest za krótka.

Obrzuciła go zakłopotanym spojrzeniem, po czym udała się do łazienki, rzucając przez ramię: - Nie rozumiem cię. Czemu nie jesteś na mnie wściekły? Czemu nie krzyczysz? Nie jestem przyzwyczajona do zrównoważonych ludzi, zwłaszcza mężczyzn. Popatrz na siebie, jesteś wcieleniem długo cierpiącego Hioba.

Na jej policzku pojawił się siniec. Zastanowiło go, jak mocno boli ją ramię. - Byłbym na ciebie wkurzony, gdybym nie widział, jak lecisz z tego motocykla. Takim hamowaniem przyprawiłaś mnie o siwe włosy.

- Wpadłam w poślizg. Nic już nie mogłam zrobić.

- Weź długi prysznic. To powinno złagodzić ból. Pięć minut później rozległo się pukanie do drzwi, łączących pokój z sąsiednim.

Quinlan otworzył je. - Jest pod prysznicem. Wchodź.

Dillon niósł dużą torbę z Burger Kinga i pojemnik z trzema napojami. Postawił wszystko na stole i opadł na kanapę.

- Co za bajzel. Jedno przynajmniej jest dobre, a mianowicie to, że nie zamierza znowu uciekać. Nie wiedziałem, że tak umiesz oczarować.

- Trzymaj się w pobliżu, to może się czegoś nauczysz.

- Co, u licha, mamy teraz zrobić, Quinlan? Musimy zadzwonić do Brammera. Nawet nie wiemy, jak przebiega pozostała część śledztwa.

- Właśnie dotarło do mnie, że mamy weekend. Jest piątek w nocy, a właściwie sobota rano. W pewnym sensie nie jesteśmy już na służbie. Dopiero w poniedziałek musimy być przykładnymi pracownikami, prawda?

Dillon leżał wyciągnięty na sofie z przymkniętymi oczami. - Brammer zażyczy sobie naszych jaj

na śniadanie.

- Nie. Zażyczyłby ich sobie, gdybyśmy zgubili Sally. Ale nie zgubiliśmy jej. Teraz już wszystko będzie dobrze.

- Nie mogę uwierzyć w twój szalony optymizm - rzekł Dillon i usiadł, otwierając oczy, gdyż usłyszał odgłos zakręcania prysznic. - W łazience mają całą baterię najróżniejszych małych opakowań szamponów, odżywek i tym podobnych rzeczy.

- Twoje zdanie?

Zawarczała suszarka.

- Naprawdę nie mam zdania. Jedźmy - powiedział Dillon. Ugryzł spory kęs hamburgera i z pełnymi ustami rzekł: - Jestem zmęczony. Muszę wszystko przemyśleć. Na szczęście jutro mamy sobotę. Szkoda tylko, że siłownia będzie zatłoczona.

*

Dochodziła trzecia nad ranem. W pokoju było cicho i ciemno. Wiedział, że nadal nie śpi. Doprowadzało go to do szaleństwa.

- Sally? - odezwał się w końcu. - Co się dzieje?

- Co się dzieje? - Zaczęła się śmiać. - Masz wycucie nosorożca. Mnie się pytasz, co się dzieje?

- W porządku, masz rację, ale oboje potrzebujemy snu. Nie mogę zasnąć przed tobą.

- To głupota. Nie wydałam żadnego dźwięku.

- Wiem, i dlatego jest to szalone. Wiem, że jesteś śmiertelnie przerażona, ale jeśli sobie przypominasz, obiecałem przecież, że będę cię chronił. Obiecałem, że uporządkujemy cały ten bałagan. Wiesz, że bez ciebie nie dam rady tego zrobić.

- Mówiłam ci już, James, że nie pamiętam wydarzeń tamtej nocy. Ani jednego. Są tylko jakieś obrazy i dźwięki, ale nic konkretnego. Nie wiem, kto zabił mojego ojca. Może nawet był jeszcze żywy, kiedy tam byłam. Z drugiej jednak strony, ja również mogłam go zabić. Nienawidziłam go bardziej, niż mógłbyś to sobie wyobrazić. Noelle przysięgła mi, że nie ona go zabiła. Było jeszcze coś, ale nie zdążyła mi o tym powiedzieć, jeśli w ogóle miała taki zamiar.

- Wiesz, że byłaś tam, kiedy został zastrzelony.

Wiesz dobrze, że to nie ty go zabiłaś. Ale wrócimy do tego później.

- Sądzę, że moja matka nie powiedziała mi prawdy, bo wie, że to ja go zabiłam. Próbuje mnie osłaniać, nic innego.

- Nie, ty go nie zastrzeliłaś. Może nie zdążyła nic więcej ci powiedzieć, bo zjawiliśmy się my. A może osłania kogoś innego. Wszystkiego się dowiemy. Zaufaj mi. Powiedziała policji i nam, że przez cały wieczór była poza domem, sama w kinie.

- Cóż, mnie oświadczyła, że była ze Scottem. A to oznacza, że ma świadka, mogącego potwierdzić, iż nie zabiła mojego ojca.

- Scott? Twój mąż?

- Nie bądź taki mądry. Wiesz, że to mój mąż, ale już wkrótce nim nie będzie.

- Dobrze. Zajmiemy się tą sprawą. Ale teraz jest już późno. Musimy mieć trochę snu. Muszę ci tylko jeszcze powiedzieć, że twoja eskapada była naprawdę świetna, Sally. Kiedy zauważyłem cię przypadkiem, opuszczającą tamten motel na motocyklu, mało mi szczęka nie opadła. Bardzo sprytnym posunięciem z twojej strony było porzucenie samochodu i zakup motocykla. Zupełnie nas to zaskoczyło.

- Owszem, ale kiedy doszło co do czego, i tak nie miało to znaczenia, prawda?

- Dzięki Bogu nie. Dillon i ja jesteśmy dobrzy. I mamy kupę szczęścia. Gdzie się wybierałaś?

- Do Bar Harbor. Dziadek dał mi trzysta dolarów. Wszystkie pieniądze, jakie miał w portfelu.

Kiedy je policzyłam, uświadomiłam sobie ogrom ironii.

- Żartujesz. Dokładnie trzysta dolarów?

- Co do centa.

- Tвої dziadkowie nieszczęśliwie przypadli mi do gustu. Służąca wprowadziła nas do gabinetu na tyłach domu. Oglądali jakąś reklamę z telezakupów. Muszę przyznać, że było to dla mnie zaskoczeniem. Pan Franklin Oglwee Harrison i jego żona, oglądający taki plebejski program.

- Mnie by to też zaskoczyło.

- Sally, może chciałabyś przyjść do łóżka? Nie, nie zamieraj. Widzę stąd, że skostniałaś z zimna. I pewnie na dodatek boli cię ramię, prawda?

- Trochę. Właściwie bardziej piecze niż boli. Miałam dużo szczęścia.

- Masz rację. Chodź już, obiecuję, że się na ciebie nie rzucę. Pamiętasz, jak dobrze się nam spało w Cove, w moim pokoju na wieży? Musiało cię to specjalnie nie martwić, skoro gotowa byłaś opowiedzieć o tym motocyklistom.

Przez całą minutę panowała cisza. - Tak, pamiętam - odezwała się wreszcie. - Nie wiem, dlaczego otworzyłam usta i wypaplałam to kompletnie obcym ludziom. Miałam wtedy ten koszmar senny.

- Nie, po prostu przypominałaś sobie, co się z tobą działo. To był koszmar, ale miał miejsce w rzeczywistości. To był twój ojciec. W końcu mi to powiedziałaś.

Chodź tutaj, Sally. Jestem wykończony i nawet ty, superkobieta, musisz chyba balansować na krawędzi wytrzymałości.

Ku ogromnej uldze i zadowoleniu Jamesa w następnej chwili stała obok łóżka, patrząc na niego. Miała na sobie jeden z jego białych podkoszulków. Odchylił kołdrę.

Wsunęła się pod nią i ułożyła na plecach.

Leżał na plecach dziesięć centymetrów od niej.

- Podaj mi rękę.

Wyciągnęła rękę. Uścisnął jej palce. - Prześpijmy się.

Niespodziewanie dla siebie samych zasnęli.

Kiedy Quinlan obudził się następnego dnia wczesnym rankiem, leżała rozciągnięta na nim, otaczając ramionami jego szyję, z rozchylonymi nogami. Podkoszulka podjechała jej do pasa.

O cholera, pomyślał, próbując wmówić sobie, że jest to jeszcze jedna sytuacja, z którą profesjonalnie wyszkolony agent FBI musi sobie poradzić. Cóż z tego, że sześciotygodniowy kurs w Quantico takich sytuacji nie obejmował. Nic wielkiego. Miał przecież doświadczenie. I nie miał już szesnastu lat. Wciągnął powietrze przez zęby.

Tak, podejdzie do sprawy ze swobodą i opanowaniem. Przez spodenki czuł ciepło jej ciała. Dzieliła go od niej tylko cieniutka warstwa materiału, nic więcej. Zrozumiał, że opanowanie w takim momencie będzie dużą sztuką.

- Sally?

- Mmmm?

Był teraz twardszy niż czarodziejska różdżka wuja AJexa. Nie mógł jej przestraszyć. Najostrożniej jak się dało odepchnął ją od siebie i usiłował położyć na plecach. Tyle tylko, że nie zamierzała go puścić. Nie miał innego wyjścia - musiał opaść na nią. Teraz czarodziejska różdżka

wuja Alexa znalazła się tam, gdzie powinna, między jej nogami.

I po co cała swoboda i opanowanie? W tym momencie nie wydawały się na miejscu.

- Sally, niewygodnie mi. Puść mnie, dobrze?

Rozluźniła uchwyt na jego szyi, ale nie rozplotła palców.

Z łatwością mógł się od niej odsunąć, ale nie potrafił się do tego zmusić. Była taka drobna i ciepła. Uścisk jej rąk wokół karku był taki przyjemny. Tak samo jak jej gorący oddech na szyi.

Pomyślał, że mógłby tak leżeć, mając ją pod sobą, aż do śmierci.

Popatrzył na nią. Otworzył usta i powiedział: - Sally, wyjdiesz za mnie?

Jej oczy otwały się natychmiast. - Co powiedziałaś?

- Poprosiłem cię o rękę.

- Nie wiem, James. Jestem przecież mężatką.

- Zapomniałem o tym. Proszę, Sally, nie ruszaj się. Chcesz zdjąć rękę z mojej szyi?

- Nie, właściwie nie. Jesteś ciepły, James, i tak przyjemnie czuć na sobie ciężar twojego ciała.

Czuję się bezpieczna i przekonana, że wszystko będzie dobrze. Teraz każdy, kto by chciał mnie dostać, musi najpierw rozprawić się z tobą. A to się nigdy nie uda, bo jesteś zbyt potężny, za silny. Proszę nie staczaj się ze mnie.

Był potężny i silny? Jeszcze bardziej stwardniał od tego. - Na pewno się nie boisz? Po tym wszystkim, co ci się zdarzyło w sanatorium, nie chciałbym cię przestraszyć.

Zadrżała i mocniej opłotła ramionami jego szyję. - Dziwne, ale nigdy mnie nie przestraszyłeś, poza tym razem, kiedy jak byk wpadłeś z wrzaskiem przez drzwi Amabel tamtego dnia, gdy mój ojciec pierwszy raz do mnie zatelefonował. Ale później już zupełnie nie, nawet wtedy, kiedy wpadłeś na mnie wychodzącą spod prysznic.

- Byłaś taka piękna, że straciłem głowę.

- Ja? Piękna? - prychnęła, oczarowując go. - Jestem jak patyk, ale miło z twojej strony, że tak powiedziałaś.

- Ależ to prawda. Patrzyłem na ciebie i myślałem „ona jest doskonałą”. Naprawdę podoba mi się ten maleńki pieprzyk na twoim lewym biodrze.

- O Boże, aż tyle widziałeś?

- Tak. Męskie oczy potrafią się przesuwac naprawdę szybko, jeśli mają odpowiednią motywację.

Czemu nie rzucisz Scotta Brainerda, żeby móc wyjść za mnie?

- Nie sądzę, żeby mu to przeszkadzało - powiedziała po chwili. - Właściwie on mnie już dawno rzucił mimo tych telewizyjnych apeli. - Pocierała palcami jego ramiona i kark. Miał gorącą, gładką skórę. - Wkrótce po ślubie przekonałam się, że to był błąd. Prowadziłam tak samo aktywne życie jak on, zawsze w pędzie, stale jakieś spotkania, przyjęcia, obowiązki wieczorami, ciągłe rozmowy telefoniczne, każde z nas było otoczone innymi ludźmi. Ubóstwiałam to i na początku jemu też się to podobało. Ale potem oświadczył mi, że myślał, iż po ślubie zrezygnuję z takiego życia. Najwyraźniej oczekiwał, że będę siedziała w domu, czekając na jego powrót z pracy, żeby go nakarmić, może rozmasować mu kark i posłuchać opowieści o tym, jak spędził dzień, a potem rozbiorę się, jeśli będzie miał ochotę na seks. Naprawdę tego oczekiwał. Nigdy się nie dowiem, skąd mu to przyszło do głowy. Próbowałam z nim o tym rozmawiać, ale zawsze tylko powtarzał, że jestem marną żoną, że jestem nieodpowiedzialna. Twierdził, że go okłamałam. To nieprawda. Byłam kompletnie zaszokowana, kiedy po ślubie zaczął się wściekać na moje codzienne zajęcia. W okresie narzeczeńskim miałam tyle samo zajęć i nigdy nie powiedział ani słowa. A raz oświadczył nawet, że

jest ze mnie dumny. Kiedy w końcu powiedziałam, że wiem o jego romansie i że chcę rozwodu, stwierdził, że mam bujną wyobraźnię. Powiedział, że jestem głupia, przynajmniej na początku tak mówił. Ale po jakimś czasie zaczął twierdzić, że wariuję, że mam paranoję, ale nie rozwiedzie się ze mną tylko dlatego, że to choroba. To nie byłoby w porządku. Nie, nie mógłby mi tego zrobić. O czym mówił, zrozumiałam dopiero cztery dni później. Sypiał z inną kobietą, James. Mogłabym dać głowę. Odkąd mnie zamknięto w sanatorium Beadermeyera nie mam pojęcia, co robił. Miałam nadzieję, że już nigdy nie będę musiała go oglądać. I nie widziałam go dotąd. Przychodził tylko mój ojciec. Ale Scott musiał też być w to uwikłany. Mimo wszystko był i jest moim mężem. I to on pierwszy powiedział, że jestem wariatką.

Ciekawe, pomyślał Quinlan. - Tak - rzekł. - Siedział w tym aż po swoje krętaskie, prawnicze uszy. Z kim romansował?

- Nie wiem. Prawdopodobnie z kimś z pracy, z TransCon. Scott ma tam władzę.

- Przykro mi - powiedział Quinlan, nachylił się i pocałował jej ucho - ale będziesz musiała znów się z nim spotkać, chociaż raz. Na pocieszenie mogę ci tylko powiedzieć, że teraz ja jestem twoim idolem, a że jestem osobą urzędową, więc nie musisz się martwić. Sally, może to Scott zabił twój ojca, a twoja matka go osłania?

- Nie. Scott to robak. Mały, żądławy, tchórzliwy robak. Nie stać by go było na zabicie mojego ojca.

- Zgoda. - Tyle cierpienia, za wiele cierpienia.

Wszystko jakoś się ułoży, musi.

Pochylił się nad nią i tym razem pocałował ją w usta. Jej wargi rozchyliły się i zapragnął, bardziej niż czegokolwiek, zagłębić się w jej usta, zagłębić się w jej ciało. Rozumiał jednak, że w tej chwili świat wymykał jej się spod kontroli. Nie chciał wprowadzać dodatkowego zamieszania w jej życie. Dobry Boże, oświadczył się jej.

- Może to dobry pomysł - odezwała się i pociągnęła go w dół, żeby go pocałować.

- O czym mówisz? - wypowiedział prosto w jej usta.

- Żeby wyjść za męża. Za ciebie. Jesteś taki normalny, taki duży i normalny. Nie miałeś trudnego dzieciństwa, prawda?

- Nie. Mam dwie starsze siostry i starszego brata. Byłem najmłodszy w rodzinie. Wszyscy mnie rozpieszczali. Moja rodzina nie była specjalnie patologiczna. Nikt nikogo nie bił. My, dzieci, tłukliśmy się zawzięcie, ale to dość normalne. Byłem dobry w różnych sportach, ale moją pasją była i nadal pozostała piłka nożna. Niedziele były przeznaczone na piłkę nożną. Lubisz futbol?

- Tak. W szkole miałam nauczycielkę wychowania fizycznego, która pochodziła z San Francisco. Miała bzika na punkcie piłki nożnej i nauczyła nas grać. Byłyśmy bardzo dobre. Jedynym problemem był brak w okolicy jakiegokolwiek innej żeńskiej drużyny, z którą mogłybyśmy rozgrywać mecze. Nie lubię koszykówki ani baseballu.

- Jakoś to przeżyję. Z tobą mogę się bawić nawet w berka.

Pocałowała go w szyję. Zadrzał, czując, że pod ciężarem jego ciała jeszcze bardziej się otwiera. Powiedział szybko: - Moją największą pomyłką było małżeństwo z Teresą Ragian, kiedy miałem dwadzieścia sześć lat. Pochodziła z Ohio i wydawała się stworzona dla mnie. Jest prawnikiem, tak jak twój mąż i kochany ojczulek. Okazało się, że zakochała się w facecie z marynarki, który sprzedawał tajemnice wojskowe każdemu, kogo tylko one interesowały. To ja go wytropiłem. Ona go broniła. Wybroniła go, a potem rzuciła mnie i wyszła za niego za męża.

- To zadziwiające, James. Co się z nią dzieje?

- Mieszkają w Annandale w stanie Wirginia. Mają dwoje dzieci, facet został jakimś dobrze płatnym działaczem związkowym i chyba nieźle im się powodzi. Od czasu do czasu widuję się z nimi. Nie, niech ci się nie zdaje, że to jakaś romantyczna historia, a ja zostałem ze złamanym sercem. Nie mam złamanego serca.

Przez pewien czas byłem zaszokowany i wściekły, dopóki Dillon nie ukazał mi całego absurdu tej historii. Oto pozytywny bohater dopada bandytę. Żona pozytywnego bohatera broni bandytę, uwalnia go od zarzutów, a potem za niego wychodzi. Niezwykle pouczająca historia. Miał rację. Wszystko to przypomina kiepski melodramat albo scenariusz serialu telewizyjnego.

- James, jesteś wspaniały. Nawet przy całym tym bałaganie potrafisz się śmiać i umiesz mnie rozśmieszyć. I nie byłeś zły, że przyłożyłam ci do brzucha lufę pistoletu i że ukradłam twój samochód. Musiałam porzucić samochód, James. Potem kupiłam motocykl. Musiałam uciec. Myślę, że najlepiej by było, gdybyś umiał zapomnieć, kim jesteś i pojechał ze mną do Bar Harbor. Kiedyś cieszyłam się życiem, James... ale to teraz nie jest ważne.

- To jest ważne. Chcesz jeszcze coś usłyszeć? Coś, co pokaże, jaki jestem wspaniały?

- Co mianowicie?

- Nie wściekłem się nawet wówczas, kiedy powtórnie wymierzyłaś we mnie broń.

- Cóż, to chyba przesądza sprawę, prawda? - Poruszyła się pod nim i pomyślał, że za chwilę nie wytrzyma. Był cały twardy, serce biło mu mocno i szybko tuż przy jej piersiach.

Nie leżało w jego planach, żeby sprawa tak dalece wymknęła mu się z rąk, przynajmniej do chwili, w której przesunęła się pod nim, szeroko rozkładając nogi, aż jego nogi znalazły się pomiędzy nimi.

Pocałował ją i wyszeptał prosto w jej usta: - Jesteś piękna i czujesz, jak bardzo cię pragnę. Ale nie możemy dopuścić do tego, żeby to się stało. Nie mam prezerwatywy. A ciąża jest ostatnią rzeczą, która jest ci teraz potrzebna.

Usłyszał, że Dillon porusza się w sąsiednim pokoju. - A poza tym Dillon już się obudził i wstał. Dochodzi siódma. Musimy wracać do domu.

Odwróciła od niego twarz. Miała zamknięte oczy. Pomyślał, że musi ją boleć ramię albo głowa. Bez namysłu uniósł się i ściągnął jej podkoszulek przez głowę. Zamrugła i zrobiła ruch, jakby chciała się zasłonić.

Pomyślał, że nie jest jeszcze na to gotowa. - Spokojnie. Chcę sprawdzić, co jest z twoim ramieniem. Nie ruszaj się.

Kłęcząc pomiędzy jej nogami pochylił się i delikatnie dotknął jej lewego ramienia. Skrzywiła się. - Tutaj. Dobrze, leż spokojnie. Muszę jeszcze sprawdzić. - Wyglądała jak flaga włoska, z krwawymi otarciami, ciągnącymi się przez piersi aż po pachę i przedramię. Niektóre kolory sińców przenikały się nawzajem, ale dominowała zieleń.

Nachylił się i pocałował ją w ramię.

Zauważył, że zacisnęła ręce na jego ramionach. - Przykro mi, że tak się poobijałaś. - Znów ją pocałował, tym razem w lewą pierś. Przyłożył policzek do jej biustu i wsłuchał się w rytm jej serca, wyraźny i mocny, który teraz lekko przyspieszył. Czemu nie, pomyślał. Uniósł głowę i uśmiechnął się do niej.

- Kobieta, która żyła w takim stresie, musi mieć chwilę odprężenia. To najlepsze lekarstwo. - Pocałował ją jeszcze raz i położył się obok niej na boku. Przesunął dłoń po jej ciele, delikatnie

pieszcząc jej brzuch, aż wreszcie jego palce ją znalazły. Pieścił ją całując, świadomy, że jest przestraszona, nerwowa, nie przestawał jednak. Jego palce zagłębiły się bardziej, zmieniły rytm, aż poczuł, że się rozluźniła, gdy podniecenie wywołane tym, co jej robił, przewyciężyło skrępowanie.

Odchylił głowę i uśmiechnął się wprost w jej oszołomioną twarz, - Wszystko w porządku, kochanie. Potrzebujesz tego. Bogiem a prawdą ja też.

Znów zaczął ją całować, szepcząc miłosne słowa, bezceremonialne, surowe i podniecające. Kiedy szczytowała, połykał jej krzyk i mocno przytulał do siebie, szaleńczo pragnąc, by mógł w nią wejść. Cierpiał, gdy twardy jak deska wbijał się w jej udo.

Ale nie mógł.

Dillon lekko zapukał do drzwi.

- Quinlan, Sally już się obudziliście?

Spojrzał w dół w najbliżkitniejsze oczy, jakie widział w życiu. Patrzyła na niego, jakby nie mogła uwierzyć w to, co się stało.

- Dobrze się czujesz?

Nadal patrzyła na niego bez słowa.

- Hej, Quinlan, wstałeś? Zbierajcie się, przed nami długa droga.

Ten facet jest właścicielem porsche'a - powiedział Quinlan. - Musimy się go trzymać. - Pocałował ją w czubek nosa i zmusił się, aby się od niej oderwać.

ROZDZIAŁ 20

- Podoba mi się twoje mieszkanie.

Uśmiechnął się za jej plecami. - Łatwo ci to powiedzieć, bo ma więcej wyrazu niż tamten pokój w motelu...

Odwróciła się do niego. Nie miała już na sobie za ciasnych dżinsów, jego za długiej kurtki i bluzki, która nie dopinała się na biuście.

W drodze powrotnej do Waszyngtonu zatrzymali się przy domu towarowym Macy's w centrum handlowym Montgomery Plaza. Dillon porzucił ich na rzecz sklepu z oprogramowaniem komputerowym. James i Sally świetnie się bawili, kłócąc się o wszystko, poczynając od koloru koszuli nocnej, a kończąc na fasonie butów dla Sally. Wyszła ze sklepu w ciemnobrązowych sztruksowych spodniach, kremowym wełnianym swetrze, brązowym golfie i zgrabnych brązowych bucikach do kostek.

Nióśł swoją kurtkę - tę, którą mu zabrała - przerzuconą przez ramię. Wątpił, aby w pralni chemicznej byli w stanie usunąć plamy smaru, powstałe w czasie wypadku motocyklowego.

- Słyszałam, że samotnie mieszkający mężczyźni żyją w śmietniku. Rozumiesz, wszędzie puste pudełka po pizzy, nawet w łazience, uschłe kwiatki i koszarne meble, wyciągnięte ze strychu mamusi.

- Lubię dobrze żyć - powiedział i dotarło do niego, że to prawda. Nie lubił bałaganu ani używanych mebli, kochał kwiaty i obrazy impresjonistów. Miał szczęście, że po sąsiedzku mieszkała pani Mulgravy. Kiedy wyjeżdżał, dbała o wszystko, zwłaszcza o jego ukochane fiołki afrykańskie.

- Masz dobrą rękę do kwiatów.

- Wydaje mi się, że tajemnica polega na tym, iż gram im na saksofonie. Większość kwiatów preferuje bluesa.

- Chyba nie lubię bluesa - powiedziała, nadal bacznie mu się przyglądając.

- Czy kiedykolwiek słuchałaś Dextera Gordona? Johna Coltrane'a? Od muzyki z płyty Gordona „Blue Notes” ciarki przebiegają ci po plecach.

- Słyszałam o Gato Barbierim.

- Też jest wspaniały. Wiele się nauczyłem od niego i od Phila Woodsa. Jest jeszcze jakaś nadzieja dla ciebie, Sally. Dziś wieczorem się nasłuchasz. Będziesz mogła dać szansę rytmowi i zawodzeniom.

- To twoje hobby, James?

Sprawia wrażenie troszkę zakłopotanego. - Tak, w piątkowe i sobotnie wieczory gram na saksofonie w klubie „Bonhomie”. Z wyjątkiem wieczorów, kiedy nie ma mnie w mieście, tak jak wczoraj.

- I będziesz grał dzisiaj?

- Tak, chociaż nie, jiiie teraz. Ty tu jesteś.

- Chętnie cię poszukam. Czemu nie możemy iść? Obdarzył ją leniwym uśmiechem. - Naprawdę chciałybyś pójść?

- Naprawdę chciałabym pójść.

- Dobra. Jest szansa, że nikt cię nie rozpozna, ale na wszelki wypadek zorganizujemy perukę i duże, ciemne okulary. - Wiedział, że jutro on, Sally i Dillon wdepną w całe to bagno. Nie mógł się doczekać spotkania ze Scottem Brainerdem. Nie mógł się doczekać spotkania z doktorem Badermeyerem. Jeszcze nic nie powiedział Sally. Chciał jej podarować dzisiejszy dzień bez żadnych sporów z nim czy z kimkolwiek innym. Chciał widzieć, jak się śmieje.

- James, jak myślisz, czy mogłabym zadzwonić do kilku moich koleżanek?

- Kim one są?

- To kobiety, które pracują na Kapitolu. Od ponad sześciu miesięcy z nimi nie rozmawiałam. Ściśle mówiąc, telefonowałam do jednej z nich tuż przed wyjazdem z Waszyngtonu do Cove. Nazywa się Jill Hughes. Prosiłam ją o pożyczkę. Zgodziła się bardzo szybko i chciała się ze mną spotkać. Ale było coś takiego w jej zachowaniu, że nie poszłam. Chciałabym zadzwonić do Moniki Freeman. Była moją najlepszą przyjaciółką. Przedtem nie było jej w mieście. Chcę sprawdzić, jak się zachowa, co ma mi do powiedzenia. Może jestem paranoiczką, ale chcę wiedzieć, kto mnie prześladowuje.

W jej głosie nie było cienia uzalania się nad sobą. Mimo to poczuł, jakby ktoś obracał mu nóż w brzuchu.

- Jasne - rzucił swobodnie. - Zadzwońmy do Moniki i zobaczmy, czy ktoś także z nią nie nawiązał kontaktu.

Zadzwoniła do Moniki Freeman, ważnej urzędniczki w Departamencie Rozwoju Mieszkalnictwa. W zakłopotanie wprawiła ją konieczność zatelefonowania do informacji z prośbą o numer Moniki. Kiedyś, przed erą Scotta, znała go lepiej niż własny.

Telefon zadzwonił dwa, trzy razy, a potem rozległo się. - Halo?

- Monika? Tu Sally.

James przycupnął i coś pisał.

Nastąpiła długa przerwa. - Sally? Sally Brainerd?

- Tak. Co u ciebie, Moniko?

- Sally, gdzie jesteś? Co się dzieje?

James wsunął jej pod rękę kartkę papieru. Sally przeczytała, wolno skinęła głową i powiedziała: - Moniko, mam kłopoty. Czy możesz mi pomóc? Czy możesz mi pożyczyć trochę pieniędzy?

Znów nastąpiła długa przerwa. - Sally, słuchaj. Powiedz mi, gdzie jesteś.

- Nie, Moniko, nie mogę.

- Pozwól mi zawiadomić Scotta. Może przyjechać i cię zabrać. Gdzie jesteś, Sally?

- Moniko, nigdy przedtem nie mówiłaś o nim Scott. Nie lubiłaś go, przypominasz sobie? Zwykle mówiłaś o nim frajer, kiedy wiedziałaś, że cię słyszę. Chciałaś mnie przed nim osłaniać. Powtarzałaś mi, że on ma władzę i próbuje izolować mnie od wszystkich moich przyjaciół. Nie pamiętasz, jak zadzwoniłaś do mnie po naszym ślubie i pierwsze, o co spytałaś, to czy Scott już wyszedł, żebyśmy mogły swobodnie porozmawiać?

Nie lubiłaś go, Moniko. Raz nawet powiedziałaś, żebym kopnęła go w jaja.

Zapadła kompletna cisza, a potem. - Myliłam się co do niego. Bardzo go obchodzisz, Sally. Zwrócił się do mnie w nadziei, że zadzwonisz i że mu pomogę. Scott to dobry człowiek, Sally. Pozwól, że do niego zadzwonię. Może się z tobą gdzieś umówić i...

Sally bardzo delikatnie nacisnęła na widełki bezprzewodowego telefonu.

Ku jej zdumieniu James uśmiechał się. - Hej, może przypadkiem trafiliśmy na kochankę twojego męża. A może wysnuwam zbyt pochopne wnioski? Pewnie tak, ale co ty o tym sądzisz? Może jest z

niego prawdziwy ogier, może ma i Jill, i Monikę? Czy to możliwe, jak myślisz?

Myślała, że nawet w piekle nie czułaby się gorzej niż w tej chwili. Jednak James umiał nadać wszystkiemu kpiący ton, jak najlepszy felietonista prasowy. - Nie mam pojęcia. Z pewnością zmieniła nutę, tak jak Jill. Ale dwie? Wątpię, James. Zawsze był taki zajęty. Wydaje mi się, że interesy bardziej go pasjonowały niż seks.

- Jakie interesy?

- Pracował w firmie prawniczej mojego ojca, o czym się dowiedziałam dopiero po naszym ślubie. Dziwnie to brzmi, ale to prawda. Ewidentnie nie chciał, żebym się o tym dowiedziała przed ślubem. Zajmował się finansami międzynarodowymi, pracował głównie z kartelem naftowym. Po powrocie do domu zacierał ręce i opowiadał mi, jakie wrażenie ta czy inna transakcja wywrze na wszystkich, jak udało mu się przechytryć jakiegoś szejka i łatwo zarobić pół miliona. Takie interesy.

- Jak długo byłaś jego żoną?

- Osiem miesięcy. - Zamrugła i zaczęła mieć listek okazałego filodendrona. - Czy to nie dziwne? Nie wliczyłam w to sześciu miesięcy pobytu w sanatorium.

- To niezbyt długo jak na małżeństwo, Sally. Nawet moje, zupełna klęska, trwało dwa lata.

- Zaraz po ślubie zrozumiałam, że mój ojciec też jest udziałowcem naszego małżeństwa, nie mniej ważnym niż my. Gotowa jestem się założyć, że oddał mnie Scottowi jako część rozliczenia.

Głęboko wciągnęła powietrze. - Sądzę, że ojciec wsadził mnie do tego sanatorium w zemście za wszystkie lata, kiedy ochraniałam Noelle. Mogę się też założyć, że drugim elementem zemsty było wydanie mnie za Scotta. Dotarł do Scotta, który zrobił, co ojciec mu kazał. Czysta zemsta. Gdy zażądałam od Scotta rozwodu, powiedział, że zwariowałam. Oświadczyłam, że skoro tak bardzo pragnął mariażu z nazwiskiem St. John, mógł się ożenić z moim ojcem. Dwa dni później, przynajmniej tak mi się wydaje, byłam już w sanatorium. Nadal czas mi się miesza.

- Ale miał kochankę. Może Monikę, może Jill. Może to był ktoś, o kim nic nie wiemy. Jak szybko zorientowałaś się, że ma romans?

- Jakieś trzy miesiące po ślubie. Postanowiłam, że spróbuję jakoś z tym żyć, ale kiedy znalazłam parę miłosnych liścików i dwa rachunki z hotelu, przestało mi zależeć. Wobec takiej sytuacji w domu i wiecznie kręcącego się w pobliżu ojca chciałam tylko odejść.

- Ale ojciec ci nie pozwolił.

- Nie.

- Niewątpliwie twój ojciec wiedział wszystko o waszym małżeństwie. Scott musiał mu powiedzieć o rozwodzie natychmiast po tym, jak go zażądałaś, inaczej nie mógłby tak szybko zadziałać. Kto wie? Może to był pomysł Scotta? Czy chcesz jeszcze do kogoś zadzwonić?

- Nie. Pozostała już tylko Rita. Chybabym nie wytrzymała, gdyby Rita zaczęła mi mówić o zawiadaniu Scotta. Wystarczy tego, co już usłyszałam, prawdę mówiąc i tak jest tego o wiele za dużo.

- W porządku, na dziś koniec z pracą, dobrze?

- To była praca?

- NaturaMe. Uzupełniliśmy kolejny fragment łamigłówek.

- James, kto pozbawił nas oboje przytomności w Cove i odtransportował mnie z powrotem do doktora Beadermeyera?

- Beadermeyer albo jego wspólnik. Raczej nie Scott. Mógł to być człowiek, który udawał twojego ojca tamtej nocy, kiedy widziałaś go w oknie sypialni. Ale teraz, odkąd masz mnie, nie

powinnaś się załamywać tym, że tak wiele złych ludzi chodzi po świecie.- A wszyscy oni jakby skupili się wokół mnie. Poza Noelle.

Miał ochotę poprosić, żeby razem z nim przeanalizowała wszystko od dnia, w którym spotkała Scotta Brainerda aż do dnia bieżącego, ale nie zrobił tego. Daj jej wolny dzień, wywołaj uśmiech na jej twarzy. Może mogliby się kochać przed kominkiem. Bardzo chciał się z nią kochać. Aż go palce świerzbily na samo wspomnienie jej dotyku, sposobu, w jaki się poruszała pod jego dłońmi, miękkości jej ciała. Spróbował się skupić na swoich afrykańskich fiołkach.

*

Tego wieczora gładko zaczesła włosy do tyłu, spinając je klamrą nisko na karku. Założyła duże, ciemne okulary słoneczne. - Nikt cię nie pozna - powiedział Quinlan, podchodząc od tyłu i lekko kładąc jej ręce na ramionach. - Ale i tak zaopatrmy się w perukę. Wiesz co? Kiedy zabito twojego ojca? Trzy tygodnie temu? Pełno było o tym w telewizji, w każdym ilustrowanym brukowcu, w każdej gazecie. Ciebie, zaginioną córkę, potraktowano w ten sam sposób. Po co ryzykować, że ktoś cię rozpozna? Muszę przyznać, że podobasz mi się w tych ciemnych okularach. Wyglądasz tajemniczo. Czy naprawdę jesteś tą samą kobietą, która zgodziła się wyjść za mnie? Tą samą, którą po przebudzeniu znalazłem leżącą na mnie?

- Jestem ciągle tą samą kobietą, James, naprawdę. A co do tamtej sprawy... Myślałam, że to było przejęzyczenie. Naprawdę o to ci chodziło?

- Skądże, chciałem tylko zaciągnąć cię do łóżka i dać ci rozkosz.

Wyrznęła go w żołądek.

- Tak, Sally, naprawdę to miałem na myśli.

Klub „Bonhomie” przy Houtton Street mieścił się w starym, ceglanym budynku w środku obszaru, zwanego „pograniczem”. Za rozsądne uchodziło korzystanie z taksówki w drodze do klubu i z niego, aby uniknąć ryzyka utraty nie tylko kołpaków na koła, ale wręcz całego samochodu.

James nigdy nie myślał poważnie o możliwych niebezpieczeństwach w tej okolicy, dopóki nie pomógł Sally wysiąść z taksówki. Rozejrzał się i zauważył, że wiele lamp ulicznych się nie paliło.

Na chodnikach leżały śmieci, ale nie przed klubem, gdyż pani Lilly nie lubiła śmieci - ani prawdziwych, ani białych, żadnych.

- Tak jak ci powiedziałam, chłopcze - oświadczyła jakieś cztery lata temu, przyjmując go do pracy. - Podoba mi się twój wygląd. Żadnych kolczyków, tatuaży, zepsutych zębów, sadła na brzuchu. Będiesz musiał uważać na dziewczyny, bo te współczesne są bardzo namiętne i gdy tylko spojrzą na ciebie, od razu zaczną im pląsać przed oczami wizje cukrowych kutasów. - Tu roześmiała się ze swojego powiedzenia, zaś James, doświadczony agent, człowiek, który słyszał w życiu niemal każdą kombinację wulgarnych słów, stał jak oniemiały, niezwykle zakłopotany.

Uszczypnęła go w ucho dwoma palcami o długich na centymetr, jaskrawoczerwonych paznokciach i znów się zaśmiała. - Świetnie się nadasz, chłopcze, naprawdę świetnie.

I rzeczywiście. Na początku bywalcy, wierne grono, w znakomitej swej większości czarni, patrzyli na niego jakby był nieznanym zwierzęciem, które uciekło z zoo, ale Lilly przedstawiła go, po czym opowiedziała kilka dwuznacznych kawałów o jego zabawie saksofonem i seksem.

Dołączyła do grona jego najlepszych przyjaciół. A w styczniu dała mu podwyżkę.

- Spodoba ci się pani Lilly - zwrócił się Quinlan do Sally, otwierając ciężkie, dębowe drzwi klubu. - Jestem jej symbolicznym białym. - Paskudne oblicze będącego już w środku Marvina Wykidajły rozjaśniło się na widok Quinlana.

- Cześć, Quinlan. Kim jest ta gaska?

- Ta gaska to Sally. Możesz na nią mówić Sally, Marvinie.

- Witaj, Marvinie.

Ale Marvin nie przejmował się imionami. Kiwnął tylko głową. - Pani Lilly jest na zapleczu w swoim biurze i gra w pokera z majorem i jego kilkoma kolesiami. Nie, Quinlan, nie ma tam żadnych narkotyków. Znasz panią Lilly, prędzej by kogoś zastrzeliła, niż pozwoliła, żeby coś powąchał. Przyjdzie tu przed twoim występem. A ty, moja gasko, zostań tutaj, w zasięgu mojego wzroku, kiedy James będzie łąkał na scenie, dobrze? Śliczna z niej gaska, Quinlan. Przypilnuję jej.

- Będę ci wdzięczny, Marvinie. Jest śliczna, a ściga ją mnóstwo złych ludzi. Gdybyś miał na nią oko, mógłbym bez nerwów zawodzić na moim saksofonie.

- Pani Lilly zaraz zacznie ją karmić, Quinlan. Wygląda, jakby od miesiąca nie miała przyzwoitego jedzenia w ustach. Jesteś głodna, gasko?

- Jeszcze nie, ale dziękuję, Marvinie.

- Gaska z dobrymi manierami. Aż się człowiekowi raduje serce, Quinlan.

- Zdumiewające - rzuciła Sally, ale nie dodała nic więcej. Uśmiechała się jednak. Lekko pomachała do Marvina.

- Będzie na ciebie uważał, nie martw się.

- W tym momencie wcale o tym nie myślałam. W głowie mi się nie mieści, że powiedziałaś mi prawdę.

- Och, Marvin mi nie uwierzył. Pomyślał, że się martwię, żeby jakiś typ nie usiłował cię poderwać, to wszystko.

Sally rozejrzała się po ciemnym, zadymionym wnętrzu klubu „Bonhomie”. - Lokal ma charakter, Quinlan.

- I każdego roku jeszcze zyskuje. To chyba dzięki starzejącemu się drewnu. Bar ma ponad sto lat. Jest dumą Lilly. Wygrała go w pokera od jakiegoś faceta w Bostonie. Zawsze mówiła o nim pan Zdrówko.

- Niepowtarzalna postać.

Uśmiechnął się do niej. - Dzisiejszy wieczór jest dla zabawy, dobrze? Czy wiesz, że wyglądasz rewelacyjnie? Podoba mi się ten mały, seksowny top.

- Mówisz tak, żeby tylko coś powiedzieć, prawda? - Ale była zadowolona. Nalegał, żeby kupiła tę bluzeczkę, gdy byli w Macy's. Uśmiechnęła się. Pomyślała, że dzisiejszy wieczór jest przeznaczony na zabawę. Tak dawno już się nie bawiła. Rozrywka. Zapomniała po prostu, co to znaczy.

Nocne koszmary mogą poczekać do jutra. Kiedy James zabierze ją z powrotem do domu, może będzie chciał się z nią jeszcze całować, a może nawet będzie chciał się z nią kochać. Czowała jeszcze ciepło dotyku jego palców na swoim ciele.

- Chcesz coś do picia?

- Chętnie napiłabym się białego wina. Tak dawno nie miałam go w ustach.

Uniósł brwi. - Nie wiem, czy Fuzz Barman kiedykolwiek słyszał o białym winie. Usiądź sobie i niech cię atmosfera tego miejsca przeniknie do szpiku kości. A ja pójdę sprawdzić, co Fuzz ma w barze.

Fuzz Barman, pomyślała. To był świat, którego istnienia nigdy sobie nie wyobrażała. Sama się okradała z wrażeń.

Podniosła głowę i dostrzegła Jamesa kiwającego w jej stronę i ogromnego czarnego mężczyznę z łysą głową, błyszczącą jak bilardowa kula, który uśmiechał się do niej, wymachując zakurzoną butelką wina. Pomachała do nich i wyciągnęła ku górze kciuki.

Skąd mogło się wziąć imię Fuzz?

W klubie była zaledwie szóstka białych, czterech mężczyzn i dwie kobiety. Nikt zdawał się nie przejmować kolorem skóry pozostałych gości.

Na małej drewnianej scenie Azjatka z długimi do pasa, prostymi czarnymi włosami grała na flecie. Melodia była łagodna i przejmująca.

Szum rozmów był niezmienny, nie nasilał się ani nie opadał. James postawił przed nią kieliszek białego wina.

- Fuzz powiedział, że dostał to wino parę lat temu od faceta, który chciał whisky, ale był splukany. Fuzz dostał tę butelkę w zapłacie.

Upiła łyk. Wino było ohydne, ale nie zamieniłaby go nawet na najlepszą whisky. - Jest wspaniałe!
- krzyknęła w stronę Fuzza Barmana.

James usiadł obok niej ze szklaneczką piwa w ręce. - Peruka też jest niezła. Trochę za bardzo ruda jak na mój gust i za dużo w niej loków, ale na dzisiejszy wieczór bardzo dobra.

- Gorąco w niej - powiedziała.

- Spróbuj wytrzymać. Po powrocie do domu spróbuję znaleźć dla niej jakieś nieprzyzwoite zastosowanie.

Tuż przed dziewiątą wieczorem pocałował ją w usta, poczuł smak białego wina i wykrzywił się.

- To sikacz.

- Wspaniały sikacz. Nic nie mów panu Fuzzowi.

James roześmiał się, spod sąsiedniego krzeselka wyciągnął pokrowiec z saksofonem i ruszył pomiędzy stolikami w kierunku sceny.

Nie mogła oderwać od niego oczu. Uściskał flecistkę, potem przysunął w stronę mikrofonu niski taboret. Wyjął saksofon z pokrowca, przez chwilę przecierał go miękką ściereczką, przedmuchał instrument. Potem zaczął rozgrzewkę.

Nie wiedziała, czego oczekiwała, ale dźwięki wydobywające się z jego instrumentu mogłyby wywołać łyzy w oczach samego diabła. Próbował gam i fragmentów starych piosenek, przeskakiwał od najniższych do najwyższych tonów, próbując raz cicho, to znowu głośno.

A więc to ty jesteś tą dziewczynką, która upolowała mojego Quinlana?

ROZDZIAŁ 21

- Za pół roku nie będę już taka mała.

- Dlaczego?

- Bo zwykle nie jestem taka chuda. Utyję.

- Może zajdziesz w ciążę z moim Quinlanem. Uważaj, Sally, wszystkie panie aż się ślinią na jego widok na scenie. Biedaszek, wyobraża sobie, że to z powodu jego pięknej muzyki. A kiedy gra, jest taki uduchowiony. - Potrząsnęła głową i mówiła dalej posępnym głosem: - Nie mam serca powiedzieć mu, że to ze względu na jego seksowne ciało i wspaniałe oczy. O, teraz gra mojego ulubionego Sonny'ego Rollinsa. Och, zapominałśka ze mnie! Jestem Lilly - potężna czarnoskóra kobieta uśmiechnęła się szeroko, potrząsając dłonią Sally.

- A ja jestem Sally.

- Wiem. Fuzz mi powiedział. A potem Marvin. Obaj stwierdzili, że Quinlan sprawia wrażenie mocno zadurzonego. Nigdy dotąd nie był nawet lekko zakochany. To będzie interesujące. Hej, ale nie zamierzasz teraz owinać go sobie wokół palca, żeby potem go zostawić?

- Zostawić go? Rzucić Jamesa?

- Chodzi mi o to, czy nie jesteś mężatką. I czy nie wykorzystujesz tylko mojego Quinlana do zaspokojenia swoich potrzeb? Obiło mi się o uszy, że jest rewelacyjny w łóżku, więc miałyby to sens, chociaż niezbyt by mi się to podobało.

- Na razie nie mam zamiaru go porzucić - rzekła Sally. Upiła łyk białego wina od Fuzza. - Podoba mi się pani sukienka. Jest wspaniała.

Pani Lilly rozpromieniła się i przycisnęła potężne ręce do jeszcze bardziej imponujących piersi. Sally wbiła wzrok w powstały w ten sposób dekolt. Nigdy dotąd nie widziała nic takiego poza zdjęciami w „Playboyu”.

- Lubisz białą satynę? Ja też. Podobno kobiety o posągowej budowie, takiej jak moja, nie powinny nosić bieli, ale cóż, biały mi się podoba. W bieli czuję się młodo i niewinnie. Ten kolor sprawia, że czuję się jak dziewczyna idąca na swe pierwsze spotkanie z mężczyzną. Ale ty teraz posiedź i posłuchaj mojego Quinlana. Właśnie gra Staną Getza. Dzięki jego grze stary Stan brzmi jak upadły anioł. Quinlan jest dobry. Posłuchaj go naprawdę, nie myśląc o tym, jak okręcić go sobie wokół palca.

- Posłucham.

Pani Lilly poklepała Sally po plecach, aż dziewczyna omal nie wpadła twarzą w swój kieliszek z winem, i odpłynęła w stronę pobliskich stolików jak statek pod żaglami.

Quinlan zaczął grać zmysłową, płacziwą melodię bluesową. Brzmiała trochę jak John Coltrane, ale Sally nie była tego pewna. To wszystko było dla niej takie nowe.

Spostrzegła nagle, że nikt nie rozmawia. W klubie panował zupełny spokój. Wszyscy skoncentrowali się na Jamesie.

Zauważyła co najmniej cztery kobiety, które podniosły się i przysunęły w pobliże sceny. Boże, ależ pięknie grał! Dysponował doskonałą rozpiętością, każdy dźwięk, nasycony i pełen słodczy, mógł złamać niejedno serce. Poczowała ucisk w gardle i przełknęła ślinę. Gwałtowne dźwięki utworu,

który grał, leniwie przechodziły z wysokich w niskie i głębokie, poruszające coś głębi. Miał zamknięte oczy. Lekko się kołysał.

Wiedziała, że go kocha, ale nie zamierzała się do tego od razu przyznać. Świadoma była, że ta jego przeklęta muzyka robi z niej papkowatą masę, jak mamałyga, którą kiedyś usiłowała ugotować Noelle. Mężczyźni w mundurach i mężczyźni grający muzykę soulową - straszliwa kombinacja.

James zwrócił się w stronę mikrofonu. Zapowiedział: - Ten utwór jest dla Sally. To „A Love Supreme” Johna Coltrane’a. Jeśli kiedykolwiek wątpiła w jego uczucia dla niej, ta piosenka kładła kres wszelkim wątpliwościom. Piła wino Fuzza zmieszane ze swoimi łzami.

Jeszcze dwie kobiety przesunęły się w stronę sceny i Sally uśmiechnęła się.

Kiedy James skończył, pomachał do niej. Potem odchrząknął i zawołał: - Dostałem prośbę o Charliego Parkera.

Wysłuchała, wypiła ostatni łyk wina Fuzza i poczuła, że musi iść do toalety.

Zsunęła się ze stołka, spojrzała pytająco na Fuzza Barmana, który wskazał na otwarte drzwi tuż obok baru. Przechodząc koło niego uśmiechnęła się. - Czy mogę liczyć na jeszcze jeden kieliszek wina, kiedy wrócę, Fuzz?

- Oczywiście, Sally. Będzie na ciebie czekało.

Kiedy wyszła z damskiej toalety, uśmiechała się. Słyszała Jamesa, rozpoczynającego następny utwór, słodką, przenikliwą piosenkę, którą знаła ze słyszenia, ale nie kojarzyła z bluesem.

Nagle poczuła, że nie jest sama. Czowała, że ktoś znajduje się bardzo blisko niej, tuż za plecami. Słyszała czyjś oddech, pospieszny i cichy.

Korytarz był wąski. W toalecie nie było żadnej innej kobiety. Co za głupota. To musiała być jakaś kobieta, pomyślała jakimś fragmentem mózgu, cała skoncentrowana na piosence, granej przez Jamesa.

Ale to nie była kobieta.

To był doktor Beadermeyer. Tuż za nim stało dwóch innych mężczyzn. Jeden trzymał w ręku strzykawkę.

Miękkim, miłosnym uchwytem Beadermeyer złapał ją za rękę. Ale chwyt szybko się zmienił. Pod zwiększającym się naciskiem jego palców skóra na ramieniu Sally zaczęła się przesuwać i zapadać.

Żeby ją unieruchomić, drugą dłonią ujął jej podbródek. Pochylił się i lekko ją pocałował.

- Witaj, Sally. Ślicznie wyglądasz, moja droga. Nie powinnaś pić, wiesz przecież, że alkohol nie idzie w parze z lekami, do których przyzwyczaił się twój organizm. Przyglądałem się, jak pijesz to święństwo. Czemu tu jesteś? Rozumiem, że facet, robiący z siebie durnia na scenie w tej dziurze to James Quinlan, agent FBI, z którym byłaś w Cove. Całkiem przystojny. Teraz już wiem, Sally, że jest twoim kochankiem. Taki facet nie będzie tracił czasu na kobietę, która mu się nie odda. Scott będzie niepokieszony, kiedy się o tym dowie. A teraz chodźmy już, moja droga. Czas, żebyś wróciła do swojego gniazka. Do nowego gniazka. Tym razem ten drań nie przybędzie, żeby cię zabrać. To niemożliwe, ale jednak to był Beadermeyer. Czemu nadal ją prześladowuje, skoro jej ojciec już nie żyje?

- Przytrzymam ją. Podaj strzykawkę. I znikajmy z tej zapadłej dziury.

- Nie poszłabym z tobą nawet do nieba.

- Ależ pójdziesz, moja droga.

Mocno ściskając jej ramię, przyciągał ją do siebie, drugą ręką zatykając jej usta. Z całej siły dźgnęła go prawym łokciem w żołądek.

Stęknął z bólu, a Sally udało się wyrwać. - James! Marvin! - Potem krzyknęła jeszcze raz, zanim ręka znów opadła na jej usta.

- Cholera, lap ją! Zaknebluj ją! Zrób jej zastrzyk!

Chwyliła brzeg małego stolika, stojącego koło automatu telefonicznego i pchnęła, aż się przewrócił, potracając jednego z mężczyzn, towarzyszących Beadermeyerowi. Wrzasnęła jeszcze raz, ale udało jej się wydać jedynie cichy pisk, gdyż męska dłoń zakrywała mocno nie tylko jej usta, ale i nos, uniemożliwiając oddychanie. Wrywała się, gdy kopała do tyłu, czuta jak obcasy wbijają się w obce ciało, ale mężczyzna nadal jej nie puszczał.

Poczuła palce błędzące wokół jej ramienia.

Strzykawka.

Miał zamiar wbić igłę w jej rękę. Zamierzał znów zmienić ją w zombie. Wierzgnęła z całych sił. Na moment uchwyt ręki na jej ustach i nosie zelżał.

Pochyliła się i ugryzła męską rękę, rękę trzymającą strzykawkę, i znów krzyknęła: - James!

Ręka powróciła na jej usta. Jeden mężczyzna kłął, inny rzucił się na jej drugie ramię, ale udało jej się lewą ręką zadać mu silny cios w brzuch. Przestała czuć dotyk igły na skórze. Usłyszała odgłos stuknięcia o drewnianą podłogę. Upuścił strzykawkę.

- Powinienem być wiedzieć, że spieprzycie robotę, cymbały. Podnieś tę przeklętą strzykawkę, idioto. Jezu, tu jest ciemno, ale nie za bardzo. Wiedziałem, że powinienem być ją ogłuszyć. Albo zastrzelić tę sukę.

Psiakrew, zbierajmy się stąd. Zapomnij o strzykawce, zapomnij o dziewczynie.

Doktor Beadermeyer był wściekły.

Potem usłyszała Fuzza Barmana, wykrzykującego najsoczystsze przekleństwa, jakie zdarzyło jej się spotkać. Mężczyzna puścił ją. Zachwiała się i krzyknęła: - Przegrałeś, cholerny draniu! Spieprzaj stąd i zabierz swoich dwóch fagasów, bo inaczej James cię zabije.

Rozsierdzony, oddychał z trudem. - Myślałem, że to będzie łatwe, tylko wbić ci igłę w ramię. Zmieniłaś się, Sally, ale to jeszcze nie koniec.

- A właśnie że koniec. Zamierzam wyeliminować cię z gry, ty gnido. Zamierzam wsadzić cię do więzienia i mam nadzieję, że któryś z twoich współwięźniów będzie miał na ciebie ochotę.

Podniósł rękę, żeby ją uderzyć, ale jego dwaj pomocnicy wpadli na niego, usiłując przebiec wąskim korytarzem do wyjścia.

- Stójcie, głupcy! - wrzasnął na nich. I wszyscy pognali w stronę wyjścia awaryjnego na zapleczu. Drzwi otworzyły się z hukiem, a potem zatrzasnęły.

Spojrzała w górę i zobaczyła Marvina Wykidajłę, pędzącego ku niej niczym pociąg ekspresowy. Usłyszała Fuzza Barmana, w biegu przewracającego stoliki i miotającego jeszcze bardziej soczyste przekleństwa.

Dotarło do niej, że cały incydent trwał zaledwie parę sekund. A wydawał się dłuższy niż zimowa zamięć.

Zrobiła dwa kroki do przodu. Zobaczyła Jamesa zeskakującego ze sceny. Zobaczyła, że wyciąga pistolet.

Zobaczyła panią Lilly, która z kijem baseballowym pędziła ku niej jak amazonka.

Wszystko stało się tak szybko. A jednak doznała największego przerażenia w życiu. Jeszcze raz mieć igłę wbijaną w ramię. Nie, nie zniosłaby tego znowu.

I wtedy zauważyła, że strach topnieje, że czuje się odprężona. Pokręciła głową.

Wygrała. Pokonała go. Żałowała, że go nie zastrzeliła. Albo nie dźgnęła nożem w brzuch.

Marvin Wykidajło obrzucił ją szybkim spojrzeniem, po czym z impetem otworzył drzwi awaryjne i wybiegł na zewnątrz.

Fuzz Barman przemknął obok mej i wypadł przez drzwi za Marvinem. Usłyszała głuchy tętent kroków. Mnóstwo kroków. Modliła się, żeby złapali Beadermeyera.

Nagle poczuła się tak słabo, że nie miała siły stać. Opadła na kolana i oparła się o ścianę. Otoczyła ramionami zgięte nogi i oparła głowę na kolanach.

- Trzymaj się, Sally. Zaraz będę z powrotem. - To James biegł za Marvinem i Fuzzem.

- Cóż, moja panno, Marvin powtórzył mi, że James mówił, iż ścigają cię źli ludzie. Nie przeszkadza mi to całe zamieszanie, chociaż przerwało jedną z moich ulubionych piosenek. Co to za głupcy próbowali pię tu dopaść! Naprawdę musieli być zdesperowani. Albo głupi. Moim zdaniem głupi.

Pani Lilly potrząsnęła głową, a grube czarne loki nawet się nie przesunęły. - Czy możesz już wstać, Sally?

- Czy nic się nie stało małej gąsce?

- Nic, Marvinie, musi tylko złapać oddech. Wydaje mi się, że nieźle załatwiła tych facetów. Pewnie nie złapaliście tych drani?

- Nie, pani Lilly. Byliśmy blisko, ale odjechali dużym autem. Quinlan przestrzelił tylną szybę, ale potem przestał strzelać. Powiedział, że zna tego człowieka i dostanie go jutro. Potem roześmiał się i zatarł ręce. To była trudna sztuczka, bo stale trzymał w dłoni ten swój pistolet. Prawda, Quinlan? - zapytał Marvin Wykidajło.

- To był Beadermeyer, prawda, Sally?

Podniosła głowę. Jej oddech powrócił już do normy. Czowała się zupełnie dobrze, dzięki Bogu.

Pani Lilly chwyciła ją za rękę i podniosła na nogi. - Otóż to. Fuzz, przynieś Sally jeszcze trochę tego wspaniałego białego wina, które schowałeś na potem.

- Tak, to był Beadermeyer z dwoma pomagierami i ze strzykawką. Wydaje mi się, że strzykawka powinna jeszcze gdzieś tu leżeć na podłodze. Udało mi się ją kopnąć w kąt.

Marvin obdarzył ją pełnym uznania spojrzeniem. - Wiedziałem, że jesteś chuda, ale nie bezradna. Dobrze się spisałaś, gąsko.

- Dziękuję, Marvinie. I wam wszystkim.

- Bardzo proszę - odparła pani Lilly. Odwróciła się i krzyknęła: - W porządku, wszyscy proszę do swoich stolików! Już wszystko jest pod kontrolą. Każdego, kto miałby ochotę podrażnić się z Marvinem powinno to nauczyć rozsądku. Marvin i reszta stłukli na kwaśne jabłko facetów, którzy próbowali obrabować Sally. Ale wszystko już się skończyło. Quinlan, rusz swój śliczny tyłeczek z powrotem na scenę i zagraj mi Dextera Gordona. Za co ci płacę, jak myślisz?

- Za moją muzykę - rzekł James. - Sally, chcę, żebyś usiadła tuż przy scenie, dobrze? - Ale przed odejściem podniósł strzykawkę, owinał ją w serwetkę i wsunął do kieszeni koszuli. - Chcę wiedzieć, co ten bydlak chciał ci zaaplikować. Jutro zabierzemy to do laboratorium FBI. Chodź, Sally.

- Przyniosę wino - rzucił Fuzz.

*

Wędrował z jednego krańca pokoju na drugi, w tę i z powrotem. Diłlon siedział wygodnie w miękkim fotelu, pochylony nad klawiaturą swojego laptopa.

Sally zajęta była wyłącznie obserwowaniem Jamesa. - Chyba mam dosyć - powiedziała w końcu.

Obaj mężczyźni spojrzeli na nią.

Uśmiechnęła się. - Nie chcę czekać do jutra. Chcę mieć to za sobą już dziś. Pojedźmy do mojej matki.

Ona wie, co się wydarzyło tamtej nocy, kiedy został zamordowany mój ojciec. A przynajmniej wie o wiele więcej, niż powiedziała policji, wam, czy mnie. Chcę poznać prawdę.

- Byłoby jeszcze lepiej - rzucił Dillon, patrząc na ekran komputera - gdybyśmy zgromadzili razem całą trójkę: twoją matkę, męża i doktora Beadermeyera. Quinlan, czy sądzisz, że pora jest właściwa?

- Nie wiem - odparł Quinlan. - Może jeszcze za wcześnie. - Obrzucił Sally zatroskanym spojrzeniem. - Jesteś pewna, że tego chcesz, Sally?

Wyglądała silnie, z chudymi ramionami ściągniętymi do tyłu, z łagodnym zwykle spojrzeniem, które teraz było twarde i zdecydowane. Sprawiała wrażenie osoby gotowej walczyć nawet z niedźwiedziem. - Jestem pewna.

Tego tylko potrzebował. Tak, przyszedł czas, żeby odkryć prawdę. Skinął głową.

- Mogą być zmęczeni - powiedział Dillon. - A niech to! Wreszcie znalazłem. - Uśmiechnął się do nich szeroko. - Jestem dobry - stwierdził, zacierając ręce. - Naprawdę dobry.

- O czym mówisz? - spytał Quinlan, zmierzając w stronę Dillona. Pochylił się, żeby spojrzeć w ekran komputera.

- O wszystkim, co kiedykolwiek chcieliśmy wiedzieć o doktorze Alfredzie Beadermeyerze. Naprawdę nazywa się Norman Lipsy i jest Kanadyjczykiem. Rzeczywiście studiował medycynę w Mc Gili w Montrealu. No, no, specjalizował się w chirurgii plastycznej. Jest tego dużo więcej. Przepraszam, że zajęło mi to tyle czasu. Po prostu nigdy nie przyszło mi do głowy, że może być Kanadyjczykiem, zwłaszcza z nazwiskiem Beadermeyer. Nie przeszukiwałem właściwych baz danych. - Zatarł ręce. - Znalazłem go w spisie chirurgów kosmetycznych, razem ze zdjęciem i notatką, że ukończył uniwersytet Mc Gili.

- To wprost niewiarygodne - rzeki Quinlan. - Świetnie, Dillon.

- No pewnie. Teraz jednak, zanim wyruszymy, dajcie mi spróbować poszukać czegoś na temat Scotta Brainerda. Gdzie robił dyplom z prawa, Sally?

- Na Harvardzie.

- Tak, z danych komputerowych wynika, że skończył studia prawnicze na Harvardzie w tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym piątym roku. Fatalnie. Miałem nadzieję, że oszukiwał w tej sprawie.

Quinlan spytał: - Nadal jesteś pewna, Sally? Jesteś gotowa spotkać się ze Scottem? Z Beadermeyerem? Po tym wszystkim, czego próbował dzisiejszej nocy? Jesteś przekonana?

- Tak. Jestem pewna. Już dosyć. To szaleństwo. I musi się skończyć. Jeśli to ja zabiłam mojego ojca, chcę to wiedzieć. Jeśli zrobiła to Noelle albo ktoś inny, odkryjmy kto. Nie załamie się, James. Dłużej już nie wytrzymam tej niejasności, tej nieustannej plątaniny zamglonych obrazów, tych stapiających się ze sobą głosów.

Bardzo powoli, swoim cudownie kojącym głosem, Quinlan powiedział: - Zanim pojedziemy, chciałbym porozmawiać z tobą jeszcze o paru rzeczach. Zgadzasz się?

- O tak - odpowiedziała. - Jestem gotowa. Rozmawialiśmy już o Scotcie i o moim ojcu. - Przerwała, przejechała rękami po nogawkach sztruksowych spodni.

- O co chodzi, Sally? Wykrztuś to z siebie, koniec z sekretami.

- Mój ojciec paskudnie bił moją matkę. Miałam zaledwie szesnaście lat, kiedy go na tym przyłapałam.

Przyjechałam wtedy do domu ze szkoły dla dziewcząt w Wirginii. Próbowałam ją ochraniać...

Dillon poderwał głowę. - Chcesz powiedzieć, że twój ojciec, zasłużony doradca prawny w TransCon International, bił żonę?

- Czemu mnie to nie dziwi? - powiedział Quinlan. Usiadł koło niej, ujął jej rękę i czekał bez słowa, tylko trzymając jej dłoń. Tyle przeszła?

- Moja matka, Noelle, nic nie robiła w tej sprawie. Pogodziła się z tym. Podejrzewam, że ze względu na jego bogactwo, sławę i otaczający go szacunek, które w części stały się też jej udziałem, nie mogłaby znieść upokorzenia utraty tego wszystkiego. Pamiętam, że zawsze czekałam na przyjęcia, spotkania dyplomatyczne - był zapraszany na wszystkie - na te huczne bankiety, na skromne, intymne obiady, na których odbywały się przeglądy żon, wywiady prasowe i inne wydarzenia podobnego typu, bo wiedziałam, że wtedy nie odważy się uderzyć Noelle; będą ich tam przecież razem fotografować. Zdawał sobie sprawę, że wiedziałam o biciu i dlatego nienawidził mnie jeszcze bardziej. Kiedy nie wyjechałam z miasta na studia, myślałam, że mnie zabije. Naprawdę liczył na mój wyjazd. Nie wyobrażał sobie, że ciągle będę w domu i będę go obserwować. Wtedy już podniósł na mnie rękę, ale opuścił ją, bardzo powoli. Nigdy nie zapomnę nienawiści w jego oczach. Wicie, ojciec był bardzo przystojny. Miał gęste, ciemne włosy, lekko przyprószone siwizną, ciemnoniebieskie oczy, był szczupły i wysoki. Miał wyraźnie zarysowane kości policzkowe i eleganckie rysy twarzy, nadające mu arystokratyczny wygląd. Właściwie jest starszym wydaniem Scotta. Czy to nie dziwne, że zakochałam się w człowieku, który wyglądał jak mój ojciec?

- Tak - mruknął Dillon. - Powiedziałbym, że to całkiem niewłaściwe. Dobrze, że Quinlan jest podobny wyłącznie do siebie.

- Przychodziłam do domu o różnych porach. Wiedział, że tak będę robiła. Kiedyś po wizycie w domu zauważyłam, że zapomniałam zabrać swetra. Wróciłam i przyłapałam go, jak kopał moją matkę. Podeszłam do telefonu, żeby zadzwonić na policję. Moim zdaniem to, co zobaczyłam, przesądzało sprawę. Przestało mnie obchodzić cokolwiek innego. Zapłaci za to. Nie uwierzycie, ale moja matka przyczołgała się do mnie, chwyciła mnie za nogę i zaczęła błagać, żebym nie powiadamiała policji. Ojciec stał w drzwiach biblioteki i zachęcał mnie, żebym zadzwoniła. Podjudzał mnie, przez cały czas obserwując łkającą, skomlaącą na kolanach matkę, której paznokcie wpijały się w moje dżinsy. Jezu, to było koszarne. Odłożyłam słuchawkę i wyszłam. Nie wróciłam wtedy. Po prostu nie mogłam. I naprawdę nic nie mogłam zrobić, naprawdę. Jeśli przychodziłam na trochę, czekał na moje wyjście. Potem pewnie bił ją jeszcze bardziej, niż gdybym się nie pojawiła w domu. Pamiętam, że wtedy zastanawiałam się, czy połamał jej żebra, ale nigdy o to nie zapytałam. Bo co by to dało?

- Ale zaczął się mścić dopiero pół roku temu - powiedział Dillon. - Czekał więc ile? Jakies pięć lat, zanim zabrał się za ciebie.

- To niezupełnie tak. Zaczął swoją zemstę przy pomocy Scotta. Tak, to on krył się za moim związkiem ze Scottem. Przedtem w moim życiu nie było mężczyzn. Od razu po studiach zaczęłam pracować dla senatora Bainbridge'a. Byłam szczęśliwa. Nie odwiedzałam rodziców. Miałam przyjaciół. Od czasu do czasu przypadkowo spotykałam ojca i widziałam, że nadal nie może znieść mojej odwagi. Pamiętam, jak raz na przyjęciu nadziałam się w łazience na matkę. Poprawiała uczesanie i długie rękawy jej sukni zsuwając się odsłoniły jej ręce. Na ramieniu miała okropny, purpurowy siniec. Pamiętam, że patrząc na ten siniec spytałam: „Jakie zwierzę w tobie pozwala ci się godzić na to, żeby ten drań cię bił?” Wymierzyła mi policzek. Chyba na to zadłużyłam. Od tego

czasu nie widziałam jej, aż do tej nocy, kiedy uciekając przed wami udałam się do niej po pieniądze.

- Czy przypominasz sobie, że poszłaś do domu rodziców tamtej nocy, kiedy zabito twojego ojca?

- Tak, ale poza tym wszystko jest zamazane. Skąd wiedziałam, że mój ojciec nie żyje? Nie wiem.

Ale wiedziałam i chyba byłam przekonana, że w końcu Noelle nie zniosła dłużej tego bicia. Tak, chyba tak musiałam myśleć, chociaż nie mam zupełnej jasności.

Zaczęła trzeć dłońmi skronie. - Nie wiem, James, wydaje mi się, że pamiętam krzyki, że widziałam pistolet, ale nic więcej, tylko te obrazy. I może jeszcze krew. Pamiętam krew. Ale mój ojciec? Martwy? Czy była tam Noelle? Niczego nie mogę przysiąc. Przykro mi. Nic nie mogę pomóc.

Jednak Quinlan nie był zmartwiony. Zerknął na Dillona, którego palce tańczyły po klawiaturze laptopa. Wiedział, że Dillon słyszał każde słowo. Wiedział też, że Dillon również się nie martwił.

Quinlan już wcześniej dawał sobie radę z takimi sprawami. Mieli mnóstwo do zrobienia. Sally była gotowa.

Powiedział powoli, bardziej do siebie, żeby mogła się uspokoić: - A więc twój ojciec sam to zaplanował.

- Tak. Dopiero po ślubie odkryłam, że mój ojciec jest szefem Scotta. Nigdy mi nie opowiadał, gdzie pracuje. Był skryty, a mnie niezbyt to obchodziło. Ale odkąd się dowiedziałam, wszystko zaczęło się psuć.

Quinlan krążył po pokoju, nie nerwowo, rytmicznie. Dillon pracował przy komputerze. Sally starła kurz z małego drzewka kauczukowego, rosnącego w pięknej, orientalnej donicy koło kanapy.

Quinlan zatrzymał się. Uśmiechnął się do Sally. - Chyba nadeszła pora, żebyś wykonała parę telefonów, Sally. Chyba przyszedł czas, żebyśmy zgromadzili członków gangu i troszkę ich postraszyli. Zobaczmy, co z tego wyjdzie. - Podał jej telefon.

Do mamy, Scotta, potem do Beadermeyera.

ROZDZIAŁ 22

- Wiesz, co mnie doprowadza do szału? - rzucił Dillon, odrywając się od klawiatury i przeciągając się. - Chciałbym wiedzieć, czemu Beadermeyer nadal cię prześladowuje. Przecież to twój ojciec umieścił cię u niego. Ojciec nie żyje. Dlaczego, u diabła, Beadermeyerowi miałyby jeszcze na tobie zależeć? Kto idzie śladem twojego ojca? Wspominałaś, że Scott musiał maczać palce w tej sprawie. Ale czemu miałby się nadal w to angażować? Czy nie wystarczyłby mu rozwód, by rozpocząć nowe życie? Jesteś pewna, że chcesz to wszystko wiedzieć, Sally?

- Tak, jestem gotowa. Prawdę mówiąc, nie mogę się doczekać. Chcę napłuć Beadermeyerowi w twarz. Jeśli zaś chodzi o pytanie, dlaczego znowu mnie uwięzili, długo się nad tym zastanawiałam, ale nie znalazłam żadnej sensownej odpowiedzi. A teraz pozwólcie mi wykonać te telefony.

Podniosła słuchawkę i wybrała numer. Nie musiała wcale czekać. - Mama? To ja, Sally. Zastanawiałam się, czy mogę wpaść. Muszę z tobą porozmawiać. Tak, teraz. Zgadzasz się?

Powoli nacisnęła guzik kończący połączenie. Zaczęta wybierać numer Scotta. Quinlan lekko dotknął ręką jej dłoni i pokręcił głową. - Nie, sądzę że twoja mama prawdopodobnie sama zawiadomi pozostałych.

- On ma Tację - powiedział Dillon. - A jeśli tego nie zrobi, porozmawiamy tylko z nią. I tak musimy to zrobić. Musiray dokładnie znać jej stanowisko w całym tym rozgardiaszu.

- James ma słuszość - zgodziła się Sally i z trudem przełknęła ślinę. - Inni będą na miejscu. Jedno tylko chcę powiedzieć: zawsze mnie ochraniała. Głowę za to daję.

Miał ochotę ją przytulić, ale nie zrobił tego. Patrzył, jak walczy ze łzami, jak je połyka, dopóki nie odzyskała panowania nad sobą. Sally ma twardy charakter. I ma jego.

Odezwał się: - Dobrze. Teraz ja zadzwonię w parę miejsc, a potem zaczynamy przedstawienie.

*

Pół godziny później James zastukał kołatką w kształcie głowy gryfa do drzwi siedziby St. Johnów.

Noelle St. John otworzyła osobiście. Ubrana była w jasnoniebieską, jedwabną sukienkę. Włosy, jaśniejsze niż Sally, upięte miała w zgrabny kok. Wyglądała elegancko, była bardzo spięta i blada. Na moment zawahała się, po czym wyciągnęła ręce ku córce. Sally ani drgnęła. Noelle St. John sprawiała wrażenie, jakby za chwilę miała wybuchnąć płaczem. Opuściła ręce.

Powiedziała szybko, aż słowa zlepiały się jedno z drugim, jakby nie nadążała ich wypowiadać: - Och, Sally, przysłaś. Tak się martwiłam. Nie wiedziałam, co robić, kiedy zadzwonili do mnie twoi dziadkowie. Wejdz, moje kochanie, wejdz. Wszystko sobie wyjaśnimy. - I wtedy dostrzegła w mroku Quinlana.

- Pan...

- Tak, proszę pani. Czy mogę również wejść?

- Nie, nie może pan. Sally, co tu się dzieje?

- Przykro mi, ale jeśli ja nie wejdem, Sally także nie wejdzie.

Popatrzyła na Sally i na Quinlana, potrząsając głową. Wyglądała na zakłopotaną.

- Noelle, wszystko jest w najlepszym porządku, wpuść nas.

Potrząsała głową, do przodu i do tyłu. - Ale on jest z FBI, Sally. Nie chcę go tutaj. Był już poprzednio z innym mężczyzną i obaj przeszukali cały dom w poszukiwaniu ciebie. Czemu miałabyś go chcieć u swego boku? To nie ma sensu. Policjant jest ostatnią osobą, z którą chciałabyś się spotkać. Okłamał cię. Manipuluje tobą. Wszystko po to, żebyś czuła się bardziej niepewnie.

- Nie, Noelle. Wcale nie czuję się niepewnie.

- Ależ, Sally, kiedy zadzwonili do mnie twoi dziadkowie, powiedzieli mi, że deptał ci po piętach, a ty utrzymywałaś, iż wiesz o tym. Oświadczyłaś, że jest sprytny. Ale dziadkowie powiedzieli mi, że chciałaś przed nim uciec i gdzieś się ukryć. Mnie powiedziałaś to samo. Dlaczego teraz przyjechałaś w jego towarzystwie? Dlaczego chcesz być z nim?

- Dopadł mnie. Jestem amatorką, a on zawodowcem. Poza tym, uwierz mi, ty też chcesz, żebym była z nim. - Sally zrobiła mały krok do przodu i delikatnie oparła palce na ramieniu matki.

- Jestem naprawdę sprytny, proszę pani. Agent specjalny James Quinlan. Miło mi, że mnie pani pamięta.

- Wolałabym nie pamiętać - odparła Noelle. Zerknęła przez ramię do tyłu. James uśmiechnął się, uzyskawszy w ten sposób informację, że w salonie był jeszcze ktoś. Scott Brainerd? Doktor Beadermeyer? A może obaj? Miał cholerną nadzieję, że będą obaj. - Albo wchodzimy razem, albo żadne z nas - powiedział, - Na dworze jest chłodno. Proszę się zdecydować, proszę pani.

- Dobrze, chociaż nie rozumiem, dlaczego jej pan towarzyszy. Nie ma pan żadnego prawa. Sally jest moją córką, jest chora. FBI nie może jej zatrzymać, bo jest nieznoszona umysłowo, policja również nie ma prawa. Ja jestem za nią odpowiedzialna, jestem jej opiekunem i to ja zdecydowałam, że powinna wrócić do sanatorium. (To jedyny sposób, żeby ją ochronić.

- To wszystko? - zapytał James zdumionym głosem. Noelle spojrzała na niego, jakby miała ochotę go spoliczkować. - Moim zdaniem Sally nie wygląda na nieznoszona. Idę o zakład, że zniósłaby lanie gumowym kablem, a nawet wyrywanie paznokci. Sally nie ma w swoim mózgu ani jednej nieznoszonej komórki.

- Przez ostatnie pół roku była bardzo chora - powiedziała Noelle, odsuwając się do tyłu.

Minęli ją i weszli do przedpokoju. Na pięknym, antycznym stoliku, nad którym wisiało ogromne, połacane lustro, stały świeże kwiaty. W tym obrzydliwym, orientalnym wazonie zawsze stały świeże kwiaty, pomyślała Sally, zwykle były to białe i żółte chryzantemy.

- Chodź do gabinetu ojca, Sally. Miejmy to już za sobą. A potem dopilnuję, żebyś znowu była bezpieczna.

- Znowu bezpieczna? - szepnęła Sally. - Czy ona zwariowała?

Quinlan pospiesznie przytulił ją do siebie, a kiedy podniosła na niego wzrok, mrugnął porozumiewawczo. - Nie martw się.

- No, no, co za niespodzianka - powiedział na widok doktora Beadermeyera, stojącego przy kominku. Tak długo przyglądał się zdjęciu tego człowieka, że miał wrażenie, jakby już go przesłuchiwał, chociaż naprawdę nigdy dotąd nie spotkali się osobiście. Czy to ten drań rąbnął go w głowę w Cove? Wkrótce się dowie.

Zwrócił się do drugiego mężczyzny. - A to, jak rozumiem, jest twój mąż, Sally? Słynny pośrednik w kontraktach handlowych, Scott Brainerd? Który pracował dla twojego ojca? I który poślubił cię prawdopodobnie na polecenie twojego ojca?

- Ona ma na imię Susan - odparł mężczyzna. - Sally to zdrobnienie pasujące do małej dziewczynki. Nigdy mi się nie podobało. - Uczynił krok do przodu i zatrzymał się. - Wyglądasz na

bardzo napiętą, Susan, i trudno się dziwić. Czemu jesteś z nim? Noelle właśnie powiedziała mi, że to agent FBI i...

- Agent specjalny - uzupełnił Quinlan, pałając chęcią drażnienia tego cholernego typu, aż zacznie zgrzytać zębami. - Zawsze byłem agentem specjalnym.

- Dogonił ją - wyjaśniła Noelle - i przywiózł z powrotem. Nie wiem, czemu tu jest, ale musimy go przekonać, że ze względu na zły stan zdrowia Sally nie może odpowiadać za zabicie ojca. Możemy ją obronić. Doktor Beadermeyer może zabrać ją z powrotem do sanatorium, gdzie będzie bezpieczna.

- Po śmierci ojca - odezwała się Sally, patrząc matce prosto w oczy - pojawiło się wiele pytań. Choćby takie: kto, wobec jego nieobecności, będzie przychodził co tydzień, żeby mnie bić, dotykać i upokarzać?

Matka wbiła wzrok w Sally, poruszając ustami, z których jednak nie wydobywało się żadne słowo. Z jej twarzy odpłynęły wszelkie kolory. Sprawiała wrażenie chorej i niepewnej. - O Boże, Sally, nie, to niemożliwe. Twój ojciec, Scott i doktor Beadermeyer co tydzień opowiadali mi, jak dobrze się czujesz, jaką masz świetną opiekę. Nie, to nie może być prawda.

- Nie powinna tak mówić o swoim zmarłym ojcu - rzekł doktor Beadermeyer.

- Doktor ma rację. To pokazuje, jak bardzo jest chora - dodał Scott. - Wymyśliła wszystko. Amory miałby bić swoją własną córkę? Dotykać? To szalone, ona jest szalona, właśnie to udowodniła.

- Klasyczny przypadek - rzucił doktor Beadermeyer, upozowany przy kominku. - Niektórzy pacjenci zmyślają tak skutecznie, że zaczynają wierzyć we wszystko, co podsuwa im wyobraźnia. Zwykle są to rzeczy, których gdzieś w głębi duszy zawsze pragnęli. Twój ojciec był przystojnym mężczyzną, Sally. Dziewczynki darzą swoich ojców seksualnymi uczuciami. Nie ma się czego wstydzić. Jedyną przyczyną wywołującą twoje fantazje o jego wizytach był fakt, że tak bardzo ich pragnęłaś. A wyobrażenia bicia i upokorzenia powstały dlatego, żebyś mogła wybaczyć sobie tamte pragnienia i mogła poczuć się bezradna, bez szans na zapobieżenie im.

- Co za stek bzdur - powiedział Quinlan. - Rozumiem, że to pan jest doktorem Beadermeyerem. Co za przyjemność móc pana wreszcie poznać.

- Przykro mi, ale nie mogę powiedzieć tego samego o panu. Jestem tutaj, żeby zabrać Sally z powrotem i żaden agent FBI nic na to nie poradzi.

- Dlaczego trzy godziny temu próbował pan ją porwać z klubu „Bonhomie”?

- Alfredzie! O czym on mówi?

- Drobne nieporozumienie, moja droga Noelle. Odkryłem, gdzie przebywa Sally. Pomyślałem, że po prostu zabiorę ją spokojnie, bez rozgłosu, ale się nie udało.

- Nie udało się? - powtórzyła Sally. - Próbowaleś mnie porwać i zrobić mi zastrzyk w ramię, a teraz mówisz zwyczajnie, że się nie udało?

Uśmiechnął się do niej i wzruszył ramionami.

- Przyprowadził ze sobą dwóch goryli, Noelle - wtrącił Quinlan. - We trzech zdybali Sally wychodzącą z ubikacji i usiłowali coś jej wstrzyknąć. - Odwrócił się do Beadermeyera. Naprawdę miał ogromną ochotę przetrącić mu kark. - Niewiele brakowało, żebyśmy cię złapali, ty nędzna kreaturo. Przez nas musiałeś wymieniać tylną szybę w samochodzie.

- Żaden problem - odparł Beadermeyer. - To nie był mój wóz.

- Co tu się dzieje? - spytał Scott. - Noelle powiedziała mi, że Sally uciekła. Teraz pojawiła się z

agentem FBI. Doktor Beadermeyer wspominał mi, że Sally spotkała tego faceta w tym zabitym dechami miasteczku w Oregonie i że są kochankami. To niemożliwe. Susan, jesteś nadal moją żoną. Co się dzieje?

Quinlan obdarzył wszystkich łagodnym uśmiechem. - Czemu nie chcecie mnie traktować jako pewnego rodzaju adwokata Sally? Jestem tutaj, bo pilnuję, żebyście wszyscy na nią nie napadli lub żeby poczciwy doktor nie próbował znów wbić jej igły w ramię.

Obserwował Scotta Brainerda. Wysoki, szczupły, pięknie ubrany, jednak w jego przystojnej twarzy kryło się zmęczenie. Pod oczami rysowały się cienie. Nie wyglądał na uradowanego sytuacją, co więcej, sprawiał wrażenie przestraszonego. Powinien się bać.

Quinlan był pewien, że facet nie nosi broni. Był nerwowy, stale się poruszał, przebierał palcami. Z kieszeni pięknej angielskiej marynarki wyciągnął fajkę. Kabura pistoletu zniweczyłaby elegancką linię marynarki. Drań.

Quinlan nie dodał nic więcej, tylko przyglądał się, jak Scott zapala fajkę. Pomyślał, że Brainerd musiał wykorzystywać takie opóźnienie w swoich handlowych negocjacjach. Ponadto dostarczało mu to zajęcia dla rąk, kiedy był zdenerwowany czy śmiertelnie przerażony.

- To pan zabrał ode mnie Sally, prawda? To pan wtargnął do sanatorium?

James uśmiechnął się do Beadermeyera. - W obu przypadkach odpowiedź jest twierdząca. Jak się miewają owczarki alzackie? Świetne psy, lubią świeże, smakowite steki.

- Nie ma pan prawa włamywać się do mojego ośrodka. Zaskarżę pana.

- Uspokój się, Alfredzie - odezwała się Noelle. - I pan też, panie Quinlan. Czemu nie usiądziesz, Sally? Masz ochotę na herbatę? Wyglądasz na wyczerpaną. Potrzebujesz odpoczynku. Jesteś taka chuda.

Sally spojrzała na matkę i wolno pokręciła głową. - Przykro mi, Noelle, ale boję się, że pozwoliłabym doktorowi Beadermeyerowi dodać jakiegoś środka usypiającego do herbaty.

Noelle wyglądała, jakby ją ktoś uderzył. Była jak oszalała. Z wyciągniętymi rękami postąpiła parę kroków w stronę Sally. - Nie, Sally, jestem twoją matką. Nie skrzywdziłabym cię. Proszę, nie rób tego. Chcę dla ciebie jak najlepiej.

Sally zaczęła dygotać. James ujął mocno jej ramię i poprowadził do małej kanapki. Usiadł blisko niej, wiedząc, jakie to dla niej ważne czuć go koło siebie, czuć jego ciepło, jego siłę. Założył ręce za głowę i spod spuszczonej rzęs obserwował wszystkich.

Odezwał się do Scotta Brainerda, który jak szalony pykał ze swojej fajki. - Proszę mi opowiedzieć, jak poznał pan Sally.

- Tak, Scott, opowiedz mu - dodała Sally.

- Jeśli mu opowiem, czy każesz mu się wynieść z naszego życia?

- Możliwe - odparł Quinlan. - Powiem wam, co mogę obiecać na pewno. Nie wsadzę Sally do pierdła.

- To dobrze - stwierdziła Noelle. - Musi być bezpieczna. Doktor Beadermeyer dopilnuje tego. Obiecał mi.

Znów ta ich litania, przeklęta litania, pomyślał Quinlan. Czy Noelle w tym uczestniczy? A może jest aż tak łatwowierna? Czy naprawdę nie może przyjrzeć się Sally i zauważyć, że z dziewczyną wszystko jest w najlepszym porządku?

Scott zaczął się przechadzać, zerkając na Noelle, która wpatrywała się w swoją córkę, jakby chciała odczytać jej myśli, to znów na Beadermeyera, rozpartego w ogromnym bujanym fotelu,

usiłującego naśladować tego cholernego agenta.

- Spotkałem ją na wystawie Whistlera w National Gallery of Art. To był niezapomniany wieczór. Pokazywano szesnaście japońskich obrazów Whistlera. Tak czy inaczej, Sally była tam na przyjęciu z przyjaciółmi. Znajomy prawnik przedstawił nas sobie. Rozmawialiśmy, potem poszliśmy na kawę. Zaprosiłem ją na kolację. I tak to się zaczęło, nic dodać, nic ująć. Odkryliśmy, że mamy wiele wspólnego ze sobą. Pokochaliśmy się. Wzięliśmy ślub.

Beadermeyer wstał i przeciągnął się. - Niezwykle romantyczne, Scott. Ale teraz jest już późno i Sally musi odpocząć. Musimy już ruszać, Sally.

- Nie wydaje mi się - powiedziała Sally maksymalnie spokojnym głosem. James czuł drżenie jej ramion. - Mam dwadzieścia sześć lat. Jestem zupełnie zdrowa. Nie możesz mnie zmusić, żebym z tobą pojechała. Scott, dlaczego nie powiedziałeś Jamesowi, że przed naszym ślubem ani słowem nie wspomniałeś, iż pracujesz dla mojego ojca?

- Przecież nigdy o to nie pytałaś, Sally. Byłaś pochłonięta swoją pracą zawodową, tymi wszystkimi przyjęciami, zawsze zajęta ze swoimi szalonymi przyjaciółmi. Nie obchodziło cię naprawdę, czym się zajmuję. Cholera, nigdy mnie nie pytałaś.

- Pytałam, ale nigdy nie udzieliłeś mi odpowiedzi wprost. Powiedziałeś, że pracujesz w firmie prawniczej i na tym poprzestałeś. Pamiętam, że wypytywałam o szczegóły, ale ty nigdy nic więcej nie zdradziłeś.

Quinlan poczuł pulsowanie w ręce Sally. Ścisnął ją lekko, ale nie interweniował. Świetnie dawała sobie radę. Był z niej zadowolony i pełen optymizmu. Szybko mógł wyrobić sobie opinię o całej trójce. Już niedługo, bardzo niedługo, pomyślał.

Sally przerwała na chwilę, po czym rzekła spokojnym głosem: - Oczywiście, że mnie nie obchodziło, dopóki nie odkryłam, że masz romans.

- To kłamstwo! Nie miałem żadnego romansu. Byłem ci wierny. Zawsze, nawet w czasie ostatnich sześciu miesięcy.

Noelle chrząknęła. - Ta rozmowa do niczego nie prowadzi. Sally, twierdzisz, że jesteś zdrowa, że naprawdę twój ojciec cię wykorzystywał w sanatorium...

- Tak jak doktor Beadermeyer. Miał w sanatorium takiego oślisłego, małego pielęgniarza, Hollanda, który lubił mnie kąpać, rozbierać i czesać, a także siadać na brzegu mojego łóżka i wpatrywać się we mnie.

Noelle zwróciła się do Beadermeyera. - Czy to prawda?

Doktor wzruszył ramionami. - Częściowa. Miała pielęgniarza o imieniu Holland. Już nie pracuje w sanatorium. Może kiedyś zdarzyło mu się przekroczyć uprawnienia. To się zdarza, Noelle, zwłaszcza gdy pacjent jest tak chory jak Sally. Zaś co do reszty, to po prostu odzywa się jej choroba. Ułudy, mroczne fantazje. Uwierz mi, tak jak wierzyłaś swojemu mężowi i Scottowi. Scott z nią mieszkał. Widział, jak się załamuje. Prawda, Scott?

Scott skinął głową. - To było przerażające. Nie oszukujemy, Noelle.

Noelle St. John uwierzyła im. Quinlan mógł to odczytać z jej twarzy, na której pojawił się wyraz zdecydowania, nowego przekonania i głębokiego bólu.

Odezwała się do córki. - Posłuchaj, Sally, kocham cię. Zawsze cię kochałam. Wyzdrowiejesz. Nie obchodzi mnie, ile to będzie kosztowało. Będziesz miała najlepszą opiekę. Jeśli nie lubisz doktora Beadermeyera, znajdziemy innego lekarza. Ale na razie, proszę, wróć z nim do sanatorium, gdzie będziesz bezpieczna. Sędzia Harkin orzekł twoją niepoczytalność. Nawet nie pamiętasz tego

badania, prawda? Cóż, nic dziwnego. Byłaś taka chora, przez całe badanie siedziałaś bez słowa, patrząc gdzieś przed siebie. Mówiłam coś do ciebie, ale zwracałaś na mnie niewidzące oczy. Nawet mnie nie poznawałaś. To było okropne. Teraz, po śmierci twojego ojca, ja zostałam twoim opiekunem prawnym. Dokładnie mówiąc, oboje ze Scottem. Zaufaj mi, Sally, proszę. Chcę tylko dla ciebie dobrze. Kocham cię.

- Panie Quinlan rzekł Scott - może mógłby ją pan zatrzymać jeszcze jeden dzień, ale to wszystko. Sędzia już orzekł, że nie odpowiada za swoje czyny.

Nie może jej pan nic zrobić. Nikt nawet nie będzie brał pod uwagę możliwości postawienia jej przed sądem, oskarżonej o zamordowanie ojca.

Nie opuściła głowy, choć Quinlan wiedział, że te słowa nią wstrząsnęły. Co za towarzystwo. Nadał nie potrafił ocenić jej matki. Wydawała się taka szczerą, troskliwą, ale... Wszyscy teraz zdawali się przekonani, że Sally zamordowała swojego ojca. Właściwie nadszedł czas na jego interwencję, ale za chwilę.

Sally zabrała głos, unosząc rękę, żeby przerwać potok słów matki.

- Noelle, czy wiedziałaś ją. Przez cały czas doktor Beadermeyer faszerował mnie narkotykami? To dlatego nie pamiętam badania. Mówiłam już, że ojciec przychodził mnie bić dwa razy w tygodniu, ale czy wiesz, że doktor Beadermeyer się temu przyglądał? Tak, tak, doktorku, wiem o lustrze weneckim. Wiem też, że pozwalałeś innym patrzeć przez okno, jak mój ojciec onanizował się, podczas gdy ja leżałam naga na łóżku.

Zerwała się na nogi i Quinlan był pewien, że zaraz rzuci się na Beadermeyera. Lekko dotknął jej ramienia. Cała była zesztywniała. Wrzasnęła: - Podobało ci się to, ty plugawy gadzie?

Obróciła się, żeby widzieć matkę. - Nie pamiętam badania, bo przez cały czas trzymał mnie oszołomioną lekami, żebym nie walczyła z nim ani z jego sługusami. Nie rozumiesz tego? Nie było sposobu, żeby zrezygnowali z narkotyków. Wykopałabym ich nawet spod ziemi. Czy wiedziałaś również, że czasem mój ojciec kazał mu zmniejszać dawkę leków, żebym była przytomniejsza, gdy przychodził mnie upokarzać? To prawda, Noelle, uwierz mi. Mój ojciec, a twój mąż. Nie oszukuję cię. Nie zmyślam, żeby bronić mej zrujnowanej jaźni. Mój ojciec był potworem, Noelle. Ale przecież wiedziałaś o tym, prawda?

Matka krzyknęła na nią: - Dość już, Sally! Dość już tych twoich kłamstw. Nie mogę tego znieść, po prostu nie mogę.

- Matka ma rację, Sally - zawołał Scott Brainerd. - Powiedziałaś o wiele za dużo. Przepraszaj ją za te straszne rzeczy, które wygadujesz o jej mężu.

- Ale to wszystko jest prawda, i ty o tym dobrze wiesz, Scott. Ojciec nie uwięziłby mnie w sanatorium bez twojej pomocy. Dlaczego chciałeś mnie usunąć z drogi, Scott?

- Umieszczenie cię w ośrodku niemal mnie wykończyło - rzekł Scott. - Naprawdę byłem u kresu. Musieliśmy jednak tak postąpić. Mogłaś sobie zrobić krzywdę.

Ku ogromnej uldze Quinlana Sally udało się roześmiać. - Och, to naprawdę świetne, Scott. Jesteś wrednym kłamcą. Posłuchaj teraz, Noelle. Kiedy ojciec mnie bił, albo tylko przytrzymał, stojąc nade mną, śmiał się i mówił mi, że w końcu ma mnie tam, gdzie chce, w miejscu, na które zasłużyłam. Boże, przypominam sobie teraz to wszystko. Mówił, że to zemsta za wszystkie te lata, kiedy usiłowałaś cię chronić, Noelle. Powtarzał, że mój pobyt w tym miłym miejscu zamknie mi usta na inne tematy, ale nie wiem, co miał na myśli.

- Za to ja wiem - wtrącił Quinlan. - Później do tego wrócimy.

Uśmiechnęła się do niego i skinęła głową, po czym zwróciła się do matki. - Czy mówił ci, jak bardzo mnie nienawidzi? Podejrzewam jednak, że zamknięcie mnie w zakładzie mu nie wystarczyło. Chyba nie bił cię wystarczająco, bo musiał przychodzić, żeby mnie także bić. Dwa razy w tygodniu. Z dokładnością zegarka. Był człowiekiem o stałych przyzwyczajeniach. Czasem byłem tak oszołomiona prochami, że nic nie wiedziałam, ale Holland, ten żaloszny padalec, mówi! mi: „Tak, w każdy wtorek i piątek stary tu jest, żeby cię szarpać i bić”. Naturalnie, sama pamiętam też wiele ciosów, zwłaszcza gdy zmniejszali mi dawkę środków odurzających. Sprawiało mu przyjemność, gdy wiedział, iż świadoma jestem, że to on, i że jestem bezradna, nie mogę uczynić nic, żeby przeszkodzić mu robić to, na co tylko miał ochotę.

Noelle St. John odwróciła się w stronę doktora Beadermeyera. - Ona jest chora, prawda, Alfredzie? Nie może mówić prawdy. I to nie tylko Amory, ale również Scott. Przecież przysięgał mi, że jest bardzo chora. Ty też dawałeś mi słowo.

Beadermeyer wzruszył ramionami. Wyraźnie ulubiona odpowiedź tego człowieka, pomyślał Quinlan. - Sądzę, że wierzy w to, co mówi. Naprawdę jest bardzo chora. Wierząc, że ojciec zrobił jej to wszystko, musiała go zamordować, żeby złagodzić poczucie winy. Opowiadałem wam, jak udało jej się schować środki uspokajające pod językiem i uciec z sanatorium. Przyjechała prosto tutaj, jak gołąb pocztowy, wyjęła pistolet z szuflady biurka ojca i kiedy wszedł, zastrzeliła go. Słyszałaś strzał, Noelle. Ty też, Scott. Kiedy tam przybyłem, stała nad nim i patrzyła na krew spływającą po jego piersi, a wy wpatrywaliście się w nią. Chciałem jej pomóc, ale wymierzyła broń we mnie i znowu uciekła.

Quinlan pochylił się do przodu na kanapie. Ha, teraz usłyszysz. Najwyższy czas. Nic go nie zdziwiło. A za parę minut Sally także przestanie się dziwić.

Beadermeyer zwrócił się do Sally głosem łagodnym jak szum lekkiego deszczu na okiennym parapecie: - Chodź, moja droga, osłonię cię przed policją. Osłonię cię też przed FBI, przed prasą, przed każdym. Musisz zostawić tego człowieka. Nawet nie wiesz, kim naprawdę jest.

- Susan - dodał Scott - przykro mi, że tak się stało, ale wiem, że to było silniejsze od ciebie. Te wszystkie twoje ułudy, sny, fantazje, o których opowiedział nam doktor Beadermeyer. Zastrzeliłaś Amory'ego, miałaś w ręce pistolet. I ja, i Noelle widzieliśmy cię z tym pistoletem, pochyloną nad nim. Chcemy ci tylko pomóc, ochronić cię. Nic nie powiedzieliśmy policji. Doktor Beadermeyer wyszedł, zanim przybyli. Nikt cię nie oskarżył. Przez cały czas cię osłanialiśmy.

- Nie zabiłam mojego ojca.

- Ale przecież powiedziałaś mi, że nic nie pamiętasz - wtrąciła Noelle. - Powiedziałaś, że uciekłaś, bo bałaś się, że to ja zabiłam. Żeby cię osłonić, zachowywałam się, jakbym była nie wiem jak winna, chociaż to nie ja go zabiłam. Policja zaczęła mnie podejrzewać. Ocaliło mnie jedynie to, że nie mogli znaleźć broni. Ani ja, ani Scott nie powiedzieliśmy im nigdy, że właściwie byliśmy nieomal świadkami strzału. Prawdę mówiąc, Scott nie przyznał się im nawet, że w ogóle był wtedy w domu. To robiło ze mnie lepszą podejrzaną. Nie mogli cię znaleźć. Policja jest przekonana, że ty wiesz, iż to ja zabiłam męża i dlatego uciekłaś. Ale ja go nie zabiłam, Sally, nie ja. Ty go zamordowałaś.

- Ja też wiem, że to nie ona - powiedział Scott Brainerd, trzymając w luźno zwieszanej prawej ręce zimną już fajkę. - Spotkałem ją w przedpokoju i razem weszliśmy do salonu. Byłaś tam, z bronią w ręku pochylałaś się nad nim. Musisz wracać z doktorem Beadermeyerem, bo inaczej skończysz za kratkami.

- No tak - rzucił Guinlan - z poczciwym doktorem Beadermeyerem, a może powinienem powiedzieć z Normanem Lipsy z Kanady, krainy naszych miłych północnych sąsiadów?
- Wolę doktor Beadermeyer - z niezwykłym spokojem odparł wywołany. Wygodniej rozparł się w fotelu, ucieleśnienie człowieka zrelaksowanego, swobodnego, nie przejmującego się.
- O czym on mówi? - spytał Scott.
- Wasz poczciwy doktor jest hochsztaplerem - wyjaśni! Quinlan. - A jego ośrodek odosobnienia jest niczym innym jak więzieniem, gdzie przetrzymywani są ludzie, którzy przeszkadzali swojej rodzinie albo komuś innemu. Ciekaw jestem, ile zapłacił mu ojciec Sally za przetrzymywanie jej? Może ty wie\$2', Scott? Może część tych pieniędzy pochodziła od ciebie? Gotów jestem się założyć, że tak właśnie było.
- Jestem lekarzem, szanowny panie. Oskarżę pana o zniesławienie.
- Byłam w sanatorium - powiedziała Noelle. - To czysta, nowoczesna placówka. Trudno o miłszy personel. Nie widziałam się z Sally dlatego, że była bardzo chora. Co pan chciał powiedzieć przez to, że ludzie płacili za przetrzymywanie tam swoich wrogów?
- Tylko prawdę, pani St. John, zwyczajną prawdę. Pani mąż chciał usunąć Sally. Czy była to ostateczna zemsta za jej próby osłaniania pani? Z pewnością w jakiejś części tak.
- Quinlan zwrócił się do Sally. - Chyba marnowałaś czas, osłaniając mamę, Sally. Wydaje mi się, że chciałyby jak najszybciej rzucić cię lwom na pożarcie.
- To nieprawda - krzyknęła Noelle, nerwowo zaciskając pięści. - Nie wierz mu, Sally.
- Quinlan tylko uśmiechnął się do niej. - Tak czy inaczej pani mąż, pani St. John, płacił co miesiąc obecnemu tu Normanowi Lipsy worki pieniędzy za przetrzymywanie swojej córki, na faszzerowanej narkotykami po uszy, aby móc odwiedzać swoją małą dziewczynkę i wykorzystywać ją. O tak, wykorzystywał ją, upokarzał, traktował jak niewolnicę w haremie. Mamy na to świadka.

ROZDZIAŁ 23

Doktor Beadermeyer nie zmienił pozycji i wyrazu twarzy. Scott niemal podskoczył. Noelle natomiast zrobiła się biała jak ściana.

- Nie - wyszeptała. - Świadka?

- Tak, proszę pani. Agenci FBI dopadli Hollanda. Zadzwonili tuż przed naszym przyjściem. Śpiewa wszystko, Norman. Jego małe płuca omal nie pękną od wiadomości, które wyśpiewują jego usta. W sanatorium przetrzymywano nie tylko Sally. Również córkę senatora. Ma na imię Patricia. Doktor Beadermeyer przeprowadził u niej lobotomię, którą zresztą spartaczył.

- Nic z tego nie jest prawdą.

- Już wkrótce agenci FBI dotrą do sanatorium z nakazem rewizji i rozpieczęcą się po całym twoim biurze, jak mrówki po pojemniku z drugim śniadaniem. Wszystkie twoje brudne tajemnice ujrzą światło dzienne. Mam przyjaciela w „Washington Post”. Niedługo cały świat będzie znał twoje nieczne sprawy. A ci wszyscy biedacy, których więziłeś w ośrodku, ujrzą znowu wolność. Noelle, czy teraz, gdy wiesz już to wszystko, nadal chcesz inwestować w tego typu?

Noelle przeniosła wzrok z Quinlana na doktora Beadermeyera. - Ile ci zapłacił mój mąż? - Nagle była to inna Noelle. Proste plecy, ani śladu bladości czy delikatności, silna kobieta o zmrużonych oczach i zaciętej twarzy. W jej jasnoniebieskich oczach dostrzegł wściekłość.

- To były pieniądze na opiekę nad nią, Noelle, nic więcej. To skomplikowany przypadek choroby. Jest paranoiczną schizofreniczką. Była chora umysłowo już od pewnego czasu. Próbowaliśmy wielu leków, żeby walczyć z symptomami choroby, ale nigdy do końca nam się nie udało. Pomyśl o tym, co sobie wyobrażała o swoim ojcu, a to wystarczyło, żeby uciekła i zabiła go. To takie proste i zarazem złożone. Nie robiłem nic złego. Tego Hollanda,” biedny człowiek, przygarnąłem. Jest bardzo ograniczony. To prawda, że zajmował się Sally. Na swój debilny sposób był bardzo do Sally przywiązany. Jedynie głupiec uwierzyłby w to, co mówi Holland. Biedak powie wszystko, co będzie się chciało usłyszeć. W FBI szybko zorientują się, że powie im każdą rzecz, byleby tylko sprawić im przyjemność.

- Jak na kogoś, kto nie jest psychiatrą, jesteś bardzo dobry, Norman - oświadczył Quinlan.

- Co masz na myśli mówiąc, że nie jest psychiatrą? - zadał pytanie Scott.

- Jest chirurgiem plastycznym. Powinien się zajmować zewnętrzną powłoką głowy, a nie tym, co w środku. Jest hochsztaplerem. Przestępcą. I przyglądał się, jak pani mąż krzywdzi swoją własną córkę. Nie mam powodu, żeby pani kłamać, pani St. John.

- Ty draniu! - rzucił Beadermeyer. - Dobrze, Noelle, skoro już mi nie ufasz, nie wierzysz moim słowom, nie będę zabierał Sally ze sobą. Odjadę. Nic więcej nie mam do dodania. Przyjechałem tu jedynie po to, żeby Sally pomóc.

Zrobił krok do przodu, ale Quinlan w okamgnieniu był na nogach. W trzech skokach dopadł Beadermeyera, łapiąc w garść jego krawat. Cichym głosem rzucił mu prosto w twarz: - Kto teraz, po śmierci ojca Sally, płaci ci za jej przetrzymywanie? Obecny tu Scott?

Jeśli tak, to dlaczego? Dlaczego usunięto ją z drogi? To nie była tylko zemsta, prawda? - Quinlan znalazł część odpowiedzi, ale chciał ją usłyszeć z ust Beadermeyera.

- Noelle płaci mi jedynie za jej leczenie, tyle samo, ile otrzymałem zawsze.

- Gówno prawda. Kto ci płaci? Nadal masz ochotę kłamać, prawda? Otóż pani St. John, gdy tylko FBI skończy analizować księgi rachunkowe Beadermeyera, będę w stanie podać dokładną sumę, jaką pani drogi mąż płacił temu bydlakowi.

- Dzwonię po mojego prawnika. Nie możecie tego zrobić. Podam was wszystkich do sądu.

- Jeśli pani St. John płaciła wyłącznie za opiekę nad Sally, to dlaczego pojechałeś do Cove, dałeś Sally i mnie po głowie i zawlokłeś ją z powrotem do sanatorium? Czy obciążyleś Noelle kosztami tej wyprawy? A twoja krótka wycieczka do klubu „Bonhomie” w towarzystwie dwóch goryli? Wyślesz Noelle rachunek za ich usługi? A co z tylną szybą, którą ci przestrzeliłem? I czy masz ekstra stawki za pracę po godzinach, Norman? Nie masz teraz nic do powiedzenia? Nie chcesz nawet podkreślić, że jesteś lekarzem z powołania, który zrobi wszystko, aby pomóc swoim biednym pacjentom? - Quinlan odwrócił się do Noelle, która wyglądała, jakby marzyła o ostrym nożu. Patrzyła na doktora Beadermeyera innym wzrokiem. - Kiedy dostałem się do Sally w sanatorium, była tak otumaniona lekami, że odtrucie jej zajęło ponad dobę. To wygląda na wspaniałą terapię, prawda, Noelle?

- Panie Quinlan, wierzę panu. Teraz już panu wierzę.

Doktor Beadermeyer wzruszył ramionami i zaczął oglądać swoje paznokcie.

- A może - ciągnął Quinlan - to obecny tu Scott chce trzymać żonę w ukryciu?

- To śmieszne! - krzyknął Scott Brainerd. - Nigdy nic nie zrobiłem, powiedziałem jedynie ojcu Sally, jak bardzo się o nią martwię.

Teraz zabrzmiał spokojny głos Noelle. - Nie, Scott, to nieprawda. Ty też kłamiesz. Wszyscy mnie oszukiwaliście. Gdyby kłamał tylko Amory, nigdy bym mu nie dała wiary, ale cóż, wszyscy zachowywaliście się jak chór z greckiej tragedii, powtarzając mi w kółko to samo, dopóki wam nie uwierzyłam. Uwierzyłam wam, niech was diabli wezmą! Pozwoliłam umieścić moją córeczkę w tym przeklętym ośrodku!

Widząc, jak nadciąga, Quinlan szybko zszedł jej z drogi. Noelle rzuciła się na Beadermeyera i wyrznęła go pięścią w szczękę, nie dając mu szansy na unik. Poleciał do tyłu, na gzyms nad kominkiem. Noelle cofnęła się, dysząc ciężko. - Ty bydlaku! - Okręciła się na pięcie, aby stanąć twarzą w twarz ze Scottem. - Ty ohydna gnido, czemu to zrobiłeś mojej córce? Ile ci zapłacił mój mąż?

Sally podniosła się z kanapy. Podeszła do matki. Objęła ją. - Dziękuję - wyszeptała we włosy Noelle. - Dziękuję. Mam nadzieję, że zanim się to wszystko skończy, osobiście będę mogła pobić Beadermeyera.

Sally wytarła wilgotne ręce w nogawki spodni. Przypływ ogromnej ulgi spowodował, że w ustach czuła suchość. Z uśmiechem zwróciła się do Scotta* - Rozwodzę się z tobą. Rozwód nie powinien zająć wiele czasu, bo nie chcę nic, nawet mojej biednej hedery, która zresztą chyba już dawno zdechła. Mój prawnik prześle ci dokumenty najszybciej, jak tylko się da.

- Jesteś całkowicie chora umysłowo. Żaden prawnik nie zrobi tego, o czym mówisz.

- Jeśli zrobisz jeszcze jeden krok w jej stronę, Brainerd, będę musiał cię zabić. Albo oddam cię w ręce Noelle. Spójrz na nieszczęsnego Normana, ma rozciętą wargę. Wiesz, podoba mi się perspektywa wdowieństwa Sally.

Spokojnym krokiem Quinlan podszedł do Scotta Brainerda, uniósł pięść i wymierzył cios prosto w żołądek. - To za Sally, za Noelle i za mnie.

Scott zawył, zgiał się wpół, ciężko dysząc jak po postrzale, rękami trzymał się za brzuch.

- Sally - rzeki Quinlan, rozmasowując sobie rękę i walcząc z chęcią powtórnego uderzenia Scotta Brainerda. Wiedział, że nie byłoby to rozsądne. - Jedna z moich sióstr jest adwokatem. Przygotuje papiery rozwodowe. Przecięcie więzów łączących cię z tym gadem nie powinno nastęcać trudności. Zajmie jakieś pół roku. A może powinienem go zabić? Masz może ochotę spróbować ucieczki, Scott? No tak, zapomniałem wam powiedzieć, że FBI zajęło się również księgami rachunkowymi w firmie Amory'ego St. Johna. Przeglądamy je już od pewnego czasu. To jest prawdziwy powód, dla którego FBI zaangażowało się w tę sprawę. Sprawa jest delikatna i dlatego trzymaliśmy ją w tajemnicy, ale nie ma powodu, żebyście o tym nie wiedzieli. Sprzedaż broni do takich krajów jak Algieria, Irak czy Libia... no cóż, naprawdę nie podobają nam się takie numery. I oto mamy drugi powód, Sally, dla którego twój ojciec i twój mąż trzymali cię w zamknięciu. Musieli być przekonani, że powiesz coś, co ich obciąży, pokaże, że byli zdrajcami.

- Ale ja nigdy nic nie widziałam, nigdy - stwierdziła Sally. - Czy to prawda, Scott?

- Nie. Nie miałem z tym nic wspólnego.

- Ale jej ojciec przekonał cię, żebyś się związał z Sally, żebyś się z nią ożenił?

- Nie, to nieprawda. No dobrze, istotnie zgodziłem się umieścić ją w sanatorium. Ale to dlatego, że bytem przekonany o jej chorobie.

- Czemu uważałeś, że jestem chora, Scott?

Nic nie odpowiedział i machnął tylko fajką w jej stronę. - Nie byłaś dobrą żoną. Twój tatuś przysięgał mi, że po wyjściu za mąż praca zawodowa przestanie być dla ciebie ważna. Twierdził, że jesteś podobna do swojej matki, dla której naprawdę liczył się tylko troskliwy mąż i potrzebujące opieki dzieci. Pragnąłem żony, która będzie siedziała w domu i dbała o mnie, ale ty nie chciałaś. Potrzebowałem twojej pomocy, zrozumienia, ale nie, nigdy nie miałaś dla mnie czasu.

- To jeszcze nie objawy choroby, Scott - przerwał Quinlan.

- Odmawiam dalszych informacji na ten temat - oświadczył Scott.

- Dlaczego wcale mnie nie dziwi, że był zdrajcą? - rzuciła Noelle. - Naprawdę nie jestem tym zaskoczona. Może więc zabił go któryś z klientów. Może jednak nie Sally. Jaka szkoda, że mordercą nie okaże się Scott. Czyż nie tak, Scott, ty żalosna kreaturo?

Świetnie, próbuje inaczej wyjaśnić śmierć męża, pomyślał Quinlan. Był zadowolony. Odezwał się: - Ma pani rację, był zdrajcą. Ale wracając do rzeczy, wspomniła pani, że weszła pani do pokoju ze Scottem i zastaliście Sally dosłownie stojącą nad nim z dymiącym pistoletem w ręce.

Noelle zmarszczyła czoło, zagryzła wargi. Naprawdę myślała bardzo intensywnie. - Owszem, ale Sally powiedziała, iż usłyszała strzał i przybiegła do salonu. Powiedziała, że podniosła pistolet. Powiedziała, że zajrzała do nas, żeby dostać ode mnie pieniądze i wyjechać.

Z kieszeni na piersiach Quinlan wyciągnął złożoną kartkę papieru. Rozprostował ją i omiół wzrokiem. - To twoje oświadczenie złożone na policji, Noelle. Nie ma w nim wzmianki o Sally. Fatalnie, bo jakiś sąsiad zeznał, że widział ją wybiegającą z domu. Ale próbowałaś, Noelle, naprawdę próbowałaś. Czy tamtej nocy naprawdę byłaś w towarzystwie Scotta? Czy naprawdę wpadłaś razem z nim do pokoju i zobaczyłaś Sally pochyloną nad ciałem twojego męża?

Scott cisnął fajkę do kominka. Z głośnym stuknięciem upadła na marmurowe palenisko. - Cholera! Na pewno byłem z nią! Spędziłem z nią cały wieczór.

Scott nadal masował brzuch, co znakomicie nastrajało Quinlana. Przeklęty padalec. Odwrócił się ku Noelle.

- Cieszę się, że próbowała pani osłaniać Sally. Chociaż przez pewien czas zastanawiałem się,

czy nie jest pani przypadkiem zamieszana w to wszystko na równi z pozostałymi.

- Nie mam o to do pana żalu - odparła Noelle. - Na pańskim miejscu sama bym się zastanawiała, czy nie jestem taka jak oni. Ale nie jestem. Jestem tylko najzwyczajniej w świecie głupia.

Sally uśmiechnęła się do matki. - Ja też jestem głupia. Wysłałam za męża za Scotta, prawda? A wystarczyło mu się dobrze przyjrzeć.

- Słuchaj, Noelle - rzekł Quinlan - tylko naprawdę zły człowiek zwróciłby się przeciwko swojej córce, która usiłowała tak wiele dla ciebie zrobić, odkąd ukończyła szesnaście lat. Była jeszcze dziewczynką, a jednak próbowała cię ochraniać. Chcę, żebyś zaprzeczyła. Żebyś powiedziała, że nie zabiłaś swojego męża. Że nie zabiłaś tego potwora, który się wyżywał na tobie.

- Nie zabiłam go, nie zabiłam. O Boże, Sally, wierzysz mi? Nie myślisz chyba, że zabiłam twojego ojca, prawda?

Nie było wahania. Sally wzięła matkę w objęcia. - Wierzę ci.

- Ale pozostało jeszcze sporo spraw, Sally - powiedział Quinlan łagodnie i cicho, głosem, w którym kryła się obietnica prawdy. - Nadszedł czas na wyjaśnienie wszystkiego. Chcę, żebyś cofnęła się teraz myślami. Popatrz na Noelle i wróć myślami do tamtej nocy.

Sally zachnęła się, nie odrywając wzroku od matki. Potem powoli odwróciła się do Guinlana. - Mam teraz przed oczami jasny obraz mojego ojca leżącego tam, po prawej stronie, z plamą krwi na piersiach. Przykro mi, James, ale nic więcej nie pamiętam.

- Twoja mama mówiła, że miałaś broń. Nie pamiętasz, żebyś brała pistolet ze sobą, Sally?

Zaczęła potrząsać głową, a potem spuściła wzrok na swoje brązowe buty.

Quinlan dorzucił: - To był stary pistolet Roth-Steyr, najprawdopodobniej kupiony przez twojego ojca od jakiegoś dawnego angielskiego żołnierza, uczestnika pierwszej wojny światowej. To dziesięciopistolet z długą lufą.

- Tak - Sally powoli wymawiała słowa, odsuwając się od niego i podchodząc do miejsca, gdzie znalazła ciało ojca, dokładnie przed ogromnym mahoniowym biurkiem. - Tak, pamiętam ten pistolet. Był z niego bardzo dumny. W latach siedemdziesiątych dostał go od ambasadora angielskiego, któremu wyświadczył wielką przysługę. Tak, widzę to teraz wyraźnie. Przypominam sobie, że go podniosłam i trzymałam. Pamiętam, pomyślałam, iż jest taki ciężki, że aż mi ręka opada. Pamiętam, że był ciepły, jakby przed chwilą ktoś go używał.

- Taki pistolet istotnie - jest ciężki. To cacko waży ponad półtora kilograma. Widzisz go przed oczami, Sally?

Stała oddalona od niego, oddalona od wszystkich. Wiedział, że przypomina sobie wszystko, dopasowując postrzępione fragmenty wspomnień, powoli, ale wiedział, że da sobie radę.

- Pistolet jest gorący, Sally - odezwał się. - Parzy cię w dłonie. Co zamierzasz z nim zrobić?

- Pamiętam, że byłam zadowolona, że nie żyje. Był podiy. Przez tyle lat krzywdził Noelle i nigdy za to nie zapłacił. Zawsze robi! to, co chciał. Dopadł mnie. Do tamtej chwili nie było sprawiedliwości. Tak, przypominam sobie, że myślałam: Nie żyjesz, ty nędzny draniu, a ja się z tego cieszę. Teraz wszyscy uwolnili się od ciebie. Nie żyjesz.

- Czy pamiętasz Noelle wchodzącą do pokoju? Pamiętasz jej krzyk?

Patrzyła w dół na swoje dłonie z zaplecionymi palcami. - Pistolet jest taki gorący. Nie wiem, co mam z nim zrobić. Teraz cię widzę, Noelle, tak, i Scotta tuż za tobą. Macie na sobie płaszcze. Nie było was w domu, gdzieś wychodziliście. Jest tylko ojciec, nikogo więcej nie ma. Zaczęłaś krzyczeć, Noelle. A ty, Scott, nie zrobiłeś absolutnie nic. Spojrzałeś na mnie, jakbym była jakimś dzikim psem,

którego trzeba unieszkodliwić.

- Sądziłeś, że go zabiłaś - powiedział Scott. - Tamtej nocy miało nie być go w domu. Miał być w Nowym Jorku, ale niespodziewanie wrócił wcześniej.

Chwyciłaś ten pistolet i zastrzeliłaś go.

Ale Sally potrząsała głową. Na jej twarzy nie widać było strachu, lecz namysł. Zmarszczyła czoło. - Nie. Przypominam sobie, że weszłam do domu frontowymi drzwiami. Nie spodziewałam się, że zastanę je otwarte, a jednak były. W chwili, gdy przekręcałam gałkę, usłyszałam strzał. Wbiegłam do tego pokoju, gdzie go zobaczyłam na podłodze, z plamą krwi na piersiach. Pamiętam... - Przerwali straszliwie marszcząc twarz. Potem przyłożyła mocno zaciśnięte pięści do skroni. - Wszystko jest takie niejasne, zamglone. Te przeklęte środki, którymi mnie karmiłeś... Boże, miałabym ochotę cię za to zabić.

Quinlan wtrącił: - Znalazł się teraz w takich opałach, że śmierć byłaby dla niego wybawieniem. Chcę zobaczyć, jak wydaje wszystkie pieniądze, na adwokatów. Potem chcę obserwować, jak do końca swojego nędznego życia gnije w więzieniu. Nie martw się o niego. Dasz sobie radę. Wszystko jest zamazane, ale masz to w pamięci. Co widzisz?

Patrzyła w dół na miejsce, gdzie wówczas leżało rozciągnięte ciało, z rozrzuconymi ramionami, z prawą dłonią uniesioną do góry. Tyle krwi. Było tu tyle krwi. Noelle położyła nowy dywan. Ale było w tym obrazie coś dziwnego, coś, czego nie mogła zdefiniować, coś...

- Był tam jeszcze ktoś - oświadczyła. - Tak, w pokoju był jeszcze ktoś.

- Skąd wzięłaś pistolet?

Odparła bez wahania. - Leżał na podłodze. W chwili, gdy weszłam do pokoju, pochylał się właśnie, żeby go podnieść. Błyskawicznie się wyprostował i pognął w stronę drzwi na taras.

Powoli odwróciła się i omiotła spojrzeniem wysokie aż po sufit przeszklone drzwi, wychodzące na patio i na podwórko. Rosły tam wysokie krzewy, a płot oddzielał dom od posesji sąsiadów.

- Jesteś pewna, że to był mężczyzna?

- Tak, jestem pewna. Widzę jego rękę otwierającą drzwi balkonowe. Ma na sobie rękawiczki, czarne skórzane rękawiczki.

- Widziałaś jego twarz?

- Nie... - Jej głos zamarł. Zaczęła kiwać głową w tę i z powrotem. - Nie - wyszeptała, patrząc w stronę drzwi balkonowych. - To niemożliwe, to po prostu niemożliwe.

- Widzisz go teraz, Sally? - Quinlan mówił spokojnie, bez pośpiechu.

Spojrzała na Jamesa, potem na matkę, na Scotta, a w końcu na doktora Beadermeyera. Powiedziała: - Może oni mają rację, James. Może jestem szalona.

- Kto to był, Sally?

- Nie, nie, jestem szalona. Mam przywidzenia.

- Kto to był?

Była załamana, ramiona jej opadły, spuściła głowę. - To był mój ojciec - wyszeptała.

- Aha - mruknął Quinlan. Wszystko zaczynało ślicznie pasować, chociaż jeszcze nie wszyscy to wiedzieli.

Noelle szepnęła: - Twój ojciec? Och, Sally, to niemożliwe. Twój ojciec leżał nieżywy na podłodze. Widziałam go, uklękałam przy nim. Potrząsałam nim nawet. To był twój ojciec. Nie mogłabym się tak pomylić.

Scott zaczął wymachiwać fajką i potrząsać głową, gdy mówił: - Ona jest kompletnie szalona,

bardziej nienormalna, niż sądziliśmy. Twój ojciec nie żyje, Sally, tak jak powiedziała Noelle. Ja też widziałem jego ciało. Nie zapominaj, że oboje tam byliśmy.

Zabrał głos doktor Beadermeyer. - Już dobrze, Sally. To jeden z objawów twojej choroby. Czy teraz pojedziesz ze mną? Zadzwoń do adwokata twojego ojca, który przyjedzie i dopilnuje, aby ten człowiek nie wsadził cię do więzienia.

Quinlan pozwolił im mówić, puszczając ich słowa mimo uszu. Wstał i podszedł do Sally. Ujął jej dłonie w swoje ręce. - Świetna robota - powiedział, nachylił się i pocałował dziewczynę.

- Ty draniu, to moja żona! Nie chcę jej, ale ciągle jeszcze jest moją żoną.

Quinlan znów ją pocałował. - Teraz wszystko zaczyna mieć sens. - Zwrócił się do doktora Beadermeyera. - Teraz wszystko pasuje. Jesteś chirurgiem plastycznym, Norman. Musisz być bardzo dobry w swoim fachu. Skąd wytrzasnąłeś człowieka, którego twarz upodobniłeś do twarzy Amory'ego St. Johna?

- Sam nie wiesz, co mówisz. Zamordowany był Amorym St. Johnem. Nikt w to nie wątpił. Czemu miano by wątpić? Nie było wątpliwości.

- To dlatego, że nie było powodu, aby wątpić. Czemu, na przykład, ktoś miałby sprawdzać dane o użębieniu, jeśli żona nieboszczyka zidentyfikowała ciało, a twarz nieboszczyka wyglądała jak twarz na wszystkich fotografiach, stojących na biurku? Martwi mnie jedynie, że lekarz sądowy nie zauważył blizn po operacji plastycznej. Musisz być naprawdę dobry, Norman.

- Boże, naprawdę pan to zrobił, doktorze Beadermeyer? - zapytał Scott. - Czy naprawdę wraz z Amorym St. Johnem zaplanował pan zabicie innego człowieka, żeby upozorować śmierć Amory'ego? Czy Amory planował, że mnie pozostawi na pastwę losu? Cholera! To prawda, tak? To ja zostanę o wszystko oskarżony, bo on uchodzi za zmarłego. A przecież ja nie zrobiłem wiele złego, przysięgam. Owszem, sprawa Sally, ale było to konieczne, bo wiedzieliśmy, że przeczytała kilka krótkich notatek, które przez niedopatrzenie zostawiłem w swojej teczce. Nie było wyjścia. Współdziałałem z nim, bo byłem do tego zmuszony.

Quinlan znowu go uderzył, tym razem w szczękę. Miał nadzieję, że udało mu się ją złamać.

Beadermeyer spojrział z góry na Scotta, leżącego na boku, bez przytomności. - Co za zero z tego człowieka. Ale to nie moje zmartwienie. Słuchaj, Quinlan, to wszystko jest czystym wariactwem. Amory St. John nie żyje. Mam już tego dosyć. Przykro mi, Sally, próbowałem ci pomóc, ale przestało mnie to już obchodzić. Wychodzę.

- Doktorze, pójdę z panem, kiedy diabeł opuści piekło - rzekła Sally.

- Lepiej, żebyś inaczej to sformułowała, Sally - powiedział Quinlan. - Wiem na pewno, że diabeł szwenda się po całym świecie. Tutaj mamy do czynienia z jego dwoma pacholkami. A więc ojciec Sally nadal ci płaci. To niewątpliwie daje odpowiedź na moje pozostałe pytania.

- Wychodzę - rzucił doktor Beadermeyer i skierował się w stronę drzwi.

- Chyba nie chce pan już nas opuścić - odezwał się Dillon, wchodząc do pokoju.

- Kiedy ten padalec się ocknie, uderzę go - powiedziała Noelle St. John. - Cóż, może nawet nie będę czekać. - Podeszła do Scotta i kopnęła go między żebra. - Jeśli zaś chodzi o ciebie - zwróciła się do doktora Beadermeyera - jeśli tylko pan Quinlan da mi gumowy kabel, stłukę cię nim na kwaśne jabłko. Co wyście zrobili mojej córce... Jezu, miałabym ochotę was zamordować.

- Dopilnuję, żeby dostała pani ten kabel, Noelle - powiedział Quinlan.

- Pozwę was wszystkich do sądu. Brutalność policji, właśnie tak, i oszczerstwo. Spójrzcie tylko na biednego Scotta.

Sally podeszła i kopnęła Scotta między zębra. A potem padła w objęcia matki.

ROZDZIAŁ 24

Dillon skinął głową w stronę Quinlana i uśmiechnął się do Sally. - Świetnie to zrobiłaś. Quinlan jest dobry w przywracaniu ludziom pamięci.

Odwrócił się do doktora Beadermeyera. - Nie sędzę, żeby chciał pan nas już opuszczać. Za chwilę pojawi się tu spora grupka moich koleśków. Wszyscy oni są agentami specjalnymi, co oznacza, że potrafią strzelić w koniuszek pańskiego różowego palca z odległości stu dwudziestu metrów i zmusić pana do wyśpiewania wszystkich tajemnic, poczynając od tych, które pan miał jako dwulatek. Naprawdę są bardzo dobrzy, więc lepiej niech się pan nie rusza, doktorze Beadermeyer.

Noelle wpatrywała się w doktora Beadermeyera. - Mam nadzieję, że gnić będziesz w najgłębszym lochu, jaki uda się znaleźć. A teraz mów, ty nędzny bydlaku, gdzie jest mój mąż. Kim był ten nieszczęśnik, którego obaj zamordowaliście?

- Doskonale pytanie - rzeki Quinlan. - Powiedz nam, Norman.

Reszta wydarzyła się błyskawicznie. Doktor Beadermeyer wyciągnął z kieszeni płaszcza mały rewolwer. - Nic ci nie muszę mówić, ty skurwysynu. Zniszczyłeś mi życie, Guinlan. Nie mam już domu, pieniędzy, niech cię diabli, nic mi nie zostało. Boże, z chęcią bym cię zastrzelił, ale wówczas nigdy nie zaznałbym spokoju, prawda?

Usłyszeli trzask wielu otwieranych drzwi samochodowych.

- Za późno na skomlenie, Norman - powiedział Quinlan. - Teraz idziesz do więzienia. Możesz rozważyć pójście na układ. Powiedz, gdzie się ukrywa Amory St. John. Podaj nazwisko człowieka, którego twarz zmieniłeś. Opowiedz nam całą tę podłą historię.

- Idź do diabła, Quinlan.

- Mam nadzieję, że jeszcze długo tam nie zawitam - odparł Quinlan. - A więc to Amory St. John płacił ci dalej za więzienie Sally. Czy to był naprawdę jej ojciec, tam w Cove, który zaglądał przez jej okno w nocy? Byłeś z nim? Czy razem pozbawiliście nas przytomności i zabraliście Sally z powrotem do twojego wspaniałego sanatorium? Tak, to brzmi prawdopodobnie. To Amory St. John osobiście dzwonił do córki i patrzył na nią przez okno w sypialni.

- To wszystko kłamstwo, wierutne kłamstwo. Podejdz, Noelle. Nie sędzę, żeby ktoś chciał strzelać, kiedy będziesz przy mnie.

Sally odezwała się. - Mój ojciec musiał być wściekły, kiedy zobaczyłam go wybiegającego z tego pokoju. Pomyślał, że rozpowiem o tym na cały świat. I dlatego chciał, żebyś przetrzymywał mnie w sanatorium.

- Nie bądź śmieszna, Sally - odparł doktor Beadermeyer. - Jesteś wariatką. Uciekłaś ze szpitala dla wariatów. Nawet gdybyś wyrzuciła z siebie wszystkie te brednie natychmiast po przybyciu gliniarzy, nikt by ci nie uwierzył, nikt absolutnie.

- Ale pojawiłyby się pytania - rzekł Guinlan. - Ja na przykład zacząłbym się zastanawiać i analizować sprawę od początku. W takich przypadkach jestem naprawdę dociekliwy. Nie popuściłbym. Sally ma rację co do powodu, z jakiego chcieliście wraz z jej ojcem trzymać ją w zamknięciu. Została na stałe usunięta z drogi. A jej ojciec ciągle był przekonany, że wie o jego zdradzie, a przynajmniej podejrzewa go o to, że nie jest porządnym obywatelem.

- Zamknij się. Chodź tutaj, Noelle, bo inaczej zastrzelę twoją cholerną córeczkę.

- O jakiej sumie mówimy, Norman? O paru milionach? Więcej? Właśnie zrozumiałem, dlaczego tak bardzo potrzebna ci była Sally. Była twoją polisą ubezpieczeniową, prawda? Mając ją, nie musiałeś się martwić, że Amory St. John wpadnie na pomysł, żeby cię zabić. Naturalnie mógłby zabić także Sally, ale to nieuchronnie prowadziło do podejrzeń. Nie, zdecydowanie wygodniej mu było opłacać cię dalej, dopóki nie wpadnie na pomysł, jak sprawnie mógłby się ciebie pozbyć. Czy coś pokręciłem, Norman? Ubóstwiałem takie z życia wzięte, pokręcone intrygi. Nawet w powieści czegoś takiego by nie wymyślono.

Doktor Beadermeyer machnął bronią. - Podejdź tu, Noelle.

Scott poruszył się na podłodze, pokręcił głową i powoli usiadł. Jęknął i zaczął masować sobie żebra. - Co się dzieje? Co pan robi, doktorze Beadermeyer?

- Znikam stąd. Jeśli chcesz, możesz zabrać się ze mną. Mamy Noelle. Policja nie będzie ryzykować strzelania, żeby jej nie zranić. Chodź tutaj, Noelle. - Wycelował rewolwer w Sally. - Już.

Ociągając się, Noelle podeszła do miejsca, gdzie stał. Chwycił ją za lewą rękę i przyciągnął blisko do siebie. - Teraz wychodzimy przez drzwi balkonowe. Grzecznie i powoli, Noelle, grzecznie i powoli. Ach, Scott, może zostaniesz? Nigdy cię naprawdę nie lubiłem, zawsze uważałem, że jesteś nic nie znaczącym robakiem. Tak, zostań tutaj.

- To, co robisz, nie jest mądre, Norman - odezwał się Quinlan. - Uwierz mi, to wcale nie jest mądre.

- Zamknij się, ty draniu. - Kopnięciem otworzył drzwi balkonowe i wyszedł, wlokąc za sobą Noelle.

Quinlan nie poruszył się, tylko pokręcił głową. Dillon powiedział: - Ostrzegałeś go, Quinlan.

Rozległy się jakieś głosy, potem dwa strzały. I martwa cisza. Dillon wybiegł na zewnątrz.

- Noelle! - Sally wybiegła przez otwarte drzwi na patio, w kółko wykrzykując imię matki.

Gdy się odwrócili, ujrzeli Noelle, która potykając się biegną w stronę córki. Uścisnęły się.

- Ubóstwiałem szczęśliwe zakończenia - stwierdził Quinlan. - A teraz, Scott, może nam powiesz, kto jest twoją kochanką - Jill czy Monica?

- Żadna! Jestem gejem!

- Jezu, a to dopiero - rzekł Quinlan.

Dillon wrócił do środka. Na jego twarzy widniał szeroki uśmiech. - Biednego pocziwinę Normana Lipsy'ego kawałek ołowiu trafił w ramię. Wyliże się z tego.

- Cieszę się - odparł Quinlan.

- Scott jest gejem, James? - Sally wbiła wzrok w swojego męża. - Ożeniłeś się ze mną, będąc gejem?

- Musiałem - odpowiedział Scott. - Twój ojciec jest bezlitosny. Troszkę pomanipulowałem z rachunkami paru klientów, ale odkrył to. Wtedy właśnie wciągnął mnie w handel bronią i kazał mi się z tobą ożenić. Poza tym zapłacił mi, ale uwierz, to było nic wobec konieczności znoszenia cię przez te sześć miesięcy. Quinlan roześmiał się i przyciągnął do siebie Sally. - Mam nadzieję, że to cię za bardzo nie martwi.

- Chyba podskoczę do góry z radości.

Usłyszeli przekleństwa doktora Beadermeyera, a potem jęki i głośnie wyrzekanie, że umrze z upływu krwi, że dranie chcą jego śmierci.

Potem ich uszu dobiegł głośny śmiech Dillona i jego wyraźny głos: - Sprawiedliwość. Lubię, jak

sprawiedliwości staje się zadość.

- Rachunki jeszcze nie są wyrównane, James - zauważyła Sally. - Gdzie jest mój ojciec?

Pocałował ją w usta i mocno przytulił. - Najpierw sprawdzimy, co się stało z jego paszportem.

Jeśli nie zabrał go ze sobą, szybko go złapiemy.

- Jest jeszcze jedna rzecz - dorzucił Dillon. - Gdzie jest ten cholerny pistolet Roth-Steyr?

- Pamiętam, że wybiegłam za ojcem przez drzwi balkonowe. Potem cisnęłam go w krzaki.

- Policja przeszukiwała teren, znaleźliby go.

- A więc oznacza to, że Amory widział, jak wyrzuca broń i wrócił, żeby ją zabrać - stwierdził

Quinlan. I uśmiechnął się. - Ten pistolet identyfikuje go lepiej niż odciski palców.

- A kim był ten biedak, którego zoperował doktor Beadermeyer?

- Nie wiem, czy kiedykolwiek się dowiemy, Sally, chyba że Beadermeyer zacznie mówić. Został skremowany. Psiakrew, miałem przed nosem wszystkie klucze do tej zagadki. Jakies osiem miesięcy temu twój ojciec spisał nowy testament, w którym po śmierci życzył sobie natychmiastowej kremacji. Norman Lipsy był chirurgiem plastycznym. Ty byłaś pewna, że to głos ojca słyszałaś przez telefon. Powinienem być ci uwierzyć, tymczasem byłem przekonany, że słyszałaś spreparowane nagranie jego głosu. Złapiemy go, obiecuję ci, Sally.

Quinlan zabrał ją do domu i wymusił na niej obietnicę, że nigdzie stamtąd nie ucieknie. Musiał udać się do biura, żeby zobaczyć, jak postępuje śledztwo.

- Ale jest już po północy.

- Sprawa jest poważna. Budynek FBI będzie oświetlony od góry do dołu, no, przynajmniej światło będzie się paliło we wszystkich oknach na czwartym piętrze.

- Mogę iść z tobą?

Wyobraził sobie trzydzieści osób, mówiących jednocześnie, wertujących sterty papierów, jednych relacjonujących, co znaleźli w biurze Amory'ego St. Johna, innych analizujących dokumenty Beadermeyera.

Pozostawało jeszcze przesłuchanie Beadermeyera. Och, jakże chciał znaleźć się w pokoju sam na sam z Beadermeyerem i włączonym magnetofonem. Mało brakowało, a zatarłby ręce z radości.

- Tak - powiedział - możesz iść, ale pamiętaj, że agenci przyczepią się do ciebie i będą cię wypytywać, aż będziesz miała ochotę zwinąć się jak embrion i zasnąć.

- Jestem gotowa, żeby mówić - odparła i uśmiechnęła się do niego. - Och, James, tak mi ulżyło. Scott jest gejem, a moja mama nie była w nic zamieszana. Poza tobą jest jeszcze ktoś, komu na mnie zależy.

*

Marvin Brammer, wicedyrektor i szef Wydziału Dochodzeń, chciał, żeby została zbadana przez lekarzy i psychiatrów z FBI.

Quinlan odwiódł go od tego zamiaru. Sally nie widziała, jak to zrobił, ale była pewna, że był świetny.

Skończyło się na tym, że odbyła długą rozmowę z Marvinem Brammerem, który był wobec niej zdecydowanie miły.

Pod koniec trwającego godzinę przesłuchania wydobył z niej jeszcze więcej szczegółów wydarzeń tamtej nocy. Brammer był jednym z najlepszych śledczych w FBI, organizacji słynnej z niezwykłych umiejętności prowadzenia przesłuchań. Może nawet był lepszy od Quinlana, chociaż wątpiła, czy James by to przyznał.

Kiedy wyszła z gabinetu w towarzystwie Brammera, lekko podtrzymującego ją pod ramię, na korytarzu ujrzała śpiącą Noelle. Sally doszła do wniosku, że matka wygląda dokładnie tak, jak powinna. Martwiła się jednak ojcem. Co będzie, jeśli znowu dopadnie Noelle? A jeśli dopadnie ją, Sally? Powiedziała to wszystko panu Brammerowi, który nie ustawał w zapewnieniach, że obie będą miały ochronę. Amory St. John nie będzie miał cienia szansy, żeby się do którejś z nich zbliżyć. Zresztą trudno sobie wyobrazić, żeby był aż tak głupi. Nie, wszystko będzie dobrze.

- To moja matka - rzekła Sally. - Czyż nie jest piękna? Zawsze mnie kochała. - Obdarzyła Brammera uśmiechem, który rozbroiłby nawet największego cynika.

Brammer chrząknął. Lekko przesunął palcami po siwej czuprynie. Krążyły pogłoski, że jego zdolności w prowadzeniu przesłuchań niepomiernie wzrosły z chwilą, gdy po strzelaninie, w czasie której omal nie został zabity, w ciągu jednej nocy kompletnie osiwiął. Teraz jego wygląd wzbudzał zaufanie.

- Z tego, co mówił mi Quinlan - nalegał na rozmowę ze Scottem Brainerdem - wygląda, że Scott rzeczywiście na niewielką skalę sprzeniewierzał pieniądze klientów, a pani ojciec go przyłapał. Potem załatwił dla niego parę brudnych spraw, więc ojciec naprawdę trzymał go już w garści. Aha, mieliście rację, miał kochanka, faceta, który się nazywa Allen Falkes, z ambasady brytyjskiej. Przykro mi.

- Szczerze mówiąc, wszystko to sprawia mi ulgę. Nie czuję się zraniona, panie Brammer - powiedziała i była to prawda. - Raczej mnie to wszystko zdumiewa. Naprawdę zostałam wykorzystana, czyż nie tak?

- Owszem, ale codziennie wielu ludzi jest jakoś wykorzystywanych. Nie tak bardzo jak pani, są jednak manipulowani przez silniejszych od siebie, sprytniejszych, którzy mają więcej pieniędzy. Ale, jak wcześniej powiedziałem, ten problem już pani nie dotyczy, pani Brainerd.

- Proszę na mnie mówić Sally. Po tym wszystkim nie sądzę, żebym kiedykolwiek chciała mieć coś wspólnego z nazwiskiem Brainerd.

- Sally. Ładne imię. Ciepłe, śmieszne i miłe. Guinlanowi podoba się pani imię. Powiedział, że takie imię powoduje, iż zawsze ma pod ręką uśmiech, a może i dużo więcej, ale tego już nie dodał. Czasami Quinlan bywa dyskretny, przynajmniej wtedy, gdy czymś się zajmuje, a raczej kiedy rozmawia ze mną, swoim szefem.

Nic na to nie odpowiedziała.

Brammer naprawdę nie pojmował, czemu to robił, ale ta szczupła, młoda kobieta, która przeszła już więcej niż inni przechodzą przez całe życie, która nie miała zielonego pojęcia o wyciąganiu z ludzi informacji, zmusiła go do powiedzenia tego wszystkiego, choć sama nie powiedziała ani słowa.

Naprawdę pragnął zabrać ją ze sobą do domu, nakarmić i tak długo opowiadać jej dowcipy, aż nie będzie mogła przestać się śmiać.

Pod wpływem instynktu opiekuńczego, który w nim budziła, powiedział: - Znam Quinlana od sześciu lat. Jest sprytny i ma intuicję. Ma ten rodzaj szóstego zmysłu, dzięki któremu potrafi się znaleźć niemal w mózgu drugiego człowieka, a może raczej w jego sercu. Czasem nie jestem pewien gdzie. Zdarza się, że muszę go hamować i krzyczeć na niego, bo gra na własną rękę, czego nie lubimy. Agenci federalni przechodzą przeszkolenie, żeby pracować w zespole, poza agentami z Nowego Jorku, oczywiście, no i poza Quinlanem. Ale zawsze wiem, kiedy rozwiązuje sprawy samotnie, nawet jeśli wydaje mu się, że mnie oszukał. Ma też umiejętność przypominania ludziom tego, co dawno pogrzebali w pamięci. Dzisiejszej nocy przeciwiczy! to z tobą, prawda?

- Tak, ale pan, panie Brammer, wyciągnął ze mnie jeszcze więcej.

- Ale tylko dlatego, że Quinlan otworzył, nazwijmy to, zawór. Poza tym Quinlan jest nie tylko jednym z najlepszych agentów w biurze, jest też bardzo utalentowanym człowiekiem. Gra na saksofonie. Pochodzi z licznej rodziny, rozsianej po całym wschodnim wybrzeżu. Dwa lata temu jego ojciec, jeden z najlepszych szefów, jakich miało biuro, przeszedł na emeryturę. Jego małżeństwo z Teresą było ogromną pomyłką, ale ma to już za sobą. Na jakiś czas przycichł, przemyślał wiele spraw i wyszedł z tego obronną ręką. Teraz spotkał ciebie i jedyne, co dziś potrafi, to uśmiechać się, zacierać ręce i mówić o przyszłości. Traktuj go dobrze, Sally.

- To znaczy, mam być łagodna?

Marvin Brammer wybuchnął śmiechem. - Nie, tłucz go, niech zapracuje na ciebie, nie pozwalaj mu na żadne sprytne sztuczki.

- Sprytne sztuczki?

Obrzucił ją zdziwionym spojrzeniem, po czym potrząsnął głową. - Nie znasz go jeszcze zbyt długo. Zobaczysz po ślubie. A może nawet jeszcze przed ślubem. Ojciec Quinlana był dokładnie taki sam. Ale Quinlan ma coś, czego jego ojciec nie miał.

- Co to takiego?

- Ty - powiedział Marvin Brammer. Delikatnie dotknął dłonią jej policzka. - Nie martw się, Sally. Dorwiemy twojego ojca i zapłaci za wszystko, co zrobił. Quinlan mówił z prędkością tysiąca słów na minutę, żeby mnie wprowadzić w całą sprawę. Opowiedział mi o dwóch telefonach od ojca i o jego twarzy w oknie twojej sypialni, kiedy przebywałaś w domu ciotki w małym miasteczku o nazwie Cove. Naturalnie sądził, że był to ktoś podszywający się pod twojego ojca, albo też sfabrykowane nagranie. Powiedział, że byłaś pewna, iż to twój ojciec. I że cię to przeraziło. Oświadczył mi, że już nigdy nie będzie wątpił w to, co mówisz. Teraz jednak, Sally, porozmawiajmy szczerze. Nie chodzi nam tylko o sprawę morderstwa nieznanego mężczyzny ani o to, co ci zrobił ojciec, chociaż mdli mnie na samą myśl o tym. Chodzi też o brudne interesy, które prowadził przez kilka lat, o sprzedaż broni bardzo niewłaściwym ludziom. Agencje rządowe będą go za to ścigać i dlatego zostaliśmy wciągnięci w sprawę zaraz po morderstwie. Przykro mi, że to twój ojciec. Sądzimy, że zamknął cię w sanatorium Beadermeyera również w związku ze swoimi interesami. Zgodnie z zeznaniami Scotta Brainerda, twój ojciec był przekonany, że widziałaś jakieś obciążające go dokumenty. Nie pamiętasz żadnych papierów, które mogłyby wskazywać na udział twojego ojca w nielegalnym handlu bronią?

Pokręciła głową. - Naprawdę nie, panie Brammer. Ale sądzi pan, że to jeden z powodów, dla których ojciec umieścił mnie w ośrodku doktora Beadermeyera?

- To jest bardzo prawdopodobne. Ta druga sprawa, zemsta, wydaje się również możliwa, ale szczerze mówiąc nie sądzę, żeby sama była wystarczającym motywem. Nie, uważam, że w grę wchodził cały wachlarz różnych spraw, zwłaszcza zaś to, że Scott cię tracił, co wiązało się z tym, że twój ojciec tracił nad nim kontrolę.

No i wierzył też, iż widziałaś jakieś obciążające go papiery, dotyczące handlu bronią. Więcej nie trzeba, Sally. Co dla twojego ojca było najważniejsze? Nie wiem. Nigdy się nie dowiemy.

- Nie ma pan pojęcia, jak bardzo mnie nienawidził. Mogę się założyć, że nawet moja matka zgodziłaby się, iż to wystarczający motyw.

- Dowiemy się, kiedy go złapiemy - rzekł Marvin Brammer. - A potem każemy mu za wszystko zapłacić. Naprawdę bardzo mi przykro z powodu tego wszystkiego, Sally. Nie miałaś zbyt radosnego

dzieciństwa, ale w niektórych ludziach tkwi wiele podłości i tak już po prostu jest.

- Co się stanie z doktorem Beadermeyerem?

- Aha, Norman Lipsy... Gdybyśmy tylko pomyśleli wcześniej i poprosili Dillona, żeby się nim zajął... Dillon potrafi czynić cuda z komputerem. Zawsze żartujemy, że nie jest samotny, tak jak Quinlan, bo swój komputer trzyma pod pachą, a modem ma przewieszony na szyi jak stetoskop. Potrafi się dostać do dowolnego systemu na świecie. Jest zdumiewający. Przekomarzamy się z nim, że nawet śpi z komputerem. Myślę, że gdyby ktoś dał mu aparat telefoniczny z początku naszego wieku, potrafiłby zmusić go do współpracy z modemem. Agenci z FBI nie mają partnerów, jak policjanci, ale Quinlan i Dillon zawsze dobrze ze sobą współdziałali. Dobry Boże, czemu zboczyłem z tematu? Przecież pytałaś o Normana Lipsy'ego. Spędzi w więzieniu wiele lat. Nie marnuj na niego czasu. Odmówił składania zeznań. Oświadczył, że Holland to kretyn i kłamca. Ale to nieważne. Mamy dowody świadczące przeciwko niemu.

Wzdrygnęła się i oplotła się rękami. Pragnął ją jakoś pocieszyć, ale nie wiedział, co ma zrobić.

- Uwierz mi, Lipsy naprawdę się pograżył - powiedział. - Jeszcze nie znamy wszystkich, których przetrzymywał wbrew ich woli. Nasi ludzie spotkają się z każdym z nich, przejrzą ich kartotekę, porozmawiają ze wszystkimi krewnymi. Taka praca szybko przyniesie owoce. Myślę, że kiedy wszystko wreszcie się skończy, mnóstwo bogatych i stawnych ludzi będzie miało powody do zmartwienia. Lipsy jest również współnikiem morderstwa. Wpadł na dobre, Sally. Nie musisz się nim przejmować.

Jezu, co też ten człowiek jej zrobił? Nie był w stanie sobie tego wyobrazić. I wcale nie chciał.

Wchodzącemu do pokoju Quinlanowi oczy się rozjaśniły na widok Sally, wychudzonej i bladej, z potarganymi włosami, która też cała się rozpromieniła.. Marvin Brammer opuścił ich i wrócił do swojego gabinetu, zastanawiając się, kiedy ostatnim razem zdarzyło mu się tak dużo mówić.

Wyciągnęłaby każdy sekret z Quinlana i nawet by się nie zorientował. A co ciekawsze, wcale nie zdawała sobie sprawy z tego, jak działa na ludzi.

Dobrze, że nie jest szpiegiem, bo byliby w opałach. A poza tym Brammerowi wielce ulżyło, że matka Sally nie była po stronie występku.

ROZDZIAŁ 25

Quinlan zabrał ją do domu, do swojego mieszkania, do swojej sypialni, do swojego łóżka, gdzie teraz obejmował ją, lekko gładząc po plecach.

Była taka chuda. Wyczuwał kości biodrowe, przez materiał nocnej koszuli czuł chudość jej ramion. Pod wpływem impulsu chciał zatelefonować do chińskiej restauracji i zamówić wołowinę po seczuańsku z dużą ilością cukru, ale doszedł do wniosku, że woli kontynuować to, co właśnie robił. A poza tym przed chwilą nakarmił ją do syta spaghetti z dużą ilością parmezanu i chlebem czosnkowym, który nie był tak dobry, jak chleb czosnkowy Marthy.

- James?

- Miałaś spać.

- Pan Brammer był wobec mnie bardzo miły. Powiedział mi też parę rzeczy o tobie.

Guinlan wlepił w nią wzrok. - Żartujesz chyba. Brammer jest najbardziej milczącym człowiekiem FBI. Gdyby przyznawano za to nagrody, wygrałby jednogłośnie.

- Ale nie dzisiejszej nocy. Może był zmęczony albo podniecony, tak jak ty. Tak, powiedział mi mnóstwo rzeczy. Masz dużą rodzinę. Jesteś bardzo podobny do swojego ojca.

Interesujące, pomyślał Quinlan i mruknął gdzieś w jej włosy: - Hmm.. czy poza tym rozmawialiście tylko o sprawie i jej bohaterach?

- Głównie, ale nie wyłącznie. - Czuł, jak palcami przesuwają po jego bicepsach. Natychmiast napiął mięśnie. Pomyślał, że po prostu jest mężczyzną, który chce, aby jego kobieta świadoma była jego siły. Omal się głośno z siebie nie roześmiał.

- Co oznacza to „nie wyłącznie”?

- Ciebie. Opowiadał mi o tobie i twoim ojcu, i o Dillonie.

- Brammer i mój ojciec znali się od lat. Szkoda, że nie poznasz mojego staruszka. Był z niego niezły numer, Sally. Zmarł w ubiegłym roku na zawał serca, nagły, więc nie cierpiał, ale miał zaledwie sześćdziesiąt trzy lata. Potrafił człowieka tak rozżłościć, że miało się ochotę stłuc go na kwaśne jabłko, ale już po chwili trzeba było trzymać się za brzuch ze śmiechu.

- Zupełnie jak ty. Tak powiedział pan Brammer.

Znów gładziła jego bicepsy. I znów napiął mięśnie.

W końcu mężczyzna jest tylko mężczyzną. Chyba nie dawało się przed tym uciec.

- Powiedział też, że lubisz pracować w pojedynkę, ale mimo to zawsze wie, czym się zajmujesz, nawet jeśli jesteś pewien, że nie ma o niczym pojęcia.

- Nawet w to nie wątpię. Stary cwaniak. Wszędzie ma swoich szpiegów.

- Może teraz zwerbował szpiega, który z tobą zamieszka?

- Na tego szpiega się zgadzam - rzekł Quinlan i pocałował ją.

Była miękka i uległa, ale daleka, jeszcze daleka. Nie mógł jej o to winić. Wszeptał prosto w jej gorące usta: - Pozostał jeszcze tylko twój ojciec, Sally. Złapiemy go. Nie ucieknie. Będzie ogromny skandal i wielki proces. Czy wytrzymasz?

- Tak - odparła, chłodnym i ostrym nagle głosem. - Prawdę mówiąc, nie mogę się doczekać. Chcę spojrzeć na niego z góry. Chcę móc opowiedzieć światu, jak bił swoją żonę. Chcę opowiedzieć

świata, co zrobił ze mną. James?

- Słucham.

- Czy w życiu mojego ojca była jakaś inna kobieta? Ktoś, z kim zamierzał opuścić kraj?

- Nic o tym nie wiemy, ale to ciekawy pomysł. Będziemy musieli się temu przyjrzeć. To dopiero początek. Jak wspominałem, nasi ludzie przeglądają każdy skrawek papieru w domu twojego ojca i w jego biurze. Wszystko zostanie dokładnie zbadane. Nie widziałaś jeszcze FBI w takiej akcji, więc nie masz pojęcia, co to znaczy szczegółowe śledztwo. Dla naszego przyjaciela, Normana Lipsy'ego, chirurga plastycznego oznacza ono, że nawet najlepsi prawnicy w kraju nic mu nie pomogą i nie będzie mógł się nigdzie ruszyć. Będzie przesłuchiwany przez agentów co najmniej do przyszłej środy. Fakt, że do tej pory nic nie powiedział, o niczym nie świadczy. Jeszcze będzie mówić. Agenci już znaleźli więcej dowodów, niż potrzeba, żeby go oskarżyć o niezliczoną ilość przestępstw: o porwanie, znowę, spisek, a to tylko początek listy. Sally, ciągle zachowujesz się z rezerwą. O co chodzi?

- James, a co będzie, jeśli się myliłam? Jeśli się okaże, że byłam nadal pod wpływem środków odurzających i widziałam rzeczy, których naprawdę nie było? Jeśli to nie mój ojciec wybiegał przez drzwi balkonowe, ale ktoś inny? A może nie widziałam nikogo? A jeśli go zastrzeliłam, a cała ta reszta była... tylko grą mojej wyobraźni?

- Nie - powiedział i pocałował ją. - W żaden sposób. Jednej rzeczy jestem pewien w tej sprawie - jest szalona. Ale ty nie jesteś szalona. Mogę się założyć, że nie cierpisz nawet na zespół napięcia przedmiesiączkowego.

Uderzyła go w napięte ramię i zachichotała.

- Wspaniały odgłos. Zapomnij o całym tym szaleństwie, Sally. Widziałaś swojego ojca. Nie mam nawet cienia wątpliwości, podobnie jak Brammer, Dillon czy jak nie będzie jej miała pani Lilly, kiedy jej wszystko opowiemy. Twój ojciec musiał się zatrzymać, zobaczył, że wyrzucasz jego cenny pistolet i wrócił, żeby go zabrać. Przekonujące, nie sądzisz? Jeśli nie wrócił po broń, to gdzie jest teraz pistolet? Gotów jestem się założyć o meksykański obiad w stołówce, że ma tego Roth-Steyra.

Pochyliła się i pocałowała go w usta. - Boże, mam nadzieję. Byłeś taki pewny, że sobie przypomnę.

- Nie modliłem się nigdy o nic bardziej od czasu, gdy miałem siedemnaście lat i bałem się, że Melinda Herndon jest w ciąży.

- Tak się cieszę, że go nie zastrzeliłam, chociaż miałabym na to ogromną ochotę. Ciekawa jestem, gdzie jest teraz.

- Znajdziemy go. Jego paszport zniknął. Agenci z Noelle przeszukali jego sejf w domu i skrytki bankowe. Możliwe, że uciekł na Kajmany albo do Szwajcarii, bo znaleźli rachunki bankowe z obu tych miejsc.

Dopadniemy go. I to niedługo.

Leżała cicho, zupełnie bez ruchu u jego boku. Taki przyjemny był dotyk jej ciała. Nadal był podniecony, ale Sally musiała być wyczerpana. Miała dość przeżyć. Westchnął. Poprzestał na lekkim cmoknięciu jej w usta. - Będziesz mogła już zasnąć?

- Mam przecucie, James - powiedziała powoli. Czuł na szyi jej gorący oddech. - To dziwne i nie potrafię tego wyjaśnić, ale wydaje mi się, że ojciec nigdzie nie wyjechał. To znaczy, że opuścił kraj. Jest gdzieś tutaj. Nie umiem sobie tylko wyobrazić gdzie. Nic nie wiem, żebyśmy mieli jakiś domek wakacyjny nad morzem czy w górach.

- To ciekawe. Jutro spytamy Noelle. Ale pamiętaj, Sally, że to ja uchodzę za człowieka obdarzonego słynną intuicją, niezwykłym instynktem. Próbujesz mnie prześcignąć?

Quinlan przesunął się. Nadal miał na sobie koszulę i spodnie. Żałował, że nie jest nagi. Sally była w jednej ze swoich nowych koszul nocnych, bawełnianej szmatce, która spowijała ją od brody po kostki. Żałował, że ona też nie jest naga. Westchnął i pocałował ją w prawe ucho.

Marzył, by cała nagromadzona adrenalina uszła z jego ciała. Był podniecony i pełen żądz. Żeby się oderwać od lubieżnych myśli, rzeki: - Zapomniałem ci powiedzieć. Miałem telefon od Davida Mountebanka. Przypominasz sobie szeryfa, prawda?

- Bardzo miły człowiek. Zajął się tobą. - Poczuł, jak jej palce delikatnie dotykają miejsca po szwach na głowie. - Zostało ledwie wyczuwalne zgrubienie.

- Tak. Ale wracając do szeryfa, oba morderstwa nadal pozostają dla niego zagadką. Doktor Siver istotnie został zamordowany, nie ma żadnych wątpliwości. Mountebank chce oficjalnej pomocy FBI. Przekonał już wszystkich, że tamci starsi państwo, Harve i Marge Jensenowie, zostali zabici gdzieś w tamtych okolicach, a zniknięcia pozostałych osób też się wiążą z morderstwami w Cove. Sprawą zajmą się agenci z Portland oraz ja, z biura w Waszyngtonie. Rozpełzną się po całym przeklętym mieście.

Całowała jego szyję, jej palce leciutko targały włosy na jego piersi. Wolno mówił dalej. - Jadę tam, Sally. Tak, Brammer o tym wie. Uważa, że to dobry pomysł. Chce, żebym porozmawiał z Amabel. Wszyscy chcemy wiedzieć, jaki jest jej udział w całej tej historii. Uwierz mi bowiem, że jakiś musi być. Chyba powinnaś rozważyć możliwość wybrania się tam ze mną.

On sam przeanalizował już ogrom niebezpieczeństwa, na jakie narażona będzie w małym miasteczku na wybrzeżu Oregonu i tego, które groziłoby jej ze strony ojca, gdyby została tutaj sama, bez niego. Nie, chciał ją mieć przy sobie. Tylko w ten sposób będzie mógł ją ochraniać. W Cove będzie się kręciło tylu agentów, że nikt nie będzie miał szansy zrobić jej krzywdy.

- W jaki sposób mogłaby być zamieszana w tę sprawę, James? Kocha mnie przecież. Przygarnęła mnie Amabel.

- Nie próbuj mnie zmylić. Musi być jakoś zamieszana. Kiedy powiedziała mnie i Davidowi, że uciekłaś, bo się przestraszyłaś, byłem absolutnie pewien, że jest w to wszystko zamieszana. Pytanie tylko jak bardzo.

- Odzyskałam teraz moją mamę. Chciałabym też odzyskać moją ciocię Amabel. Modłę się, żeby nie była wplątana w tę historię.

- Nie tylko odzyskałaś mamę, dostałaś także mnie i nigdy mnie nie stracisz, przysięgam. I będziesz jeszcze miała całą moją rodzinę. Są okropni i kochani zarazem, czasem zależą za skórę, ale w sumie są wspaniali. A jeśli okaże się, że Amabel była zaangażowana w całą tę sprawę, damy sobie z tym wspólnie radę, ty i ja.

Poczuł, że jej dłoń ześliznęła się w dół, palce wsunęły się pod koszulę i zaczęły go pieścić. O mało nie spadł z łóżka. Nie, jest wyczerpana, nie może jej na to pozwolić, nie tej nocy.

Powziął postanowienie. W żaden sposób nie będzie jej zachęcał. Pokręcił głową i zapytał: - Sally, jesteś pewna?

- O tak - odpowiedziała i pocałowała go w tors. - Zdejmę ci koszulę, James.

Roześmiał się. Śmiał się ciągle, gdy jej usta wędrowały po jego brzuchu, a potem niżej, aż zamknęły się wokół niego. Jęknął i zadrżał z wrażenia. Wydawało mu się, że nigdy nie przestanie jęczeć, pragnąc, dopóki nie znajdzie się głęboko w niej. Tego właśnie pragnął najbardziej na

świecie, być głęboko w niej i czuć jej pełne przyzwolenie, usłyszeć, jak wykrzykuje swoją miłość do niego na cały świat.

A kiedy był już głęboko w niej, wiedział, że jest tak jak trzeba, może nawet jeszcze lepiej. Była esencją jego życia, jego przyszłością. Była najwspanialszą rzeczą, jaka przydarzyła mu się w życiu.

Wyszeptała tuż przy jego piersi: - Kocham cię, James. - Drżał cały, unosił się ponad nią jak szaleniec, ale ona była równie szalona, co przyprawiało go o jeszcze większą gwałtowność.

Zanim jego ciało poddało się orgazmowi, zdołał jeszcze pomyśleć, że mężczyzna ma taką samą potrzebę przynależności jak kobieta. Mężczyzna musi czuć, że jest pożądanym i kochanym, tak samo jak kobieta.

Kiedy ugryzła go w szyję, a potem krzyknęła, wiedział, że wszystko będzie wspaniale. - Ja też cię kocham - powiedział, gorącym oddechem parząc jej otwarte usta.

Zycie, pomyślał na chwilę przed zapadnięciem w głęboki sen, jest niezwykle. Pojechał do Cove, żeby znaleźć wariatkę, która mogła być morderczynią swojego ojca.

Zamiast tego znalazł Sally.

Naprawdę życie jest piękne.

ROZDZIAŁ 26

Dzień był ciepły, powietrze przesycone słoną mgiełką znad oceanu, słońce świeciło wysoko. Cove nigdy nie wyglądało piękniej, pomyślał Quinlan, pomagając Sally wysiąść z wypożyczonego samochodu.

- Jak pocztówkowe zdjęcie - powiedziała, rozglądając się dookoła. - Czterej staruszkowie grają w karty, siedząc wokół beczki. Popatrz, przed Sklepem z Najwspanialszymi Lodami Świata stoi co najmniej sześć samochodów. Z Safewaya wychodzi Martha, niosąc dwie torby zakupów. Jest też wielebny Vorhees, spacerujący ze spuszczoną głową, jakby za chwilę miał wyznać swoje najcięższe grzechy. Czy w takim miejscu mogło się stać coś niedobrego? Wygląda tak idealnie. Taki spokój, nikt nie gania wymachując siekierą, nikt nie wrzeszczy, nie ma dzieci, paskudzących budynki swoimi graffiti.

- Tak - powiedział Quinlan. Zmarszczył czoło.

- Co się stało?

Potrząsnął tylko głową. Intuicja. Szturchnęła go pomiędzy żebra. Złapał ją za rękę i powiedział: - Zbyt idealnie. Zastanawia mnie dlaczego. W jaki sposób miasteczko stało się takie doskonałe? Popatrz, Sally. Wszystko świeżo pomalowane. Zupełnie świeżo. Nic nie jest zniszczone. Nie ma nic starego. Wszystko jest w najlepszym porządku. Ale zapomnijmy teraz o tym pocztówkowym widoczku. Mamy się spotkać z Davidem i dwoma agentami z Portland u Thelmy o drugiej po południu. Dochodzi już druga.

- Spotkam się z nimi, a potem pójdę do domu Amabel, dobrze?

Miał zmartwioną minę, więc znów stuknęła go w ramię. - Sądysz, że zamknie mnie w piwnicy? Nie bądź niemądry, James. To moja ciotka.

- Zgoda. Dołączę do ciebie najszybciej, jak się da.

Uświadom o tym Arnabel.

David Mountebank wyglądał na zmęczonego. I strapionego. Kiedy przedstawiał Quinlana kobiecie i mężczyźnie z biura FBI w Portland, nie miał szczęśliwej miny. Sprawiał wrażenie człowieka, którym zaczęto dyrygować, co zdarzało się od czasu do czasu, gdy wezwani na pomoc agenci federalni zaczęli traktować miejscowych przedstawicieli prawa jak tępych wieśniaków. W przeszłości przypadki takiego traktowania były dość częste, ale nie teraz. Miał nadzieję, że nie dzieje się tak w Cove. Podczas szesnastotygodniowego programu szkoleniowego w Quantico agentów pouczano, aby nigdy nie uzurpowali sobie praw lokalnej władzy.

Może się mylił. Może David był po prostu przygnębiony tymi zabójstwami. Zdawał sobie sprawę, że na jego miejscu byłby diabelnie przybity.

Corey Harper i Thomas Shredder również nie mieli najszcześniejszych min. Wszyscy uścisnęli sobie dłonie i zasiedli w saloniku Thelmy Netto. Na ich widok Martha rozpromieniła się i podeszła do nich - Sally, panie Quinlan. Jakże miło znów was widzieć. Czy macie państwo ochotę na kawę? I na kawałek mojego specjalnego sernika z New Jersey?

- Sernik z New Jersey? - zapytał Quinlan, cmokając ją w policzek.

- Jest lepszy niż jakikolwiek sernik z Nowego Jorku - powiedziała i mocno uścisnęła Sally. -

Zajmijcie się teraz swoimi sprawami. Zaraz wrócę.

- Jak się miewa Thelma, Martho? - spytała Sally.

- Właśnie się stroi. Nie dla ciebie, Sally, ale dla pana Quinlana. Wyobraźcie sobie, że kazała mi nawet biec do sklepu i kupić pomarańczową szminkę. - Martha wzruszyła ramionami i wyszła z przestronnego salonu.

- Chciałbym dostać tu pracę - powiedział Thomas Shredder z taką niecierpliwością w głosie, że Quinlan poczuł nieprzepartą chęć rozwalenia się na krześle, z rękami założonymi za głowę i ucięcia sobie drzemki, wszystko po to, żeby rozjątrzyć agenta.

Shredder miał koło trzydziestki, był wysoki, smukły i niezwykle skoncentrowany, słowem jeden z tych, których Quinlan starał się unikać jak zarazy. Tacy ludzie działali mu na nerwy, bo nigdy się nie śmiali, nie znali się na żartach i zwykle widzieli las, ale nie dostrzegali pojedynczych drzew.

Natomiast kobieta, agent specjalny Corey Harper, nie odezwała się dotychczas. Była wysoką blondynką o bardzo pięknych szaroniebieskich oczach. Siedząc na brzegu kanapy, z otwartym notatnikiem na kolanach i długopisem w dłoni wyglądała jak przykład gorliwości. Sprawiała wrażenie, jakby niedawno opuściła Quantico. Quinlan gotów był iść o zakład, że biuro w Portland było jej pierwszym miejscem pracy.

- Corey opowiedziała mi wszystko o waszych podniecających przeżyciach w Waszyngtonie - ignorując Thomasa Shreddera odezwał się David Mountebank. - Jezu, ale mieliście emocje. Dobrze się czujesz, Sally?

- Tak, teraz już w porządku. Nadal nie złapali mojego ojca, ale James obiecał mi, że to zrobią. To tylko kwestia czasu.

Quinlan pomyślał, że Thomas Shredder za chwilę wybuchnie. Uśmiechnął się do niego i powiedział: - Przyjechałem tutaj, poszukując Sally. Udawałem prywatnego detektywa, wynajętego w celu odnalezienia pary starszych ludzi, którzy zniknęli gdzieś w tych okolicach przed trzema laty. To była prawda. Ci ludzie naprawdę przepadli w tej okolicy. Śmieszne, bo kiedy zadałem kilka pytań, zaczęły się dziać nieprzyjemne rzeczy. Sally, opowiedz im o tych kobiecych krzykach.

Zrobiła to, przemilczając tylko fakt, że Amabel nie uwierzyła, iż był to rzeczywiście krzyk kobiety.

- Następnego dnia rano, kiedy wybraliśmy się na spacer nad urwisko, natknęliśmy się na ciało kobiety - dodał Quinlan. - Została zamordowana i zrzucona z urwiska. Niezbyt sympatyczna rzecz. Trudno nie uwierzyć, że to ta sama kobieta, której krzyk Sally słyszała przez dwie noce. Musiała być więziona gdzieś niedaleko domku ciotki Sally. Czemu ją więzono?

Nie mamy pojęcia. Ale głowę daję, że morderstwa są bezpośrednio związane z zaginięciem tamtej pary.

- Tak, tak, to wszystko znamy - rzekł Shredder i wykonał ruch, jakby Quinlan był uprzykrzoną muchą, którą trzeba spędzić z pieczywa. - Znamy też twoją opinię, że te sprawy się wiążą ze sobą. Tymczasem jednak nie mamy na to żadnego konkretnego dowodu. Mamy jedynie dwa morderstwa, jedno dokonane na tutejszym mieszkańcu, doktorze Siverze, drugie zaś na kobiecie z okolicznego osiedla, a więc nie na mieszkance Cove. Szukać więc musimy związku pomiędzy tymi dwoma zabójstwami, a nie między nimi a zaginięciem tamtych starszków sprzed trzech lat.

- W porządku - odparł Quinlan. - Davidzie, może więc zapoznasz mnie z najnowszymi wynikami śledztwa. Co uzyskałeś od czasu, gdy tydzień temu poleciałem do Waszyngtonu?

Shredder wtrącił ostrym głosem: - Szeryf Mountebank zrobił niewiele. Pani Harper i ja jesteśmy

tu od poniedziałku, za krótko, żeby wyjaśnić zbrodnię, ale jesteśmy naprawdę blisko, bardzo blisko.

Corey Harper chrząknęła. - Właściwie David zebrał wywiady chyba od wszystkich mieszkańców miasteczka. I nikt nie potrafił mu powiedzieć nic konkretnego. Wszyscy są wstrząśnięci i bardzo przygnębieni tymi śmierciami, zwłaszcza doktora Spivera.

- Zaczęliśmy właśnie powtarzać te rozmowy - powiedział Thomas Shredder. - Ktoś musiał coś wiedzieć. Wydobędziemy to z nich. Starzy ludzie mają kłopoty z pamięcią, więc trzeba ich właściwie naprowadzać. Aby to umieć, trzeba przejść specjalne szkolenie.

- Bzdura - rzucił Quinlan. - Robiłem to świetnie również przed szkoleniem. Zresztą David zna tych ludzi. Wie, kiedy kłamią i co chcą zataić.

- Więc niech tego dowiedzie - powiedział Shredder. Corey Harper wyglądała na zakłopotaną. W drzwiach ukazała się Martha z ogromną tacą w rękach.

Quinlan poderwał się i wziął od niej tacę.

- Taki miły z niego chłopiec - zwróciła się do Sally. - Tutaj niech pan postawi, panie Quinlan. O tak, tutaj. Wiem, wiem, nie chcecie, żebym się przysłuchiwała waszej ważnej naradzie, więc zostawię was z tym wszystkim. Dacie sobie radę?

- Tak. Dziękuję, Martho - powiedział Quinlan. - Jak się miewa Ed?

- Och, biedny człowiek. Thelma nie może zostawić go w spokoju. Teraz oskarża go, że mnie skompromitował na stole kuchennym i zamierza kupić strzelbę. A Ed jest na badaniach w szpitalu, w związku z jego prostatą. Biedny człowiek.

Thomas Shredder zerknął na Corey Harper, a potem na tacę. Agentka zagryzła wargi i zaczęła rozstawiać filiżanki na talerzykach. Quinlan uśmiechnął się do niej i zaczął robić to samo. Sally naląła kawy do filiżanki i spytała: - Ze śmietanką, Davidzie?

Thomas Shredder siedział sztywno i patrzył, jak pozostali częstują się kawą. Quinlan obdarzył go szerokim uśmiechem i wskazał ostatnią filiżankę. - Obsłuż się, Thomas. Aha, i lepiej się pospiesz, bo pewien jestem, że sernik z New Jersey zniknie w mgnieniu oka.

- Mmmm, to niebywała pycha - dorzuciła Corey Harper, wsuwając do ust ostatni kęs ciasta.

- Zamierzamy z Jamesem poprosić Marthę, żeby pojechała z nami do Waszyngtonu - powiedziała Sally. - Jest najlepszą kucharką, jaką znam. Człowiek płacze z rozkoszy, jedząc jej makaron.

Quinlan wiedział, że Shredder lada chwila może wybuchnąć. No tak, dosyć już sobie poigrali z tym bubkiem. Odezwał się swobodnie: - Zapomnij o wywiadach, Thomas. Musimy podejść do sprawy od innej strony. Wiem, że twierdzenie, iż zaginięcia ludzi mają coś wspólnego z tymi dwoma morderstwami, brzmi dziwnie, ale prawdą jest, że przed zniknięciem Marge i Harve Jensenów Cove było miasteczkiem zrujnowanych, starych szop. Nic nie było pomalowane, dziury w jezdniach, rozwalające się płoty, nawet drzewa poprzewracane, wszyscy młodzi wyjechali, zostali sami starzy, utrzymujący się z zasiłków socjalnych. Mam pytanie: czemu miasteczko tak bardzo różni się dziś od tego, czym było trzy lata temu? Dlaczego wszyscy nagle obudzili się z letargu w tym samym czasie, gdy zaginęli Jensenowie?

- Mój Boże - mruknęła Corey. - Nie uświadomiłam sobie tej zbieżności czasowej.

- A ja tak - powiedział David - ale nigdy nie analizowałem tego bliżej, Quinlan, gdyż powszechnie wiadomo było, że w tym mniej więcej czasie doktor Spiver odziedziczył mnóstwo pieniędzy. Ponieważ nie miał spadkobierców, zainwestował pieniądze, a wszelkie dochody przeznaczał na poprawę stanu miasta. Ale ty w to nie wierzysz, Guinlan?

- Myślę, że warto byłoby się temu przyjrzeć dokładniej. Przypominam sobie, jak mi mówiłeś, że

w swoim testamencie doktor Spiver pozostawił miastu cały swój majątek, coś koło dwudziestu tysięcy dolarów. Jeśli miał tak mało pieniędzy, to wkrótce miasteczko powinno zacząć znowu podupadać, nie sądzicie? To zastanawiające, prawda? Zadzwoń do Dillona, to komputerowy spec w biurze, i namówię go, żeby poszperał. Podaj mi tylko nazwę banku i numer konta, Davidzie. Sally i ja będziemy mieszkać u Thelmy. Zadzwoń do mnie, to przekażę dane Dillonowi.

- Dillon Savich? - unosząc głowę, spytała Corey.

- Tak, to geniusz komputerowy, ale nie mówcie mu tego, bo pomyśli, że mu się podlizujecie.

- Wiem. Powiedziała mu to, kiedy byłam na szkoleniu w Quantico. Wygłosił wtedy kilka wspaniałych wykładów. Tak, pewnie myśli, że chciałam mu się podlizać.

- Nigdy nie słyszałem o Dillonie - wtrącił Thomas Shredder. - Kogo obchodzi ekspert komputerowy? Tacy ludzie są dobrzy przed monitorami, ale nie w realnym życiu. To my odwalamy robotę, która się liczy naprawdę. Wróćmy więc do tego, dlaczego jesteśmy w tym zapomnianym przez Boga miejscu.

David powiedział powoli: - Pomijając pytanie, czy zaginięcia ludzi mają jakiś związek z bieżącymi morderstwami, Quinlan, to, co sugerujesz, jest trudne do przełknięcia. Znam tych ludzi niemal przez całe moje życie. To grupa twardych staruszków, którzy musieli jakoś przetrwać wszystkie kryzysy ekonomiczne, będące naszym wspólnym udziałem. Jezu, na samą myśl o tym, że któreś z nich jest mordercą, robi mi się niedobrze. A może kilkoro z nich? Nie ma mowy.

- Owszem, taka koncepcja jest niemożliwa do przełknięcia - rzekł Thomas Shredder z potężną dawką sarkazmu w głosie. - Quinlan, cierpisz na paranoję.

To czyste wariactwo.

Quinlan tylko wzruszył ramionami. - To miasto wygląda jak hollywoodzkie dekoracje. Pamiętam, że taka była moja pierwsza myśl po przyjeździe tutaj. Chcę wiedzieć, dlaczego i w jaki sposób to się stało.

- W porządku, mamy jakąś nić - podsumował David, pochylając się do przodu. - Przyjrzę się dokładniej rachunkom bankowym doktora Spivera. Do tej pory udało mi się też zebrać wszystkie doniesienia o zaginięciu ludzi w tych okolicach w ciągu ostatnich trzech lat. - David głęboko wciągnął powietrze. - Jest ich około sześćdziesięciu.

- Jezu - jęknęła Corey.

- James nie ma racji - powiedziała Sally. - Moja ciotka mieszka tu od ponad dwudziestu lat. Nie może być uczestnikiem morderczego spisku na taką skalę. Nie może.

- Mam nadzieję, że się mylę, Sally - rzekł, biorąc ją za rękę. Nalał jej trochę kawy i włożył w dłonie kruchą filiżankę z chińskiej porcelany, żeby ogrzała ręce. - Ale pojawiło się tutaj wiele pytań. Nie umiem wymyślić innego podejścia do całej sprawy.

- Ja też - dodał David.

- A ja tak - powiedział Thomas Shredder i podniósł się, żeby stanąć koło kominka. Przyjął pozę Herculesa Poirot, szykującego się do przedstawienia rozwiązania zagadki kryminalnej. Brakowało mu jedynie wąsów, które mógłby podkrecać.

- Mam nadzieję, że to coś rozsądnego, Thomas - rzekł Quinlan. - Uściliśmy już opłatę za widowisko. Zaczynaj więc.

- Przypisywanie tych zabójstw pewnym mieszkańcom miasteczka po prostu nie ma sensu. I zapomnijmy o powiązaniu ich z tymi zaginionymi Davida.

- Ale Thomas... - zaczęła Corey, lecz uciszył ją uniesieniem ręki.

- To tylko teoria, nic więcej. Tymczasem mamy konkretne fakty. Wymieńmy je. Przyjrzałem się wilebnemu Halowi i jego żonie Sherry Vorhees. To prawda, mieszkają tu od dwudziestu siedmiu lat, przedtem jednak żyli w Tempe w Arizonie. Adoptowali dwóch małych chłopców. Obaj chłopcy zginęli, nie spędziwszy nawet roku w rodzinie Vorheesów. Jeden spadł z drzewa i skrzył sobie kark. Drugi śmiertelnie się poparzył przy zapalaniu gazu w kuchni. W obu razach były to nieszczęśliwe wypadki, tak przynajmniej zgłoszono i przyjęto. Wszystkim było smutno, wszyscy mówili, że Vorheesowie to tacy mili ludzie, a w dodatku Hal jest pastorem, czemu więc Bóg zabrał im obu synków. Ale pojawiły się pytania. Wygląda na to, że również inne dzieci uległy nieszczęśliwym wypadkom w czasie, gdy Vorheesowie mieszkali w Tempe. Potem Vorheesowie przenieśli się tutaj. Wypadki dzieci się skończyły. Kto to może wiedzieć?

Czekał na aplauz i doczekał się.

- To już coś - stwierdził David Mountebank. - Dobra robota, Thomas. Masz jeszcze coś?

- Jest jeszcze historia dotycząca Gusa Eisnera, tego staruszka, który naprawia wszystko, co porusza się na kołach w miasteczku. Okazuje się, że jego żona, Velma, nie jest jego pierwszą żoną. Pierwsza żona została zamordowana. Został oskarżony o tę zbrodnię, ale prokuratorowi okręgowemu nigdy nie udało się zebrać wystarczającej liczby dowodów, żeby go postawić przed sądem. Miesiąc później Gus poślubił Velmę i przeprowadzili się tutaj. Z Detroit. Do diabła, musimy sprawdzić każdą duszyczkę w tym mieście. Teraz Corey wzięła pod lupę Keatonów.

- Tak, masz rację. Musimy przyjrzeć się im wszystkim - przyznał Quinlan. Thomas, kompletnie zaskoczony, wbił w niego wzrok, w którym zamigotała iskierka zadowolenia. - Mam nadzieję, że coś się wyjaśni. Ale nadal nie wszystko mi tu pasuje.

- Słuchaj, Quinlan - rzekł Thomas Shredder - po śmierci doktora wszyscy zbadaliśmy jego przeszłość.

- Chwileczkę, Thomas - przerwała mu Corey Harper. - Prawdę mówiąc, to David zajął się przeszłością doktora.

- Owszem - powiedział David, pochylając się do przodu. - Przyjechał tutaj pod koniec lat czterdziestych ze swoją żoną. Umarła w połowie lat sześćdziesiątych na raka piersi. Mieli dwóch synów, obaj już nie żyją, jeden zginął w Wietnamie, drugi w wypadku motocyklowym w Europie. Był też bogaty wuj, który zmarł. To wszystko, co udało mi się znaleźć, Quinlan.

- Przekonamy się więc. Jeśli pieniądze nie pochodziły od doktora Spivera, musiały pochodzić z innego źródła.

Od drzwi rozległo się starcze chrząknięcie, które przyciągnęło ich uwagę.

- A więc jesteś z powrotem, Sally, i pan, panie Quinaln. Słyszałam od Amabel, że FBI wyjaśniło już prawie wszystko w tej waszej stolicy, siedlisku występku.

- Przerwała na chwilę i potrząsnęła głową. - Boże, jakże bym chciała tam pojechać.

Thelma Netto otworzyła drzwi i stanęła w przejściu, opierając się na lasce. Uśmiechała się promiennie do nich wszystkich, wymalowana pomarańczową szminką, której trochę osiadło na przednich zębach jej sztucznej szczęki.

- Witaj, Thelmo - powiedział Quinlan i podniósł się, żeby do niej podejść. Pochylił się i pocałował ją w policzek. - Wyglądasz jak francuska modelka. Jak to zrobiłaś?

ROZDZIAŁ 27

- Masz giętki język, chłopcze - powiedziała Thelma. Była w doskonałym humorze. Poklepała Quinlana po policzku. - Pomóż mi podejść do mojego wózka, a ja tymczasem opowiem ci wszystko o moich sztuczkach.

Kiedy Quinlan usadowił Thelmę, odezwała się: - A co też ja słyszę w CNN - że ojciec Sally zabił człowieka, którego twarz kazał upodobnić do swojej jakiemuś chirurgowi plastycznemu? I trzymał cię w zamknięciu, Sally? A potem dał nogę?

- Mniej więcej tak, Thelmo - odpada Sally. - Mój ojciec nadal przebywa na wolności, a szkoda. Tyle że go wkrótce złapią. Jego twarz pokazywały wszystkie stacje telewizyjne. Ktoś go zlokalizuje. Nie wyjechał za granicę, zostawił swój paszport.

- Mógł zdobyć nowy paszport - zauważył Thomas Shredder. - To nie problem.

- Cholera - zaklął Quinlan. - Wybacz mi, Thelmo. Nie pomyślałem o tym. Masz rację, Thomas.

- Słyszałam już w życiu gorsze rzeczy, niż jedna malutka cholera, Quinlan. A więc jest tu więcej agentów FBI. Chcecie rozwiązać zagadkę tych morderstw, tak?

- Tak, proszę pani - przytaknęła Corey Harper.

- Wszyscy myśleliśmy, że doktor popełnił samobójstwo, ale ta kobieta z Portland stwierdziła, że to nieprawda.

- Lekarz sądowy - powiedział David. - Miałem szczęście, że trafiłem na osobę tak dobrze wyszkoloną i mającą czas. W przeciwnym wypadku sprawa mogłaby zostać zaklasyfikowana jako samobójstwo.

- Biedny doktor - westchnęła Thelma. - I kto mógł mu wepchnąć pistolet w usta? To barbarzyństwo, prawda?

- Owszem.

- Tej młodej kobiety z trójką dzieci także żal, ale w końcu nie była jedną z nas. Mieszkała w podmiejskim osiedlu.

- To prawda, Thelmo, mieszkała trzy kilometry stąd - powiedział Quinlan, dbając o to, aby jego ironia dotarła wreszcie do Thelmy. - Niemniej faktem jest, że umarła właśnie tutaj.

Quinlan zajął z powrotem swoje miejsce na sofie, koło Sally. Kiedy znowu zabrał głos, Sally natychmiast rozpoznała ten kojący, niski ton, dający wrażenie intymności. Takim głosem wydobyłby informacje od każdego. - Powiedz mi, Thelmo, czy spotkałaś kiedyś tego bogatego wuja doktora Spivera?

- Nie, nigdy. Nie pamiętam nawet, gdzie mieszkał, jeśli w ogóle to kiedyś wiedziałam. Ale wszyscy o nim słyszeli i wiedzieli, że jest starszy od Pana Boga i że jeśli przetrzymamy jeszcze trochę, wuj umrze i doktor dostanie pieniądze. Naturalnie miałam jakieś pieniądze, ale nie tyle, co ów bogaty wuj. Wszyscy się baliśmy, że stary przyk roztrwoni swój majątek na domy opieki społecznej, lecz umarł we śnie i doktor dostał pokaźny czek. Nikt nigdy nie widział tylu zer na czeku, mówię wam.

- Thelmo - wtrącił David - czy znasz kogoś w miasteczku, kto spotkał owego wuja?

- Nie znam, ale się dowiem. Martho!

Od jej wrzasku Sally zaboląły uszy. Skrzywiła się, ale z uśmiechem, zobaczyła bowiem, że Cofey aż upuściła swój długopis i notatnik.

- Zdrowe płuca - powiedział Quinlan.

W drzwiach pojawiła się Martha, wycierająca ręce w fartuch.

- Co robisz dziś na obiad, Martho? Zbliża się czwartą.

- Twoją ulubioną potrawę z bakłażanów, Thelmo, z mnóstwem parmezanu i z chlebem czosnkowym, tak pikantnym, że aż ci zęby ścierpną. Do tego będzie sałatka grecka z kozim serem.

- Wuj, Thelmo - cierpliwie przypomniał Quinlan.

- A tak. Martho, czy kiedykolwiek poznałaś bogatego wuja doktora Spivera?

Martha mocno zmarszczyła czoło, po czym z wolna pokręciła głową. - Nie. Słyszałam tylko o nim przez całe lata. Gdy tylko sprawy zaczynały wyglądać naprawdę paskudnie, rozmawialiśmy o nim, dyskutowaliśmy, ile ma lat, co mu dolega, próbowaliśmy przewidzieć, kiedy umrze. Przypominasz sobie, Thelmo? Hal Vorhees zawsze powtarzał, że jesteśmy hienami i że odprawiamy modły, prosząc o jego rychłą śmierć.

- Bo to robiliśmy - powiedziała Thelma. - I gotowa jestem się założyć, że Hal również wznosił modły w tej samej intencji, gdy nikogo z nas nie było w pobliżu. Cóż, nie prosiłam dla siebie, bo nie byłam tak biedna jak reszta miasteczka, ale kiedy doktor otrzymał ów czek, krzyczałam z radości razem ze wszystkimi.

- Mieszkasz tutaj od lat czterdziestych, Thelmo, prawda? - zadał pytanie David.

- Tak. Przybyłam tu z moim mężem, Bobbym Netto, w tysiąc dziewięćset czterdziestym piątym roku. Nasze dzieci były już dorosłe i kołotaliśmy się we dwoje w ogromnym domu w Detroit. Przyjechaliśmy tutaj i zdecydowaliśmy, że to miejsce stworzone dla nas. - Westchnęła tak energicznie, że powietrze ze świstem wydostało się spomiędzy jej sztucznych zębów. - Biedny Bobby rozstał się z tym światem w tysiąc dziewięćset pięćdziesiątym szóstym roku, tuż po reelekcji Eisenhowera na prezydenta. Jak wiecie, zmarł na zapalenie płuc. Ale pozostawił mnie nieźle zaopatrzoną, naprawdę dobrze. W końcu lat sześćdziesiątych namówiłam Marthę, żeby zamieszkała ze mną, i świetnie sobie radziłyśmy. Martha uczyła w szkole w Portland i bardzo tego nie lubiła, tych wszystkich hippisów, narkotyków i wolnej miłości. Znałam Marthę, bo jej mama była moją koleżanką. Utrzymywałyśmy kontakty. Ale wiesz, Quinlan, zawiodłam mamę Marthy. Nadal nie mogę znaleźć Marcie męża, a obiecałam, że to zrobię. Dobry Bóg wie, że szukam odpowiedniego kandydata więcej lat, niż mam zębów.

- Przecież nie masz zębów, Thelmo - powiedziała Martha. - Może złizesz swoją pomarańczową szminkę i zabierzesz się za potrawkę z bakłażanów?

- Ha, kiedyś miałam piękny garnitur siekaczy. Mówię ci, Quinlan, nieważne, jak jest namiętna i jak bardzo wystawia swój biust na pożądliwe spojrzenia starych zbereźników. Weźmy na przykład starego Eda...

Martha wzniosła oczy ku górze i wyszła z pokoju.

- Thelmo, czy mogłabyś teraz opowiedzieć nam o swoich dzieciach? - zapytał Quinlan.

- Miałam dwóch synów. Jeden zginął na wojnie, w czasie drugiej wojny światowej, nie w Korei czy w Wietnamie. Drugi, cóż, mieszka w Massachusetts. Jest już na emeryturze, ma dorosłe wiiiuki, które mają swoje dzieci, przez co czuję się tak stara, że aż robi mi się niedobrze.

Sally wstała z uśmiechem i podeszła, żeby pocałować miękki, pomarszczony policzek Thelmy. - Wybieram się teraz do Amabel, Thelmo, ale zatrzymamy się z Jamesem w pokoju na wieży.

- Ciągłe się z nim bawisz, SaUy? Biedny chłopczyk, nie ma szans. Kiedy tylko pierwszy raz zobaczyłam was razem wiedziałam, że zgubi dla ciebie spodnie.

- Thelmo, poczęstuj się kawałkiem mojego sernika z New Jersey.

Thelma odwróciła się, żeby wykrzywić się na Marthę, która właśnie wróciła z następną tacą pełną sernika.

- Ależ z ciebie straszna świętoszka, Martho, Idę o zakład, że jesteś oziębła i biedny Ed musi cię błagać o każdą, nawet najmniejszą łaskę.

- Jeszcze się zobaczymy - powiedziała Sally, posyłając uśmiech Jamesowi, Davidowi i dwóm agentom specjalnym z Portland, którym odjęło mowę.

- Niedługo dołączę do ciebie - rzucił Quinlan. Kiedy Sally wychodziła z pensjonatu Thelmy, zajęty był już zadawaniem starszycie następnych pytań.

Dzień był piękny, ciepły, powietrze dość świeże, a słonawy powiew znad oceanu jak ptasie skrzydło miękko omiatał jej twarz.

Sally głęboko zaczerpnęła tchu. Sherry Vorhees stała przed Sklepem z Najwspanialszymi Lodami Świata. Sally pomachała w jej stronę, Sherry odmachała w odpowiedzi. Helen Keaton, której prababka wymyśliła przepis na lody, wyszła ze sklepu za Sherry, spojrzała w stronę Sally i też do niej zamachała. Takie miłe kobiety. Z pewnością nie mogły nic wiedzieć o morderstwach czy o zaginionych ludziach.

- Nasze lody tygodnia mają smak bananowo-orzechowy - zawołała Helen. - Przyjdźcie z tym twoim panem Quinlanem i spróbujcie. Właściwie moja babcia nie robiła takich, ale ja lubię eksperymentować ze smakami. Ralph uwielbia bananowo-orzechowe i twierdzi, że są tak dobre, że to aż podejrzan.

Sally przypomniała sobie, że Ralph Keaton jest przedsiębiorcą pogrzebowym. Dostrzegła również Hunkera Dawsona, weterana drugiej wojny światowej, który zawsze nosił swoje dwa medale przyczepione do kieszeni flanelowej koszuli. Podciągnął do góry wypchane spodnie i zawołał: - Sally Brainerd, jesteś sławna! Dopiero po twoim wyjeździe dowiedzieliśmy się, że byłaś szalona. Ale teraz już nie jesteś, prawda? Wydaje mi się, że dziennikarze byli wściekli, że nie okazałaś się wariatką. Wolą wariatów i przestępców niż niewinne ofiary.

- Tak - dołączył Purn Davies. - Dziennikarze zawsze chcą, żeby człowiek był bardziej szalony, niż największe szajbusy. To oczywiste, że nie mieli ochoty rozgłaszać, że nie jesteś wariatką. Ale teraz dostali twojego ojca.

- Cieszę się, że w końcu tak się stało - odparta Sally.

- Wcale się nie przejmuj swoim tatą, Sally - krzyknął Gus Eisner. - Jego twarz pokazywano częściej niż twarz prezydenta. Znajdą go.

- Tak - przytaknął Hunker Dawson. - Kiedy tylko dziennikarze dopadną go w swoje szpony, zapomną o bożym świecie. Zawsze tak się dzieje. Najważniejsza jest zawsze dla nich wiadomość dnia.

- Mam taką nadzieję! - odkrzyknęła w odpowiedzi.

- Moja żona, Arlene, bujała się w fotelu na biegunach - poinformował \$bśno Hunker, bawiąc się starymi szelkami przy spodniach. - Bujała się przez całe lata, dopóki nie umarła.

Purn Davies krzyknął: - Hunker chciał powiedzieć, że była troszkę niezrównoważona psychicznie.

- To się zdarza - odpowiedziała, ale na tyle cicho, że prawdopodobnie jej nie dosłyszeli.

Czterej starsi panowie przerwali grę w karty i skupili wzrok na Sally. Nawet kiedy odwróciła się i zaczęła się od nich oddalać, zdążając ślicznym brukowanym chodnikiem, wzdłuż świeżo pomalowanego na biało ogrodzenia w stronę domku Amabel, miała świadomość, że nadal ją obserwują. Zauważyła Velmę Eisner, żonę Gusa, i pomachała do niej. Velma, zdążająca ze spuszczoną głową w stronę sklepu Purna Daviesa, nie zwróciła na nią uwagi.

Domek Amabel miał świeży, wiośniany wygląd, dzięki doskonale skomponowanym i utrzymanym grządkom fioletowych irysów, białych peonii, żółtych krokusów i pomarańczowych maków. Rozejrzała się dokoła i spostrzegła skrzynki z kwiatami i małe ogródki, pełne kwiatów. Mnóstwo pomarańczowych maków i żółtych żonkili. Co za śliczne miasteczko. Wszyscy mieszkańcy dumni byli z wyglądu swoich domów i ogródków. Nawet najmniejsze uliczki były zadbane.

Zaciekawiło ją, czy dzisiejsze Cove miałyby swój odpowiednik pośród miasteczek wiktoriańskiej Anglii.

Pomyślała o tym wszystkim, co James mówił o zaginionych ludziach. Zgadywała kierunek jego sugestii, ale nie zamierzała przyjąć takiego myślenia.

Nie mogłaby. To było odrażające. Weszła na mały ganek przed domkiem Amabel i zastukała do drzwi.

Nie było odpowiedzi.

Zapukała jeszcze raz i zawołała.

Ciotki nie było w domu. Cóż, niewątpliwie niedługo wróci.

Sally wiedziała, gdzie chce i musi podążać.

Stała na cmentarzu. Założony był na planie koła, a najstarsze groby znajdowały się pośrodku. Był tak samo zadbane jak miasteczko. Wokół unosił się cudowny zapach świeżo skoszonej trawy. Lekko oparła dłoń na marmurowym nagrobku, opatrzonym napisem:

ELIJAH BATTERY

NAJLEPSZY BARMAN W STANIE OREGON

ZMARŁ 2 LIPCA 1897 ROKU

ŻYŁ 81 LAT

Napis był starannie odnowiony. Popatrzyła na sąsiednie groby, niektóre były niezwykle ozdobne, inne, które na początku miały zwykły drewniany krzyż, najwyraźniej były wielokrotnie przerabiane i zastępowane nowymi, gdy ulegały zniszczeniu.

Czyż o niczym w tym miasteczku nie zapomniano? Czy wszystko musiało być doskonałe, nawet nagrobki?

Zacząła się oddalać od środka cmentarza. Naturalnie w miarę oddalania się mijala coraz to nowsze groby, poprzez lata dwudzieste, trzydzieste i czterdzieste, na osiemdziesiątych skończywszy. Precyzja przy planowaniu cmentarza sprawiła, że jeśli chciało się zostać tu pochowanym w latach dziewięćdziesiątych, należało się liczyć z grobejUuż przy cmentarnym murze.

W czwartej alejce, licząc od środka cmentarza, natknęła się na grób Bobby'ego Nettro. Był idealnie utrzymany.

O ile mogła się zorientować, od samego początku trzymano się kołowego planu cmentarza. Teraz było tu tak wiele grobów. Wyobraziła sobie, że pierwsi mieszkańcy miasta zakładający cmentarz uważali, że przeznaczają pod niego ogromny teren. Cóż, okazał się za mały. Pozostało już niewiele miejsca, bo zachodni kraniec cmentarza kończył się nadmorskim urwiskiem, zaś od wschodu i północy przylegał do kościoła i pierwszych domów. Południową granicę cmentarza wyznaczała

droga, biegnąca wzdłuż urwiska.

Skierowała się ku zachodniej części cmentarza. Groby były tu świeże, utrzymane nie gorzej niż pozostałe. Pochyliła się, żeby przyjrzeć się napisom na płytach. Figurowały tam nazwiska, daty urodzin i śmierci, ale nic więcej. Żadnych mądrych sentencji, nic osobistego, żadnych inskrypcji, że był to wspaniały mąż, ojciec, żona, matka. Tylko sucha informacja.

Sally wyjęła z torebki notes i zaczęła notować dane z nagrobków. Kiedy obeszła cały kraj cmentarza, miała już koło trzydziestu nazwisk. Wszyscy ludzie umarli w latach osiemdziesiątych.

Coś tu było nie w porządku. Sprawa polegała na tym, że miasteczko było naprawdę niewielkie i małało z każdą dekadą. Trzydzieści osób zmarło na przestrzeni zaledwie ośmiu lat? Cóż, może to i możliwe. Jakiś rodzaj epidemii grypy, która zabijała staruszków.

I wtedy zauważyła coś, od czego dostała gęsiej skórki.

Na każdym grobie było męskie imię. Ani jednej kobiety. Ani jednej. Żadnego dziecka. Ani jednego. Na jednym z grobów widniał jedynie napis BILLY i data śmierci. Nic więcej. Co tu się działo? Żadna kobieta nie umarła w tym czasie, tylko mężczyźni? To nie miało sensu.

Na chwilę zamknęła oczy, zastanawiając się, co odkryła. Wiedziała, że musi pokazać tę listę Davidowi Mountebankowi i Jamesowi. Musiała się upewnić, czy ci ludzie mieszkali i umarli tutaj. Musiała być pewna, że nie mieli nic wspólnego z zaginionymi osobami. Myśl o tym, że mogłoby istnieć jakieś powiązanie sprawiła, że poczuła ochotę, by złapać Jamesa i uciec z miasteczka jak najszybciej.

Potrząsnęła głową, wpatrując się w jeden z grobów. Imię i nazwisko były dziwne - Lucien Gray. No więc było to dziwne nazwisko i co z tego? Wszystkie te nazwiska musiały być prawdziwe, musiały. To byli tutejsi mieszkańcy, którzy przypadkowo umarli w ciągu tych ośmiu lat. No tak, i tylko mężczyźni. Spostrzegła, że szuka grobu Harve Jensena. Naturalnie go nie było. Była za to płyta nagrobna z napisem Lucien Gray. Bardzo nowa, naprawdę bardzo nowa.

Czuła, że zaczyna się pocić, ale nie przestawała gorączkowo myśleć.

Nie, nie, to jest prawdziwe miasteczko.

To siedlisko dobrych ludzi, a nie zła, śmierci, śmierci tak częstych, że trudno to sobie było wyobrazić.

Schowała notes do torebki. Nie chciała już wracać do domku Amabel.

Bała się.

Dlaczego ta biedna kobieta, której krzyki słyszała przez dwie noce, została uwięziona? Czy zobaczyła coś, czego nie powinna była widzieć? Czy usłyszała coś, czego nie powinna była usłyszeć? Dlaczego został zamordowany doktor Spiver? Czy zabił kobietę, a ktoś inny z miasteczka dowiedział się o tym i go zastrzelił, aby sprawiedliwości stało się zadość?

Spróbowała pozbyć się tych myśli. Nie chciała się bać. Za długo już się bała.

ROZDZIAŁ 28

Zajrzała do Sklepu z Najwspanialszymi Lodami Świata. Nie było tam Amabel, ale zastała Sherry Vorhees.

- Sally, jakże miło cię widzieć. Przyjechałaś z tym miłym panem Quinlanem?

- Tak. Czy mogę spróbować bananowo-orzechowych?

- Są pyszne. W całej historii sklepu nigdy w ciągu tygodnia nie sprzedaliśmy więcej innych lodów. Mamy teraz tak wielu stałych klientów przyjeżdżających z okolicy o promieniu pięćdziesięciu kilometrów, że moglibyśmy zatrudnić tych paru leniwych przyków, wiecznie grających w karty wokół swojej beczki.

Z pokoiku na zapleczu, oddzielonego od sklepu śliczną kwiecistą zasłoną, utrzymaną w niebieskiej tonacji, wyłoniła się Velma Eisner. Parsknęła: - Akurat, Sherry! Już sobie wyobrażam tych staruchów sprzedających lody. Pożarliby je, a potem bekali i żebrali o litość.

Odwróciła się do Sally i uśmiechnęła. - Zastanawialiśmy się nad zaangażowaniem mężczyzn. Z pewnością by wyrzekali i uskarżali się, że to kobiece zajęcie. Zdecydowałyśmy jednak, że nie będziemy ich angażować, żeby tylko nam przypadły wszelkie korzyści.- Pewnie macie rację - powiedziała Sally, odbierając rożek z lodami. Spróbowała i pomyślała, że to niebo w gębie. Znow polizała i westchnęła. - Cudowne.

Kobiety roześmiały się. - Przeszliśmy długą drogę od czasów, gdy przechowywałyśmy lody w trumnach Ralpa Kcatona, prawda, Velmo? - zauważyła Sherry.

Velma, przyjmując od Sally dwa dolary sześćdziesiąt centów, tylko się uśmiechnęła.

Sally znow polizała lody. - Byłam u Amabel, ale jej nie zastałam.

Z pokoiku na zapleczu wyszła Helen. - Cześć, Sally. Amabel pojechała do Portland.

- Po artykuły do malowania i inne zakupy - dodała Velma. - Powiedziała, że będzie z powrotem za kilka dni. Prawdopodobnie w piątek.

- Aha.

Lizała lody, czując ich smak, który eksplodował jej w ustach. Przymknęła oczy. - Ich jedzenie musi być większym grzechem niż pochłanianie trzech jajek dziennie.

- Cóż - odparła Helen. - Jakie to ma znaczenie, jeśli zjesz jednego loda na tydzień? - Odwróciła się, żeby rzucić w stronę Velmy. - W ostatni czwartek widziałam, że Sherry zjadła trzy porcje lodów.

- Nie zjadłam!

- Widziałam cię. Wszystkie były czekoladowe.

- Nieprawda!

Trzy kobiety zaczęły sobie docinać. Było oczywiste, że zabawiały się tak od lat. Znały nawzajem swoje słabe punkty i atakowały je z zapalem. Sally zamieniła się w obserwatora i zajęła jedzeniem bananowo-orzechowych lodów. Ostatnie słowo należało do Velmy. Zanim Sherry i Helen zdołały pisnąć, zwróciła się do Sally: - Nie, nie wpuścimy mężczyzn za ladę. Wszystko by zjedli.

Sally roześmiała się. - Chyba byłabym gorsza od mężczyzn. Zjadłabym cały zapas lodów w ciągu jednego dnia. - Skończyła jeść swoją porcję i poklepała się po brzuchu. - Nie czuję się już taka wychudzona.

- Zostań tutaj, Sally, a nim się obejrzysz, będziesz taka okrągła i puszysta jak my - rzekła Sherry Vorhees.

- Podziwiałam miasto - powiedziała Sally. - Jest takie śliczne, takie doskonałe. I te wszystkie kwiaty, takie wiosenne, kwitnące wszędzie i tak pielęgnowane. Nawet na cmentarzu. Trawa jest tam skoszona, groby zadbane. Zastanawiałam się, czy jest coś, o czym kiedykolwiek zdarzyło się wam zapomnieć, a co sprawiłoby, że miasteczko wyglądałoby jeszcze piękniej?

- Staramy się myśleć o wszystkim - odpowiedziała Helen. - Raz w tygodniu mamy zebranie mieszkańców, gdzie omawiamy różne ulepszenia i rzecz)', które wymagają naprawy czy unowocześnienia.

- A co robiłaś na cmentarzu? - spytała Velma, wycierając ręce w fartuch, uszyty z tego samego materiału co zasłona.

- Och, po prostu włączyłam się trochę, kiedy nie zastałam w domu Amabel. I zauważyłam coś niezwykłego.

- Co? - spytała Helen.

Przez krótką chwilę Sally zastanawiała się, czy nie powinna trzymać buzi zamkniętej na kłódkę. Ale nie, na miły Bóg, przecież te kobiety dogryzały sobie z powodu lodów. Wiedziały, kto i kiedy umarł. Powiedzą jej. Czemu nie? Nie działo się tu nic straszego. - Otóż na peryferiach cmentarza znalazłam około trzydziestu grobów. Wszyscy ci ludzie zmarli w latach osiemdziesiątych. Sami mężczyźni. Na kamieniach nagrobnych nie było nic specjalnego, jedynie nazwiska i daty urodzin i śmierci. Inne nagrobki miały bardziej osobiste napisy. A jeden był bardzo szczególny, tylko z napisem BILLY. Pomyślałam, że to bardzo dziwne. Może wszystkim znudziły się bardziej osobiste napisy. I tylu mężczyzn umarło, a ani jedna kobieta. Też musieliście być zdumieni.

Sherry Vorhees głęboko westchnęła i potrząsnęła głową. - To była straszna sprawa - powiedziała. - Hal był taki załamany, że w tamtym czasie straciliśmy tak wielu członków naszej gromadki. I masz rację, Sally, tylko mężczyźni umierali. Przyczyny śmierci były różne, ale bolało nas tak samo.

Helen Keaton wtrąciła szybko: - Nie zapominaj o tym, że część zmarłych pochodziła z okolicznych osiedli. Ich krewni uważali, że nasz cmentarz jest taki romantyczny, położony nad urwiskiem, tuż nad morzem. Pozwoliliśmy im pochować tu ich zmarłych.

- A czy ta biedna kobieta, którą znaleźliśmy z Quinlanem na urwisku, też tu leży?

- Nie - odparła Velma Eisner. - Jej mąż okazał się niegrzecznym młodym człowiekiem. Narobił wielkiej wrzawy, że w jakiś sposób jesteśmy odpowiedzialni za to, co się stało. Kazałam mu się przyjrzeć naszej musku laturze i zacząć myśleć. Jakbyśmy mogli mieć coś wspólnego ze śmiercią jego żony. Wyleciał stąd jak oparzony.

- Nawet nie kupił lodów - dodała Helen. - Miałyśmy wtedy waniliowe ze świeżymi jagodami. Nigdy już tu nie wrócił.

- No cóż, niezbyt ładnie z jego strony - stwierdziła Sally. - Ale muszę już iść. Dziękuję za lody. - Przy drzwiach odwróciła się. - Nie widziałam grobu doktora Spivera.

- Nie ma go tam - wyjaśniła Velma. - Chciał zostać poddany kremacji i odesłany do Ohio. Mówił, że prędzej go szlag trafi, niż pozwoli Ralphowi Keatonowi się pochować.

Helen Keaton roześmiała się. - Ralph był niezadowolony, mówię wam.

- Nie, Helen - wtrąciła Sherry. - Ralph był wściekły. Niezadowolona jesteś ty, kiedy Ralph nie wrzuci swoich gatek do kosza na brudy.

Kobiety wybuchnęły śmiechem. Sally śmiała się razem z nimi. Potem przeszła na drugą stronę ulicy i ruszyła prosto do pensjonatu Thelmy.

Sherry Vorhees zaciągnęła zasłony na okna Sklepu z Najwspanialszymi Lodami Świata. Odezwała się do pozostałych dwóch kobiet: - W mieście jest troje agentów FBI i szeryf David Mountebank.

- Ilyu fachowców powinno zapewnić wszystkim bezpieczeństwo - powiedziała Velma.

- O tak - mruknęła Helen, nabierając na palec lodów i zlizując je. - Będziemy bezpieczni jak u Pana Boga za piecem.

Quinlan odłożył w końcu słuchawkę. - Przeczytanie tych wszystkich nazwisk i dat zajęło trochę czasu.

Dillon już się za nie zabrał. Uzyskanie danych na temat wszystkich tych ludzi to dla niego pestka. Wkrótce je nam przekaże.

Sally odezwała się: - Powiedziałam kobietom w Sklepie z Najwspanialszymi Lodami Świata, że nie widziałam grobu doktora Spivera. Stwierdziły, że jego zwłoki zostały skremowane i odesłane do Ohio.

- Ciekawe - stwierdził Quinlan i znów sięgnął podsłuchawkę. - Dillon? To znowu ja. Sprawdź, czy ciało doktora Spivera zostało skremowane i przesłane do Ohio, dobrze? Nie, to nie jest tak ważne, jak pozostałe nazwiska, po prostu i Sally jesteśmy ciekawi. Podobno doktor nie miał żadnych żyjących krewnych.

Czemu więc mieliby go kremować, zamiast pochować na miejscowym cmentarzu? Nie, nie mów tak. To niegrzecznie. Założę się, że Sally słyszała. Tak, słyszała i kręci głową nad twoim słownictwem.

Uśmiechał się, słuchając. - Nic więcej? Nie? Dobrze, zadzwoń do nas, kiedy tylko będziesz coś miał. Zostajemy tu na kolację i na noc. - Kiedy odłożył słuchawkę, nadal się uśmiechał. Zwrócił się do Sally: - Ubóstwiam słuchać, jak Dillon przeklina. Nie robi tego dobrze, po prostu w kółko powtarza to samo. Próbowałem wzbogacić jego repertuar - rozumiesz, o zwroty, zawierające sporo naprawdę brzydkich słów, części ciała, trochę metafizyki i różnych takich, ale nie potrafił ich sobie przyswoić. - Podał jej parę przykładów, do każdego przybierając inną pozę. - To najlepiej wychodzi Brammerowi, ale tylko wtedy, kiedy jest wściekły na kogoś z agentów.

Ze śmiechu zaczęła się tarzać na łóżku. Nagle oprzytomniała. Śmiała się?

- Przestań, Sally. Dobrze jest zapomnieć. To cudownie móc słyszeć twój śmiech. A teraz, kiedy już zatroszczyłem się o zaspokojenie twoich sprośnych potrzeb, chodźmy zjeść coś przygotowanego przez Marthę.

To była uczta wspanialsza niż kolacja na Święto Dziękczynienia, stwierdziła Corey Harper. Martha wniosła ogromny półmisek z pieczenia pośrodku, otoczoną artystycznie ułożoną marchewką, ziemniakami i cebulą. Była też sałata z sosem majonezowym, chleb czosnkowy, na którego widok ślinka ciekła do ust, a na deser kruche ciasto z jabłkami. Było też danie z bakłażanów. Thelma nie czekała. Chciała dostać bakłażana o wpół do piątej.

Martha pojawiała się przy stole zawsze w odpowiedniej chwili, aby napełnić ich kieliszki najlepszym cabernet sauvignon, jakie od długiego czasu dane im było próbować.

Kręciła się jak kwoka wokół mężczyzn, zachęcając ich do jedzenia, dopóki wreszcie Quinlan nie odchylił się na krzesło, nie odłożył widelca i nie jęknął. - Martho, jeszcze odrobinka, a Pan Bóg skaże mnie za obżarstwo. Popatrz tylko na Davida - mało mu się guziki od koszuli nie pourywały.

Nawet chudzielec Thomas za chwilę się zaokrągli przy tobie. Jestem dobrze wychowany, więc nie powiem, ile zeżarły panie.

Sally rzuciła w niego resztką swojego kawałka chleba. Odwróciła się do rozpromienionej Marthy. - Martho, wspominałaś coś o cieście z jabłkami?

- Tak, Sally, z mnóstwem lodów waniliowych ze Sklepu z Najwspanialszymi Lodami Świata.

Potem dostali kawę z amaretto - poczęstunek od Thelmy, która jadła w swoim pokoju, bowiem wcześniejsza rozmowa z Quinlanem trochę ją zmęczyła, przynajmniej to przekazała im Martha. Naprawdę bowiem po zjedzeniu całej porcji potrawy z bakłażana musiała się przespać.

Kiedy Martha wróciła do kuchni, Sally opowiedziała o cmentarzu Thomasowi Shredderowi, Corey Harper i Davidowi Mountebankowi, którego bez trudu udało się namówić na wspólną kolację i następną naradę.

Guinlan powiedział: - Zatelefonowałem do Dillona. Znając jego szybkość, oczekuję wiadomości od niego jeszcze tej nocy. Jeśli będzie coś interesującego, obudzę was.

- Nie wiem, czy komuś uda się mnie obudzić - sącząc kawę, mruknął David. - Zapomnijmy o tej kawie. To najlepsze amaretto, jakie kiedykolwiek piłem.

Już teraz czuję ogromną ochotę, żeby wskoczyć w swoją piżamę. Mam nadzieję, że kiedy wrócę do domu, moje dziewczynki nie będą chciały wdrapywać się na mnie. Jeśli będę miał szczęście, Jane zagoni je wcześniej do łóżek.

Sally nie odzywała się. Nie znosiła amaretto, zawsze go nienawidziła. Upiła łyk, zaś resztę dyskretnie przelała do filiżanki Guinlana w czasie, kiedy Corey Harper opowiadała historyjkę o jednym facecie na szkoleniu w Quantico, który przez pomyłkę, po napadzie na bank w Hogan's Ailey, amerykańskim miasteczku na niby, powstałym w Quantico w celach szkoleniowych, aresztował wizytującego szkołę oficera wysokiej rangi. Główny dowódca uważał to za świetne ćwiczenie, dopóki jeden z uczestników szkolenia nie zakuł go w kajdanki i nie powlókł za sobą.

Quinlan obiecał, że da znać, jeśli tylko Dillon znajdzie coś pilnego. W skrytości ducha nie wyobrażał sobie, żeby był w stanie się obudzić, nawet gdyby dzwoniący telefon spadał ze ściany.

- Chyba jesteś zawiana - oświadczył Sally, podtrzymując ją jedną ręką, w czasie gdy drugą otwierał drzwi.

- Zawiana?

- Myślę, że pani Lilly byłaby zdumiona, widząc cię w tym stanie.

- Kiedy się z nią zobaczę, będę musiała jej powiedzieć, że pomimo zawiania w rekordowym czasie ściągnęłam z ciebie gatki.

Śmiała się tak bardzo, że gdy skoczyła na niego, otoczył ją ramionami i pociągnął za sobą na łóżko. Zaczął ją całować, gorącymi ustami, mającymi cierpki smak amaretto.

- Za niewielką opłatą nie doniosę Marcie, co zrobiłaś. Wiesz, mówię o przelaniu amaretto do mojej kawy. No to co będzie z tym zdejmowaniem moich gatek?

Próbowała obdarzyć go namiętym spojrzeniem. Omal nie zadusił się ze śmiechu. Potem dotknęła go i jęknął, śmiech uwiązł mu w gardle. Zamknął oczy, napiął mięśnie karku.

- Jezu - rzucił. Zaczął ją całować, z językiem w jej ustach. Była zachwycona, czując go, czując jego smak.

Jego silne ręce wędrowały po jej pośladkach, masując, mocno przeciskając do siebie. Był twardy jak pręty w oknach w sanatorium Beadermeyera. O Boże, skąd to jej przyszło do głowy?

Poczuła zimny dreszcz. Nie, to tylko straszliwe wspomnienie, należące do przeszłości. Teraz nie

mogło jej już dotyczyć. Znów go pocałowała. Miał miękkie usta. Nie napierał już tak silnie na jej brzuch. Nie ugniatał dłońmi jej pośladków.

Uniosła się na łokciach i spojrzała na niego z góry, przygotowana na to, że za chwilę mrugnie do niej i przewróci ją na plecy.

- James?

Uśmiechnął się do niej niepewnie, ale nie wykonał najmniejszego mchu, nie mrugnął, nic kompletnie.

- Jestem zmęczony, Sally - powiedział cicho i niewyraźnie. - A ty?

- Troszeczkę - odparła, pochyliła się do przodu i znów go pocałowała. Nagle zamknął oczy i głowa opadła mu na bok.

- James? James!

Coś było nie tak. Nie drażnił się z nią. Działo się coś bardzo złego. Przyłożyła palce do żyły na jego szyi. Puls był powolny i miarowy. Rozpostarła dłoń na jego sercu. Czowała mocne, powolne uderzenia. Odchyliła mu powieki i jeszcze raz zawołała go po imieniu. Uderzyła go w twarz.

Żadnej reakcji.

Był nieprzytomny. W przeklętej kawie musiał być środek odurzający. Dzięki Bogu upiła tylko jeden łyk i dlatego nadal jest przytomna. Innego wyjaśnienia nie było. Spróbowała zsunąć się z Quinlana i powiodło jej się to, ale czowała, że nogi i ręce ma miękkie i niepewne. I zrobił to jeden łyk amaretto?

Musiała sprowadzić jakąś pomoc. Musiała się dostać do Thomasa Shreddera i Corey Harper. Byli tutaj, w korytarzu na dole. Niedaleko, zupełnie niedaleko. O Boże, przecież oni też pili kawę. I David, który miał jechać samochodem. Musi sprawdzić, czy Thomas i Corey są nieprzytomni. Musi się dostać do ich pokoi i zobaczyć. Uda jej się.

Stoczyła się z łóżka. Przez chwilę leżała na plecach, patrząc na piękne stiuki, biegnące wzdłuż sufitu. W każdym rogu siedziały golutkie wiktoriańskie aniołki, trzymające harfy i kwiaty.

Musi się ruszyć. Podniosła się, opierając na rękach i na nogach. Gdzie jest pokój Corey Harper? Mówiła jej, ale teraz nie mogła sobie przypomnieć. Trudno, nieważne, i tak znajdzie ich oboje. Ich pokoje powinny być w końcu korytarza. Poczłogała się w stronę drzwi. Całkiem niedaleko. Udało jej się wyprostować na chwilę i nacisnąć klamkę w drzwiach.

Korytarz ciągnął się bez końca w lewo, skąpo oświetlony, tonął w półmroku. Co będzie, jeśli osoba, która doprawiła kawę, czai się w tym mroku, sprawdzając, czy przypadkiem ktoś nie okazał się oporny na działanie narkotyku, żeby tego kogoś zabić? Potrząsnęła głową i z wysiłkiem stanęła na nogach. Zmusiła się do przesunięcia stopy, jeden krok za drugim, tylko to musiała zrobić, stawiać jedną nogę przed drugą. Znajdzie Thomasa i Corey. Wreszcie po jej lewej stronie ukazały się drzwi - numer 114. Zapukała.

Nie było odpowiedzi.

Zawołała, chociaż jej głos przypominał mizerny szept. - Thomas? Corey?

Zapukała powtórnie. Nadal bez odpowiedzi. Nacisnęła klamkę. Ku jej zaskoczeniu, drzwi otworzyły się. Otworzyły się tak szybko, że wpadła do środka, a nogi ugięły jej się w kolanach. Przewróciła się na bok.

Zawołała: - Thomas? Corey?

Udało jej się powrócić do pozycji na czworakach. Na nocnym stoliku paliła się tylko jedna lampa. Thomas Shredder leżał na wznak, z szeroko rozrzuconymi rękami i nogami. Był nieprzytomny.

Albo nie żył. Próbowwała krzyczeć. Chciała krzyczeć, ale z jej ust wydobył się jedynie cichy pisk.

Usłyszała za sobą kroki. Udało jej się odwrócić w stronę otwartych drzwi. James? Czy już poczuł się dobrze? Ale nie zawołała go po imieniu. Bała się, że to nie on. James wypił całą filiżankę tamtej kawy. To nie mógł być on. Bała się, kto to może być.

Światło było przyćmione. Cień wypełniał pokój, ograniczał pole widzenia. W drzwiach stał mężczyzna, z rękami w kieszeniach.

- Witaj, Sally.

ROZDZIAŁ 29

- Nie - powiedziała, wpatrując się w mroczną postać, wiedząc, że to on, ale powtórzyła - nie, to nie możesz być ty.

- Naturalnie, że mogę, kochanie. Wszędzie poznałabyś swojego ojca, prawda?

- Nie - kręciła głową w tę i z powrotem.

- Dlaczego nie możesz się podnieść, Sally?

- Zatrueś nas. Wypiłam tylko troszkę, ale środek musiał być bardzo mocny.

- Chcesz powiedzieć, że nie dostałaś wystarczającej dawki? - Zbliżał się teraz do niej szybko, za szybko. - Doktor Beadermeyer wypróbował na tobie tyle nowych narkotyków. Właściwie jestem zaskoczony, że przeżyłaś bez uszkodzenia mózgu. Cóż, zajmę się tym.

Pochylił się, złapał ją za włosy na karku i odchylił jej głowę do tyłu. - Proszę, Sally. - Wlał płyn w jej usta. Potem odepchnął ją od siebie i ciężko opadła na plecy.

Patrzyła na niego i widziała, że chwieje się i roztapia w przyćmionym świetle. Próbowwała skoncentrować na nim wzrok, patrząc uważnie, ale jego kształty rozplływały się, zaś poruszające się usta robiły się coraz większe. Szyja stawała się coraz to dłuższa i dłuższa, aż przestała widzieć jego głowę. Z pewnością tak musiała się czuć Alicja w Krainie Czarów. Precz z głową. - Och, nie - szepnęła - och, nie.

Przewróciła się na bok, czując na policzku chłód gładkiej dębowej klepki.

Jej ojciec był tutaj. To była jej pierwsza myśl, kiedy się ocknęła.

Jej ojciec.

Nie było co do tego wątpliwości. Jej ojciec. Był tutaj. Odurzył ją narkotykami. Teraz ją zabije. Znowu była bezradna, tak jak przez tyle dni, tygodni, miesięcy.

Nie mogła się poruszyć, nawet unieść jednego palca. Zdała sobie sprawę, że ma ręce związane z przodu, niezbyt mocno, ale wystarczająco. Odrobinę zmieniła położenie. Również nogi miała związane w kostkach. Ale jej umysł nie był spętany. Pracował przejrzyście - dzięki Bogu. Gdyby znowu czuła się zamroczone i rozchwiana, po prostu załamałaby się i pragnęła tylko śmierci. Lecz nie, mogła, myśleć. I nie straciła pamięci. Mogła też otworzyć oczy. Czy chciała?

James, pomyślała, i zmusiła się do otwarcia oczu.

Leżała na łóżku. Kiedy się przewracała z boku na bok, skrzypiały sprężyny. Próbowwała rozpoznać więcej szczegółów, ale nie była w stanie. Jedynym oświetleniem było słabe światło, docierające z korytarza. Wyglądało na to, że znajduje się w małej sypialni, ale nic więcej nie potrafiła powiedzieć.

Gdzie była? Nadal w Cove? A jeśli tak, to gdzie?

Gdzie jest jej ojciec? Co ma zamiar zrobić?

Dostrzegła szarą postać, wkraczającą do pokoju. Było zbyt ciemno, żeby rozpoznać rysy twarzy. Wiedziała jednak. O tak, wiedziała, że to on.

- To ty - powiedziała, zdumiona, że słowa opuściły jej usta. Brzmiały szorstko i niezwykle smutno.

- Witaj, Sally.

- To ty. Modliłam się, żeby się okazało, iż się pomyliłam. Gdzie jestem?

- Trochę za wcześnie, żeby ci o tym mówić.

- Czy nadal jesteśmy w Cove? Gdzie jest James? A pozostali agenci?

- Również trochę za wcześnie, żeby ci o tym powiedzieć.

- Cholera, tak straszliwie się modliłam, żebyś wyjechał z kraju albo umarł. Nie, właściwie to modliłam się, żeby cię złapali i na resztę twojego nędznego życia wsadzili do więzienia. Gdzie jestem?

- Jak bardzo przez te lata Noelle cierpiała z powodu twojego języka. Zawsze na nią naskakiwałaś, prawiałaś umoralniające gadki, stale instruowałaś, co powinna robić. Chciałaś, żeby wezwała policję. Chciałaś, żeby mnie zostawiła. Prawda wyglądała tak, że Noelle nie chciała, Sally. Może na początku, ale później już nie. Ale ty nie przestawałaś. Przez twój krytycyzm, twoją pogardę, popadała w depresję. I dlatego nigdy nie odwiedziła cię w sanatorium. Bała się, że znowu będziesz ją potępiać, chociaż już byłaś kompletną wariatką.

- Guzik prawda. Naturalnie teraz możesz powiedzieć wszystko o każdym. Noelle nie ma tutaj, żeby ci wyjaśnić, co naprawdę o tobie myśli. Mogę się założyć, że stanie się najszczęśliwszą kobietą w Waszyngtonie, kiedy uświadomi sobie do końca, że już nie musi być twoim workiem treningowym. Pewna jestem, że nosi już bluzki i sukienki z krótkimi rękawami. Koniec z obawą przed pokazywaniem sińców. Założysz się, że tego lata spróbuje nawet włożyć dwuczęściowy kostium kąpielowy? Ile lat nie mogła się w nim pokazać? Uwielbiałaś tłuc ją po żebrach, prawda? Znęcałaś się nad nią. Jeśli jest jeszcze jakaś sprawiedliwość, zapłacisz za to. Żałuj, że nie umarłeś.

- Usłyszałem teraz od ciebie więcej, niż przez ostatnie sześć miesięcy. Szczęśliwie byłaś cicho przez większą część twojego zbyt krótkiego pobytu w ośrodku. Szkoda, że przez tego drania Quinlana doktor Beadermeyer musiał wycofać się z interesu. Wszystko się tak skomplikowało, i to twoja wina, Sally. Byliśmy ze wszystkim kryci, dopóki Quinlan nie wy dostał cię drugi raz z sanatorium doktora Beadermeyera.

- Nazywa się Norman Lipsy. Jest chirurgiem plastycznym. Jest przestępcą. Obdarzył tego biedaka twoją twarzą, ale to ty go zabiłaś. Jesteś plugawym mordercą, a nie tylko katem żony. I zdradziłaś swoją ojczyznę.

- Czemu wymieniasz tylko moje pomniejsze zasługi? Mam na swoim koncie jedną naprawdę dobrą rzecz, coś, z czego jestem całkiem dumny, a czego ty nie wyliczyłaś. Na sześć miesięcy zamknąłem moją ukochaną córkę. Tb chyba moje najwspanialsze osiągnięcie. Usunąć cię. Przejąć nad tobą kontrolę. Nie musieć oglądać na twojej twarzy potępienia i nienawiści, za każdym razem, gdy mnie widziałaś. Boże, jakże cieszył mnie twój widok, takiej szmacianej kukły z otwartą buzią, wyglądającej tak głupawo i niepewnie, że nawet obserwowanie żalostnego Hollanda, rozbierającego cię, kąpiącego i ubierającego na powrót, jakby pielęgnował lalkę, nie sprawiało mi wiele radości. Pod koniec nie bawiło mnie nawet bicie cię po twarzy, żeby zyskać twoje zainteresowanie. Nie miałaś już go zupełnie, a poza tym zrobiłaś się za chuda. Powiedziałem doktorowi Beadermeyerowi, żeby cię lepiej karmił, ale odparł, że może jedynie utrzymać cię w tym samym stanie. I wtedy uciekłaś, schowawszy proszki pod językiem. Widok ciebie w moim domu, w moim gabinecie, tuż po tym, jak zastrzeliłem Jackiego, to był szok.

Przybrał pozę, którą widziała już wielokrotnie. Oparł jedno przedramię na drugim, a brodę podparł dionią. Podejrzewała, że to jego intelektualna, myśląca poza. Brakowało mu tylko fajki Scotta i może jeszcze kapelusza Sherlocka Holmesa.

- Byłaś tam, nachylona nad biednym Jackiem, tym chciwym typkiem, a potem się odwróciłaś i

zobaczyłaś mnie wyraźnie jak w jasny dzień. Widziałem błysk rozpoznania w twoich oczach. Podniosłaś mój pistolet, który odłożyłem na podłogę, żeby wyjąć jakieś papiery z biurka. Ale kiedy go podniosłaś, nie miałem wyboru, musiałem uciekać. Schowałem się na zewnątrz i obserwowałem, jak potrząsas głową, wyraźnie nie dowierzając, że mnie widziałaś. Patrzyłem, jak do pokoju wbiegli Noelle i Scott. Słyszałem, jak Noelle krzyczy bez końca. Widziałem, że Scott omal nie przeżuł tej swojej przeklętej fajki. I wtedy uciekłaś, prawda, Sally? Wybiegłaś i cisnęłaś mój cenny pistolet w krzaki. Nie mogłem cię wtedy dopaść, zresztą powiem ci szczerze, bałem się. Musiałem jednak odnaleźć moją broń i udało mi się to. Mówię ci jednak, przez długi czas bardzo się martwiłem. Co będzie, jeśli oświadczysz publicznie, że widziałaś mnie, swojego ojca? Gdybyś to zrobiła, to chociaż istniało pisemne potwierdzenie twojej niepoczytalności, mogliby chcieć dokonać autopsji, porównać stan uzębienia z kartą dentystyczną. Ale ty byłaś taka przerażona, że uciekłaś. Uciekłaś tu, do Cove, do Amabel. Dopiero po czterech dniach zorientowałem się, że zablokowałaś wszystkie te wydarzenia w pamięci. I że uciekłaś, bo byłaś przekonana, że ty sama zamordowałaś, albo droga Noelle.

Próbowała zrozumieć wszystko, co mówił, upewnić się, że nigdy się nie myliła, wreszcie pojąć, kim jest ten człowiek. Powiedziała wolno: - Guinlan przywrócił mi pamięć. I pomógł mi odtworzyć scenę zbrodni, jakbyśmy to nazwali. Wtedy zobaczyłam wszystko, dosłownie wszystko.

- Pewien jestem, że chciałabyś wiedzieć, kim był ten człowiek, taki podobny do mnie. To przypadkowy facet, którego pewnego dnia odkryłem w Baltimore, gdzie miałem spotkanie z agentem z Iraku. Był bez grosza i był uderzająco podobny do mnie - ten sam wzrost, niemal ta sama waga - i kiedy tylko go zobaczyłem, wiedziałem na pewno, że to jest człowiek, który mnie ocali.

Zaczęła się zastanawiać, dlaczego tyle mówił. Czemu stał i wylewał to wszystko na nią? I nagle zrozumiała, że czerpał przyjemność z chęłpienia się przed nią swoją błyskotliwością. Chciał jej pokazać, jaki jest genialny. W końcu nie miała o niczym pojęcia. O tak, świetnie się bawił.

- Jackie, a co dalej?

- Wiesz, zupełnie nie pamiętam jego nazwiska. Kogo to obchodzi? Odegrał swoją rolę, i to doskonale. - Amory St. John roześmiał się. - Obiecałem mu worek pieniędzy, jeśli będzie mnie udawał. Szkoda, że nie słyszałaś, jak ćwiczył mój ton głosu, mój akcent. To było żalosne, ale obaj z doktorem Beadermeyerem powiedzieliśmy mu, że ma świetny słuch, że pochwycił wszelkie moje manieryzmy, że potrafi mnie perfekcyjnie naśladować. Wierzył, że właśnie takie będzie jego zadanie. Wierzył, że zajmie moje miejsce podczas dużej konferencji. To miała być jego życiowa szansa na zrobienie czegoś wielkiego. Był łatwowiernym głupcem.

- A teraz jest martwym głupcem.

- Owszem.

Ostrożnie spróbowała poluzować więzy na rękach, mówiąc jednocześnie: - Doktor Beadermeyer wpadł, ale wiesz już o tym. Resztę swojego nędznego życia spędzi w więzieniu. Holland powiedział wszystko FBI. Wszyscy ci ludzie, tacy jak ja, zostaną uwolnieni z tego więzienia, które ty nazywasz sanatorium, jakby było to miejsce, gdzie się powraca do sił i odpoczywa.

- Tak, ale kogóż obchodzą inni? Nie nimi się przejmowałem, tylko tobą. Żałuję jedynie, że sanatorium zostanie zamknięte. To było takie doskonałe miejsce dla ciebie. Na dobre usunięta z drogi. Od chwili, gdy spotkałem Jackiego, wszystko zaczęło się układać. Znałem już wcześniej doktora Beadermeyera i jego działalność. Jakies siedem miesięcy temu wszystko udało się posklejać. Usunąłem cię w cień, naturalnie z pomocą Scotta. To taki nędzny głupek, żyjący w strachu, że wszystko się wyda, ale muszę ci powiedzieć, iż niewątpliwie lubił pieniądze, które dostał w zamian

za swoją pomoc. Poza tym, widzisz, wiedziałem wszystko o jego kochanku. Dopilnowałem przynajmniej, żebyś nie złapała AIDS. Postraszyłem Scotta, że jeśli będzie chciał się z tobą kochać - jeśli będzie potrafił zmusić się do tego - musi używać prezerwatyw. Doktor Beadermeyer sprawdził twoją krew. Dzięki mnie jesteś zdrowa. Ale Scott odegrał swoją rolę. Potem, kiedy się uwolnił od ciebie, wydał swoje pieniądze i otwarcie igrał ze swoim kochankiem. Był drobnym pionkiem. Ale o czym to ja mówiłem? A tak, potem Jackie poszedł pod topór, a ja sfinalizowałem moje plany. Lecz ty musiałaś się wtrącić, prawda, Sally? Trzymałem cię pod kluczem, a mimo to uciekłaś. Znów musiałaś spróbować pokrzyżować mi plany. Cóż, więcej ci się to nie uda.

- Czy nienawidzisz mnie tak bardzo tylko dlatego, że usiłowałam osłaniać matkę przed twoimi pięściami?

- Właściwie nie. To oczywiste, że i tak bym zanadto za tobą nie przepadał.

- Czy ze względu na swoje przekonanie, że dowiedziałam się o twoich nielegalnych interesach z bronią?

- A wiedziałaś?

- Nie.

- Moje układy z rządami innych państw nie mają tu nic do rzeczy. Scott bał się, że coś zauważyłaś, ale ja wiedziałem, że gdyby tak było, zareagowałabyś błyskawicznie. Nie, to mnie nie martwiło. Istotne było natomiast to, że iae«jesteś moją córką. Jesteś przeklętym, małym bękartem. I dlatego właśnie, Sally, Noelle nigdy mnie nie rzuciła. Kiedyś spróbowała, gdy byłaś jeszcze niemowlęciem. Nie uwierzyła mi, gdy powiedziałem jej, że związała się ze mną na całe życie. Może myślała, że podda mnie próbie. Uciekła do Filadelfii, do swoich bogatych, koszmarnych rodziców, którzy zareagowali dokładnie tak, jak to przewidziałem. Kazali jej wracać do męża i nie rozpowiadać kłamstw na mój temat. Przecież uratowałem jej skórę. Jak może wygadywać takie rzeczy na mnie, wspaniałego człowieka, który ożenił się z nią, gdy była w ciąży z innym?

Wybuchnął długim, głębokim śmiechem, od którego ścierpła jej skóra. Przez cały czas delikatnie szarpała krępujący ją sznur. Niewątpliwie był już trochę luźniejszy, ale nie sznur ją teraz obchodził najbardziej. Próbowała go zrozumieć, naprawdę pojąć, co mówi. Lecz było to takie trudne.

Ciągnął dalej matowym głosem: - Kiedy teraz o tym myślę, zaczynam rozumieć, że Noelle naprawdę mi nie wierzyła. Nie wierzyła, że zapłata za ślub z nią, poza pięciuset tysiącami dolarów, które dostałem od jej rodziców, ma być jej wierne trwanie przy mnie na zawsze, albo do chwili - kiedy nie będę jej już chciai. Kiedy przywlokła się z powrotem z tobą, skrzeczącym bachorem, zabrałem cię od niej i przytrzymałem nad ogniem, palącym się w kominku. Ogień był naprawdę spory, Opalił ci delikatne włoski na głowie i brwi. Och, jak krzyczała. Zagroziłem, że jeśli jeszcze raz spróbuje zrobić coś takiego, zabiję cię. I mówiłem to na serio. Pewien jestem, że zastanawiasz się teraz, kim był twój ojciec.

Poczuła się tak, jakby w jej ciało wpompowano tonę narkotyków. Nie mogła pojąć, co mówił. Rozumiała słowa - że nie był jej ojcem - ale nie była w stanie ich przyjąć.

- Nie jesteś moim ojcem - powtórzyła, ponad jego lewym ramieniem patrząc w stronę otwartych drzwi. Chciała krzyczeć z radości. Nie miała ani jednej kropli krwi tego potwora. - Trzymałeś Noelle przy sobie, grożąc, że zabijesz mnie, jej jedyne dziecko.

- Tak. Moja droga małżonka w końcu mi uwierzyła. Nie potrafię ci opowiedzieć, jaką przyjemność sprawiało mi bicie tej bogatej suki. A ona musiała na to przystać. Nie miała wyjścia. A potem, kiedy skończyłaś szesnaście lat, zobaczyłaś, jak ją uderzyłem. Niedobrze. To zmieniało

wszystko, ale miałem konkretny powód, żeby się ciebie pozbyć. Pamiętasz ten ostatni raz? Wróciłaś do domu, kiedy ją kopałem i złapałaś za telefon, żeby wezwać pomoc. A ona przyczołgała się do ciebie i błagała, żebyś nie dzwoniła. Podobało mi się. Bawiło mnie przyglądanie się, jak tracisz z nią kontakt. Kiedy sobie poszłaś, kopnąłem ją jeszcze parę razy. Jęczała naprawdę zachwycająco. Potem ją wziąłem, a ona przez cały czas płakała. Po tym zdarzeniu przez jakiś czas miałem spokój od ciebie. Te cztery lata, kiedy znikłaś z mojego domu i z życia twojej matki, były naprawdę dość dobre. Ale chciałem ci odplacić. Skłoniłem Scotta, żeby się z tobą ożenił. To znów na chwile przytrzymało cię z daleka od nas, ale szybko przestałaś go chcieć, prawda? Niemal natychmiast uświadomiłaś sobie, że udawał. Cóż, to nie miało najmniejszego znaczenia. Musiałem tylko zyskać na czasie. Kiedy ujrzałem Jackiego, wiedziałem, co mam zrobić. Widzisz, federalni deptali mi po piętach. Nie jestem głupi. Zdawałem sobie sprawę, że to tylko kwestia czasu. Stałem się bardzo bogaty, ale sprzedaż broni do takich krajów jak Irak zawsze jest ryzykowna. Tak, to była jedynie kwestia czasu. Chciałem ci odplacić za wszelkie kłopoty, których mi przysporzyłaś. Te pół roku twojego pobytu w sanatorium doktora Beadermeyera było dla mnie cudowne. Uwielbiałem mieć cię pod sobą, patrzącą, jak cię pieszczę, a potem pieszczę siebie. Ubóstwiałem bić cię i przyglądać się, jak wijesz się z bólu. Ale potem uciekłaś i wszystko zepsułaś. - Pochylił się i uderzył ją, najpierw w lewy, potem w prawy policzek. Raz, drugi, i jeszcze raz.

Poczuła smak krwi. Rozciął jej wargę.

- Ty pieprzony tchórze! - Plunęła na niego, ale w porę uskoczył. Znów ją spoliczkował.

- W sanatorium nigdy nie miałem ochoty na seks z tobą - powiedział tuż przy jej twarzy - chociaż miałem okazję. Tyle razy widziałem cię nagą, ale nigdy cię nie chciałem. Do diabła, Scott nawet nie spojrzał na ciebie. Zabrał się za ciebie tylko jeden raz, bo nalegałem. A teraz wina spadnie na tego drania, bo mnie tu nie będzie. No proszę, Sally, opluj mnie jeszcze raz. To ty jesteś tchórzem, nie ja.

Plunęła, i tym razem nie spudłowała. Patrzyła, jak wierzchem dłoni wyciera usta i policzek. Potem uśmiechnął się do niej. Przypomnił jej się wyraźnie taki sam uśmiech, którym obdarzał ją w sanatorium. - Nie - wyszeptala, ale to niczego nie mogło zmienić.

Uderzył ją bardzo mocno i zapadła w ciemność. W ostatniej chwili zdążyła tylko pomyśleć, jak bardzo się cieszy, że nie dal jej więcej środków oszalamiających.

ROZDZIAŁ 30

- Nieźle wpadliśmy - powiedział z przekonaniem Quinlan, nie miał jednak na myśli siebie i pozostałych agentów, tylko Sally. Jeśli jest gdzieś tutaj, musi nadal być nieprzytomna. Albo nie żyje.

Usłyszał chrząknięcie Thomasa Shreddera i „tak” Corey Harper. To prawda. Wpadli po uszy. Było również prawdą, że w pokoju, gdzie ich trzymano, było ciemniej niż w kotle czarownicy.

Nie, to nie był pokój. Raczej szafas z brudną podłogą. Prawdopodobnie szopa za domkiem doktora Spivera.

- Słuchajcie - odezwał się Thomas. - Quinlan ma rację. Jesteśmy w kropce, ale jesteśmy świetnie wyszkolonymi agentami. Wydostaniemy się stąd. Jeśli nam się to nie uda, wyleją nas. Stracimy pracę i rządowe pensje. Daję wam słowo, że nie uśmiecha mi się utrata rządowego ubezpieczenia zdrowotnego.

Pomimo zdrętwiałych nóg Corey Harper wybuchnęła śmiechem. Ręce jej nie zdrętwiały, pewnie dlatego, że jako kobiecie nie związane ich zbyt ciasno. Jednak więzy były solidne, nie było szansy, że się zsuną.

- To najśmieszniejsza rzecz, jaką usłyszałam z twoich ust, Thomas.

Szarpiąc liny na swoich rękach, Quinlan rzucił: - Jeden z tych pajaców musiał służyć w marynarce w czasie drugiej wojny światowej. Te węzły są doskonałe, żaden nie puszcza. Czy ktoś chciałby spróbować swoich rąk czy zębów?

- Ja - odparła Corey - ale przywiązana jestem do ściany. Tak, jestem przepasana lina, której drugi koniec, jak wyczuwam, jest przywiązany do jednej z belek w ścianie. Tak, solidna robota. Nawet gdybym jniała ogromne zęby i długą linę, nie sięgnęłabym do cfebie.

- Też jestem przywiązany - powiedział Thomas. - Psiakrew!

- Przynajmniej wszyscy żyjemy - stwierdził Quinlan. - Martwię się, co się stało z Davidem. - Ale martwił się o Sally. Bał się tylko wypowiedzieć na głos jej imię.

- Prawdopodobnie zjechał z drogi - powiedział beznamiętnie Thomas. - Tutaj go nie ma. Może już nie żyje.

- Albo ktoś go uratował - dopowiedziała Corey.

- Co masz na myśli, mówiąc, że już nie żyje? - spytał Quinlan, marząc o tym, żeby dostrzec choćby jakieś zarysy, kontury czegoś, cokolwiek. Nie przestawał pracować nad więzami, które jednak nie poddawały się jego wysiłkom.

- Sądzicie, że będą nas tu trzymać przez następne dziesięć lat?

- Mam nadzieję, że nie - rzekł Quinlan. - Wszyscy są tacy starzy, że wcześniej wymrą. Nie zniósłbym tego, żeby pozostać zapomnianym.

- To nie jest śmieszne, Quinlan.

- Może nie, ale się staram.

- Próbuj dalej - odezwała się Corey. - Nie chcę wpadać w panikę. Musimy się zastanowić. Po pierwsze, kto nam to zrobił?

- To dość oczywiste, prawda? - rzucił Thomas. - Ta przekłeta starucha. Prawdopodobnie kazała Marcie podać amaretto, do którego coś domieszała. Odpłynąłem, gdy tylko położyłem się na łóżku.

- Gdzie jest Sally? - zniecierpliwiona spytała Corey.

- Nie wiem - odpowiedział Quinlan. - Nie wiem.

Modlił się, żeby była zamknięta razem z nimi, nadal nieprzytomna po zażyciu narkotyku. -

Wyciągnijmy wszyscy nogi przed siebie. Spróbujemy ocenić, jak duży jest ten szalasz.

Quinlan ledwo mógł dotknąć palców Thomasa.

- Teraz przechyliłmy się na jedną, a potem na drugą stronę.

Quinlan musnął bluzkę Corey. Sally nie było.

- Sally nie ma z nami - powiedział. - Gdzie ją zabrali? - O Boże, czemu zadał to pytanie na głos?

Nie chciał słyszeć, co ma w tej sprawie do powiedzenia Thomas.

- Dobrze pytanie - rzekł Thomas. - I czemu mieliby się zajmować rozdzielaniem nas?

- Ponieważ - Quinlan wolno wymawiał słowa - ciotka Sally, Amabel, macza w tym palce. Może przejęła Sally. Może ją ochrania.

Thomas westchnął. Ku zaskoczeniu Guinlana, rzucił: - Módlmy się, żebyś miał rację. Cholera, czuję, jakbym zamiast głowy miał bęben zespołu rockowego.

- Ja też - stwierdziła Corey. - Ale nadal jestem w stanie myśleć. To co, Quinlan, uważasz, że całe miasteczko bierze udział w tym spisku? Sądzisz, że w czasie ostatnich trzech, czterech lat całe przeklęte miasteczko zamordowało co najmniej trzydzieści osób? Dla pieniędzy? A potem pochowali je na swoim cmentarzu?

- Sposób okazania szacunku - powiedział Quinlan.

- Nie możesz sobie wyobrazić tych wszystkich staruszków patrzących na parę starszych ludzi, których właśnie usunęli z tego świata, pocierających swoje podbródki i mówiących: „Ha, Ralph Keaton potrafi wszystko przygotować, więc będziemy mogli pięknie ich pochować, a wielebny Vorhees powie śliczne kazanie”. Tak, Corey, wszyscy w tym cholernym miasteczku. Czy jest jakaś inna możliwość?

- To obłąd - zachnął się Thomas. - Całe pieprzone „miasteczko, zabijające ludzi? Nikt nigdy w to nie uwierzy, zwłaszcza że to sami staruszkowie.

- Ja w to wierzę - rzekł Quinlan. - O tak, wierzę naprawdę. Mogę się założyć, że zaczęło się od jakiegoś wypadku. Dzięki temu wypadkowi dostali pierwsze pieniądze. Dostarczyło im to pomysłu - może tylko jednemu z nich, a może dwójce - jak uratować miasto. A potem sprawy potoczyły się szybko.

Corey powiedziała wolno: - I ta wielka reklama przy autostradzie, dzięki której zwabiają swoje ofiary.

- Słusznie - zgodził się Quinlan. - Sklep z Najwspanialszymi Lodami Świata. Nawiasem mówiąc, mają najlepsze lody, jakie zdarzyło mi się jeść w życiu.

Musiał żartować, musiał, bo inaczej chyba by oszalał. Gdzie jest Sally? Czy możliwe, że Amabel naprawdę ją osłania? Wątpił w to.

- Wejdz więc do środka i kup sobie ostatniego loda - powiedział Thomas. - Tu jest koniec kolejki.

- A co z tą kobietą, która została zamordowana?

I z doktorem Spiverem? - spytała Corey.

Szaleńczo pracując nad krępującymi mu ręce sznurami, Guinlan odparł: - Kobieta musiała usłyszeć coś, czego nie powinna była słyszeć. Więzili ją co najmniej przez trzy dni, może dłużej. Musiała jakoś oswobodzić się z knebla, bo Sally słyszała jej krzyki pierwszej nocy swojego pobytu

w Cove. Dwie noce potem znów ją słyszała. Następnego ranka znaleźliśmy z Sally jej ciało. Domyślałam się, że musieli ją zabić. Nie chcieli tego, ale tak zrobili. Wiedzieli, że albo kobieta pozostanie przy życiu, albo oni. Czyli żadnego wyboru. Zabili ją. Musieli być wściekli - po prostu zrzucili ją z urwiska, nie zaprzatając sobie głowy ceremoniałem pogrzebowym i pochowaniem jej na swoim cmentarzu.

- A co z doktorem Spiverem? - rzucił Thomas. - Cholera, ależ te liny są mocne. Nie ustępują nawet o milimetr.

- Niech każdy nad nimi pracuje - polecił Quinlan. - Co do doktora Spivera, to nie wiem. Może był ich słabym punktem. Był lekarzem i może całe to zabijanie go odstręczało. Może śmierć tamtej kobiety była ostatnią kroplą, która dopełniła miary. Po prostu nie mógł już więcej znieść. Załamał się. Strzelili mu w usta, starając się, żeby to wyglądało na samobójstwo. Tym razem też uważali, że nie mają wyboru.

- Jezu - powiedziała Corey - czy wiecie, chłopcy, że żaden agent FBI nie znalazł się nigdy w takim bagnie, jak my teraz? Niektórzy nawet nigdy nie użyli swojej broni. Cały swój czas spędzają wyłącznie na przesłuchiwanie ludzi. Mówiono mi, że wielu agentów po przejściu na emeryturę zajmuje się psychologią - są tacy dobrzy w wyciąganiu od ludzi informacji.

Quinlan roześmiał się. - Wydostaniemy się stąd, Corey. Musisz w to wierzyć.

- Uważasz, Quinlan, że jesteś taki cholernie sprytny. Jak, u diabła, mamy się uwolnić? Przecież na dodatek pojawi się tu zaraz cały rój staruszków. Myślisz, że uformują pluton egzekucyjny? A może zatłuką nas na śmierć swoimi laseczkami?

Corey odezwała się spokojnie. - Przestań, Thomas. Spróbujmy się uwolnić. Musi być jakiś sposób. Nie chcę być bezradna, kiedy ktoś tu przyjdzie, a przecież obaj wiecie, że przyjdą.

- Co, do cholery! - wrzasnął Thomas. - Co, do licha możemy zrobić? Jesteśmy związani zbyt mocno. Na dodatek przywiązali nas do ściany, żebyśmy nie mogli zbliżyć się do siebie. Siedzimy tu w ciemnościach. Co więc, do jasnej cholery, mamy robić?

- Musi być jakieś wyjście - rzekła Corey.

- Może jest - mruknął Quinlan.

*

Sally czuła ból szczęki. Zaczęła na zmianę otwierać i zamykać usta, dopóki ból nie zelżał do tępego ómienia. Leżała w ciemnościach, jedyne światło docierało poprzez drzwi otwarte na korytarz.

Była sama. Nadal miała związane z przodu ręce. Uniosła je do ust i zaczęła zębami szarpać supeł.

Tak bardzo była pochłonięta tym zajęciem, że niemal krzyknęła ze strachu, kiedy obok odezwał się spokojny głos: - To naprawdę nic nie da, Sally. Odpręż się, dziecinko. Nie ruszaj się. Poleż sobie.

- Nie - szepnęła Sally. - O nie.

- Nie poznajesz, gdzie jesteś, Sally? Myślałam, że natychmiast będziesz wiedziała.

- Nie. Jest za ciemno.

- Spójrz w stronę okna, kochanie. Może znów zobaczysz twarz swojego drogiego ojca.

- Jestem w sypialni w głębi korytarza.

- Tak.

- Dlaczego, Amabel? Co tu się dzieje?

- Och, Sally, dlaczego musiałaś wrócić? Oddałabym wszystko, żebyś tamtego dnia nie zjawiała się na progu mojego domu. Jezu, musiałam cię przyjąć. Naprawdę nie chciałam cię w to mieszać, ale

znowu się pojawiłaś i nic nie mogę zrobić.

- Gdzie jest James i pozostała dwójka agentów?

- Nie wiem. Prawdopodobnie siedzą w tej małej szopie na narzędzia za domem doktora Spivera.

To solidne więzienie. Nigdy się stamtąd nie wydostaną.

- Co macie zamiar z nimi zrobić?

- To naprawdę nie zależy ode mnie.

- A od kogo?

- Od miasta.

Przez dłuższą chwilę Sally nie mogła złapać oddechu. A więc to prawda. Całe przekłete miasteczko. - Ile osób zabiliście, Amabel?

- Pierwsza para, Harve i Marge Jensenowie, ci, których poszukiwać miał Quinlan, to był nieszczęśliwy wypadek. Oboje dostali zawału serca. W ich samochodzie znaleźliśmy gotówkę. Potem był ten motocyklista. Zaczął bić biednego Hunkera, a Purn, w jego obronie, zdzielił motocyklistę w głowę krzesłem. To go zabiło. Następny wypadek. A potem dziewczyna motocyklisty zrozumiała, że jej chłopak nie żyje.

Sherry Vorhees nie miała wyboru - musiała ją zabić.

Roztrzaskała jej głowę maszynką do mięsa. Później poszło już łatwiej, wiesz? Ktoś wypatrzył jakąś starszą parę albo osobę sprawiającą wrażenie bogatej. A może po prostu któraś z kobiet, pracujących w Sklepie z Najwspanialszymi Lodami Świata zobaczyła całą masę pieniędzy w C2ymim portfelu. Potem już tylko załatwialiśmy sprawę. Tak, szło coraz łatwiej. To było jak gra, ale nie zrozum mnie źle, Sally. Po śmierci zawsze traktowaliśmy ich z największym szacunkiem. Powiedziałaś mi, że miasto teraz pięknie wygląda. Cóż, wcześniej była to ruina. Teraz jednak nasze inwestycje mają się świetnie, wszystkim żyje się dość wygodnie, a wielu turystów przyjeżdża tu nie tylko ze względu na nasze lody, ale żeby obejrzeć miasto, kupić pamiątki i coś zjeść w kawiarni.

- Doskonale dla was. Więcej ludzi do wyboru. Mogliście dyskutować między sobą. Czy to małżeństwo wygląda zamożniej niż tamto obok? Bawiliście się w rosyjską ruletkę ludzkim życiem. Boże, to obrzydliwe.

- Nie używałabym takich dosadnych sformułowań, ale w miarę tego, jak stawaliśmy się atrakcją turystyczną, mogliśmy sobie pozwolić na większy wybór. Jednak zabijaliśmy tylko starych ludzi, Sally. Takich, którzy mieli już życie za sobą.

- Dziewczyna motocyklisty nie była stara.

Amabel wzruszyła ramionami. - Nic nie dało się na to poradzić.

Sally kręciła głową na poduszce, w tę i z powrotem, już rozumiejąc, ale jeszcze nie dowierzając. - Jezu, Amabel, zabijaliście ludzi. Nie rozumiesz tego? Mordowaliście niewinnych ludzi. Ich podeszły wiek niczego nie tłumaczy. Okradaliście ich. Potem grzebaliście ich na cmentarzu, co? Ach, pojmuję. Chowaliście ich po dwoje w każdym grobie. I zapisywaliście tylko dane mężczyzny. Czy któraś z was ma listę identyfikacyjną, kto naprawdę leży w każdym grobie?

- Nie, ale pozostawiliśmy znaki identyfikacyjne na każdym ciełe. Nie bądź taka przerażona, Sally. Umieraliśmy razem z naszym miastem. Rozpaczliwie pragnęliśmy przeżyć. I przeżyliśmy. Wygraliśmy.

- Nie, bo teraz wszystko zważyło wam się na głowę, Amabel. Macie tu trzech agentów FBI, a szeryf David Mountebank wie to samo co oni, a może nawet więcej. Jeśli zabijecie agentów, wylądujecie w komorze gazowej. Nie rozumiecie tego? W sprawę zaangażowane jest FBI!

- Och, Sally, a ty ciągle w kółko o tym, co cięnaprawdę nie powinno obchodzić. A co z tobą, dziecino? Co z twoim ojcem?

- Nie jest żadnym pieprzonym ojcem, dzięki Bogu. W końcu dowiedziałam się o tym.

- Dobrze, słyszę w twoim głosie gniew. Bałam się, że nadal będziesz usiłowała wierzyć, że był tylko nawiedzającą cię zmorą senną.

- Chcesz powiedzieć, że mieszka tu z tobą, Amabel? Chcesz go tutaj? - Znała odpowiedź. Ale nie chciała jej usłyszeć.

- Naturalnie, Sally.

Wbiła wzrok w mężczyznę, stojącego w otwartych drzwiach, za ciotką. Jej ojciec. Nie, nie jej ojciec, dzięki Bogu. To drań, który ją wychowywał, drań, który straszliwie bił matkę, który uwięził ją w sanatorium doktora Beadermeyera, który ją bił dla przyjemności.

- Jak się czuje nasz bękart, Ammie? Ammie? Cóż to miało znaczyć?

- Nie jestem bękartem. Ty nim jesteś.

- Sally, nie uderzę cię w obecności twojej ciotki. To ją dręczy, chociaż wie, ile jest w tobie złości i że tylko w ten sposób mogę nad tobą zapanować.

- Amabel, czemu on tu jest? To morderca. Zdradził nasz kraj.

Amabel przysiadła koło niej. Delikatnymi, miękkimi czubkami palców zaczęła przesuwać po czole Sally, odgarniając jej włosy za uszy, leciutko gładząc brwi.

- Proszę, Amabel. Wiem, że to on dzwonił do mnie, kiedy byłam tu poprzednio. Przyznał też, że sam zaglądał przez okno sypialni.

- Tak, kochanie.

- Czemu tu był, Amabel?

- Musiał tu przyjechać, Sally. Musiał cię zabrać z powrotem do sanatorium. Miał nadzieję, że pod wpływem tego teletonu i jego twarzy w oknie zaczniesz wątpić w swoje zdrowe zmysły.

- Ale skąd mógł wiedzieć, że tu jestem?

- To ja dałam mu znać. Zatrzymał się w małym pensjonacie w Oklahoma City. Pierwszym samolotem przyleciał do Portland, skąd przyjechał samochodem. Ale przecież znałaś odpowiedź na to pytanie, jeszcze zanim je zadałaś, prawda. Sally? Tylko że ty wcale nie zwątpiłaś w swoje zdrowe zmysły. W części zawdzięczamy to temu człowiekowi, Quinlanowi. To jego obecność skomplikowała wszystko. Czy to nie dziwne? Quinlan wymyślił tę historię, że przyjechał do Cove szukać śladów tamtych staruszków. A chodziło mu tylko o ciebie. Nie obchodziło go zniknięcie żadnych staruszków. Tylko ty. Uważał, że albo sama zabiłaś ojca, albo też osłaniasz matkę. Zawsze mnie bawiły zmienne koleje iosu. Ale teraz nie czuję się rozbawiona. Teraz mamy poważny problem.

- Sądziś więc, Ammie, że to los przywiódł tych wszystkich staruszków na Najwspanialsze Lody Świata, żebyście mogli ich zabić i ukraść ich wszystkie pieniądze?

Amabel odwróciła się w jego stronę ze zmarszczonymi brwiami. - Tego nie wiem, ani ty nie wiesz, Amory. I nie obchodzi mnie, co się stanie z Quinlanem i pozostałymi, ale nie chcę, żeby Sally stała się jakaś krzywda.

- On się z tobą nie zgadza, ciociu Amabel - powiedziała Sally. - On mnie nienawidzi. Wiesz, że nie jest moim ojcem. Nie ma wobec mnie żadnych ukrytych ciepłych uczuć. I czy wiesz, że zmusił Noelle, żeby z nim została?

- Oczywiście że wiem, Sally.

Sally patrzyła na nią z rozdziawionymi ustami. Nie mogła nic na to poradzić. Choć właściwie,

dlaczego była taka zaskoczona? W czasie ostatnich siedmiu miesięcy jej świat tyle razy wywracał się do góry nogami, że powinna była się do tego przyzwyczaić. Wyglądało na to, że nigdy nie wiedziała, kim naprawdę jest i dlaczego dzieją się te wszystkie rzeczy'. I nienawidziła matki za jej słabość. O Boże, pogardzała nią, sama miała ochotę nią potrząsnąć, bo pozwalała mężowi poniewierać sobą.

- Kto jest moim ojcem?

- Teraz chce wiedzieć - rzekł Amory St, John, z rękami w kieszeniach wkraczając do małego pokoiku.

- Kto to?

- Cóż, kochanie - odezwała się Amabel - twoim ojcem był mój mąż. Tak, był moim mężem, zanim poznał Noelle i zakochali się w sobie...

- Zaczęli się pożądać, Ammie.

- To też. Tak czy inaczej, Noelle zawsze była dość głupia, a Carl nigdy nie stąpa! nogami po ziemi. Znając ich oboje, miałam trudności z wyobrazeniem sobie, kto kogo zwabił do łóżka. Ale jakoś musieli to zrobić. Zaszła w ciążę. Na szczęście spotykała się wtedy z Amorym i sprawy ułożyły się satysfakcjonująco dla wszystkich.

- Nie dla mojej mamy.

- Nieprawda, była zachwycona, że nie musi usuwać ciąży, Sally. Gdyby nie miała męża, musiałaby to zrobić. Sprowadziłam mojego Carla tutaj, do Cove, żeby mógł spędzać swoje nie niewarte życie na malowaniu olejnych krajobrazów, które sprzedawano na lotniskach po dwadzieścia dolarów, razem z wulgarnymi, pomalowanymi na złoto ramami. Carl już nigdy nie miał skoków w bok. Błagał mnie o przebaczenie i gotów był zrobić wszystko, żebym go tylko nie opuściła. Pozwoliłam mu się wykazywać, dopóki nie umarł dwadzieścia lat temu.

- Nie zabiłaś go, prawda?

- Och, nie. Amory się tym zajął, ale Carl był już bardzo chory na raka płuc. Nigdy nie potrafił przestać palić cameli bez filtra. Tak, dla Carla to było błogosławieństwo, że nie zadziałały hamulce w jego samochodzie i umarł tak szybko. Dziękuję ci, Amory.

- Bardzo proszę, Ammie.

- Od jak dawna jesteście kochankami?

Amabel zaśmiała się cichutko i odwróciła się w stronę mężczyzny, stojącego w drzwiach. - Od bardzo dawna - powiedziała.

- A więc nie przeszkadza ci, że cię tłucze, Amabel?

- Nie, Amory, proszę! - Amabel podeszła szybko do niego i oparła dłoń na jego ramieniu. Rzuciła przez ramię: - Słuchaj, Sally, nie mów tak. Nie ma powodu, żeby denerwować twojego ojca...

- On nie jest moim ojcem.

- Tak czy inaczej, panuj nad swoim językiem. Oczywiście, że mnie nigdy nie uderzył. Tylko Noelle.

- Mnie też bił, Amabel.

- Zasłużyłaś na to - powiedział Amory.

Sally wodziła wzrokiem od jednego na drugie. W przyćmionym świetle nie widziała żadnego z nich dokładnie. Amory wziął Amabel za rękę i przyciągnął ją bliżej do siebie. Cienie zdawały się zagęszczać wokół nich, ogarniać ich i łączyć ze sobą. Sally zadrżała.

- Sądziłam, że mnie kochasz, Amabel.

- Kocham cię, dziecinko, naprawdę. Jesteś dzieckiem mojego męża i moją siostrzenicą. I

zgodziłam się z Amorym, że będzie ci lepiej w tym przyjemnym sanatorium. Nie bytaś w najlepszej formie. Opowiedział mi, że stałaś się nieobliczalna, że wygadujesz bzdury o swoim mężu, że wpadłaś w nieodpowiednie towarzystwo i zaczęłaś zażywać narkotyki. Amory powiedział mi, że doktor Beadermeyer ci pomoże. Poznałam doktora Beadermeyera. Wyśmienity lekarz, który stwierdził, że twój stan się poprawia, ale potrzebujesz zupełnego odpoczynku i ciągłego doglądania przez profesjonalistów.

- To wszystko kłamstwo. Nawet jeśli nie chcesz uwierzyć w to, że jest takim potworem, rozważ to, proszę. Czytałaś gazety, oglądałaś wiadomości telewizyjne. Wszyscy go poszukują. Wszyscy wiedzą, że wielu pacjentów w sanatorium doktora Beadermeyera było więźniami, tak jak ja.

- Ojej, dziecinko, nie mów tak. Wcale nie chcę wsadzać ci knebla w usta, ale zrobię to. Nie pozwolę ci mówić o nim w ten sposób.

- Dobrze, lecz czy nie zastanawiałaś się, czy jestem szalona, kiedy Amory pojawił się tutaj, uderzył mnie w głowę i oszołomił narkotykami? Kiedy omal nie zabił Jamesa?

Amory St. John oderwał się od Amabel. Podszedł do łóżka i stanął nad nim, patrząc w dół na Sally. - W tym przyćmionym świetle nie umiem powiedzieć, czy będziesz miała siniaki, czy nie.

- Naprawdę tak mocno ją uderzyłeś, Amory?

- Nie gryź się tym, Ammie. Zasłużyła na to. Opluła mnie. W czasie tych wszystkich lat nauczyłem się dokładnie dopasowywać siłę uderzenia tak, żeby uzyskać na Noelle konkretny kształt i kolor siniaka. Ale każda skóra jest inna. Musimy po prostu poczekać, to zobaczymy, prawda?

- Jesteście szaleni - powiedziała Sally. - Jesteście pieprznięci.

- Złapałbym cię pasem, gdybyś to powiedziała, mieszkając pod moim dachem.

- To nieważne, Amory. Dziewczyna jest przerażona. Nie wie, co z nią będzie.

- Doskonale wiem, co się ze mną stanie. Nie ma już doktora Beadermeyera, żeby mnie więzić. Nie, teraz zamierza mnie zabić, Amabel. Ty też zdajesz sobie z tego sprawę, w przeciwnym wypadku nie opowiadałabyś mi tego wszystkiego. Nie, nie zaprzeczaj. Już się z tym pogodziłaś. Ale nie liczę na nic. Jedyne, co was naprawdę powstrzyma, to zrobienie krzywdy agentom FBI. Jeśli spróbujecie zabić Jamesa, otworzą się dla was bramy piekła. Znam jego szefa, więc możecie być tego pewni.

- Oni wszyscy są głupi - rzekł Amory. Wzruszył ramionami. - Wiem, że sytuacja stanie się jeszcze trudniejsza, ale damy sobie radę. Już teraz wprowadziłem w ruch różne mechanizmy. To prawda, że nie liczyłem się z tym, iż ten drań po raz drugi wykradnie cię doktorowi Beadermeyerowi. To pokrzyżowało moje plany, Sally. Wszystko musiało być zorganizowane od nowa. Znalazłem się w niewygodnym położeniu. Przez was oboje już nie mogę udawać, że nie żyję. Teraz będę musiał na zawsze opuścić kraj.

- Spróbuj tylko. Złapią cię. Dzięki sprzedaży broni Hussajnowi ściągnąłeś sobie na kark FBI, które gotowe jest przeczesać świat, żeby cię znaleźć.

- Wiem. Jaka szkoda. Ale wszystko będzie dobrze. Prawie rok temu wyciągnąłem pieniądze z kont na Kajmanach i w Szwajcarii. Na każdym zagranicznym koncie zostawiłem tylko troszkę, żeby podrażnić się z FBI, uświadomić im, że wiem dokładnie, co robię. To ich doprowadzi do szału, ale i tak mnie nie złapią.

- James cię złapie.

- Twój James Quinlan nie złapie nawet grypy. Nie zdąży, bo zaraz znajdzie się dwa metry pod ziemią.

Opanowała ją taka wściekłość, że nie potrafiła się powstrzymać. Poderwała się do góry i

związanymi rękami uderzyła go w twarz. Mocno. Zaklął, popychając ją do tyłu. Uniósł zaciśniętą pięść.

Usłyszała krzyk Amabel. - Nie rób tego, Amory!

Ale jego pięść kontynuowała drogę w dół, kierując się nie w stronę jej twarzy, lecz żeber.

ROZDZIAŁ 31

- Do diabła! - rzucił Quinlan. - Przykro mi, moi drodzy, ale stare mamuty wykazały się przemyślnością. Mój nóż wojskowy zniknął. Zawsze mocowałem go przy kostce. Cholera.

- Cholera to właściwe słowo - skomentował Thomas. - Corey, co robisz? Czemu się rzucasz dookoła jak ryba wyjęta z wody? I czemu wydajesz z siebie to dziwne pochrząkiwanie?

Dziewczyna ciężko oddychała. - Zobaczysz. Nie liczyłam na to, że Quinlan znajdzie swój nóż. Poczekajcie jeszcze chwilę, już prawie mi się udało.

- Co ci się udało? - spytał Quinlan, rozpaczliwie usiłując dostrzec ją w ciemności.

- Byłam kiedyś gimnastyczką. Mam wątpliwy zaszczyt być najbardziej elastycznym agentem, trenowanym w Quantico. Przekładam teraz moje ręce pod pośladkami i przeciskam się cała i już za minutkę - Jezus, to trudniejsze niż w czasach, kiedy byłam młodsza i szczuplejsza... - Przerwała zasapana, łapiąc z trudem oddech. - Już.

Zipiąc, śmiała się - Udało mi się!

- Co, Corey? Na litość boską, co zrobiłaś?

- Teraz mam ręce związane z przodu, Thomas. Na szczęście wiążąc mnie, zostawili sporo miejsca między mną a ścianą. Lina wokół pasa była przywiązana wyżej niż sznur krępujący mi ręce. Teraz się odwrócę i rozwiążę linę związaną wokół talii. Kiedy będę wolna, zajmę się nogami, a potem zabiorę się za was, chłopcy.

- Corey - powiedział Quinlan - jeśli nas stąd wyciągniesz, obaj z Thomasem wystąpimy, aby mianowano cię agentem specjalnym, odpowiedzialnym za placówkę w Portland. Zgoda, Thomas?

- Jeśli nas stąd wydostanie, będę ją na kolanach błagał, żeby została moją żoną i dowodziła w naszym małżeństwie.

- Thomas, jesteś seksistą.. Nigdy nie poślubię seksisty.

- Corey, jak ci idzie? - spytał Quinlan.

- Do przodu. Super w pasie jest całkiem prosty.

- To świetnie. Tylko pospiesz się.

Ile mogli mieć czasu, zanim pojawią się staruszkowie? Gdzie jest Sally? Quinlan niewiele się modlił w życiu, ale teraz to robił. Czy jest u Amabel?

- Udało się! Teraz jeszcze nogi.

- O kurczę, coś słyszę - odezwał się Thomas - Szybko, Corey, szybko!

*

- Nie bij jej, Amory!

Amabel złapała go za rękę i szarpnęła do tyłu. Ręka uderzyła o łóżko, zaledwie o parę centymetrów od żeber Sally.

Ciężko sapał. Okręcił się szybko, unosząc pięść. - Nie powinnaś była tego robić, Animie. Nie powinnaś była.

Sally poderwała się z wrzaskiem. - Nie waż się jej uderzyć, ty pieprzony kretynie!

Ale odważył się; jego pięść ciężko wylądowała na szczęce Amabel, odrzucając ją pod ścianę. Osunęła się na podłogę.

Sally nie odzywała się. Wpatrywała się w ciotkę, modląc się, żeby nie była martwa.

- Jak mogłeś? - Spojrzała na człowieka, który musiał być szalony. - Jesteście kochankami. Zadzwoń, żeby dać ci znać, iż tu jestem, żebyś mógł przyjechać i mnie dopaść. A ty uderzyłeś ją tak, jak biłeś Noelle.

- Prawdę mówiąc - powiedział, rozcierając pięść - dziś po raz pierwszy musiałem ją przywołać do porządku. W przyszłości nie będzie mi się już sprzeciwiać. Ciekawe, jaki będzie miała siniak.

*

Kiedy drzwi otworzyły się ze skrzypieniem, do środka nie wpadł promień oślepiającego światła. Drzwi uchyliły się najpierw odrobinę, potem coraz szerzej, aż cała trójka mogła dostrzec gwiazdy i sierp księżycy.

- Obudziliście się już? - To był głos starego człowieka. Którego, pomyślał Quinlan. Czy przyszedł tylko jeden, żeby sprawdzić, co z więźniami, czy też przybyło ich kilku? Boże, modlił się, żeby był tylko jeden.

- Jeszcze nie świta, ale powinniście już się obudzić.

- Tak - odezwał się Thomas. - Już jesteśmy przytomni. A co? Mieliście nadzieję, że nas zabiliście?

- Nie, nie wystarczyło tego świństwa od doktora, żeby was uciszyć na zawsze. Szkoda, bo tak byłoby najprościej. A tak, nie będzie żadnej przyjemności.

Quinlan omal nie wyskoczył ze skóry, kiedy usłyszał szept Corey. - Och, proszę, tak się źle czuję. Proszę mnie zaprowadzić do łazienki. Proszę. - Jęczała cichutko, bardzo przekonująco.

- O kurczę - mruknął staruszek. - To ty, dziewczynko?

- Tak - udało się wykrztusić Corey. - Proszę, pospiesz się.

- No dobrze. Psiakrew, nie spodziewałem się, że któreś z was może się pochorować. Dotychczas nikt jeszcze się nie pochorował.

Corey leżała zwinięta pod ścianą, dokładnie na wprost staruszka. Wchodząc do szopy, stary człowiek szerzej otworzył drzwi. Quinlan rozpoznał Purna Daviesa, dziadka, prowadzącego sklep. Zauważył też, że Corey trzyma ręce za sobą, tak jakby je nadal miała związane.

- Proszę się pospieszyć - wyszeptwała. Zabrzmiało to rozpaczliwie, jakby zaraz miała wymiotować.

Quinlan spojrzał na Thomasa i kiwnął głową. W chwili, gdy Purn Davies mijał Quinlana, ten podniósł do góry nogi i kopnął go w biodro, posyłając prosto w objęcia Corey.

- Mam cię - rzekła Corey. Kiedy staruszek zaczął się wyrwać, uspokoiła go jednym uderzeniem pięści.

- Dobra robota, Corey - stwierdził Thomas. - Jesteś pewna, że nie chcesz wyjść za mnie? A jeśli obiecuję, że się poprawię?

- Zapytaj mnie jeszcze raz, kiedy żywi wyjdziemy z tej historii - odparła. - Dobra, chłopcy, teraz rozwiążę ręce Quinlana, potem twoje, Thomas. Uważajcie na staruszka.

Rozwiązanie Quinlana zajęło jej zaledwie trzy minuty. Po upływie następnych trzech minut cała trójka była wolna. Podnieśli się, przeciągnęli, próbując przywrócić normalne krążenie krwi w kończynach. - Chyba go porządnie związę - powiedziała Corey i przyklękła obok Purna. - Spójrz, Quinlan, on ma jeden z naszych pistoletów.

- Dzięki Bogu - rzekł Quinlan. Wyjrzał z szopy. - Już prawie świta. Nie widać żywego ducha. Podejrzewam, że przysłali go tutaj, żeby sprawdził, czy jeszcze żyjemy. Nie wiem tylko czemu. Nie

mogli przecież pozwoilić sobie na pozostawienie nas przy życiu, w żaden sposób.

- Spójrzcie. Staruszek przyniósł nam kanapki. Są tutaj na tacy. Jak niby mieliśmy je zjeść, mając ręce związane na plecach?"

- Wszystko zrobione - powiedziała Corey, stając u boku obu mężczyzn. - Co teraz, Quinlan?

- Thomas, zamknij drzwi szopy, a potem chodźmy do domu doktora Spivera. Módlmy się tylko, żeby telefon doktora jeszcze nie był wyłączony. Będziemy mogli wezwać posiłki. Później znajdziemy Sally.

- On jest szalony, Amabel, kompletnie szalony.

Amabel rozcierała szczękę. Wyglądała na oszołomioną. - Nigdy dotąd mnie nie uderzył, nigdy - powiedziała wolno. - Zawsze mnie pieścił i kochał. Nigdy mnie nie bił. Zawsze sądziłam, że to Noelle wyzwala w nim tę potrzebę, chęć bicia, bo jest słaba i prosi się o to.

- Nie, ona tego nienawidziła. Musiała znosić to poniżenie, bo groził, że mnie zabije, jeśli z nim nie zostanie, nie będzie dawała się krzywdzić. Nie bił cię dotychczas, bo nie spędzasz z nim tak wiele czasu, a poza tym mogłabyś go zastrzelić albo po prostu rzucić. Noelle nie mogła odejść. Musiała zostać, żeby mnie chronić. Teraz, kiedy już cię ma w swojej mocy, będzie cię tłukł bez opamiętania, kiedy tylko najdzie go ochota.

- Nie. Powiem mu, że jeśli mnie jeszcze kiedyś uderzy, odejdę od niego.

- Możesz spróbować, ale jestem pewna, że znajdzie sposób, żeby cię zatrzymać, tak jak to zrobił z twoją siostrą.

- Mylisz się. Musisz się mylić. Jesteśmy ze sobą od dwunastu lat, Sally. Dwanaście lat. Znam go. Kocha mnie. Uderzył mnie dziś tylko dlatego, że się boi. Martwi się, że nie uda nam się uciec. A ty prowokowałaś. Tak, rozwścieczyłaś go. To twoja wina.

- Oszalałaś, Amabel. Oprzytomniej. On jest umysłowo chory.

- Cicho, Sally, idzie.

- Szybko, Amabel, rozwiąż mnie. Możemy jeszcze uciec.

- A to co znowu? Moje dwie dziewczynki spiskują przeciwko mnie?

- Nie, kochany - zaprzeczyła Amabel i wstała, żeby do niego podejść. Objęła go, potem pocałowała w usta. - O nie. Biedna Sally uważa, że skoro uderzyłeś mnie raz, będziesz to już robił ciągle. Wiem, że tak nie będzie, prawda?

- Oczywiście, że nie. Przepraszam, Ammie. Jestem taki napięty, a ty kłóciłaś się ze mną. Proszę, wybacz mi. Nigdy cię już nie dotknę.

- On kłamie - powiedziała Sally. - Jeśli mu wierzysz, to jesteś głupia, Amabel. No już, chodź tutaj, ty nędzna ludzka kreaturo, chodź i mnie uderz. Jestem zmęczona, więc nie mogę ci zrobić dużej krzywdy. Jesteś bezpieczny. No chodź, ty żałosna namiastko mężczyzny, chodź i mnie zbij.

Zataczał się ze złości, na szyi wystąpiły mu czerwone grube żyły. - Zamknij się, Sally!

- Spójrz na niego, Amabel. Ma ochotę mnie zabić.

Nie panuje nad sobą. Jest szalony.

Amory zwrócił się do Amabel. - Zajmę się nią. Wiem, co robić. Przysięgam, że jej nie zabiję.

- Co zamierzasz zrobić?

- Zaufaj mi, Ammie. Nie możesz mi zaufać? Przez ostatnie dwanaście godzin ufałaś mi bez zastrzeżeń. Uwierz mi i teraz.

- Myślisz, że mnie nie zabije, Amabel? To plugawy kłamca. Chcesz zostać współniczką morderstwa? - Słowa zamarty jej na ustach. Boże, przecież Amabel była już współniczką

morderstwa z sześćdziesiąt razy.

Może nawet sama zabiła część tych ludzi. Sally zamknęła usta.

Amory St. John zaśmiał się cicho i złośliwie. - Widzę, że zrozumiałaś, Sally. Ammie jest w to zamieszana razem ze mną. Dobrana z nas para. A teraz, Ammie, rozwiąż jej nogi. Zabieram ją stąd.

Nie mogła ustać na nogach, takie były zdrętwiałe. Amabel opadła na kolana, żeby rozmasować jej kostki i łydki. - Już lepiej, Sally?

- Dlaczego po prostu nie zabiłeś mnie wcześniej? Po co ta cała zabawa z Amabel?

- Cicho bądź, ty suko.

- Obiecujesz, że jej nie skrzywdzisz, Amory?

- Mówiłem ci już - powiedział z taką niecierpliwością, że Sally zaczęła się zastanawiać, czemu Amabel tego nie słyszy, czemu nie widzi, że już gotuje się do bicia. - Nie zabiję jej.

Kiedy już mogła stać i chodzić, Amory złapał ją za ramię i wywlókł z małej sypialni. - Zostań tutaj, Amabel - rzucił przez ramię. - Niedługo wrócę i wtedy wyjedziemy.

Sally dodała: - A czekając, zadzwoń do Noelle. Opowiedz jej, jak pozwoiliłaś mu mnie zabić. Tak, opowiedz jej to, Amabel.

Pociągnął ją poza zasięg wzroku Amabel i wbił łokieć pomiędzy jej zębra. Zgięła się wpół, sapiąc z bólu. Poderwał ją do góry.

- Zamknij się, Sally, bo inaczej ci dołożę. Masz na to ochotę?

- Chcę jedynie - powiedziała, kiedy wreszcie odzyskała mowę - żebyś umarł. Bardzo powoli i w męczarniach.

- Niedoczekanie twoje, moja droga - odparł i zaśmiał się.

- Dopadną cię. Nie ma sposobu, żebyś uciekł, kiedy ścigać cię będzie FBI.

Ciągle śmiał się cicho, wyraźnie bardzo ubawiony jej słowami. To nie miało sensu. I wtedy podszedł do latarni jasno świecącej u podnóża schodów i zatrzymał się. Znów się roześmiał. - Popatrz, Sally. Spójrz na mnie.

Przyjrzała mu się. To nie był Amory St. John.

*

Telefon nadal działał. Thomas zadzwonił do biura w Portland. Odkładając słuchawkę, powiedział: - Będą tu z helikopterem. Najwyżej pół godziny.

- A co z Davidem? - spytała Corey.

- Jezu! - zawołał Quinlan. - Muszę zadzwonić do jego żony. - Do słodkiej, miłej żony Davida, która przygarnęła go, gdy rozwalili mu głowę, która karmiła go zupą. Modlił się, żeby David był żywy. Proszę, niech będzie żywy.

Kiedy odebrała telefon, Quinlan powiedział: - Cześć, tu Quinlan. Powiedz mi tylko, czy David jest w domu. Co? O nie. Cholera, przykro mi. Powiedz jego lekarzom, że został nakarmiony narkotykami. I dlatego się roztrzaskał. Nie, panujemy nad sytuacją. Nie, zadzwonię do jego biura i wezwę tu jego trzech zastępców. Tak, wkrótce się do ciebie odezwę. Sally? Nie wiem. Teraz będziemy jej szukać.

Odwiesił słuchawkę. - David jest nieprzytomny. Przewieźli go do szpitala w Portland. Jego stan na razie jest stabilny. Nikt jeszcze nic nie wie, poza tym, że zjechał z drogi i wpadł na jedyny dąb, rosnący w okolicy. Jego żona pierwsza go znalazła. Lekarze stwierdzili, iż gdyby nie został tak szybko przywieziony do szpitala, prawdopodobnie już by nie żył.

- To jakiś koszmar - rzuciła Corey. - Całe to przeklęte miasteczko, pełne samych morderców.

Chcę ich dopaść, Quinlan.

- Ja też pragnę, żeby stracili prawo do ubezpieczenia zdrowotnego - rzekł Thomas. - Koniec z badaniami kontrolnymi.

- To nie było śmieszne - stwierdziła Corey, ale roześmiała się.

- To szekspirowski styl. Rozumiesz, komedia przemieszana z tragedią.

- Nie - wtrącił Quinlan. - To samo zło. Nie zaczęło się źle, ale potem postępowali źle przez cały czas, prawda? Chodźmy poszukać mojej przyszej żony.

To był Amory St. John i jednocześnie nie był. Mrugała, patrząc na niego. Nie, światło nadal było doskonałe. - Doktor Beadermeyer zmienił ci twarz, tak jak tamtemu człowiekowi, którego zabiłeś.

- Tak. Nie chciałem być zupełnie niepodobny, a tylko różnić się od siebie do tego stopnia, żeby stary znajomy nie miał wątpliwości. Doktor pociął mnie, ponaciągał i pozszywał zaraz po tym, jak przywieźliśmy cię z powrotem z Cove po raz pierwszy. - Poklepał się po szyi. - Tutaj też wszystko zaczynało już obwisać, ale teraz jest w porządku. Podciągnął wszystko do góry. - Czy będąc w twoim wieku umówiłabyś się ze mną, Sally?

Nic nie odpowiedziała. Bała się, że jeśli ją znów uderzy, straci przytomność. Nie mogła do tego dopuścić. Miała nieskrępowane nogi. Odrętwienie niemal ustąpiło. Na pewno będzie w stanie biec. Musi uciec od niego. Musi znaleźć Quintana i pozostałych. Co zrobi, jeśli już nie żyją? Nie, nie powinna tak myśleć. Na pewno żyją. Jeszcze jest czas.

Spojrzała na niego. Nienawidziła go bardziej, niż wydawało się to w ludzkiej mocy. Pragnęła go zniszczyć. Chciała, żeby cierpiał, zdał sobie sprawę, że przegrał, że nie jest taki sprytny, jak to sobie wyobrażał. - Scott powiedział FBI o wszystkim, co zrobiłeś. Współpracuje z nimi w nadziei, że uratuje swój wredny tyłek.

- Kogo obchodzi, co robi ten drań? Zamknij się teraz i zbierajmy się stąd.

Zmusił ją do zejścia po schodach. Jakby zgadując, że będzie chciała czegoś spróbować, złapał ją za włosy i ruszył tuż za nią.

Co robić?

Od strony frontowych drzwi dobiegły jakieś odgłosy. Mocniej ją pociągnął. Nawet tego nie zauważyła. Usłyszała, jak przeklina pod nosem. Wiedziała, w którym momencie wyciągnął pistolet. - Miejmy nadzieję, że to tylko któryś ze staruszków.

Ale to nie był staruszek. Drzwi otworzyły się powoli. Gdyby byli na górze, nikt by nic nie usłyszał. Jak zahipnotyzowana wpatrywała się w uchylające się drzwi.

Zobaczyła twarz Quinlana. Zareagowała bez namysłu. Podniosła rękę, chwyciła Amory'ego za włosy i rzuciła się na ziemię. Amory przeleciał ponad jej głową i stoczył się ze schodów. Wylądował na plecach, ciężko dysząc, ale nadal przytomny. W jednej chwili Quinlan był przy nim, z pistoletem wymierzonym w jego skroń.

- Kim jesteś, u diabła?

- To Amory St. John - powiedziała Sally. - Doktor Beadermeyer zmienił mu twarz, tak jak tamtemu mężczyźnie.

Pistolet Quinlana mocniej wbił się w skroń St. Johna. - Sally, wszystko w porządku?

- Wszystko dobrze. Moja ciotka jest na górze. Zabierał mnie stąd, prawdopodobnie chciał mnie zabić. Powiedział ciotce, że tego nie robi, ale to nędzny kłamca. James, on ją uderzył, a ona gotowa jest mu to wybaczyć. Co z nią jest nie tak?

- Pójdę po nią - rzekł Thomas. - Nie martw się, Sally. Nie zrobię jej krzywdy.

Sally wstała. Była obolała, piekła ją skóra na głowie, a mimo to czuła się lepiej niż kiedykolwiek. - James - odezwała się - tak się cieszę, że cię widzę. Ciebie też, Corey. Amabel powiedziała, że cała wasza trójka jest w szopie za domem doktora Spivera.

- Tak - odparł Quinlan - ale pamiętaj, że jesteśmy agentami specjalnymi. Cóż, właściwie to Corey jest bohaterką. Wiesz, Sally, chyba mi przybyło siwych włosów. Niech Corey rozwiąże ci ręce.

Kiedy czucie powróciło jej do rąk, podeszła i stanęła nad człowiekiem, który przez tyle lat był jej ojcem, którego nienawidziła tak długo i który jej nienawidził. Leżał na podłodze u jej stóp.

Opadła na kolana. Uśmiechnęła się. - Teraz przyszła moja kolej, żeby powiedzieć, co myślę o tobie. Jesteś żaloszny. Jesteś zerem. Już nigdy, do końca swojego życia, nie będziesz miał nad nikim władzy. Nienawidzę cię. Mało tego, gardzę tobą. - Zamachnęła się i wyrznęła go pięścią w nos.

- Boże, od tak dawna pragnęłam to zrobić. - Roztarta pięść.

Trząśnięcie z wściekłości. Nos zaczął krwawić. Uspokoił się dopiero wtedy, gdy poczuł jeszcze silniejszy nacisk pistoletu na swoją skroń.

- Chcesz coś wiedzieć? Noeile jest wniebowzięta, że zniknąłeś. Nienawidzi cię tak samo jak ja. Uwolniła się od ciebie. Ja też jestem wolna. Wkrótce wylądujesz w klatce, bo tam jest twoje miejsce.

Spojrzała na niego, na krew ciekącą z rłpsa, na złość w jego oczach. - Cholerny drań! - Podniosła się i kopnęła go w żebra.

- Zamknij się, ty szalona suko. Hej, jesteście glinami. Nie pozwólcie jej mnie bić.

- Pozwoliłbym jej odstrzelić ci jaja, gdyby miała na to ochotę - odparł Guinlan. - Sally, masz chęć do niego strzelić?

- Nie, nie teraz. No, niedokładnie w tym momencie. Wiesz co, staruszkule? Noelle wygląda ślicznie. Pewna jestem, że wkrótce zacznie spotykać się z ludźmi. Będzie miała każdego mężczyznę, jakiego zapragnie.

- Nie ośmieli się. Wie, że ją zabiję, jeśli choćby spojrzy na innego. Tak, zabiję ich oboje.

- Nikogo już nie zabijesz - stwierdziła Sally, przyglądając mu się złośliwie, z radością na twarzy. - Pójdiesz do więzienia na całą resztę swojego nędznego życia. - Poklepała go po twarzy. - Jesteś starym człowiekiem. Pomyśl, o ile szybciej przygarbisz się i pomarszczysz w więzieniu.

- Nie pójdę do więzienia. Boże, dopadnę cię. Bawiłem się tobą przez sześć miesięcy. Powinienem był cię udusić.

- Spróbuj tylko, ty stary draniu. - Uśmiechnęła się do niego, podniosła nogę i z całej siły opuszcila ją na jego krocze.

Zawył, łapiąc się za bolące miejsce.

- Świetnie zrobione, Sally - powiedział Quinlan. - Jesteś pewna, że nie chcesz do niego strzelić?

Z góry dobiegł odgłos strzału.

ROZDZIAŁ 32

Guinlan przyłożył Amory'emu St. Johnowi z całych sił w szczękę.

Jeden z głowy, pomyślał. Mieli tylko jeden pistolet, zabrany Purnowi Daviesowi, ten, który Quinlan trzymał przyłożony do skroni Amory'ego St. Johna.

Kiedy nieuzbrojony Thomas udał się na górę, Sally nie przyszło nawet do głowy, że jej ciotka może do kogoś strzelić.

Nagle Corey przemknęła jak błyskawica, zmierzając w stronę tonącej w mroku wnęki w ścianie u podnóża schodów.

Patrzyli w ciszy na schodzącego po schodach Thomasa, z którego ramienia ciurkiem płynęła krew. Amabel szła za nim, z pistoletem przyłożonym do tyłu jego głowy.

- Niech pan rzuci swój pistolet na środek pokoju, panie Quinlan.

Zamiast posłuchać, Quinlan potoczył broń po wyfroterowanej do połysku dębowej podłodze na prawo, w stronę, gdzie przycupnęła Corey.

- Nie najlepiej pan celuje, prawda? Nieważne. Teraz proszę się odsunąć. O tak. Proszę stanąć koło Sally. A pan niech dalej schodzi, bo strzelę panu w tył głowy. A to by się chyba panu nie spodobało, prawda?

- Nie - zgodził się oszołomiony Thomas. - Wcale by mi się to nie podobało.

- Zakrwawi pan całą moją podłogę. Ale cóż, kogo to teraz obchodzi? I tak wątpię, abyśmy jeszcze kiedyś tu wrócili. A teraz pan, panie Quinlan, i Sally, zróbcie dwa kroki do tyłu. Dobrze. I proszę niczego nie próbować. Zawsze przechwalacie się, że jesteście agentami FBI, ale ten tutaj jest jak pan, panie Quinlan, tylko człowiekiem. Proszę spojrzeć na tę krew, a to tylko niewielka rana na ramieniu. MAiszę mu przyznać, że nie jęczy. Nie, proszę się nie ruszać. - Spojrzała w dół. - Amory, możesz już wstać.

Amory nie wydał najmniejszego dźwięku.

- Amory!

Machnęła pistoletem i wrzasnęła w stronę Quinlana. - Co mu zrobiłeś, ty draniu?

- Ogłuszyłem go, Amabel. Uderzyłem naprawdę mocno. Nie sądzę, żeby szybko odzyskał przytomność.

- Powinnam cię od razu zastrzelić. Sprawiałeś kłopoty, odkąd tylko pojawiłeś się w mieście, odkąd zobaczyłeś Sally. Nie, Sally, teraz siedź cicho. Moja przyszłość związana jest z Amorym. Wiem, że miasto upadnie, ale nie ja. Nikt nas nie złapie, nawet twoim drogim agentom FBI się to nie uda.

Dotarła z Thomasem do najniższego stopnia schodów. Musiała coś wyczuć, bo cofnęła się pospiesznie dwa schodki do góry. - Jeśli spróbujesz teraz jakichś sztuczek, chłopcze, to przestrzelę ci głowę.

- Nie, proszę pani - rzeki Thomas. - Nic nie będę robił. Czy mogę zejść na sam dół, żeby Quinlan przewiązał mi ramię chusteczką? Nie chcę wykrwawić się na śmierć. Nie chcę zniszczyć pani ślicznych dywanów i podłóg.

- Niech pan idzie, ale jeśli spróbuje pan czegoś, wyda pan na siebie wyrok.

Thomas był blady, twarz miał wykrzywioną z bólu. Mocno przyciskał ramię. Krew nadal wyciekała powoli spomiędzy jego palców.

- Chodź tutaj, Thomas - powiedział Quinlan, kiwając na niego ręką. - Masz chusteczkę?

- Tak, jest w prawej kieszeni Quinlan wyciągnął śliczną błękitną chusteczkę, opatrzoną w rogu inicjałami TS, i przewiązał ramię Thomasa. - To powinno wystarczyć. Szkoda, że zabiliście doktora Spivera, Amabel. Teraz Thomas mógłby skorzystać z jego usług.

Powinna zejść jeszcze z tych trzech schodków. Musi. Tylko trzy stopnie. No chodź, Amabel, chodź.

Nagle Sally odezwała się głośno, wstrząśnięta. - Krew wypływa mu z ust. - Z przejęciem wskazywała palcem na Amory'ego St. Johna. - O, i coś białego. O mój Boże, to chyba ślina. Ślini się!

- Co? - Amabel powoli pokonała ostatnie trzy stopnie, próbując skupić uwagę na obu agentach i na Sally, a jednocześnie zobaczyć, co się dzieje z Amorym. - Przysuńcie się do siebie. I usiądźcie na podłodze. Już.

Usiedli.

Jeszcze troszkę bliżej, kusił Quinlan w myślach. Jeszcze odrobinę. Widział Corey przyczajoną w mroku, z gotowym do strzału pistoletem w ręce.

I wtedy właśnie Amory jęknął. Podskoczył do góry, po czym opadł z powrotem na plecy. Znowu jęknął i otworzył oczy.

- O Boże! - krzyknęła Sally. - Ma krew w oczach.

James, aż tak mocno go uderzyłeś?

W czasie tych kilku cennych sekund, kiedy cała uwaga Amabel skoncentrowana była na Amorym, Corey wyskoczyła z lewej strony i pięknym, wyuczonym w Guantico ruchem wyprowadziła cios jedną pięścią w bok Amabel, drugą pięścią celując prosto w jej szyję.

Amabel odwróciła się, ale za późno. Pistolet wypadł z jej dłoni.

- Przepraszam, Sally - powiedziała Corey i uderzyła Amabel jeszcze raz, tym razem w szczękę. Amabel opadła na podłogę.

Amory St. John znów wydał jęk.

- Corey - rzeki Thomas - proszę, zgódź się wyjść za mnie. Tak jak palacz, który rzucił palenie, jestem od dziś nawróconym byłym seksistą. Zostanę feministą.

- Czuję swąd ognia - powiedziała Corey. - Ktoś podłożył ogień. Jezu, to staruszkowie nas podpalili!

- Ja poniosę St. Johna, Corey, ty weź Amabel. Sally, możesz pomóc Thomasowi? Zbierajmy się stąd.

- Ten, kto podłożył ogień, będzie na nas czekał - stwierdziła Sally. - Wiesz o tym, James.

- Wolę ryzykować, że mnie ktoś zastrzeli, niż że spłonę żywcem - odparł Quinlan. - Wszyscy się ze mną zgadzacie? Nie ma innej drogi wydostania się stąd, tylko przez kuchnię, a drzwi już się palą.

- Idziemy - rzuciła Corey, wsuwając pistolet za pas. Zarzuciła sobie Amabel na ramię.

Quinlan, trzymając St. Johna w strażackim uchwycie, przerzuconego przez ramię, kopnięciem otworzył drzwi do domku. Słońce właśnie wschodziło, świt różowi! się na niebie. Powietrze było rześkie i czyste, szum morza cichy i rytmiczny. Piękny poranek.

Przed domkiem stała co najmniej trzydziestka ludzi. Wszyscy byli uzbrojeni.

Wielebny Hal Vorhees zawołał: - Rzućcie broń, panie Quinlan, bo zastrzelimy kobiety.

A niech to diabli, pomyślał Quinlan. Dobrze przynajmniej, że staruszkowie nie zastrzelili ich od razu, kiedy wychodzili po kolei z domku Ainabel. Cała ta tyrada o przedkiadaniu śmierci od kuli nad śmierć w płomieniach była bzdurą. Nikt nie chciał umierać. Teraz chociaż zyskiwali trochę czasu - modlił się, żeby tak było.

Quinlan skinął głową w stronę Corey. Dziewczyna cisnęła swój pistolet prosto w wielebnego Vorheesa. Broń wylądowała u jego stóp.

- Dobrze, a teraz połóżcie tego szaleńca na ziemi, a Amabel obok niego. Nie obchodzi nas jego dalszy los. To przeżarty ziem człowiek. Podły zdrajca, nic więcej. Przez niego Amabel odwróciła się od nas. Chodźcie teraz z nami, cała czwórka.

- Wybieramy się na mszę, ojczy?

- Lepiej niech się pan zamknie, Quinlan - odezwał się Hunker Dawson.

- Za jakieś pięć minut zjawi się helikopter, Hal - powiedział Quinlan, rzuciwszy na ziemię swój pistolet, który wylądował w ogródku Amabel, na środku grządki z żonkilami.

- Z domku doktora Spivera zadzwoniliśmy do biura FBI w Portland. Również zastępcy szeryfa Davida Mountebanka zaraz tu będą.

Prawdę mówiąc, zastępcy szeryfa już dawno powinni byli tu przybyć. Gdzie się podziewają, u diabła?

- Nie, zajęliśmy się chłopcami z biura szeryfa - zakomunikował Gus Eisner. - Chodźcie już. Nie chcemy tracić więcej czasu. A z tym helikopterem kłamiesz. Zresztą to i tak nie zmienia postaci rzeczy. Zanim federalni się tu zjawiają, was już nie będzie.

- Nigdy wam to nie ujdzie na sucho - powiedziała Sally. - Nigdy. Czy nie rozumiecie zupełnie, z kim macie do czynienia?

- Popatrz na nas, Sally - odezwała się Sherry Vorhees. - Tylko spójrz na tę gromadkę sympatycznych staruszków. Przecież nie skrzywdzilibyśmy nawet muchy, prawda? Kto miałby się nami zajmować? Nie ma tu zresztą nic, czym by się trzeba było zajmować. Zaproszę ich wszystkich na nasze Najwspanialsze Lody Świata.

- Sprawy zaszły już o wiele dalej - rzekła Sally, robiąc krok do przodu.

Wielebny Hal Vorhees natychmiast lekko uniósł broń. - Posłuchajcie mnie - ciągnęła dalej Sally. - Wszyscy wiedzą, że Quinlan i pozostali agenci są tutaj. Wygarną was. Poza tym rozkopiają każdy grób na cmentarzu i odnajdą tam wszystkich zaginionych, zgłoszonych w czasie ostatnich trzech lat. To już koniec. Proszę, bądźcie rozsądni. Dajcie spokój.

- Zamknij się, Sally - powiedział Hunker Davies. - I dość już tych bzdur. Chodźmy.

- Naturalnie, Hunker - rzekł Quinlan. A więc mają jeszcze trochę czasu. Nie wiedział ile, ale każda minuta dawała jakąś nadzieję.

Ruszyli jak skazańcy przed frontem zgromadzonego tłumu. Quinlan świadom był nierealności całej sytuacji, choć jednocześnie czuł, jak ogarnia go strach. Rzucił przez ramię: - Czego będzie dotyczyć niedzielne kazanie, Hal? Nagrody za zło? Duchowej podniosłości masowego morderstwa? Nie, już wiem. Poświęcone będzie zapłacie za próbę oddania sprawiedliwości ludziom, brutalnie zamordowanym dla pieniędzy.

Quinlan zachwiał się pod ciosem otrzymanym w ramię.

- Wystarczy już - stwierdził Gus Eisner. - Zamknij się. Niepokoisz damy.

- Nie jestem zaniepokojona - rzekła Corey. - Mam ochotę wybić wam wszystkie zęby i słuchać waszych krzyków.

- Nie mamy swoich zębów - oświadczył Hunker. - To nie najlepsza metoda ukarania naszej gromadki.

I co można na to odpowiedzieć, pomyślał Quinlan i mrugnął do Corey. Wyglądała na wściekłą. Thomas szedł na własnych nogach, ale Corey pomagała mu. Zranione ramię nie krwawiło już tak mocno, ale upływ krwi i szok zaczynały się powoli dawać we znaki.

U jego boku Saliy maszerowała z trudem, blada i zamyślona. Kącikiem ust, naprawdę bardzo cicho, żeby stworzyć szansę, iż nikt z tych starców nie usłyszy, szepnął: - Trzymaj się, Sally. Coś wymyślimy. Cholera, bez problemu mógłbym sam załatwić co najmniej z tuzin staruszków. Czy mogłabyś zająć się tłuczeniem starszych pań?

To przywołało uśmiech na jej wargi. - Owszem, mogłabym przetrzepać im skórę. Ale wolę wrócić po Amory'ego St. Johna. Zostawili ich oboje z Amabel, po prostu zostawili. Teraz uciekną. Moja ciotka, hm... sama nie wiem, ale nie jest taką ciotką, jak to sobie wyobrażałam.

Łagodnie powiedziane, pomyślał Quinlan. Jeszcze jeden cios, który na nią spadł. Zdradziła ją jeszcze jedna osoba, której ufała. Dzięki Bogu, że matka stanęła znów po jej stronie. Pomyślał, że w przyszłości może bardzo polubić Noelle St. John. Jeśli jest jeszcze przed nim jakaś przyszłość.

Quinlan odezwał się. - Może policja zjawi się, zanim St. John i twoja ciotka odzyskają przytomność i pomyślą o ucieczce. Ale nawet jeśli uda im się uciec, wcześniej czy później dopadniemy ich.

Ku zaskoczeniu Quinlana, poprowadzono ich po ślicznie odmalowanych, białych schodach prosto do pensjonatu Thelmy. A przypuszczał, że zostaną zabrani do domu Vorheesów.

- Niech mnie kule biją - mruknął Quinlan, kiedy otrzymał wymierzonego pistoletem kuksańca w bok, kierującego go do dużego salonu. W środku siedziała Thelma Netto, urzędująca w swoim fotelu jak na tronie. Uśmiechała się do nich. Założyła cały garnitur sztucznych zębów, a wargi pokryła pomarańczową szminką.

Odezwała się. - Chciałam przyłączyć się do całej tej zabawy, ale nie daję sobie już tak dobre rady, jak niegdyś.

Na jednej z licznych kanapek siedział skulony i blady Purn Davies. Dobrze, Corey nieźle mu przyłożyła.

- Czemu tu jesteście? - zapytał Quinlan, zwracając się do wielebnego Hala Vorheesa.

- Jesteście tutaj, bo ja tego chciałam. Bo kazałam moim ludziom was tu przyprowadzić. Zamierzam bowiem, panie Quinlan, opowiedzieć wam dokładnie, co z wami zrobimy.

Wszyscy zapatrzyli się na Marthę, która wynurzyła się zza fotela Thelmy Netto. Nie było w niej śladu miękkości i serdeczności. Z szyi nie zwieszały się perły. Głos miała donośny i dźwięczny, głos dowódcy, a nie łagodny głos kucharki, zapowiadającej wspaniały posiłek. Jezu, co tu się dzieje, pomyślał Quinlan.

- Martha? - odezwała się oszołomiona Sally. - O nie, tylko nie ty, Martho.

- Nie miej takiej zaskoczonej miny.

- Nie rozumiem - powiedziała Sally. - Jesteś cudowną kucharką, Martho. Spotykasz się z Edem. Cierpliwie znosisz Thelmę. Jesteś przecież miła. O co tu chodzi?

Quinlan rzekł powoli: - Wiedziałem, że musi być jakiś przywódca, który potrafiłby skłonić innych do współdziałania. Mam rację, Martho?

- Zupełną rację, panie Quinlan.

- Czemu nie pozwoliłaś im się wybrać na burmistrza? - zapytała Sally. - Czemu musieliście

mordować niewinnych ludzi?

- Pominę milczeniem twoje pytanie, Sally - odparła Martha. - Och, biedny pan Shredder. Corey, posadź go na tamtym krześle. Szkoda, że doktora Spivera opanowało tchórzostwo i wyrzuty sumienia. Wyciągnął zapalnik i musiał zabić tę kobietę, która podsłuchiwała nasze spotkanie. Przyłapaliśmy ją, jak próbowała zawiadomić telefonicznie policję. Biedna dziwka. Była inna. Nie wiedzieliśmy, co z nią zrobić. Była inna, niż ci turyści, przyjeżdżający do miasta na Najwspanialsze Lody Świata. Nie, normalnie nawet byśmy się nią nie zainteresowali. Była za młoda; miała dzieci. Ale w tej sytuacji nie wiedzieliśmy, co mamy z nią zrobić. Nie mogliśmy pozwolić jej po prostu odejść. Kiedy tamtej pierwszej nocy oswobodziła się i zaczęła się wydierać - następnego dnia Amabel doniosła nam, że ją słyszałaś, Sally - zaczęliśmy trzymać ją pod strażą. Ale potem, dwie noce później, znów udało jej się oswobodzić, i tym razem Amabel była zmuszona wezwać Hala Vorheesa, a wszystko przez ciebie, Sally. Nie było rady. Wszyscy zdecydowaliśmy, że musi umrzeć. Po prostu nie było innego wyjścia. Było nam przykro z tego powodu, ale trzeba było to zrobić i doktor Spiver miał ją zabić. Nie mógł się z tym pogodzić. Zamierzał zawiadomić szeryfa Mountebanka. - Wzruszyła ramionami. - Uczciwość to uczciwość. Zawsze staraliśmy się być drobiazgowo uczciwi. Los padł na Helen Keaton. To ona włożyła mu lufę pistoletu do ust i pociągnęła za cyngiel. Gdyby nie szeryf i lekarz sądowy w Portland, uznano by to za wypadek. Tak, wielka szkoda. Bardzo niesprawiedliwie.

Jakże typowe, pomyślał Quinlan, że każdy przestępca ubóstwia mówić, przechwalać się, jaki jest wielki, mądrzejszy od wszystkich.

- Tak - powiedział - naprawdę szkoda.

Nie mając pod ręką swoich pereł, Martha bawiła się okularami. Jednak jej głos pozostawał spokojny i pewny. - Nie docenia pan, panie Guinlan, co zrobiliśmy. Przekształciliśmy nędzne, podupadające miasteczko w miejscowość jak z obrazka. Wszystko jest takie czyste. Wszystko tak pięknie zaplanowane. Nic nie pozostawiamy losowi. Omawiamy wszystko. Mamy nawet serwis ogrodniczy dla tych, którzy nie lubują się w kwiatach i ich pielęgnacji. Co tydzień przyjeżdża ekipa malarzy. Naturalnie zawsze jedna osoba odpowiada za prowadzenie poszczególnych usług. Jesteśmy grupą inteligentnych, przedsiębiorczych obywateli w starszym wieku. Każde z nas za coś odpowiada, każdy ma przydzielone jakieś obowiązki.

- Kto wybiera ofiary? - zapytała Corey. Stała koło Thomasa, opierając rękę na jego ramieniu. Nadal był przytomny, ale twarz miał śmiertelnie bladą. Narzuciła na niego ręcznie tkany koc afgański, który wyglądał, jakby jakaś babcia godzinami ślęczała nad nim, łącząc w jedną całość te miękkie, pastelowe kwadraty.

Quinlan wbił wzrok w ten koc. Potem przeniósł spojrzenie na Marthę. Mógłby się założyć, że to ona go utkała. Żadnej taryfy ulgowej dla babć. Martha była wyrafinowaną przestępcą, mordującym z zimną krwią.

Martha zaśmiała się cicho. - Kto? Ależ my wszyscy, panno Harper. Nasi czterej panowie, grający w karty wokół beczki? Tak, obserwują każdego przybywającego do Sklepu z Najwspanialszymi Lodami Świata. Zeke w kawiarni przygląda się każdemu turyście przez kuchenne okno. Kiedy ma zbyt wiele zajęcia, wówczas Nelda zwraca uwagę, kiedy klienci wyciągają portfele, żeby zapłacić. Sherry i Della prowadzą sklepik z pamiątkami w tym małym domku w pobliżu nadmorskiego urwiska. Tam sprawdzają turystów. Jak się domyślacie, musimy szybko podejmować decyzje. - Westchnęła. - Czasami mylimy się. Szkoda. Pewna para sprawiała wrażenie niezwykle zasobnych ludzi, przyjechali mercedesem, ale znaleźliśmy przy nich jedynie trzysta dolarów, nic poza tym.

Mogliśmy tylko wysiać Gusa do Portland, żeby sprzedał samochód. Okazało się, że wóz był wypożyczony. Otarliśmy się o wpadkę. O ile dobrze sobie przypominam, Ralph odmówił pogrzebania ich, prawda, Ralph? No właśnie, powiedziałaś, że nie zasługują na pochówek.

- I wszyscy się z tobą zgodziliśmy. Nie byli wobec nas uczciwi. Kłamali.

- Dokładnie tak było - zgodził się Ralph Keaton. - Owinąłem tylko tych parszywych kłamczuchów w zwykłe, tanie prześcieradła. Helen chciała, żeby na ich grobie wykuć nazwisko Skąpiec, ale wszyscy zdawaliśmy sobie sprawę, że nie możemy być tacy ostentacyjni, więc zdecydowaliśmy się na nazwisko Smith, tak nijakie, jakby przekreślało ich istnienie.

- To zadziwiające - powiedziała Sally, wodząc wzrokiem od jednej starej twarzy do drugiej. - Naprawdę zadziwiające. Wszyscy jesteście szaleni. Zastanawiam się, co z wami zrobią. Postawią was razem przed sądem jako masowych morderców? Albo po prostu zamkną w szpitalu dla wariatów?

- Słyszę helikopter - przerwał wielebny Hal Vorhees. - Musimy się pospieszyć, Martho.

- Zamierzacie nas zastrzelić? - spytała Corey, odsuwając się o krok od Thomasa. - Naprawdę sądzicie, że zabicie nas ujdzie wam na sucho?

- Naturalnie - odparł Purn Davies, podnosząc się z kanapy. Był odrobinę mniej blady. Chwytał leżącą obok niego strzelbę i ruszył do przodu. - Nie mamy nic do stracenia. Zupełnie nic. Prawda, Martho?

- To prawda, Purn.

- Wszyscy jesteście głupimi sklerotykami! - wrzasnęła Sally.

W tym momencie, gdy uwaga wszystkich skupiona była na Sally, Quinlan złapał strzelbę Purna Daviesa i rzucił się na Marthę. Przewrócił ją na ziemię i potoczył się na nią. Przerzucił jej rękę wokół szyi, a lufę strzelby przyłożył do karku. Prawą rękę owinął w łańcuszek, na którym wisały jej okulary.

Zapadła głucha cisza. Thelma Netro powoli obróciła się w swoim fotelu, - Niech pan ją puści, panie Guinlan. Jeśli pan tego nie zrobi, po prostu zabijemy ją razem z wami. Zgadzasz się Martho, prawda?

Nie było innego wyjścia. Guinlan wiedział o tym. Wiedział, że musi działać szybko, bez wahania, żeby mu uwierzyli. Musiał ich śmiertelnie nastraszyć. Musiał zrobić coś wstrząsającego. Coś, co przywróci tych staruszków do rzeczywistości, wyrwie z obłąkanego świata, który stworzyli i w którym się zdomowili. Musiał im udowodnić, że nie panują już nad sytuacją.

Guinlan podniósł broń i strzelił prosto w pierś Purna Daviesa. Impet kuli rzucił staruszka na podłogę, pod wiekowy fortepian. Krew bryzgnęła wszędzie. Stary mężczyzna nie wydał żadnego dźwięku, tylko osunął się na ziemię. Rozległo się kilka krzyków, przekleństw i przerażone jęki.

Guinlan przekrzyczał ten zgiełk. - Mogę zastrzelić co najmniej troje z was, zanim mnie dopadniecie. Chcecie zaryzykować, że nie trafi akurat na ciebie, czy na ciebie? No chodźcie dziadkowie, spróbujcie!

Strzelba była dwustrzałowa. Wkrótce któreś z nich zrozumie, że może strzelić już tylko raz.

- Corey, łap moją broń, szybko.

Miała ją w mgnieniu oka. Wielebny Hal Vorhees uniósł swój pistolet. Guinlan precyzyjnie przestrzelił mu prawe ramię. Corey rzuciła Quinlanowi jego pistolet.

- Kto jeszcze? - spytał Quinlan. - To jest półauto matyczny pistolet. Wszystkich was może powalić. Nikt już? Z tej broni potrafię zrobić bardziej krwawą rzeź niż strzelbą z Purna Daviesa.

Wasze starożytne wnętrzości rozbryzną się po całym pokoju. Założę się, że żadne z was nie rozprawiło się ze swoją ofiarą przy pomocy półautomatycznego pistoletu. To niezbyt piękny widok. Spójrzcie tylko na Purna. Tak, popatrzcie na niego. To może być każde z was.

Cisza. Martwa cisza. Usłyszał, że ktoś wymiotuje. To było zdumiewające. Któreś z nich potrafiło jeszcze zwymiotować na widok Purna Dayiesa, po tym, jak zabili sześćdziesiąt osób?

Thelma Netro zapytała: - Nic ci nie jest, Martho?

- Kompletnie nic - odparła Martha. Zgięła rękę. Uśmiechnęła się. Kopnęła Quinlana w krocze. Poczul przeszywający ból, zawroty głowy i neodparte mdłości. Mocniej ujął swój pistolet i uderzył ją w skroń.

Nie wiedział, czy ją zabił. I niespecjalnie go to interesowało. Przez zaciśnięte zęby, czując przyływ mdłości, powiedział: - Sally, podaj mi broń Gusa. Upewnij się, czy nie jesteś w zasięgu jakichś rąk, które mogłyby cię złapać. A reszta niech rzuci broń. Złóżcie wasze stare kości na podłodze. Zostaniemy tutaj do przybycia moich kolegów.

Thelma Netro zapytała: - Zabił pan ją, panie Quinlan?

- Nie wiem - odparł, nadal walcząc z bólem, pulsującym w pachwinach.

- Martha jest dla mnie jak córka. Nie pamięta pan?

Już to panu raz mówiłam. - Ze swoich kolan podniosła pistolet i strzeliła do niego.

W następnej chwili frontowe drzwi otworzyły się gwałtownie. Biegnąca do Quinlana Sally usłyszała, jak męski głos krzyczy: - Nie ruszać się! FBI!

ROZDZIAŁ 33

- Panie Quinlan, czy pan mnie słyszy?

- Tak - powiedział niezwykle wyraźnie. - Słyszę, ale wcale nie chcę słyszeć. Cierpię i pragnę cierpieć w samotności. Wiele lat temu mój druh drużynowy powiedział mi, że mężczyzna może jęczeć i stękać jedynie w samotności.

- Twardziel z pana, panie Quinlan. Ale ja ulżę panu w tym bólu. Jak bardzo boli?

- W skali od jednego do dziesięciu, jakieś trzynaście punktów. Proszę sobie iść. Proszę mi dać pojęcie sobie w spokoju.

Pielęgniarka uśmiechnęła się do Sally. - Zawsze taki jest?

- Nie wiem. Po raz pierwszy zdarzyło mi się być przy nim, kiedy został postrzelony.

- Mam nadzieję, że to się już nie powtórzy.

- Na pewno - stwierdziła Sally. - Jeśli jeszcze kiedyś dopuści do tego, zabiję go.

Pielęgniarka wstrzyknęła morfinę do kroplówki Quinlana. - Już - mruknęła, lekko masując mu rękę ponad zgięciem w łokciu. - Wkrótce przestanie boleć. Jak tylko pan oprzytomnieje, będzie pan mógł sam brać środki przeciwbólowe, gdy poczuje pan taką potrzebę. Ach, przyszedł doktor Wiggs.

Chirurg był wysoki, chudy jak szczapa, obdarzony najpiękniejszymi czarnymi oczami, jakie Quinlan spotkał w życiu. - Czy jestem w Portland?

- Tak, w szpitalu uniwersyteckim stanu Oregon. Jestem doktor Wiggs. To ja wyjąłem panu ten pocisk z piersi. Świetnie pan daje sobie radę, panie Guinlan. Słyszałem, że jest pan bardzo dzielny. To przyjemność uratować życie odważnemu człowiekowi.

- Wkrótce będę musiał wykazać się jeszcze większą odwagą - powiedział Guinlan troszkę bełkotliwie pod wpływem morfiny. Czuł się już zupełnie dobrze. W gruncie rzeczy, gdyby nie był przywiązany do tego przekłętą łóżka płataniną tych wszystkich rurek, zamocowanych do wszelkich otworów jego ciała, mógłby chyba tańczyć, a może nawet zagrać na swoim saksofonie. Miałby ochotę zadzwonić do pani Lilly, a nawet opowiedzieć jakiś kawał Marvinowi Wykidajle. Zrozumiał, że jego mózg nie pracuje zupełnie normalnie. Musi pamiętać, żeby poprosić Fuzza Barmana, aby zrobił zapas jakiegoś przyzwoitego białego wina dla Sally.

- Dlaczego, panie Quinlan? - zapytała pielęgniarka.

- Co dlaczego?

- Dlaczego będzie pan musiał być jeszcze odważniej szy?

Zmarszczył czoło, po czym, przypomniawszy sobie, rozjaśnił się w uśmiechu. Najdumniejszym i najszcześliwszym głosem odpowiedział: - Żenię się z Sally.

Obrócił głowę i obdarzył ją najgłupszym uśmiechem, jaki zdarzyło jej się widzieć. - Nasz miesiąc miodowy spędzimy w moim domku letniskowym w Delaware. Nad jeziorem Louise Lynn. To piękne miejsce, pełne zapachów, od których serce topnieje jak wosk i...

Stracił świadomość.

- To dobrze - rzekł doktor Wiggs. - Potrzebuje teraz dużo snu. Niech się pani nie martwi, pani Brainerd. Wyzdrowieje. Trochę się niepokoiłem w czasie operacji, ale to silny, młody człowiek, obdarzony wyjątkową wolą przeżycia. Proszę mi teraz pozwolić go zbadać. Może wyjdzie pani na

chwile? Pan Shredder i pani Harper siedzą w poczekalni. Aha, jest tam jeszcze pan Marvin Brammer i człowiek, który siedzi na kanapie z laptopem na kolanach.

- Pan Brammer jest szefem Jamesa. To zastępca dyrektora FBI. A facet z komputerem...

- Ten seksowny.

- Tak. To Dillon Savich. Też z FBI.

- Pan Brammer ma ten błysk w oczach - stwierdził doktor Wiggs. - Natomiast pan Savich, bez względu na swój wspaniały wygląd, chyba nie jest nawet świadomy tego, gdzie się znajduje. Słyszałem, jak mówił, nie zwracając się do nikogo w szczególności, „Eureka” i nic więcej. Proszę już iść, pani Brainerd i zostawić mnie z moim pacjentem.

Poczekalnia była usytuowana w końcu korytarza. Sally wpadła wprost w objęcia Marvina Brammera. - Nic mu nie będzie - zaczęła powtarzać w kółko. - Wyzdrowieje. Zaczął już narzekać. Opowiadał o swoim drużynowym, który mówił mu, że prawdziwy mężczyzna może jęczeć i płakać jedynie w samotności. Wyzdrowieje. Pobierzemy się i dopilnuję, żeby już nigdy nie został postrzelony.

- Świetnie - odparł Marvin Brammer, mocno ją przytulając do siebie. Potem obrócił ją w kierunku Dillona, który obdarzył ją roztargnionym uściskiem i cmoknięciem w policzek. - Znalazłem ich, Sally - powiedział. - Znalazłem tego przekłętego świra, który nie jest twoim ojcem.

- Eureka? - spytał Marvin Brammer.

- Otóż to. Muszę się połączyć z biurem FBI w Seattle. Są teraz na lotnisku. Tak, głupek kupił dwa bilety do Budapesztu, przez Nowy Jork. Posłużył się fałszywą kartą kredytową i fałszywym paszportem.

- Jak więc go dopadłeś? - zapytał Thomas Shredder, podchodząc bliżej. Rękę miał na temblaku. Normalny koloryt powrócił mu na policzki. Wyszedł już z szoku. - Przecież teraz zupełnie nie jest podobny do dawnego Amory'ego St. Johna.

- To nie było trudne - rzekł Dillon, klepiąc swój laptop. - Razem z moim komputerem jesteśmy w stanie zrobić wszystko. Ciotka Sally posłużyła się swoim własnym paszportem. Czy to nie świetne? Podejrzewam, że musiała i że bardzo się modlili, żeby jej się udało. Powinni byli gdzieś przycupnąć do czasu, aż zdobędą dla niej fałszywe dokumenty. Corey, musieliście z Thomasem śmiertelnie ich wystraszyć. Nie mogli się doczekać wyjazdu z kraju.

- A więc - wolno powiedziała Sally, podczas gdy Dillon zaczął dzwonić do biura FBI w Seattle.

- To już prawie koniec. Co się stanie z miasteczkiem, panie Brammer?

- Cmentarz pełen jest naszych agentów. Tak jak staruszkowie mówili, wszystkich, których zamordowali, pochowali z kartami identyfikacyjnymi, więc nie ma problemu z rozpoznaniem zwłok. Po prostu zbiorowe morderstwo, nie sposób tego nazwać inaczej, w wykonaniu gromadki staruszków. - Potrząsnął głową. - Myślałem, że widziałem już wszystko w życiu, ale to bije wszelkie rekordy. Zło - dodał, pocierając podbródek - zło potrafi rozplenić się wszędzie. Nikt ze staruszków nic nie mówi. Są lojalni wobec siebie, trzeba im to przyznać, nawet jeśli ta lojalność nie ma specjalnego znaczenia. Martha Crittlan dojdzie do siebie, chociaż mógłbym się założyć, że wolałaby umrzeć. Aż trudno sobie wyobrazić, że ta słodka staruszka była mózgiem i dowódcą całego miasteczka.

- A do tego najwspanialszą kucharką - dodała Corey Harper i westchnęła. - Ta ostatnia kolacja była najcudowniejszym posiłkiem, jaki kiedykolwiek zdarzyło mi się jeść.

- Tak - rzekł Thomas Shredder - i mógł to być ostatni posiłek w naszym życiu, bo poczęstowała

nas trucizną.

- Ale przeżyliście - powiedział Marvin Brammer. - A właśnie, jeden z agentów znalazł dzienniki, które Thelma Netto prowadziła przez cały czas pobytu w Cove.

- Tak - odezwała się Sally. - Zawsze miała je przy sobie. Czy wie pan, że miała czarną kropkę na języku od lizania stalówki wiecznego pióra przed rozpoczęciem pisania?

- Znając naszych ludzi, jestem pewien, że to sprawdzą. Stara Thelma była bardzo dokładna w opisie, w jaki sposób wszystko się odbywało. To prawdopodobnie najlepsze świadectwo i opis wydarzeń, jakie można mieć. Opisała wszystko, poczynając od lat czterdziestych, kiedy to przybyła z mężem do Cove. Teraz wszystko zależy od prokuratora. Gotów jestem się założyć, że w jego biurze nienawidzą każdej minuty tej sprawy. Nawet sobie nie wyobrażacie, co media z niej robią. Zresztą może i możecie. Istny obłąd. Na pocieszenie mogę wam tylko powiedzieć, że dzisiaj rano szeryf Mountebank odzyskał przytomność. Jego trzech zastępcy też dochodzą do siebie. Zostali naszpikowani środkami usypiającymi, związani i umieszczeni w tej samej szopie, w której was przetrzymywano.

- A Amory St. John i moja ciocia Amabel - powiedziała Sally. - Panie Brammer, co się z nimi stanie, kiedy ich aresztujecie?

- Zostanie skazany na dożywocie trzykrotnie. Zaś jeśli chodzi o twoją ciotkę, Sally, nie wiem, czy postawią jej te same zarzuty co staruszkom, czy też dodadzą oskarżenie o porwanie i zdradę stanu. Zobaczymy.

- Eureka po raz drugi!

Wszyscy zwrócili się do Dillona. Ten oderwał wzrok od monitora i patrzy! nieco błędnie. - Cóż, chciałem tylko, żebyście wszyscy wiedzieli, że proces rozwodowy Sally zakończy się za pół roku. Powiedzmy, że w połowie października. Zarezerwowałem termin w kościele prezbiteriańskim w Waszyngtonie, przy Elm Street, na czternastego października. Wszystko jest już ustalone.

- Wyjdiesz za mnie, Corey? - zapytał Thomas Shredder.

Omiotła go szybkim spojrzeniem. - Musisz mnie przekonać, że już nie jesteś seksistą. To spokojnie może zająć rok, nawet jeśli będziesz się bardzo starał. I nie zapominaj, że warunkiem jest, żebym została szefem biura w Portland.

- Zawsze możesz postrzelić go w drugie ramię, jeśli zboczy z właściwej drogi - rzekł Brammer. - Zaś co do szefostwa biura w Portland, panno Harper, obiecuję poważnie nad tym pomyśleć.

Sally uśmiechnęła się do nich wszystkich, którzy teraz stali się jej przyjaciółmi na całe życie, i udała się z powrotem do pokoju Jamesa.

Będzie żył. Jeśli zaś chodzi o całą resztę, to cóż, po prostu nie będzie o tym myśleć, dopóki nie musi.

Miała życie przed sobą, doszła do wniosku w czasie podróży helikopterem do Portland, z Jamesem bladym jak śmierć, leżącym obok niej na noszach, z wystającymi wszędzie rurkami. Będzie się starała skoncentrować na twarzy Jamesa. Piękna twarz, taka seksowna. Nie mogła się doczekać chwili, kiedy będą mogli wybrać się do klubu „Bonhomie”, żeby James zagrał na saksofonie.

Następnego dnia rano Quinlan rozłożył gazetę „Oregonian”, którą przyniosła mu pielęgniarka. Główna wiadomość brzmiała;

AMORY ST. JOHN ZABITY W CZASIE UCIECZKI PRZED FBI.

Jakby na to nie zasłużył, pomyślał Quinlan. - Tak, biedaczek - powiedział głośno i zagłębił się w lekturze. Ewidentnie Amory St. John próbował uciekać, ale mu się nie udało. W jednej chwili zostawił Amabel, wskoczył na wózek bagażowy” ciosem ogłuszył kierowcę i odjechał, mając tuż za

sobą agentów FBI. Nie uciekł daleko. Był jeszcze na tyle głupi, że zaczął strzelać do agentów, nie słuchając poleceń, żeby się zatrzymał i rzucił broń.

Był martwy. W końcu drań nie żyje. Saliy nie będzie musiała stawać przed sądem. Nawet nie będzie musiała więcej go oglądać.

A co z Amabel?

Najwyraźniej „Oregonian” nie wiedział, która sprawa jest bardziej sensacyjna - morderstwa w Cove czy Amory St. John. Ponieważ wczorajsze wydanie pełne było wiadomości o Cove, widocznie w redakcji doszli do wniosku, że teraz przyszła kolej na Amory’ego.

Przeczytał, że Amabel Perdy oświadczyła, iż jest niewinna zarówno w sprawie Amory’ego St. Johna jak i Cove. Powiedziała, że w obu przypadkach nie miała pojęcia, co się działo. Utrzymywała, że jest artystką. Pomagała sprzedawać Najwspanialsze Lody Świata. I to wszystko, co zrobiła.

Poczekajmy, aż prasa dotrze do dziennika Thelmy, pomyślał Quinlan. Tamte rewelacje przypieczętują jej los. I los pozostałych staruszków. Był zmęczony, pierś bolała go wściekle, więc wstrzyknął sobie w ramię niewielką dawkę morfiny.

Wiedział, że wkrótce zaśnie i będzie spał jak niemowlę, wolny od tych wszystkich bredni. Chciałby tylko jeszcze, zanim zaśnie, zobaczyć Sally.

Kiedy stanęła uśmiechnięta przy łóżku, był pewien, że śni.

- Wyglądasz jak anioł.

Usłyszał jej śmiech i poczuł na swoich ustach jej wargi, miękkie i gorące.

- Przyjemnie - rzekł. - Jeszcze.

- Spij już, chłopczyku - odpowiedziała. - Kiedy się obudzisz, będę tutaj.

- I każdego ranka? Tak. Zawsze.

EPILOG

Sally St. John Brainerd i James Railey Quinlan wzięli ślub w terminie ustalonym przez Dillona - czternastego października. Dillon SaVich był drużbą, zaś matka Sally pełniła honory gospodyni. Uczestniczyła w uroczystościach zaślubin w towarzystwie senatora Matta Montgomery'ego ze stanu Iowa, wdowca, który raz spojrział na Noelle i zupełnie stracił głowę. Tego lata Noelle włożyła dwuczęściowy kostium kąpielowy.

Na ślubie obecnych było stu pięćdziesięciu agentów FBI, w tym dwoje agentów specjalnych z biura w Portland, z których jeden był świeżo mianowanym szefem biura. Wszyscy Raileyowie i Quinlanowie, bliźsi i dalsi, zjawili się w kościele prezbiteriańskim na Elm Street w Waszyngtonie, i Sally poczuła się pochłonięta przez swoją nową rodzinę.

Pani Lilly, Marvin Wykidajło i Fuzz Barman też byli obecni. Pani Lilly miała na sobie kostium z białej satyny, Marvin zaś opowiadał wszystkim, że dziewczynka ślicznie wygląda w swojej ślubnej sukni. Fuzz przyniósł butelkę chardonnay w charakterze prezentu ślubnego. Butelka była zakorkowana.

Uroczystość obsadzona była przez dziennikarzy, czyhających na to wydarzenie od czasu niedawnego zakończenia procesu doktora Beadermeyera - czyli Normana Lipsy - gdzie Sally była głównym świadkiem oskarżenia. Beadermeyera uznano za winnego spisku, morderstwa, porwania, wymuszenia i oszustw podatkowych, przy czym to ostatnie przestępstwo, zgodnie z komentarzem prezenterki telewizyjnych wiadomości, było najpoważniejsze i gwarantowało mu pobyt w więzieniu do końca dwudziestego drugiego wieku.

Scott Brainerd współpracował z organami bezpieczeństwa w sprawie porwania i spisku, na co wreszcie zgodził się rząd, gdyż FBI nie potrafiło znaleźć solidnych dowodów jego uczestnictwa w handlu bronią. Został skazany na dziesięć lat więzienia. Sally wiedziała jednak, i powiedziała o tym Quinlanowi, że Scott będzie się zachowywał wzorowo w więzieniu. Gotowa była się założyć, że ten nędzny robak wyjdzie na wolność po odsiedzeniu trzech lat. Quinlan zatarł ręce i oświadczył, że nie może się doczekać.

Rok wcześniej, w czerwcu, Sally zaczęła pracować jako prawa ręka senatora Boba McCaina. Zaczęła pokazywać Quinlanowi pełne blichtru oblicze Waszyngtonu, tak innego od tego, do którego się już przyzwyczaił. James stwierdził, że nie wie, jaki Waszyngton jest dla niego bardziej fascynujący. Sally codziennie rano biegała, zwykle z Jamesem, a w lipcu znów zaczęła śpiewać pod prysznicem.

Pod koniec lipca postanowiono, że Amabel Perdy nie będzie odpowiadać razem z pozostałymi pięćdziesięcioma mieszkańcami Cove. Poza ośmioma zabójstwami, w tym czterema przez zadanie śmiertelnych pchnięć nożem, postrzeliła również agenta specjalnego FBI, porwała swoją siostrzenicę i pomagała w ucieczce podejrzanemu o morderstwo, stając się jego współniczką. Jej proces miał się odbyć pod koniec roku. Ani Guinlan, ani Sally nie wyczekiwali go.

Wszystkie morderstwa zostały szczegółowo zrelacjonowane w dzienniku Thelmy Netro - w jaki sposób były popełnione, kiedy i przez kogo. Thelma Netro zanotowała, że po załatwieniu dwudziestej ofiary mieszkańcy nie czuli już wyrzutów sumienia. Zapisała też, że najchętniej

stosowaną metodą była trucizna, gdyż Ralph Keaton nie lubił nieporządku, kiedy przygotowywał ciała do pogrzebu.

Sama Thelma zamordowała dwie osoby, starsze małżeństwo z Arkansas. Umarli szybko, z uśmiechem na ustach, ponieważ zjedli po kawałku sernika Marthy i nie wyczuli smaku trucizny.

Wyszło też na jaw, że ostatnie dwa zabójstwa starych ludzi, którzy mieli nieszczęście przyjechać do Cove w chęci skosztowania Najwspanialszych Lodów Świata, miały miejsce zaledwie dwa miesiące przed przybyciem poszukującej schronienia Sally do domu ciotki Amabel. Rekordzistą okazał się wielebny Hal Vorhees. Udało mu się skłonić pewne zamożne małżeństwo do pozostania na specjalnej, wieczornej mszy, która została zorganizowana tego popołudnia, a miała być poświęcona odnowie duchowej.

Thelma napisała w swoim dzienniku, że była to bardzo przyjemna msza, w czasie której wiele osób wstawalo i dziękowało Bogu za wszystko, co zrobił dla nich Hal. Po mszy był poncz i ciasteczka. Wielebny Hal nie naszpikował wystarczająco ciasteczek arsenikiem i starsi państwo musieli być truci powtórnie, co zmartwiło wszystkich, a zwłaszcza doktora Spivera.

Na temat Cove napisano trzy książki, każdą z innego punktu widzenia. Największym bestsellerem okazała się książka, przedstawiająca wielebneho Hala Vorheesa jako oszalałego mesjasza, który zamordował w Arizonie dzieci, a następnie przeniósł się do Cove i przekonał tutejszych mieszkańców do pewnej formy satanizmu.

Ponieważ było oczywiste, że morderstwa będą kontynuowane, dopóki nie wymrze ostatni mieszkaniec miasteczka, albo wszyscy nie zostaną złapani (co właśnie się stało), Departament Sprawiedliwości i prawnicy zgodzili się, że staruszkowie zostaną odseparowani i każde zostanie wysłane do innego szpitala psychiatrycznego w różnych stanach. W wywiadzie, udzielonym tuż po zapadnięciu wyroku, prokurator generalny stwierdził po prostu: „Jeśli tylko zbierze się ich dwoje, nie będziemy mogli im zaufać. Spójrzcie, co już się stało”.

Zaprotestowała Liga Obrońców Wolności Obywatelskich, ale niezbyt energicznie, stwierdzając jedynie, iż składniki Najwspanialszych Lodów Świata (na które przepis pozostał tajemnicą) wywołały niekontrolowaną histerię wśród starych ludzi, prowadząc do utraty kryteriów moralnych i umiejętności oceny. Z tego względu nie powinni odpowiadać za swoje czyny. Kiedy zapytano prawniczkę, reprezentującą Ligę, czy pojechałaby do Cove na lody, wyznała, że jedynie w wytartych dzinsach, prowadząc bardzo starego volkswagena garbusa. Być może, jak napisała jedna z gazet, mieszkańców Cove przywiódł do morderstw zbiorowy podwyższony poziom cukru.

Thelma Nettro zmarła spokojnie we śnie przed ostatecznym wyrokiem, który zapadł na jej przyjaciół. Martha powiesiła się w swojej celi, dowiedziawszy się, że młody Ed zmarł na raka prostaty.

Miasteczko Cove z Najwspanialszymi Lodami Świata przestało istnieć. Reklama na skrzyżowaniu drogi 101 i 101A przewróciła się dwa lata później i leżała tam, dopóki jakiś amator pamiątek nie zabrał jej do swojej piwnicy.

Wędrowcy nadal od czasu do czasu odwiedzają Cove. Nie pozostało tam zbyt wiele, ale widok z urwiska w czasie zachodu słońca jest zawsze niezwykle efektowny - z martini czy bez.